

Smocze oko

McCAFFREY ANNE



calibre 0.7.28

Anne McCaffrey

Smocze oko

tom 13Przekład: Katarzyna Przybos

Tytuł oryginalu: Dragonseye

SCAN-dal

Książkę tę z wielkim szacunkiem dedykuję Dieterowi Clissmannowi, który zaprowadza porządek

w moich kolejnych komputerach i nigdy nie traktuje

obojętnie rozpaczliwego wołania o Pomoc.

Kiedy Palec wskazuje

Na Oko czerwone

Niech się Weyry przygotowują

A Nici zapłoną.

z "Jezdźców smoków"

Prolog

Rukbat w gwiazdozbiórze Strzelca była złota gwiazda typu G. Miała pięć planet, dwa pasy asteroidów i zblakana planeta, która przed kilkoma tysiącami lat przyciągnęła i zatrzymała. Gdy ludzie osiedlili się na trzeciej planecie Rukbatu i nazwali ją Pernem, początkowo niewiele uwagi zwracali na planetę - przybłąde, obiegająca swą nową gwiazdę po niesłychanie nieregularnej orbicie. Wkrótce jednak droga kapryśnego kosmicznego wędrowca przywiodła go w peryhelium siostrzanej planety. Gdy aspekty obu ciał niebieskich były zgodne i nie zakłócone koniunkcją z innymi planetami układu, formy życia z obcej planety próbowały przedostać się przez przestrzeń kosmiczną do bardziej gościnnej światła o łagodniejszym klimacie.

Zarłoczne grzybopodobne organizmy początkowo powodowały przerażające zniszczenia. Kolonisci zerwali kontakty z macierzystą Ziemią i dawno już zdemontowali wyposażenie statków kosmicznych "Yokohama", "Bahrain" i "Buenos Aires", musieli więc zwalczyć pasożyty środkami dostępnymi na niecywilizowanej planecie. Przede wszystkim potrzebowali obrony powietrznej przed zagrożeniem, które nazwali Nicmi. Posługując się zaawansowanymi technikami inżynierii genetycznej wyspecjalizowali do walki jedną z form życia na Pernie, wykorzystując niezwykle, pożyteczne cechy. Tak zwane jaszczurki ogniste umiały przeżuwać w jednym z dwóch żołądków skalę zawierającą fosforyny, przetwarzając ją w gaz, który przy wydechu zapalał się, zmieniając Nici w nieszkodliwy popiół. Ponadto, potrafiły się teleportować i dzięki darowi empatii porozumiewać się z ludźmi, choć w ograniczonym zakresie. Inżynierowie genetyczni przekształcili je w smoki, nazwane tak z powodu podobieństwa do mitycznych ziemskich stworów. Smoki te podczas wylegu nawiązywały z konkretną, przedstawioną im osobą o empatycznych zdolnościach w więzi o niespotykanej glebi, oparta na wzajemnym szacunku.

Kolonisci przenieśli się na Kontynent Północny w poszukiwaniu schronienia przed zdradzieckimi Nicmi. Zamieszkali tam w systemach jaskin, a nowe domy nazwali Warowniami. Jezdźcy smoków ze swoimi bestiami zajęli kraterę wygasłych wulkanów, zakładając tam Weyry.

Pierwsze Przejście Nici trwało niemal pięćdziesiąt lat; ze wszelkich danych zebranych przez naukowców wynikało, że problem powróci za 250 lat, wraz z wędrującą planetą, która wtedy znowu zbliży się do Pernu. Podczas przerwy między Przejściami smoki rozmnażały się, a każde kolejne pokolenie było nieco większe od poprzedniego, choć optymalna wielkość miały osiągnąć dopiero w dalekiej przyszłości. Ludzie zaś poznawali coraz większe połacie Kontynentu Północnego, budując wszędzie Warownie, siedziby mieszkalne i ośrodki, w których młodzi ludzie zdobywali wykształcenie ogólne i zawodowe.

Niejeden z mieszkańców planety zapominał o zagrożeniu. Jednak w Warowniach i Weyrach zgromadzono stosy sprawozdań, kronik, map i wykresów, by władcy ludzkich i smoczych siedzib wiedzieli o nadchodzących trudnościach. Dokumenty te miały służyć następnym pokoleniom radą i pomocą w okresie, gdy przeklęta planeta znowu zbliży się do Pernu i trzeba będzie rozpocząć przygotowania. A oto, co zdarzyło się w 257 lat później.

Zgromadzenie w Warowni Fort wczesna jesienia

Eskadry smoków kresliły po niebie skomplikowane wzory, łączyły się w skrzydła, które pikowały i wznosiły się, zachowując minimalny dystans między sobą. Widzom zdawało się, że widzą nieprzerwaną linię smoków wykonujących manewry, przy których niemal stykały się skrzydłami. Tego dnia wczesna jesienia, niebo nad Warownią Fort, najstarsza ludzka siedziba na Kontynencie Pomocnym, przybrało barwę błękitu, a powietrze miało owa charakterystyczna przejrzystość, jaką bez chwili wahania rozpoznaliby dalecy przodkowie Pernencyków, mieszkający w Nowej Anglii na kontynencie północnoamerykańskim. Smocze skóry lśniły zdrowiem w promieniach słonecznych, a złociste królowe, kołujące nad Warownią tak nisko, że niemal dotykały wierzchołków pobliskich gór, jarzyły się ciepłym blaskiem. Wspaniały był to widok i nieodmiennie budził dumę w sercach widzów; z jednym lub dwoma wyjątkami.

-No, nareszcie - stwierdził Chalkin, Lord Warowni Bitra i jako pierwszy odwrócił wzrok od parady, choć jeszcze się nie skończyła.

Pokreślił głową i rozmasował szyję w miejscu, gdzie bogaty haft świątecznej koszuli podrażnił mu skórę. Nawet i on w czasie manewrów kilka razy wstrzymał oddech z wrażenia, ale nigdy by się do tego nie przyznał. Jeźdźcy smoków byli wystarczająco zadowoleni nawet bez pochlebstw, które tylko niepotrzebnie utwierdzały ich w nadmiernie rozwiniętym poczuciu własnej wagi. Bez przerwy pojawiali się w jego Warowni i wręczali jakieś listy obowiązków, których nie dopełnił, choć powinien to zrobić przed Opadami Nici. Prychnął pogardliwie. Kto bierze na poważnie te bzdury? Rzeczywiście, w zeszłym roku szalały niezwykle silne burze, ale przecież takie rzeczy się zdarzają. Dlaczego niby miałyby oznaczać zbliżające się Przejsie? Zimy są zawsze burzliwe.

A te wybuchy wulkanów, którymi wszyscy zwracają sobie głowy? Przecież wulkany zawsze wybuchają, to są naturalne zjawiska, jeśli dobrze zapamiętał szkolne lekcje. Co z tego, że akurat teraz trzy albo cztery z nich stały się aktywne? Dlaczego zaraz wiązać to z bliskością niebiańskiego sąsiada? On, Chalkin nie będzie wysyłał strażników, by marzli po nocach, wypatrując na wschodzie tej przeklętej planety, tym bardziej że wszystkie pozostałe Warownie już postawiono w stan gotowości. I co z tego, że orbita tamtej planety przebiega w pobliżu Pernu? To jeszcze nie oznacza niebezpieczeństwa, choćby nawet przodkowie zapisali setki stron bzdurami o cyklicznych inwazjach.

Smoki zaś to kolejny dziwny eksperyment pierwszych osadników. Zmieniili latające stworzenia tak, by zastąpiły samoloty, którymi już nie można się było posługiwać. Chalkin widział ślizgacz, przechowywany jako eksponat w Hucie w Telgarze. Wolalby latać takim pojazdem niż na smoku, a poza tym nie trzeba byłoby znosić lodowatej pustki w czasie teleportacji. Zadygotał. Nienawidził tego przenikliwego zimna, nawet jeśli dzięki niemu unikało się nuzących podróży naziemnych. Na pewno z tych wszystkich danych, które ludzie muszą kopiować na Uniwersytecie, można bez trudu wyczytać, czym zastąpić paliwo, używane przez starożytnych do napędzania ślizgaczy. Dlaczego żaden mądrala na to nie wpadł, zanim ostatni ślizgacz rozsypał się na kawałki? Dlaczego jajogłowi nie wymyślili innych napowietrznych pojazdów? Takich, którym nie trzeba uprzejmie dziękować za to, że spełniają swoją funkcję! Spojrzał w dół, na szeroką drogę, gdzie rozstawiono stoły i stragany. Przy jego stoiskach było pusto: nawet zawodowi hazardzisci przyglądali się pokazom. Trzeba będzie później powiedzieć im coś do słuchu. Złe, że mimo smoczej parady nie potrafili zatrzymać klientów przy różnych grach losowych. Cała ta zabawa trwa już zresztą tak długo, że z pewnością wszyscy zdążyli się napatrzeć. No cóż, przynajmniej wycigi poszły nie najgorzej, a że bukmacherzy byli jego ludźmi, dostanie niezły procent od zakładów.

Wracając na miejsce spostrzegł, że na stołach pojawiły się butelki wina w kubelkach z lodem. Z zadowoleniem zatarł upierszcione palce, aż czarne istanskie diamenty zalsniły w promieniach słońca. Przybył na Zgromadzenie tylko dla tego wina, nie był zresztą do końca przekonany, czy Hegmon nie dopuścił się przy tej okazji jakiegoś drobnego oszustwa. Dzisiaj miał zaprezentować nowe musujące wino, w rodzaju szampana, jakie podobno pijano na starej Ziemi. Ach, naturalnie, jedzenie z pewnością będzie doskonałe, nawet jeśli wino nie spełni szumnych zapowiedzi. Paulin, Lord Warowni Fort, skłonił do pracy u siebie jednego z najlepszych szefów kuchni na kontynencie. Wieczorny posiłek zapowiada się wspaniale i na pewno nie będzie nieprzyjemnie ciężki w żołądku w czasie nudnego, obowiązkowego posiedzenia po uczcie. Chalkin sam chciał zatrudnić tego człowieka, ale Chrislee wzgardził pracą w Bitrze, a jego odmowa długo psuła humor Lordowi.

Przebiegł w myśli wszystkie możliwe wymówki, które pozwoliłyby mu odjechać zaraz po posiłku, szukając najbardziej prawdopodobnej i możliwej do przyjęcia przez pozostałych zebranych. Wszyscy twierdzą, że niedługo ma być Opad, więc lepiej nie zrażać do siebie niektórych ludzi. Gdyby zaś odjechał przed ucztą... cóż, wtedy nie spróbowałby tego szampanskiego wina, a bardzo mu na tym zależało. Zadał sobie niedawno trud i sam pojechał do winnicy Hegmona w Bendenie, nie kryjąc się z zamiarem zakupu wielu skrzynek. Hegmon nawet do niego nie wyszedł. Ach, jego najstarszy syn przepraszał gorąco, gdyż jakiś ważny moment w procesie fermentacji wymagał ciągłej obecności ojca w piwnicach - ale skończyło się na tym, że on, Chalkin, nawet nie zdołał umieścić swego nazwiska na liście chętnych do kupna musującego specjału. Ponieważ Weyr Benden z pewnością zagarnie lwia część rocznika, trzeba będzie utrzymywać dobre stosunki z tamtejszymi Przywódcami. Jeśli przypadkiem zaproszą go za kilka tygodni na Wyleg, będzie mógł opić się do

woli ich przydziałem. Wziera można obdziżyć ze skóry na wiele sposobów, nieprawdaż?

Zatrzymał się, by dotknąć butelki w kubelku z lodem. Doskonale schłodzona. Oczywiście, to jeźdźcy przywieźli Paulinowi lód z Dalekich Rubieży. Ciekawe, że kiedy on, Lord Warowni Bitra, potrzebował takiej prostej rzeczy, nie było chętnych, by go zadowolic. Hmm... No cóż, niektóre Rody zawsze są faworyzowane, a władza nie znaczy tyle, ile powinna, co do tego nie ma dwóch zdań!

Ukradkiem przypatrywał się naklejce na butelce, gdy nagle usłyszał, jak przestraszeni widzowie gwałtownie wciągają powietrze, by po chwili wydać radosny okrzyk. Spojrzawszy w górę, stwierdził, że przegapił kolejny niebezpieczny manewr... Ach, tak, jeszcze raz pokazali akcję ratowniczą w powietrzu. Spizowy smok wysunął się spod błękitnego, który symulował kontuzję skrzydła; obaj jeźdźcy siedzieli bezpiecznie na karku spizowego. To pewnie ten straceniec, Przywódca Weyru Telgar.

Do okrzyków dołączyły się brawa i głęboki ton bebnów orkiestry, oglądającej popisy z podium na szerokim dziedzińcu między schodami wiodącymi do głównego wejścia do Warowni, i dwoma przylegającymi do niej skrzydłami. Znowu rozbudowują szpital i Uniwersytet, sadząc po rusztowaniach. Chalkin prychnął pogardliwie, gdyż obydwa budynki wystawały daleko poza skalną ścianę, wystawione na ataki Nici, które jakoby miały wkrótce zacząć opadać. Ale oni wszyscy są niekonsekwentni. Naturalnie, drążenie tuneli w urwisku jest bardziej czasochłonne niż budowanie na wolnym powietrzu. Zbyt wielu ludzi jednak wygłasza tu kazania, a sami się do nich nie stosują.

Pomrukiwał pod nosem cierpkie słowa, ciekaw, czy Przywódca Weyru zaakceptował projekt przebudowy. Te całe Nici! Prychnął ponownie i pomyślał, że czas, by Paulin z żoną przestali słodko gruchać z Przywódcami Weyru, których kurtuazyjnie prowadzili na miejsce przy głównym stole, i pośpieszyli się nieco. Coraz bardziej niecierpliwił się, by wreszcie spróbować musującego białego wina.

Przebierając palcami po stole czekał, aż gospodarz da wreszcie hasło do otwarcia butelek, ułożonych kuszaco na lodzie.

-Następnym razem poczekaj na mój sygnał! - warknął K'vin, jeździec spizowego Charantha, prosto w ucho siedzącego przed nim młodego błękitnego jeźdźcy.

P'tero w odpowiedzi uśmiechnął się lobuzersko i odwrócił do niego. Niebieskie oczy młodzieńca Isnily wesóło.

-Wiedziałem, że mnie złapiesz! - zawołał. - Nigdy byś nie dopuścił, żebym przed taką publicznością zawisł na pasie i wydal jeden z sekretów Weyru!

P'tero uspokajająco pomachał do Ormontha, który, zaniepokojony, nie odstępował Charantha. Lecił tak blisko, że konce ich skrzydeł niemal stykały się ze sobą. Błękitny jeździec w dalszym ciągu był połączony ze swoim smokiem mocnymi, choć niewidocznymi z ziemi, pasami bezpieczeństwa. Odpisał sprzeczki i rzemienie zwisały swobodnie w powietrzu.

-Masz szczęście, że akurat wtedy spojrzałem w górę! - odpowiedział K'vin tak ostro, że bezczelny młodzieńiec zaczerwienił się po czubki uszu. - Patrz, jak twój Ormonth się wystraszył! - dodał i wskazał na błękitną bestię, której skóra Isnily nierównymi plamami po przeżytych szoku.

P'tero odkrzyknął coś niezrozumiale, więc K'vin pochylił się ku niemu, przysuwając ucho do jego ust.

-Nic mi nie groziło - powtórzył chłopak. - Miałem nowe rzemienie, a Ormonth przyglądał się, jak je spletałem!

-Ha!

Wszyscy smoczy jeźdźcy wiedzieli, że smoki nie zawsze potrafią prawidłowo połączyć przyczynę i skutek. Ormonth prawdopodobnie nie skojarzył, że nowe pasy oznaczają całkowite bezpieczeństwo jeźdźcy.

-Ach, dziękuję - dodał P'tero, gdy K'vin przypiął mu do pasa jeden z własnych rzemieni. Wprawdzie mieli tylko ładować, ale starszy jeździec chciał w ten sposób przypomnieć młodszemu o obowiązkach.

K'vin cenił odwagę, ale nie lubił ryzykanctwa, zwłaszcza teraz, gdy stanowiło to zagrożenie dla smoka w obliczu bezpośredniej bliskości Opadu. Trzymał jeźdźców krótko, ale dzięki temu w jego Weyrze do tej pory nie zginał jeszcze żaden smok ani jeździec. I dopilnuje, by tak było nadal.

P'tero, zsuwając się z grzbietu błękitnego smoka przed umowionym sygnałem, podjął niepotrzebne ryzyko. Na szczęście K'vin zauważył jego ruch. Serce podeszło mu do gardła, choć wiedział, że chłopak jest przypięty do swego smoka wyjątkowo mocnymi i długimi pasami. Nawet gdyby Charanth nie zdołał pochwycić spadającego jeźdźcy w powietrzu, długie pasy uratowałyby go przed śmiertelnym upadkiem. Mimo wszystko, manewr należało uznać za nieudany, gdyż był

nieprecyzyjny. Poza tym, gdyby Charanth okazał się nieco mniej zwinny, beztraska P'tera skończyłaby się pewnie złamaniem kostki albo poważnymi stłuczeniami. Pasy, choćby nie wiem jak szerokie, powstrzymywały upadek gwałtownym szarpnięciem.

P'tero w dalszym ciągu nie poczuwał się do winy. K'vin miał tylko nadzieję, że ćwiczenie wywołało efekt, na jaki liczył zakochany po uszy młokos. Komus w dole bez wątpienia serce uciekło w piety ze strachu, a chłopak tego wieczoru z pewnością obróci te emocje na swoją korzyść. Szkoda, że tak niewiele dziewcząt przybywa, by Naznacząc zielone smoczyce. Kobiety są spokojniejsze i bardziej odpowiedzialne. Niestety, rodzicom zwykle zależy na gromadzeniu przydziałów ziemi dzięki małżeństwu potomstwa, a jeźdźcom i jeźdźczyniom smoków nie przysługuje ziemia. Oto dlatego coraz mniej dziewcząt staje na piaskach Wylegarni. Smoki biorące udział w wielkiej paradzie lądowały na szerokiej drodze za dziedzińcem, by zsadzić jeźdźców, i zaraz potem startowały w niebo, szukając miejsc, gdzie mogły się rozkoszować ciepłym jesiennym słońcem. Wiele z nich kierowało się na skały, gdyż na pagórkach wokół ogniw słonecznych zrobił się już tłok. Można było zaufać smokom, że nie nadeptną na bezcenne resztki wielkich paneli. Naturalnie, te zainstalowane w Forcie były najstarsze i dwa z nich stracono bezpowrotnie zeszłej zimy, w czasie silnej zawieruchy, niezwykle dla tej pory roku. Tutejsza Warownia, największa i najstarsza z siedzib na Kontynencie Pomocnym, potrzebowała pełnej mocy wszystkich urządzeń, by ogrzewać i napowietrzać labirynt korytarzy i utrzymywać w gotowości wszelkiego rodzaju maszyny. Na szczęście w okresie, gdy gorączkowo przygotowywano do zamieszkania nowe Weyry i Warownie, skonstruowano tyle paneli, że z pewnością nie zabraknie ich jeszcze przez wiele pokoleń.

Przywódcy Weyrow zasiedli u szczytu głównego stołu, wraz z Lordami Warowni i Mistrzami rzemiosł, zaś jeźdźcy dobierali sobie towarzystwo wedle upodobania, sadowiac się przy stolikach rozstawionych na szerokim placu otaczającym Warownię. Wyrwano nawet najmniejsze trawki, pomyślał K'vin z aprobatą. S'nan, Przywódca Weyru Fort, zawsze był drobiazgowo dokładny, i słusznie.

Orkiestra zagrała zwawą melodie i na drewnianej estradzie zawirowały pierwsze pary. Obok, na brukowanym rynku, porzastawiano stragany, namioty i stoly, pełne towaru na sprzedaż i wymianę. Handel szedł dobrze przez cały dzień, szczególnie tam, gdzie zaopatrywano się w rzeczy potrzebne na długie zimowe miesiące, gdy nie będzie tylu Zgromadzeń. Rzemieślnicy się uciesza, a i smokom będzie łatwiej w drodze powrotnej.

Charanth krążył nad nowymi przybudówkami Warowni, w których mieścił się pernanski główny szpital i laboratorium oraz kolegium nauczycielskie. Nocowali tam również ochotnicy, którzy z oddaniem pracowali nad ratowaniem zniszczonych wiosną danych. Katastrofa zdarzyła się, gdy woda zalala przestronne jaskinie magazynowe pod Fortem. Jeźdźcy zaoferowali się, że poświęca tej pracy czas wolny od szkoleń. Przyjmowano każdego, kto potrafił czytelnie pisać, a Lord Paulin błyskawicznie zapewnił kopistom dach nad głową. Pozostałe Warownie dostarczyły budulec i robotników.

Skrzydło mieszczące Uniwersytet zabezpieczono przeciw Niciom stromymi dachami z lupkow wydobywanych w Telgarze i otoczono fosami uchodzącymi do podziemnych cystern, w których miały się topić zablakane tam Nici. Wszyscy rzemieślnicy, włącznie z tymi, którzy mieli zamieszkać w nowych budynkach, woleliby rozbudowywać system grot, ale niedawno zdarzyły się dwa poważne zawaly i w trosce o stabilność całego zbocza inżynierowie gornicy zabronili dalszych wiercen. Nawet zmutowane, teposkrzydłe, nielotne whery-stroje, cierpiące na wrodzony światłowstret, odmówiły dalszych prac pod ziemią, co zdaniem ich opiekunów oznaczało niebezpieczeństwo, niewyczuwalne ludzkimi zmysłami. Coż było robić, zaprojektowano budowle naziemne o potężnych ścianach, niemal trzymetrowej grubości na parterze, dwumetrowych na piętrze. Kopalnie rudy żelaza w Telgarze pracowały pełną parą, więc bez problemu odłano belki, zdolne wytrzymać tak wielki ciężar.

Budowa miała zostać ukończona za miesiąc. Nawet w takie święto na rusztowaniach wrzała praca, choć robotnicy zrobili sobie przerwę na obejrzenie napowietrznej parady i skończyli wcześniej, by nie ominęła ich wieczorna uczta i zabawa.

Charanth wylądował z wdziękiem, a Ormonth usiadł tuż za nim, by P'tero mógł zdjąć dyndające u siodła pasy bezpieczeństwa, zanim ktokolwiek je zauważy. Właśnie kończył, gdy M'leng, jeździec zielonego Sitha, podszedł i wymyślał go znacznie ostrzej, niż mogłoby to uczynić Władca Weyru.

-Przez twoje wysokie serce podeszło mi do gardła - zaczął. K'vin uśmiechnął się w myśli, widząc, jaki pokorny stał się P'tero słysząc te gwałtowne słowa. Przywódca zwinął pasy i umocował je przy siodle.

-Idź pogrzzać się na słońcu, przyjacielu - powiedział, klepiąc Charantha po szerokiej łopacie.

Już ide. Meranath na mnie czeka, odparł spizowy smok z wielkim zadowoleniem. Wyskoczył w górę jednym potężnym wybiciem, obsypując jeźdźca zwirem.

Stosunek Charantha do partnerki na polu bawil, na polu rozczulał jeźdźca. Nikt się nie spodziewał, że dziewięć miesięcy temu, po śmierci B'nera, przywództwo Weyru przypadnie w udziale K'vinowi. Kto mógł przypuszczać, że krzepki, ledwie

szeszedziesięcioletni jezdziec, moze miec klopoty z sercem? A to wlasnie, zdaniem lekarzy, stalo sie przyczyna jego smierci. Tak wiec, gdy Meranath ponownie weszla w okres godowy, Wladczyni Weyru Telgar Zulaya oswiadczyła, ze do nikogo nie zywi szczegolnego upodobania i oglosila otwarty lot, tak, by smoki mogly zdecydowac, kto zostanie kolejnym Przywodca. Byla szczerze przywiazana do B'nera i prawdopodobnie cierpiala z powodu jego smierci. Naturalnie, nie mogla narzekac na brak zalotnikow.

K'vin pozwolil Charanthowi wznieśc sie do lotu godowego tylko dlatego, ze spodziewano sie udzialu wszystkich przywocow skrzydel z Telgaru, a takze spizowych ze wszystkich Weyrow. Wcale nie pragnal kierowac Weyrem na poczatku Przejscia. Sadtzil, ze jest zbyt mlody na taka odpowiedzialnosc. Obserwujac B'nera doszedl do wniosku, ze zwykle obowiazki Przywodcy w czasie Przerwy sa wystarczajaco ciezkie, a przeciez w tym okresie Przywodcy Weyru wcale nie dreczy mysl o tym, ze wielu smoczyc braci zostanie wkrótce rannych, albo nawet zginie. Podczas Przejscia zbyt wiele ludzkich istnien zalezy od doswiadczenia dowodcy, a to stanowi ciezar nie do udzwigniecia. Po wyborze nieraz dreczyly go nocne koszmary, a przeciez Opady nawet sie nie zaczely. Gdy czasem budzil sie ze strasznych snow w lozku Zulayi, kobieta zawsze byla pelna zrozumienia i ze spokojem dodawala mu pewnosc siebie.

B'ner tez sie zamartwial, jesli cie to choc troche pocieszy, Kev - mawiala, uzywajac dawnego zdrobnienia i odgarniala mu kedziory ze spoconego czola, a on dygotal z przerazenia. - Tez miewal straszne sny. To zawodowe ryzyko. Zwykle po takiej koszarnej nocy przegladal notatki Seana. Pewnie znal je na pamiec. Zauwazyłam, ze robisz to samo. Kev, gdy nadejdzie bezposrednie zagrozenie, dasz sobie rade. Jestem tego pewna.

Ach, Zulaya potrafila byc taka przekonywajaca. Ale byla przeciez o dziesiec lat starsza i miala duzo wiecej doswiadczenia w kierowaniu Weyrem. Czasami jej intuicja budzila lek. Wladczyni potrafila przewidziec, ile kazda smoczyca zlozy jaj, jakiego beda koloru, a takze, jakiej plci dzieci urodza sie w Weyrze. Czasem przepowiadala takze pogode. Nic dziwnego, ze wiedziala niejedno, bo przeciez od urodzenia mieszkala wsrod smokow, a nadto w prostej linii pochodzila od jednej z pierwszych jezdzczyń, Aliany Zuleity. O dziwo, złote krolowe zwykle wybieraly kobiety spoza Weyru, czasem jednak sprzeciwialy sie tradycji i Naznaczaly mieszkankę smoczyc siedziby.

Mimo jej pewnosc, bezustannie przegladal opisy kolejnych Opadow, zupełnie jak jego poprzednik. Analizowal roznicę miedzy nimi, uczyl sie, jak poznac po skraju Opadu, czy bedzie on typowy, czy tez nie. Zazwyczaj zapisy byly suche i rzeczowe, lecz nawet w prozaicznych notatkach kryla sie opowiesc o wielkiej odwadze, szczegolnie gdy opisywaly, jak pierwsi jezdzczy musielisc nauczyc sie walki z Nicmi, a przeciez nie bylo im latwo, bo stanowiło to dla nich calkowita nowosc.

K'vin byl cioteczny praprawnukiem Sorki Connell, pierwszej Wladczyni Weyru. Zulaya nie raz mu o tym przypominala. Caly Weyr czepal nadzieje z tej wiedzy.

-Moze dlatego Meranath pozwolila sie pochwycic Charanthowi -powiedziala Zulaya powaznie, choc w jej oczach tanczyly chochliki.

-Czy ty... to znaczy... czy o mnie myslalas... no, wiesz... - K'vin z trudem szukal wlasciwych slow. Rozmowa odbyla sie dwa tygodnie po tamtym pamietnym locie. Zulaya odpowiedziala wtedy na jego pieszczoty z oszolamiajacym zarem, lecz pozniej traktowala go obojetnie i nie zawsze zapraszala na noc do swej kwatery, mimo ze oba smoki byly nierozlaczne.

-Slyszales, zeby ktos byl w stanie myslec w czasie lotu godowego? Ale naprawde ciesze sie, ze to Charanth okazal sie taki sprytny. Choc nie wiadomo, czy dziedzicznosc ma w tym przypadku jakiegokolwiek znaczenie, wszyscy czujemy sie pokrzepieni na duchu tym, ze Weyrowi Telgar przewodzi cioteczny praprawnuk pierwszej Wladczyni Weyru Fort, w dodatku pochodzacy z rodzczy, ktora wielokrotnie Naznaczala podczas Wylegow.

-Zulayo, nie jestem moja cioteczna praprababka., wiesz? Zachichotala.

-I cale szczescie, bo nie moglbys byc Przywodca Weyru, ale dobra krew zawsze sie odzywa w potomkach!

Choc bezposredniosc partnerki czesto zbijala go z tropu, w zaden sposob nie mogl odgadnac, co Zulaya czuje do niego osobiscie, jako kobieta, a nie wladczyni Weyru. Byla mila, pomocna, doradzala mu rozsadnie gdy rozmawiali o szkoleniu jezdzcow, ale zachowywala sie przy tym tak... bezosobowo. K'vin doszedl do wniosku, ze jego partnerka jeszcze nie pogodzila sie ze smiercia B'nera.

Sam czepal pewna pocieche z tego, ze jego cioteczna praprababka jakos przetrwala Opady, a zatem i jemu moze sie to udac. Podobnie jak dwojce rodzenstwa i czworce kuzynow, ktorzy rowniez dosiadali smokow. Ale zadne z nich nie bylo Przywodca Weyru... jak na razie. No coz, jesli jego jezdzczy czuli sie pewniej, wiedzac, ze w boj poprowadzi ich ktos z krwi Ruathy, jak przed nim Sorka, M'hall, M'dani, Sorana i Mairian, trzeba bedzie dodawac im sil tym argumentem w ciagu calego Przejscia.

A teraz, podczas tłumnego Zgromadzenia, najprawdopodobniej ostatniego przez następnych pięćdziesiąt lat pod niebem wolnym od Nici, obserwował jak jego Władczyni opuszcza Lordów z Telgaru i zbliża się ku niemu, przemierzając przestronny dziedziniec długimi krokami.

Zulaya była wysoka i długonoga, więc łatwo mogła dosiadać smoka. K'vin przewyższał ją o głowę. Twierdziła, że to jej się podoba; B'ner zaledwie dorównywał jej wzrostem. Jej uroda niezmiennie fascynowała młodego Przywódcę: czarne jak atrament kędziory uwolnione spod helmu, spływały aż do pasa i okalały szeroką twarz o wysokich kościach policzkowych, kontrastując ze smagłą, gładką cerą i ogromnymi, lśniącymi oczyma o odcieniu tak głębokiej szarości, że aż bliskiej czerni. Szerokie, zmysłowe usta i ostro zarysowany podbródek nadawały tej twarzy siłę i zdecydowanie, umacniając autorytet Władczyni. Szła śmiało, w odróżnieniu od niektórych kobiet z Warowni, potrafiących tylko dreptać. Podkute stała buty dzweczyły na bruku, a ramiona poruszały się zamaszycie. Zdażyła nałożyć na jezdziecki mundur długą, rozciętą z boku spodnicę, która rozchyłała się w rytm kroków, ukazując kształt nóg w skorzniach i wysokich jezdzieckich butach. Opuszczała cholewy do kostek, a rude futro ładnie kontrastowało z resztą stroju, harmonizując z wykonaniem mankietów i rozchylonego kołnierza. Jak zwykle miała na szyi zdobiony wisior z szafirem, który odziedziczyła jako najstarsza kobieta ze swego Rodu.

-Jak tam, czy P'tero zdobył na wieki serce M'lenga ta wasza sztuczka? - spytała zirytowanym głosem. - Spojrz, poszli razem - dodała, spoglądając w stronę obu jeźdźców, kierujących się do prowizorycznych namiotów mieszczących rząd prycz.

-Mogłabys z nimi później porozmawiać. Boja się Ciebie - odpowiedział z uśmiechem.

-I mają rację. Już ja się z nimi policzę za takie głupie zachowanie - rzekła z wawo i podskoczyła, dopasowując się do jego długich kroków. - Najwyższy czas, byś się nauczył spoglądać karcaco na swoich ludzi. - Popatrzyła na K'vina, potrząsnęła głową i westchnęła smutno. Od dawna dokuczala mu, że jest zbyt przystojny. Rude włosy Hanrahanów, błękitne oczy i pięgi nie budziły w ludziach respektu. - Nie, twoja twarz się do tego nie nadaje. Najlepiej będzie, jeśli Meranath skarci Sitha za to, że błękitny smok naraził się na niebezpieczeństwo.

-Tak jest, najlepiej trafić w najwrażliwsze miejsce - przytaknął K'vin wiedząc, że Meranath potrafi utrzymać dyscyplinę wśród smoków znacznie lepiej niż ktokolwiek z ludzi, włączając w to ich własnych jeźdźców. - To był niewiarygodnie głupi wybryk.

-Natomiast wszyscy Telgarczycy uznali, że to wspaniały popis - wygłosiła afektowanym tonem i odchrząknęła. - Tym bardziej że nigdy nie zobaczą tego manewru w czasie prawdziwej akcji. - Mówiąc to skrzywiła się z pogardą.

-Ach, przynajmniej Telgarczycy w nas wierzą - westchnął. - A kto nie wierzy?

-Chociażby Chalkin.

-Ach, on! - Jej zdaniem Lord Warowni Bitra był nic niewart i nigdy nie kryła się z tym osadem.

-Iż pewnością nie jest jedyny, bo ostatnio spotykamy się z coraz większą niezyczliwością.

-Teraz? Gdy Pierwszy Opad ma nastąpić już za kilka miesięcy? - zdenerwowała się Zulaya. - Powiedz mi zatem, miły panie, po co w ogóle są smoki, jeśli nie potrzebujemy ich do napowietrznej obrony całego kontynentu? Ach, naturalnie, jesteśmy dobrymi przewoźnikami, ale to jeszcze nie usprawiedliwia naszego istnienia.

-Spokojnie, droga pani. Usiłujesz nawrócić nawróconego. Zamruczała z niesmakiem. Właśnie wchodzili na schody wiodące na

Wysoki Dziedziniec. Wziela go pod rękę, by zgromadzeni ujrzeni przykładowa, związana uczuciowo parę Przywódców Weyru. K'vin zdusił westchnienie, zadowolony, że to tylko poza na użytek ewentualnych obserwatorów.

-Chalkin już się opija nowym winem Hegmona - zirytowała się Zulaya.

-A jak myślisz, po co tu w ogóle przyjechał? - spytał jej partner, zrecznie lawirując, by ominąć Bitranczyka, który młaskał wargami i chciwie, wpatrywał się w kieliszek. - Choc, prawdę mówiąc, gracie także mieli dziś sporo możliwości zarobku.

-Jedno jest pewne. Słyszałam, że nie ma go na liście Hegmona - powiedział, gdy zatrzymali się przy stole, gdzie wybrali sobie miejsce władcy Telgaru, Weyru i Warowni Dalekich Rubieży a także Lordowie Tilleku. Do nich dosiedli się jeszcze pierwszy kapitan floty rybackiej Tilleku wraz z nowo poślubioną młodszą żoną.

-Wspaniały pokaz - gratulował jowialny wilk morski, Kizan. - Prawda, Cherry, kochanie?

-Och, tak, naprawdę wspaniały. - Dziewczyna klasnęła w ręce afektowanym gestem. Widac było jednak, że czuje się oszłomiona towarzystwem, w jakim wypadło jej przebywać na tym Zgromadzeniu i wszyscy starali się ją osmielić. Kizan powiadomił ich na stronie, że jego żona pochodzi z małej nadmorskiej Warowni i choć jest niezrównana żeglarka, niewiele ma światowego obycia. - Często obserwowałam smoki na niebie, ale żadnego nie widziałam z bliska. Są takie piękne.

-Nie jeździłaś jeszcze na smoku? - spytała uprzejmie Zulaya.

-Ach, skądże znowu. - Cherry skromnie spuściła oczy.

-To się może wkrótce zmienić - zauważył jej mąż. - Przybyliśmy na Zgromadzenie drogą lądową, ale powinniśmy chyba sprawdzić, czy nam coś przypadkiem nie przysługuje...

-Ależ oczywiście, kapitanie - odparł natychmiast G'don, Przywódca Weyru Dalekich Rubieży. - Nie wykorzystujecie nawet połowy lotów, do których macie prawo.

Mari, jeźdźczyni królowej, przytaknęła i uśmiechnęła się zachęcająco na widok przerażonej miny Cherry.

-Coż widzę? - dokuczał żonie Kizan. - Kobieta, która potrafi bez jednej skargi wytrzymać na zagłowcu sztorm o mocy dziesięciu stopni, niepokoi się na myśl o podróży na smoku?

Cherry chciała się odciąć, ale nie potrafiła znaleźć słów.

-Nie ma z czego się śmiać - łagodziła Mari. - Lot na smoku bardzo różni się od żeglowania własnym statkiem, ale mało kto odmówiłby sobie przejazdu.

-Ach, ja wcale nie odmawiam - żarliwie odpowiedziała dziewczyna. Jak dziecko, które boi się, że odbiora mu obiecane zabawki - pomyślał.

K'vin, z trudem ukrywając uśmiech.

-Dajcie jej wreszcie spokój - skarciła wszystkich Salda, Pani na Telgarze. - Pamiętam, jak sama pierwszy raz leciałam na smoku...

-Nie do wiary, to było przecież tak dawno - wtracił jej mąż, Lord Tashvi. - Za to nie pamiętasz, gdzie wsadziłaś ten stos dodatkowych koców...

-Tylko nie zaczynaj od nowa! - zmarszczyła brwi Salda, ale wszyscy przy stole, włącznie z młodą Cherry, doskonale wiedzieli, że Władcy Telgaru często toczą takie słowne pojedynki.

-Jeszcze nie odkorkowaliście wina? - spytał niecierpliwie ktoś z tyłu. Odwrócili się i ujrzeli winiarza Hegmona, niewysokiego, mocno zbudowanego mężczyźnię o siwych włosach, zaczerwienionej twarzy i wisniowym nosie, który w żartach zawsze określał jako chorego zawodowca.

-Zrób nam ten zaszczyt. - Tashvi wskazał na schłodzone butelki. Hegmon chętnie się zgodził i wkrótce w jego doświadczonych rękach korek smignął z szyjki z głośnym puknięciem. Wino speniło się nieco, ale mistrz predko podstawił kieliszek i nie uronił ani jednej kropli.

-Tym razem nam się udało - stwierdził, napełniając podsuwane po kolei kieliszki.

-Wygląda bardzo atrakcyjnie, nieprawdaz? - Salda uniosła kieliszek i przyglądała się wedrującym w górę bąbelkom.

Thea, Pani Warowni Dalekich Rubieży poszła w jej ślady, a potem powachała płyn.

-Ach, na honor, te bąbelki laskoczą - stwierdziła i zasłoniła nos dłonią w sam czas, by ukryć kichnięcie.

-Spróbujcie wreszcie tego wina - domagał się Hegmon.

-Mmm - zachwycił się Tashvi, a głos Kizana odpowiedział mu jak echo.

-W dodatku jest wytrawne - pochwalił kapitan. - Spróbuj, Cherry, wcale nie przypomina w smaku win z Tilleku, które najczęściej bywają kwaśne i ostre.

-Ach, ach - w głosie Cherry brzmiał czysty zachwyt. - Jest takie dobre!

Hegmon usmiechnal sie na te szczerosc i z dumą przyjmował pochwalne kiwniecie glowa od pozostałych biesiadników.

-Mnie również smakuje - przytaknęła Zulaya, pociągawszy łyk. - Bardzo przyjemne.

-Słuchaj Hegmon, może byś mi dołączył - przy stole pojawił się Chalkin, wyciągając kieliszek ku butelce w rękach winiarza.

Hegmon unosił szyjkę i rzucił Chalkinowi chłodne spojrzenie.

-Przy twoim stole jest dość wina.

-To prawda, ale chciałbym poprobować z różnych butelek. Hegmon zesztywniał, a Salda załagodziła sytuację.

-Daj spokój, Chalkinie. Przecież Hegmon nikogo nie poczęstowałby winem gorszej jakości - powiedziała i odprawiła go machnięciem ręki.

Natępny Lord nie wiedział, czy zmarszczyć brwi, czy się usmiechnąć, a w końcu z kamienną twarzą sklonił się i odszedł od stołu z pustym kieliszkiem. Nie wrócił jednak na swoje miejsce, lecz dołączył do sąsiedniej grupy gości, również nalewających wino.

-Ach, mogłbym mu... - zaczął Hegmon.

-Po prostu nie посыłaj mu wina, przyjacielu.

-Już mi zaczął zwracać głowę o sadzonki, żeby mógł wyhodować własną winorośl - oznajmił gniewnie winiarz, oburzony bezczelnością. - I tak by mu zresztą nic z tego nie wyszło, podobnie jak z wszystkich wcześniejszych planów.

-Nie zwracaj na niego uwagi. - Zulaya strzeliła palcami, podkreślając swe słowa. - Tak jak M'shall i Irena. To taki gbur.

-Niestety, udało mu się znaleźć popieczników - skrzywił się Tashvi.

-Policzymy się z nim na naradzie - obiecał K'vin.

-Mam nadzieję, chociaż tego rodzaju ludzi z trudem daje się przekonać do czegoś wbrew ich woli. A on naprawdę gromadzi stronników.

-Nie takich, którzy mają jakiegokolwiek znaczenie - wtraciła Zulaya.

-Mam nadzieję. Ach, oto jedzenie, by nieco zakąsić po tym cudownym napitku, zanim całkiem zacmi nam zdrowy rozsadek na czas obrad.

-Wypadło zaledwie po dwa kieliszki na osobę - Zulaya wskazała butelki - więc nie grozi nam zamroczenie, choć to doskonały alkohol - tu pociągnęła odrobine. - Hegmon jest szczodry, lecz nie przesadza z hojnością. A oto posiłek...

Usiadła wygodnie, obserwując jak liczna grupa mężczyzn i kobiet w barwach Fortu roznosi parujące polmiski i butelki czerwonego wina.

-Nie jestem pewien co do tego zamroczenia, Zuli - stwierdził z uśmiechem K'vin, nakładając jej płyty pieczeni z polmiska, który potem podał sąsiadowi.

Właśnie skończyli posiłek i wypili całe wino, gdy Paulin wstał od stołu, zapraszając gości zebranych na wewnętrznym dziedzińcu, by udali się jego śladem na Rade. Na placu tańce rozpoczęły się na dobre, a radosna muzyka towarzyszyła Lordom aż do sali.

K'vin miał nadzieję, że muzyka nie ucichnie przed koncem Rady. Zulaya, choć tak wysoka, była niezwykle lekka w tańcu, a w dodatku najchętniej bawiła się w jego towarzystwie, właśnie ze względu na wzrost. Poza tym parom przygrywała orkiestra zawodowych muzyków, o wiele lepsza od niewykształconych, choć entuzjastycznych grajków w Weyrze. No i była to zupełnie inna muzyka.

-Zobacz, jak pięknie odnowili freski - zachwyciła się Zulaya, gdy weszli do Wielkiej Sali.

-Mhm - zgodził się K'vin. Zwolnił, rozglądając się na wszystkie strony i wszedł w drogę Chalkinowi. - Och, przepraszam.

-Hm - usłyszał w odpowiedzi. Władca Bitry obrzucił Zulayę kwaśnym spojrzeniem i przeszedł mimo, starając się nie otrzec o nich szatami.

-Nie warto sie przejmowac. - K'vin wolal uspokoic partnerke, obawiajac sie, ze posle jakas cieta uwage w slad za odchodzacych.

-Chcialabym byc w Bitrze, gdy dosiegnie ich pierwszy Opad -mruknela.

-Jego szczescie, ze nie podlega nam, lecz Bendenowi, prawda? - odparl z ironia.

-Prawda - zgodzila sie i pozwolila sie poprowadzic na miejsce, gdzie przy wielkim konferencyjnym stole zwykle zasiadali Przywodcy Weyru Telgar. - Chyba przez ostatni tydzien nikt nawet oka nie zmrzyl w tej Warowni - skomentowala, gladzac flage z herbem Telgaru, ktora okrywala blat przed ich krzeslami. - Jak to slicznie wyglada - szepnela, odsuwajac krzeslo, rowniez ozdobione rysunkiem czarnych ziaren na bialym polu.

Stol skladal sie z mniejszych, spojonych ze soba stolikow, tworzacych okrag o poscinanych bokach. Wladcy Weyru i Warowni Telgar siedzieli pomiedzy Dalekimi Rubiezami a Tillekiem, gdyz wszystkie trzy posiadlosci lezaly w polnocnych regionach. Naprzeciw nich posadzono Wladcow Isty i Keroonu, ktorzy herby pysznily sie slonecznymi barwami. Weyr Benden z Bitra znajdowal sie z jednej strony, a Nerat z Warownia Benden po drugiej. Na spotkanie zaproszono takze Glownego Inzyniera, Naczelnego Medyka i Rektora Uniwersytetu. U szczytu stolu zasiadali Wladcy Fortu, najstarszej siedziby, majac u boku Panow Ruathy i Poludniowego Bollu. Tym razem oni mieli przewodniczyc obradom.

-No coz, jesli doskonale nowe wino Hegmona nie do konca wszystkim zawrocilo w glowie, postarajmy sie szybko zakonczyc obrady, zeby jeszcze zdazyc na tance.

Chalkin zaczal walic w stol przed soba i ryczec na cale gardlo: - Racja! Racja!

K'vin zdusil ponury jek.

Lord byl na poly, jesli nie calkiem pijany, a twarz nabiegla mu purpura.

-Jestem pewien, ze wszyscy zdajemy sobie sprawe ze zblizajacego sie niebezpieczenstwa Opadu.

Chalkin chrzaknal grubiansko.

-Posluchaj, Lordzie Chalkinie - Paulin groznie spojrzal na odszczepienca - jesli zanadto opiles sie szampanem, mozesz opuscic Rade.

-Nie, on tego wlasnie pragnie - ostrzegl natychmiast M'shall, Przywodca Weyru Benden. - Wtedy bedzie mogl twierdzic, ze wszystkie postanowienia zapadly dzis za jego plecami.

-Jesli nie zamilknie, zawsze mozemy wsadzić mu glowe pod zimna wode, az oprzytomnieje na tyle, by przypomniec sobie o zwykłej grzeczności - wtracila Irena, jezdzczyni bendenskiej krolowej. - Przemoczy sobie najlepsze ubranie, a tego to on nie lubi - wyraz jej twarzy sugerowal, ze wie o tym z doswiadczenia.

-Chalkin! - wykrzyknal Paulin twardym jak stal glosem.

-No dobrze, juz dobrze - odpowiedzial Bitranczyk urazonym tonem i rozsiadl sie wygodnie na krzesle, opierajac sie lokciami o blat stolu. - Jesli zamierzacie zachowywac sie w ten sposob...

-Wylacznie dlatego, ze nas prowokujesz - warknela Irena. Paulin rzucil jej karcace spojrzenie, wiec zamilkla, choc przez dluzszy czas wpatrywala sie w Chalkina zmruzonymi oczyma.

-Trzy niezalezne zespolo dokonywaly obliczen, z ktorych jasno wynika, ze Czerwona Planeta jest coraz blizej... naturalnie, biorac pod uwage kosmiczne odleglosci.

-Czy istnieje mozliwosc zderzenia? - spytal Jamson z Dalekich Rubiezy.

-Do pioruna, Jamsonie, nie poruszajmy teraz tego tematu - zdenerwowal sie Paulin.

-A dlaczego nie? - Chalkin wyraznie poweselal.

-Bo dyskusji na temat tej dalece nieprawdopodobnej ewentualnosci mamy juz po dziurki w nosie - odparl Paulin. - Z danych, ktore zebrali nasi przodkowie wynika, ze nie ma nawet cienia mozliwosci, by doszlo do zderzenia planet. W ogole nie brali pod uwage tej... ewentualnosci.

-No tak, ale czy gdzies jest wyraznie napisane, ze to niemozliwe? - Chalkina wyraznie radowala wizja katastrofy.

-To absolutnie niemożliwe - odpowiedział Paulin jednocześnie z Clisserem, który nie tylko był Rektorem Uniwersytetu, lecz także najbardziej doświadczonym członkiem zespołu astronomów. Paulin poprosił go gestem o rozwinięcie tematu.

-Kapitanowie Keroon i Tillek - na moment przerwał z szacunkiem - opracowali raport zarejestrowany przez SIWSP-a, który zawiera dane z badań przeprowadzonych na "Yokohamie". Ja sam wielokrotnie sprawdzałem odpowiednie równania, z których wynika, że wędrowną planetę przejdzie obok Pernu po orbicie eliptycznej i nie będzie najmniejszego powodu, by weszła na kurs kolizyjny. To kwestia mechaniki niebieskiej i przyciągania grawitacyjnego Rukbatu. Gdybym wiedział wcześniej, mogłbym przynieść wykres odpowiednich orbit - tu popatrzył na Chalkina z wielkim niesmakiem.

-Mają ci, że Gwiazda zrzuci nam tu Nici, Chalkin? Naprawdę chciałbyś, żeby nas roztrzaskała na kawaleczki? - spytał Kalvi, szef zespołu inżynieryjnego. - Też przeliczałem wszystkie równania i zgadzam się z Clisserem i resztą matematyków. Dlaczego sam nie sprawdzisz, jeśli ci to tak niepokoi?

Chalkin zignorował przytyk; wszyscy wiedzieli, że nie wślwił się dokonaniem w żadnej dziedzinie nauk. Zresztą był zadowolony z reakcji na rzucaną mimochodem uwagę. Niezależnie od tego, co się mówi, nikt nie ma ostatecznego dowodu na to, że Pern jest bezwzględnie bezpieczny.

-Z wyliczeń wynika, że pierwszy Opad Nici tego Przejścia nastąpi wczesną wiosną. W pierwszym okresie spodziewamy się kilku inwazji żywych zarodników, w zależności od warunków pogodowych, a szczególnie temperatury otoczenia w momencie samego Opadu. - Paulin sięgnął pod stół i wyciągnął tablicę, na której starannie wyznaczono obszary zagrożone Opadami. S'nan odchrząknął i poruszył się niespokojnie, jakby obawiał się, że Paulin pozbawi Weyr należnego mu przywileju.

-Pierwsze dwa Opady zaatakują rejony znajdujące się pod ochroną Weyru Fort, następne dwa - obszar patrolowany przez Dalekie Rubieże, a kolejne dwa przypadną Bendenowi. Spodziewamy się ich w okresie pierwszych dwóch tygodni, w odstępie trzech dni. Drugi Opad na terytorium Fortu i pierwszy w Dalekich Rubieżach wypadną tego samego dnia, gdyż będą to dwie różne części tego samego dużego Opadu. Z kronik wiemy także, że żywe zarodniki będą opadać na Kontynent Południowy mniej więcej o tydzień wcześniej niż u nas na Pomocy. S'nanie -Paulin zwrócił się do Przywódcy Weyru Fort - czy możemy prosić cię o sprawozdanie o wynikach prac?

S'nan powstał i unosił w górę nieodstępną tablicę. Plotkowano, że niegdyś należała do samego Seana Connella. Jezdziec spoglądał na nią przez chwilę. Ten najstarszy Przywódca głównego Weyru na Pernie przypominał swego pra...pradziada, choć przyproszone siwizna włosy były raczej płowe, niż rude. Poza tym, K'vinowi wydawało się zawsze, że Sean Connell nie mógł być aż takim służbistą, nawet jeśli to on ustanowił prawa, których przestrzegano w Weyrach. Większość jego zaleceń była po prostu zdroworozsądkowa, choć S'nan wypełniał je z takim zapalem, jakby chciał je sparodiować.

-Pierwszy Opad- rozpoczął jezdziec z dumą - rozpocznie się nad morzem na wschód od Warowni Fort, dotrze na brzeg u ujścia rzeki, przejdzie ukosnie nad półwyspem i przeniesie się nad morze na zachód. Kolejne dwa Opady, w trzy dni później, ogarną południowy kraniec Południowego Bollu - tu czubkiem ryłca dotknął mapy Paulina, robiąc przy tym pełen wyższości grymas. - Ten drugi być może skieruje się daleko na południe i wcale nie trafi w ląd, a w najgorszym razie zagrozi mu tylko przez krótką chwilę, następnie przeniesie się nad zachodni kraniec Dalekich Rubieży i ponownie powedruje nad morze. Tak czy owak, będzie nad stałym lądem jedynie przez moment. Trzeci Opad rozpocznie się nad południowym wybrzeżem półwyspu Tillek, po wschodniej stronie Warowni i także wpadnie w morze, zagrażając lądowi tylko przez krótki czas.

-Innymi słowy, Nici pozwoli nam się wprawdzie wdrożyć do walki? - spytał B'nurrin z Igenu.

-To nie miejsce na niepoważne komentarze - skarcił go S'nan, ale reprimenda nie odniosła zamierzonego skutku, gdyż młody, czupurny Przywódca dostrzegł uśmiechy na zbyt wielu twarzach. S'nan odchrząknął i powrócił do tematu. - Następne dwa Opady będą najbardziej niebezpieczne dla niedoświadczonych skrzydeł - tu rzucił ponure spojrzenie B'nurrinowi i ponownie wskazał na mapę. - Pierwszy rozpocznie się nad morzem na wschodzie i zagrozi Weyrowi Benden i Warowni Bitra, a skończy się prawie nad samym Weyrem Igen. W normalnej sytuacji będą go zwalczać wspólnie Weyry Benden i Igen. Drugi rozpocznie się na północnym krancu Neratu, przetnie go, dotrze nad wschodnie wybrzeże Keroonu i do Isty oraz południowej części Keroonu...

-S'nanie, przecież doskonale wiemy, gdzie kto ma walczyć z Opadem - przerwał mu M'shall.

-Naturalnie - S'nan ponownie odchrząknął. - Jednakże - powiodł spojrzeniem po Lordach Warowni usadowionych wokół stołu - na ostatnim spotkaniu Przywódców Weyrow postanowiono, że każdy Weyr na początku wystawi do walki po dwa skrzydła, gdyż walka z Opadami jest dla nas nowym doświadczeniem. W ten sposób Weyry zdobędą doświadczenie z pierwszej reki.

-W dalszym ciągu uważam, że doświadczenie najłatwiej byłoby zdobyć zwalczając te pierwsze południowe Opady - zaczął B'nurrin. - Przynajmniej, jeśli smoki chybia, Nici nikomu nie spadną na głowy ani nie zniszcza pol.

-B'nurrinie! - srogo wykrzyknął M'shall, zanim zaskoczony S'nan zdążył otworzyć usta.

K'vin osobście był przekonany, że B'nurrin wpadł na dobry pomysł i popierał młodego Przywódcę, ale zakrzyczeli ich starsi dowódcy. K'vin podejrzewał, że gdyby po cichu zabrał kilka skrzydeł na południe, na spotkanie pierwszego Opadu, pewnie spotkałby tam B'nurrina na ćwiczeniach.

-Moim zdaniem to dobry pomysł - bronił się Istanńczyk, wzruszając ramionami.

S'nan wykladał dalej, jakby nikt mu przed chwilą nie przerwał.

-Zgodnie z praktyką przyjętą w czasie Pierwszego Przejścia, Lordowie Warowni wystawia odpowiednie załogi naziemne i skierują je do walki zgodnie z zaleceniami Przywódców Weyrow, a w tym przypadku Przywódcy M'shalla - lekko pochylił głowę w stronę spizowego jeźdźcy z Bendenu. - Mistrz Kalvi - tu uprzejmie sklonił się naczelnemu inżynierowi - zapewnił mnie, że jego huta wyprodukowała wystarczającą ilość cylindrow na kwas azotowy, by wyposażyc załogi naziemne, lecz sam kwas należy przygotować na miejscu. Podobnie, jak przy Pierwszym Przejściu, zespół inżynierów dostarczy robotników i materiałów, traktując to jako obowiązek wobec społeczności. Do końca roku każdy dostanie przydział pojemników.

S'nan, jak zwykle posługujący się precyzyjnym słownictwem, wzgardził neologizmem "Obrot", ukutym przez młodsze pokolenie na oznaczenie "roku".

Kalvi powstał z miejsca.

-W każdej większej Warowni przeprowadzimy trzydniowe szkolenie w obsłudze i naprawie miotaczy płomieni oraz ćwiczenia praktyczne, które jak sądzę, będą równie wszechstronne, co atrakcyjne - przestąpił z nogi na nogę i mówił dalej, lecz S'nan gestem nakazał mu usiąść.

Inżynier prychnął gniewnie, skrzywił się, ale usłuchał. Przywódca Weyru popatrzył na Corey.

-O ile się nie mylę, wy również planujecie trzydniowe szkolenia, by poinstruować pracowników Warowni na nadrzędnych i podrzędnych stanowiskach, jak należy opatrywać pobruzdzenia i poważniejsze... hm... obrażenia zadane przez Nici.

Corey kiwnęła głową nie wstając z miejsca.

-Lordowie Warowni muszą dołączyć do każdej grupy naziemnej lekarza albo przeszkolic jedną osobę w zakresie pierwszej pomocy, oraz dostarczyć zestawy zawierające mrocznik, sok fellisowy i inne środki pierwszej pomocy. - Ponadto - przewrócił do tyłu kartkę notesu - dokonałem inspekcji wszystkich weyrow pod kątem zbliżającego się opadu i oceniam, że dysponują pełną siłą bojową oraz wystarczającą liczbą kadetów, którzy będą dostarczać skrzydłom fosfine w czasie walki. Przedyskutowałem z Przywódcami wszelkie aspekty taktyki powietrznej oraz zarządzania Weyrem...

K'vin poprawił się na krześle, przypomniał sobie drobniawą inspekcję, jaką S'nan i Sarai przeprowadzili w jego jaskiniach; sprawdzili nawet przetwornie odpadów! W tym momencie zauważył, że G'don, najstarszy z Przywódców, również drgnął niespokojnie i wywnioskował, że para jeźdźców z Fortu nikogo nie oszczędziła w swym nadgorliwym dążeniu do perfekcji. No cóż, rzeczywiście zbliżało się Przejście, więc Przywódcy Weyrow słusznie wymagali od smoczycy jeźdźców doskonałego opanowania rzemiosła i pełnej gotowości. Inspektorzy nie dopatrzyli się żadnych błędów w hodowli smoków w Telgarze; przez ostatnie trzy lata tutejsze królowe znosiły najwięcej jaj ze wszystkich Weyrow, instynktownie przygotowując się do nadchodzących trudów. K'vin żywił nadzieję, że tym razem Meranath zniesie więcej jaj, niż w związku z Miginthem B'nera; może wtedy Zulaya będzie dla niego serdeczniejsza... Dwie młodsze królowe też pracowniczo zapelniały gniazda, dostarczając pożytecznych zielonych i błękitnych smoczków. Już wkrótce Weyr Telgar osiągnie pełną liczebność! Może nawet będą musieli przenieść część mieszkańców do innych Weyrow, ale z decyzją można poczekać na doroczny przegląd.

-I, podsumowując, stwierdzam, że obecnie jesteśmy w pełnej gotowości.

-O wiele lepiej przygotowani, niż Pierwsi Jeźdźcy - skomentował sucho G'don.

-To prawda - dodała Irena z Bendenu.

K'vin tylko się usmiechnął tytułem komentarza. Nieoczekiwanie poczuł w brzuchu chłód i kulke niepokoju, która powędrowała do gardła. Skarcił się w myśli. Pochodził z Rodu Pierwszych Jeźdźców, który dał Weyrom wiele swych córek i

synow.

I dosiadasz mego grzbietu, dodal Charanth stanowczym tonem. Bede wspaniale walczyli. Nici uciekna na sam widok mego plomienia.

Nie byly to czcze przechwalki, gdyz Charanth rzeczywiscie pobil rekord Weyru w dlugosci plomienia.

Razem wyjdziemy na spotkanie Nici, nie bedziesz sam. Ja bede z toba i zwyciezimy.

Dzieki, Charrie.

Nie ma za co, Kev.

-Oho, poznaje po twoich oczach, co sie dzieje - szepnela mu Zulaya do ucha. - Co Charanth myśli o tym wszystkim?

-Nie moze sie doczekac - szepnal w odpowiedzi i usmiechnal sie. Charanth slusnie przypomniat mu, ze nie poleci sam. Beda razem, jak zawsze od chwili, gdy spizowy smok Wyklul sie ze skorupy i podreptal prosto do czternastoletniego wowczas K'vina Hanrahana, ktory czekal na goracych piaskach Wylegarni. Wtedy chlopiec uswiadomil sobie, ze cale jego zycie zmierzalo ku jedynej w swoim rodzaju chwili, gdy nastapilo Naznaczenie. Wczesniej obserwowal, jak Naznacza jego najstarszy brat, najstarsza siostra i troje kuzynow. Od chwili, gdy go Odszukano, czesc jego istoty, z zapalem typowym dla nastolatka, byla swiecie przekonana, ze Naznaczy, zas pesymistyczna strona jego natury przekornie podpowiadala, ze zostanie sam na goracych piaskach i nie przezyje takiego upokorzenia.

-Podsumowujac - oswiadczył S'nan - zapewniam zebranych, ze Weyry sa w pelnej gotowosci.

Po tych slowach usiadl. Rozlegly sie brawa.

-Mam nadzieje, ze Warownie takze sa przygotowane? - bylo to raczej pytanie niz stwierdzenie, gdyz uniosl brwi i popatrzył na Lorda Warowni Fort, oczekujac odpowiedzi.

Paulin znowu wstal, przekladajac kartki, az znalazl wlasciwa, po czym odchrzaknal.

-Otrzymałem oswiadczenia o gotowosci bojowej ze wszystkich wiekszych Warowni oprócz dwoch - tu spojrzal na Franco, Lorda Neratu, i ruchem glowy wskazal Chalkina. - Wiem, ze dostaliscie formularze...

Wysoki, szczuply, opalony Neratczyk uniosl glowe:

-Mowilem ci, Paulinie, jakie mamy problemy z roslinnoscia. W dalszym ciagu staramy sie utrzymac ja pod kontrola... - skrzywil sie na sama mysl. - Nie jest to latwe przy tak pieknej pogodzie i zakazie uzywania chemicznych srodkow chwastobojczych. Zapewniam was jednak, ze nie ustajemy w naszych staraniach. Poza tym, mamy awaryjne okrywy dla szkolek i wystarczajace zapasy zdrowych nasion, by rozpoczac sadzenie, gdy tylko stanie sie to mozliwe. W dalszym ciagu prowadzimy badania nad miniaturowymi roslinami do hodowli domowej. Wszyscy pomniejsi dzierzawcy sa w pelni swiadomi problemu i przestrzegaja naszych zalecen. Wszyscy chca takze wziac udzial w szkoleniu zalog naziemnych.

Paulin zanotowal jego odpowiedzi i kiwnal glowa. - Agronomowie dalej pracuja nad przyhamowaniem rozwoju tropikalnych chwastow w twoim regionie, Fran.

-Mam nadzieje. Zielsko wyrasta nawet na golym piachu, bez zadnych zabiegow.

Paulin zwrocil sie do Chalkina, ktory z wielce znudzona mina polerowal swoje pierscionki.

-Lordzie Warowni Bitra, nie otrzymałem od ciebie zadnych informacji - powiedzial.

-Ach, mamy jeszcze tyle czasu...

-Chalkin, miales na dzis dostarczyc sprawozdanie. - Paulin nie dal sie zwiesc.

Bitranczyk wzruszyl ramionami.

-Mozecie sie wszyscy w to bawic, jesli chcecie, ale ja nie wierze, ze Nici zacznat opadac na wiosne. Dlaczego mam bez potrzeby mieszac ludziom w glowach...

Przerwal mu gwałtowne okrzyki protestu ze wszystkich stron.

-Sluchaj no, Chalkin...

-Uspokoj sie troche, do cholery...

-Uwazaj, kogo krytykujesz... - Bastom, urazony, skoczyl na rowne nogi.

Chalkin wskazal grubym, upierscienionym paluchem Lorda Tilleku.

-Warownie sa niezalezne, prawda? I jest to zagwarantowane w Karcie? - gwaltownie zaatakowal Paulina.

-W czasach spokoju, tak - odparl Paulin, starajac sie uciszyc zgromadzonych machnieciami dloni. Musial mowic podniesionym glosem, by nie zagluszaly go gniewne uwagi i protesty. - Ale gdy...

-Gdy nadejda te wasze Nici, co? Ciagle o tym mowicie, ale nie macie dowodow - Chalkin usmiechal sie z satysfakcja.

-Dowodow? Jakich ty jeszcze chcesz dowodow? - zirytowal sie przewodniczacy. - Caly Pern zaczyna juz odczuwac perturbacje, spowodowane nadejsciem tego wloczegi...

-Zima zawsze sa sztormy, wulkany wybuchaja... - zbyl go wzruszeniem ramion Chalkin.

-Zdajesz chyba sobie sprawie, ze planeta jest coraz lepiej widoczna...

-Phi, to nic nie znaczy.

Paulin uciszyl gniewne pomruki zgromadzonych i spytal:

-Tak wiec nic dla ciebie nie znacza przestrogi przodkow? Ani ogromna ilosc informacji zgromadzona dla naszego pozytku?

-Zostawili historyczne...

-Nie ma w nich cienia hysterii! - huknal Tashvi. - Poradzili sobie z naglym zagrozeniem, dali nam konkretne wskazowki na okres powrotu planety i pouczyli, jak wyliczyc poczatek Przejscia.

-Spokoj, spokoj! - wolal Paulin, podnoszac obie rece, by przywrocic porzadek. - Przypominam, ze dzis ja przewodnicze. - oswiadczył i tak dlugo wpatrywal sie w Tashviego spod oka, az wladca Telgaru z powrotem zajal miejsce, a pozostali goscie sie uspokoili. - Jakiego rodzaju dowod by cie przekonal, Lordzie Chalkinie? - spytal bardzo opanowanym glosem.

-Opad Nici... - mruknal ktos i ucichl, zanim Paulin zdazyl rozpoznać mowce.

-Slucham, Chalkinie - nalegal gospodarz.

-Chce dowodu, ze Nici naprawde zaczyna opadac. Raportu tej calej SIWSP, o ktorej tyle slyszelismy...

-Ladowisko pokrywaja setki ton popiolu wulkanicznego - powiedzial Paulin. Spozrzegl, ze S'nan gwaltownie dopomina sie o glos.

-Zorganizowano dziewiec ekspedycji, by zbadac urzadzenia zainstalowane na Ladowisku i odzyskac dane SIWSP - oswiadczył S'nan, jak zwykle opanowanym glosem. Jednocześnie odszukal odpowiedni plat folii i uniosl go do gory. - Oto sprawozdania z wypraw.

-A wiec? - Chalkina wyraznie radowalo wywolane zamieszanie.

-Nie udalo nam sie odnalezc budynku administracji, w ktorym zainstalowano SIWSP.

-Dlaczegoz to? - chcial wiedziec Bitranczyk. - Pamietam, jak ogladalem tasmy z widokiem Ladowiska z czasow przed pierwszym Opadem...

-A zatem zdajesz sobie sprawie z rozmiaru poszukiwan - wyjasnil S'nan. - Wiedzcie, ze warstwa wulkanicznego popiolu zalega na calym plaskowyzu, i nie istnieja zadne znaki terenowe, wskazujace na lokalizacje budynku administracji. Poniewaz wszystkie budynki sa podobne do siebie, trudno zorientowac sie, na ktory trafilismy, odkopawszy siedmiometrowa warstwe popiolu i odpadow. Dlatego nie mogliśmy okreslic polozenia budynku administracji.

-To probujcie dalej - z tymi slowy Chalkin odwrocil sie tyłem do jezdzca.

-Zatem nie zrobiles nic, by przygotowac swoja Warownie do zblizajacej sie katastrofy? - spokojnie, chlodno zapytal Paulin.

-Szkoda czasu i pracy - pytany wzruszyl ramionami.

-I pieniedzy... - mruknal ten sam zartownis, co wczesniej.

-Wlasnie. Szkoda marnowac ciezko zarobione marki na malo prawdopodobne...

-Malo prawdopodobne? - wybuchnal Tashvi skaczac na rowne nogi. - Bedziesz mial do czynienia z buntem!

-Watpie - odparowal Chalkin z przebiegłym uśmiechem.

-Bo nie raczyles ostrzec dzierzawcow, ty draniu? - Tashvi kipial z gniewu.

-Lordzie Telgaru - skarcil go ponownie Paulin - to ja jestem przewodniczacy. Zwrocil sie do Chalkina: - Jesli my, wszyscy pozostali, wierzymy w ostrzezenia, choc nie mamy innych powodow po temu niz nieodparty astronomiczny dowod swiadczacy o nieuchronnym Przejsci, jak mozesz sie wylamywac?

Chalkin usmiechnal sie z wyzszoscia: - Jakis organizm zrodzony w kosmosie? Ktory opada na nasza planete i zjada wszystko, z czym sie zetknie? No, to dlaczego Pern nie zostal doszczetnie zniszczony podczas poprzednich inwazji? Czemu zdarza sie to akurat co dwiescie lat? Dlaczego Zespol Badawczy, ktory przeprowadzal analizy planety przed zasiedleniem... jakim cudem ten zespol nie natrafil na zadne slady? Przeciez to wszystko jest smieszne! - machnal przed twarza upierscienionymi dlonmi, jakby chcial odpedzic od siebie nonsensowne pomysly.

-Moje wyliczenia potwierdzily... - powiedzial Clisser czujac, ze zaczyna ogarniac go szalenstwo.

-Byly dowody Opadu Nici - Tashvi znów skoczyl na rowne nogi. - Czytalem sprawozdanie. Setki wypalonych kregow, gdzie roslinnosc dopiero co odrastala...

-Nieprzekonujace - Chalkin znów machnal reka. - Mogly byc wynikiem zakazenia grzybami innego rodzaju.

-Doskonale. Tylko nie zawracaj nam glowy, te nieprzekonujace dowody zacznaj ci spadac z nieba na Warownie - rozzloscil sie Bastom.

-I nie przybiegaj do mnie z placzem po pomoc - dodal Bridgely, pelen niesmaku.

-Tego mozece byc pewni - odrzekl Chalkin. Sklonil sie ironicznie Paulinowi i opuscil Sale bez slowa.

-I co tu z nim poczac? - spytal Bridgely. - Na pewno bedzie zebral o pomoc u mnie i u Franco. To jasne jak slonce.

-Karta przewiduje takie sytuacje - oznajmil Paulin.

Jamson z Dalekich Rubiezy spojrzal na niego rozszerzonymi niedowierzaniem oczyma.

-Pod warunkiem, ze on wierzy w Karte... - dodal Bastom.

-Och, Chalkin wierzy w Karte bez zastrzezen - oswiadczył z przekasem Paulin. - Jego Rod panuje w Warowni tylko na podstawie dawnego przywileju starszenstwa w stosunku do pozostalych dzierzawcow. Juz wykorzystal Karte, by potwierdzic swa niezalezosc. Ciekaw jestem, czy zna kare za niedopelnienie przygotowan do Opadow. Jest to powazne naduzycie zaufania...

-Kto by zaufal Chalkinowi? - spytal G'don.

-...zaufania, jakie dzierzawcy maja prawo pokladac w Lordzie swojej Warowni w zamian za swiadczona mu prace.

-Ha! - zakrzyknal Bridgely. - Jego dzierzawcow rowniez nie darze specjalnym szacunkiem. Wlasciwie wszyscy sa do niczego. Wiekszosc wyrzucono wczesniej z innych Warowni za niegospodarnosc i lenistwo.

-Bitra rowniez jest zle zarzadzana. Zazwyczaj musimy odsylac mu z powrotem co najmniej polowe daniny - skomentowal M'shall. - Spora czesc zboza jest porazona plesnia, drewno nie jest wlasciwie wysuszone, a skory sa zle wyprawione i czesto nadgnily. Co kwartal musimy toczyc z nim walke o przyzwoite dostawy.

-Naprawde? - Paulin zanotowal jego uwagi. - Nie wiedzialem, ze ogranicza wam daniny.

M'shall wzruszył ramionami.

-Skąd miałeś wiedzieć? To nasz problem. Nie dajemy mu spokoju. Ta sprawa się również zajmiemy. Nie można pozwolić, by kompletnie lekceważył nadchodzące zagrożenie. Ale chyba nie powiesz, Bridgely, że wszyscy dzierżawcy w Bitrze są do niczego.

-W każdym koszu są zgniłe jabłka i dobre jabłka - mruknął Bridgely. - Zdecydowanie jednak chciałbym się z tym uporać do wiosny, gdy zaczną opadać Nici. Benden jest za blisko Bitry, bym mógł spać spokojnie.

-Jaka jest więc kara za takie działanie? A raczej, brak działania? - spytał Franco.

-Odebranie Warowni - stwierdził beznamiętnie Paulin.

-Odebranie Warowni! - Jamsonowi na chwilę zabrakło słów. - Nie wiedziałem...

-Artykuł czternasty, Jamsonie - zabrzmiała odpowiedź. - Niedopełnienie obowiązków przez Lorda Warowni. Możesz to wydrukować, Clisser? Dobrze by było, gdybyśmy wszyscy sobie przypomnieli te sprawy.

-Naturalnie - odparł rektor i zrobił odpowiednią notatkę. - Jutro dostaniesz materiały.

-Czy to znaczy, że komputery działają? - spytał Tashvi.

-Mój poprzednik sporządził na zapas kopie najważniejszych oficjalnych dokumentów - odpowiedział Clisser z uśmiechem pełnym ulgi. - Mogę ci pokazać listę... pisana ręcznie, ale czytelna.

Paulin odchrząknął, przywołując ich do porządku.

-A więc, Lordowie, rozpoczynamy postępowanie przeciw Chalkinowi?

-Wszyscy go słyszeliście. Czy mamy inne wyjście? - M'shall powiódł wzrokiem po twarzach wokół stołu.

-Chwileczkę - zaczął Jamson, marszcząc brwi. - Chciałbym najpierw mieć niepodważalne dowody jego niekompetencji jako Lorda Warowni, jak również niedopełnienia obowiązków w obliczu zagrożenia. Rozumiecie, że odebranie Warowni to ekstremalne posunięcie.

-Tak jest. Wiemy też, że Chalkin robi wszystko, by się jakos wykreść - cynicznie zauważył Bastom.

-Z pewnością istnieje procedura sądowa przewidziana na taką okoliczność? - spytał Jamson, rozglądając się z niepokojem. - Nie można przecież go oskarżać, nie umożliwiając obrony.

-Jak sądzę, do pozbawienia go Warowni potrzebna jest jedynie jednogłówna zgoda wszystkich Lordów większych Warowni i Przywódców Weyrow - odparł Paulin.

-Jestes pewien?

-Ja również mogę to potwierdzić - Bridgely wałnął pięścią w stół. Jego małżonka, Lady Jane, stanowczo przytaknęła. - Nie chciałem przedtem wnosić tej sprawy na Radzie... - kontynuował Bridgely.

-Kontakt z nim jest niezwykle trudny - powiedziała Irena zaciskając wargi w cienką linię, na myśl o zniewagach, jakie od dawna znosiła.

Bridgely skwitował to krótkim skinieniem głowy i mówił dalej:

-Nagina te nieliczne prawa, które mamy tu, na Pernie, a nawet jest bliski ich złamania. Pokatne interesy, krzywdzące kontrakty, niezwykle trudne warunki stawiane dzierżawcom...

-Docierają do nas uchodźcy z Bitry, a ich opowieści przyprawiałyby was o dreszcz przerażenia. - Lady Jane z Bendenu zalamła ręce w rozpacz. - Zapisywałam wszystko...

-Bardzo dobrze. Chciałbym zobaczyć te notatki - ucieszył się Paulin.

-Niezależność to przywilej, lecz pociąga za sobą odpowiedzialność. Nie oznacza pozwolenia na władzę absolutną albo despotyzm, a już z pewnością nie daje prawa, by pozbawiać dzierżawców środków niezbędnych do życia. Podobnie, jak ochrony przed Nicmi.

-Nie wiem, czy powinniśmy się posuwać aż tak daleko, by odebrać mu Warownie - Jamson stawał coraz większy opór. -
Widzicie, takie krancowe posunięcia mogą mieć demoralizujący wpływ na gospodarstwa...

-To możliwe - zgodził się Paulin.

-Brak przygotowania do Opadu z całą pewnością zdemoralizuje Bitre! - zdenerwował się Tashvi.

Paulin unosił ręce i zwrócił się do M'shalla:

-Proszę o listę przypadków, gdy Bitra zaniedbała dostawy dla Weyru. Jane, chciałbym przejrzeć twoje zapiski.

-Ja też mam notatki - dodała Irena.

Paulin kiwnął głową i ogarnął wzrokiem zgromadzonych.

-Ponieważ zaniedbanie podstawowego obowiązku ochrony przed Nicmi może stworzyć zagrożenie nie tylko dla jego Warowni, lecz także dla sąsiadów, moim zdaniem należy zbadać tę sprawę jak najszybciej i postawić go w stan oskarżenia... - Jamson unosił dłoń, protestując, ale Paulin uspokoił go gestem - naturalnie, jeśli uznamy, że są po temu przyczyny. Przed chwilą na przykład, zachowywał się, jakby po prostu wypił za wiele nowego wina Hegmona.

-Cha, cha! - zakpiła Irena, a reszta zebranych dorzuciła równie cyniczne komentarze.

-Nie możemy dać się ponieść osobistym odczuciom - oświadczył twardo Paulin.

-Najpierw przeczytaj moje zapiski - padła sucha odpowiedź. - I moje - dodał Bridgely.

-Ale kto mógłby go zastąpić? - spytał Jamson, łamiącym się z niepokoju głosem.

-Nielatwe zadanie, przy zbliżającym się Opadzie - przyznał Bastom.

-Jednak może się okazać nieuniknione - skrzywił się Paulin.

-Przepraszam, że się wtracam - unosił dłoń Clisser - ale Karta wymaga, abysmy znaleźli odpowiedniego kandydata pochodzącego z Rodu oskarżonego - przypomniał.

-To on ma krewnych? - spytał Bridgely, udając zaskoczenie i konsternację.

-Zdaje się, że tak - odparł Franco. - Nie tylko dzieci. Jest jakiś wuj...

-Jeśli pochodzi z tego samego rodu co Chalkin, to czy możemy liczyć na zmiany na lepsze? - upierał się Tashvi.

-Podobno nowa miotła dobrze zmiata - odpowiedziała Irena. - Słyszałam, że Chalkin pozbawił wuja praw do dziedziczenia, dając mu w zamian odległe gospodarstwo...

-Nieźle się uwinał, by usunąć go z drogi, co prawda to prawda. Osadził go w jakimś gorskim zakatku, gdzie diabeł mówi dobranoc.

-Cała Bitra jest tam, gdzie diabeł mówi dobranoc - uśmiechnął się ironicznie Azury z Bollu.

-Zastąpienie go nie jest kwestią najwyższej wagi - stwierdził Paulin, znowu przejmując kierowanie dyskusją. - Lepiej przekonać Chalkina, że przecież nie możemy wszyscy być w błędzie do tego Opadu.

Tym razem się oburzyła Zulaya, bo wiedziała, że to raczej mało prawdopodobne.

-Przyzna, że jest w błędzie dopiero wtedy, gdy Nici się do niego dobiora... co być może w najbardziej skuteczny sposób rozwiąże nasz problem. Bitra leży na szlaku Pierwszego Opadu.

-Choc Chalkin jest chyba rzeczywiście renegatem - stwierdził Jamson - może się okazać, że Bitra znajdzie się w lepszej sytuacji z nim, niż bez niego. Nie można się z dnia na dzień nauczyć zarządzania Warownią, sami to wiecie.

Paulin rzucił Lordowi Dalekich Rubieży długie spojrzenie.

-To wielka prawda, ale jeśli on nie raczył nawet powiadomić swoich dzierzawców, że nadchodzi Nici... - tu rozłożył ręce, by zaakcentować zdumienie na myśl o zaniedbaniu. - To naprawdę jest niedopełnienie obowiązku. Najważniejszego

obowiazku i glownego powodu, dla ktorego w Warowniach mianowano Lordow na czas kryzysu. My jako Rada, rowniez mamy obowiazek dopilnowania, by kazdy z nas spelнял obowiazki zwiazane z ranga i stanowiskiem.

-Pierwszy Opad bedzie dla niego doskonala nauczka - stwierdzila Zulaya wzruszajac ramionami.

-A wiec dobrze - Paulin zaczal przekladac dokumenty - czekam na raporty o naduzyciach wladzy i nieprawidlowosciach, ktore popelnil kierujac Warownia Bitra. Bedziemy postepowac zgodnie z prawem, zbierzemy dowody i przygotujemy wyczerpujace sprawozdanie. Tak wiec, zbлизamy sie do konca dzisiejszych obrad. Kalvi, chciales przedyskutowac kwestie nowych kopalni?

Szczuply inzynier o orlim nosie wstal z miejsca.

-Tak jest. Czeka nas piecdziesiat lat Opadow, wiec bedziemy potrzebowac wiecej rudy, i to lezacej plycej pod ziemia, niz zloza w Telgarze.

-Myslalem, ze wystarcza na cale tysiaclecia - zdziwil sie Bridgely z Bendenu.

-Naturalnie. Kopiac w glab glownych szybow natkniemy sie na wiecej rudy, ale nie jest ona az tak latwo dostepna, jak gorskie zloza, ktore mozna eksploatowac bardziej ergonomicznie - stwierdzil inzynier. Rozwinal przezroczysta plachte z mapa Wielkiego Lancucha Zachodniego i zakreslil szeroki krąg poza granicami Ruathy.

-To tutaj. Wysokogatunkowa ruda, niemal gotowa do natychmiastowego zaladunku. Bedziemy potrzebowac surowca tej jakosci do uzupelnienia zapasow miotaczy ognia, czyli wkrótce - westchnal z rezygnacja. - Przeszkolilem juz ludzi, ktorzy sa gotowi do wyprawy w tamte rejony. Chcialbym uruchomic kopalnie, zanim zacznie sie Opad. Potrzebuje tylko waszej zgody.

-Chcesz tam zalozyc Warownie, czy tylko kopalnie? - spytal Paulin.

Kalvi z usmiechem podrapal sie w skrzydelko nosa:

-Szczerze mowiac, gornicy mieliby za daleko do domu po szychcie, szczegolnie jesli wszystkie smoki beda zwalczac Opad - wyjasnil i rozwinal kolejny rysunek. - Zalezy mi na tym miejscu miedzy innymi dlatego, ze w poblizu jest caly system jaskin nadajacych sie do zamieszkania, a takze wegiel do wytopu rudy. Gotowe sztaby mozna transportowac rzeka.

Rozlegly sie ciche komentarze, gdy zgromadzeni dyskutowali na temat jego propozycji.

-Dobrze, ze Chalkin wyszedl - stwierdzil Bridgely. - Sam ma kopalnie w Dolinie Stenga i chcialby je uruchomic na nowo.

-Nie sa bezpieczne - skrzywil sie Kalvi. - Ogladalem je i wiem, ze zmarnowalibysmy zbyt wiele czasu na podstemplowywanie szybow i wymiane sprzetu. Poza tym, to ruda posledniej jakosci. Nie ma czasu na odnawianie tej kopalni... ani na spieranie sie z Chalkinem na temat umowy. Sami wiecie, ze on potrafi tygodniami handryczyc sie o drobiazgi, zanim dobieje targu - wykrzywil dluga twarz w grymasie. - Jesli dacie mi panowie zezwolenie - zwrocił sie do zebranych - bede mogl podac wiadomosc jeszcze na tym Zgromadzeniu i zobaczyc, kto z robotnikow i potrzebnych rzemieslnikow bylby zainteresowany.

-Popieram - rzekl wielkodusznie Tashvi i podniosl reke do gory.

-Dobrze. Wniosek zostal przedstawiony i zyskal poparcie. Czy wszyscy zgadzamy sie na utworzenie gorniczej Warowni?

Paulin metodycznie przeliczyl uniesione w gore rece.

-Chalkin na pewno powie, ze to byla manipulacja - zauwazyl kwasno Bastom - i ze wypedzilismy go z Rady zanim rozpoczela sie dyskusja na ten temat.

-Coz z tego? - spytal Paulin. - Nikt go stad nie wypraszal, a poza tym, podobnie jak my wszyscy, dostal kopie porzadku obrad. - Uderzyl piescia w stol. - Wniosek przeszedl. Powiedz swojemu inzynierowi, ze moze zaczynac budowe. Przywodco Dalekich Rubiezy, Przywodco Telgaru - zwrocił sie po kolei do G'dona i K'vina - czy mozece zapewnic transport?

Obaj Przywodcy Weyrow wyrazili zgode. Kiedy powstaje nowa Warownia, trzeba zaznajomic jak najwiecej jezdzcow z uksztaltowaniem terenu.

-Nie bedziecie mieli z nasza osada zbyt duzo roboty podczas Opadow - Kalvi usmiechnal sie do smoczyc jezdzcow. -

Wszystkie urządzenia będą albo pod ziemią, albo w jaskiniach. Świeża zielenina od samego początku będziemy mieć z hodowli hydroponicznych.

-Czy ktoś ma jeszcze inne wnioski? - spytał Paulin.

Clisser unosił rękę i, zaproszony do głosu, wstał rozglądając się po zgromadzonych. Pewnie wchodzi w trans nauczycielski, pomyślał K'vin.

-Poglądy Lorda Chalkina wcale nie są aż tak nietypowe - zaczął, a zaskoczeni słuchacze natychmiast skupili uwagę na jego słowach. - Przynajmniej, jeśli spojrzeć na nie z perspektywy przyszłości. Wydarzenia z czasów Pierwszego Przejścia są już dla nas zbyt odległe. Mamy nagrania wideo z tamtych czasów i na ich podstawie możemy ocenić, jak szybko wędrowną planetę zbliża się do Pernu. Wiemy, że to przybłeda, gdyż znamy rezultaty badań przeprowadzonych przez kapitanów Keroona i Tilleka, które niezbicie dowodzą, że planeta ta nie mogła od początku należeć do rodziny naszego słońca. Zresztą potwierdza to jej orbita, która leży na innej płaszczyźnie eliptycznej niż pozostałe satelity Rukbatu.

-Dokładam wszelkich starań, by nauczyć podstaw astronomii i korzystania z sekstansu przynajmniej sześciu studentów z każdej grupy. Ponadto, muszą oni posiadać wystarczającą wiedzę matematyczną, by wyliczyć wschody, zachody i dokładny czas obiegu dowolnej planety układu. W dalszym ciągu mamy trzy sprawne teleskopy do obserwacji nieba, choć kiedyś mieliśmy ich więcej. - Przerwał na chwilę. - Niestety, trzeba przyznać otwarcie, że tracimy coraz więcej urządzeń, które odziedziczyliśmy po przodkach. Nie przez złą konserwację i błędy w obsłudze - unosił dłoń, by uciszyć protesty - lecz z powodu ich wieku. Nadto, mimo wysiłków, nie jesteśmy w stanie wznieść się na poziom techniczny naszych pradziadów.

Kalvi skrzywił się, niechętnie potwierdzając jego słowa.

-W tej sytuacji proponuję, abysmy postarali się wykorzystać pozostałe nam środki techniczne tak, by zostawić możliwie jak najtrwalszy, niezniszczalny zapis naszej wiedzy dla przyszłych pokoleń. Wiem, że niektórzy z nas - tu przerwał i spojrzał znacząco na drzwi, przez które przed chwilą wyszedł Chalkin - wolał sadzić, iż nasi przodkowie błędnie kojarzyli Opad Nici ze zbliżaniem się Czerwonej Planety do Pernu. Trudno jednak zignorować niezwykle zjawiska, które od pewnego czasu zachodzą na powierzchni - poczynając od gwałtownych wahan pogody i wybuchów wulkanów, a kończąc na innych zmianach zachodzących w kosmosie. Jeśli w dalekiej przyszłości znajdzie się silna grupa osób, które zakwestionują nadejście Opadów, nie chcąc przygotowaniami do nich naruszać kwitnącej gospodarki i burzyć zadowolenia społecznego, wtedy to wszystko, co osiągnęliśmy ciężką pracą, co zbudowaliśmy gołymi rękami - tu dramatycznie unosił dłoń - to wszystko, co nas otacza - wskazał na okno, skąd dobiegały ledwie słyszalne dźwięki muzyki - to wszystko obróci się w niebyt. Rozległy się głosy zaprzeczenia.

-Zapewniam was - podniósł rękę ponad głowę - to naprawdę może się zdarzyć. Lord Chalkin jest żywym dowodem. Już straciliśmy tak wiele wiedzy technicznej. Wartościowi, utalentowani ludzie, których wykształcenie i umiejętności były dla nas bezcenne, w końcu umierają, ze starości lub choroby. Musimy stworzyć zabezpieczenie przeciw Niciom, które przetrwa i nauczy naszych potomków, jak się przygotować i przetrwać.

-Czy jest jakakolwiek szansa, by odnaleźć wreszcie ten budynek administracyjny? - spytał Paulin S'nana.

-Nie teraz, kiedy zbliżają się Opady - odpowiedział mu M'shall. - Zresztą na południu zaczynają się upały, co prawie uniemożliwi kopanie. Ale całkowicie zgadzam się z Clisserem. Naprawdę potrzebujemy zabezpieczeń. Musimy wymyślić coś, co przekonałoby niedowiarków takich jak Chalkin, że Nici to nie mit wymyślony przez przodków.

-Prowadzimy kroniki... - wtraciła Laura z Weyru Ista.

-Duzo ci zostało arkuszy plastiku? - spytał zadziornie Paulin. - Wiem, że zapasy Fortu się kurczą. Poza tym, wszyscy wiecie, co się stało w Archiwum.

-To prawda. Ale mamy papier... - tu spojrzała na lordowska pare Telgaru, Tashwiego i Salde.

-Tylko że trudno ocenić, ile akrow lasu przetrwa inwazję Nici - odpowiedział Tashvi, z powątpiewaniem unosząc rękę. - Drwale ścinają drzewa bez przerwy, a tartak i młyny pracują pełną parą.

-Wszyscy wiecie, że będziemy robić, co w naszej mocy, by ochronić lasy - włączył się K'vin, choć na własny użytek zastanawiał się, czy tej mocy wystarczy na długo, gdyż jedna Nica potrafi w kilka minut zniszczyć szeroki pas roślinności.

-Nikt nie ma co do tego wątpliwości - odpowiedziała ciepło Salda - a my postaramy się przed Opadami wyprodukować jak najwięcej papieru. - Spowazniała. - Nikt z nas jednak nie wie, co przetrwa Nici, a co zostanie zniszczone. Z opisu Tarwiego Andiyara, sporządzonego tuż po objęciu Warowni, wynika, że większość stoków była niezalesiona. Na dziesięć lat przed końcem Opadów miał już dość sadzonek, by zagospodarować każdą piędź ziemi. Mamy również szczęście, że w

trzydzieści lat po zakończeniu Pierwszego Przejścia nastąpiło naturalne wysiewanie się lasu.

-To także musimy zachować na użytek przyszłych pokoleń - oświadczył Clisser.

-Organizacja odbudowy - podsumowała Mari z Dalekich Rubieży.

-Przepraszam, co?

-Działania, jakie należy podjąć po Przejściu są znacznie ważniejsze od tego, co robi się w czasie Opadu - powiedziała, jakby to było oczywiste.

-Najpierw trzeba przetrwać pięćdziesiąt lat - zaczęła Salda.

-Wróćmy do tematu - Paulin wstał z miejsca. - Przewodniczący, podsumowując, oświadcza, że niezbędna nam jest trwała, niezniszczalna, jednoznaczna i prosta metoda obwieszczająca powrót wędrowniej planety. Czy ktoś ma jakieś pomysły?

-Można wygrawerować metalowe tablice i umieścić je w każdym Weyrze, Warowni i Siedzibie Rzemiosła, w takich miejscach, by bez trudu je zauważano - powiedział Kalvi. - Wypiszemy na nich odczyty sekstansów, oznaczające Przejście.

-Świetnie, pod warunkiem że zawsze będą sekstansy i ludzie, którzy będą umieli się nimi posługiwać. Ale co się stanie, gdy popsuje się ostatnie urządzenie? - zauważył Lord Bastom.

-Są tak proste, że łatwo je zrobić - odpowiedział mu Kalvi.

-A jeśli nikt nie będzie wiedział, jak się nimi posługiwać? - wtrąciła Salda.

-Kapitanowie na moich kutrach używają sekstansów na co dzień - odrzekł Bastom. - Są niesłychanie przydatne na morzu.

-Wszyscy studenci przerabiają podstawy matematyki - dodał Clisser. - Nie tylko rybacy.

-Żeby uzyskać potrzebne odpowiedzi trzeba znać metody i wiedzieć, kiedy się nimi posłużyć - odezwała się po raz pierwszy Corey, Naczelną Medyk. Podlegający jej lekarze z trudem walczyli o zachowanie wysokiego poziomu medycyny mając do dyspozycji coraz mniej i mniej sprzętu. U nich stosowanie niecodziennych metod od dawna wrosło w tradycję rzemiosła.

-Musi być jakiś sposób, by przekazać tę decydującą o życiu lub śmierci wiadomość, następnym pokoleniom - z tymi słowami Paulin spojrzał w pierwszej chwili na Clissera, a potem omiotł wzrokiem wszystkie twarze. - Trzeba się dobrze zastanowić... Jednym ze sposobów może być wytrawienie wiadomości na metalu... i umieszczenia tablic na widocznym miejscu w każdym Weyrze i Warowni, by nikt nie mógł ich wepchnąć na dno magazynu i zapomnieć, że kiedykolwiek istniały.

-Cóż w rodzaju kamienia z Rosetty? - z ust Clissera padło raczej stwierdzenie, niż pytanie.

-Co to takiego? - zainteresował się Bridgely. Clisser miał denerwujący zwyczaj odwoływania się w rozmowie do pojęć znanych tylko jemu samemu, po czym chętnie udzielał długich wyjaśnień, jeśli tylko mu na to pozwolono.

-Na ziemi, pod koniec osiemnastego stulecia, odnaleziono kamień z inskrypcją w trzech starożytnych językach, dzięki czemu udało się te języki rozszyfrować. My, naturalnie, zachowamy czystość języka.

-A więc powraca temat grawerowanych płyt - uśmiechnęła się Corey.

-Jeśli to jedyny sposób... - Clisser nagle przerwał i zmarszczył brwi. - Nie, musi być jakaś niezawodna metoda. Zajmie się tym.

-Doskonale, Clisserze, ale nie odkładaj tego na później - poprosił Paulin. Wole, żeby we właściwym czasie odezwały się setki alarmowych syren, dzwonek i brzęczyków, niż by nasi potomkowie polegali tylko na jednym zawodnym systemie.

Twarz rektora powoli rozjaśnił uśmiech.

-Dzwonki i brzęczyki to nie problem. Najwięcej czasu zajmie nam ta syrena.

-Doskonale - powtórzył Paulin i jeszcze raz powiodł spojrzeniem po zgromadzonych. Rytmiczna muzyka tańcząca znowu napłynęła przez okna i młodzi Lordowie Warowni i Przywódcy Weyrow z trudem mogli usiedzieć. - Czy są jeszcze jakieś

wnioski? - Nie czekając na odpowiedź zakończył spotkanie uderzeniem drewnianego młotka w stol. - W takim razie, to wszystko na dzisiaj. Bawcie się dobrze, przyjaciele.

Sala opustoszała w jednej chwili, gdyż wszyscy pośpieszyli uczynić zadość jego życzeniu.

Rozdział II

Zgromadzenie w Forcie

-Cliss, co w ciebie wstąpiło, do licha? - zdenerwował się Sheledon, dziekan Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu, który bez przerwy walczył, by zachować dla siebie nieco wolnego czasu na komponowanie. -Widzisz - powiedział Clisser, unikając jego twardego, oskarżycielskiego wzroku - my naprawdę mamy więcej kronik niż ktokolwiek inny; lepiej też potrafimy je analizować. Uniwersytet powstał właśnie po to, by udostępniać informacje i szkolic.

-Naszym głównym zadaniem jest uczenie młodych ludzi, którzy woleliby dosiadać smoków albo zdobywać kolejne przydziały ziemi niż rozwijać wrodzoną sprawność umysłu - przyłączyła się do narzekan Danja, która w wolnym czasie dyrygowała kwartetem smyczkowym. - Nadto naszym obowiązkiem jest namówić tylu młodych ludzi, ilu zdołamy, by poszli w świat przekazywać wiedzę coraz bardziej rozproszonej ludności Pernu.

Wokół rozbrzmiewała muzyka taneczna, ale Sheledona i Danje ogarnęła irytacja tak wielka, że nie docierał do nich rytm, który sprawiał, że pozostała trójka siedząca przy stole wybijała takt stopami lub dłońmi. Danja popatrzyła na Lozella z irytacją, więc natychmiast przestał stukac po stole stwardniałymi od strun harfy opuszkami palców.

-Moim zdaniem bez trudu znajdziemy jakiś sposób, by ostrzec przed powrotem planety - bąknął, próbując ulagodzić gniew Sheledona i Danji.

-Nie chodzi o trudności - odparła cierpko zirytowana kobieta. - Chodzi o to, kiedy znajdziemy na to czas! - Wycelowała palcem w nie dokończony budynek uniwersytetu. - Tym bardziej że trzeba zdążyć przed zimowym przesileniem - tu rzuciła jadowite spojrzenie Clisserowi.

-Ach, tak - skrzywił się Lozell. - Racja.

-Ostatnio każda godzina wolna od zajęć zajmuje nam wszystkim praca nad różnymi zagadnieniami, jakoby nie cierpiącymi zwłoki - podjęła Danja i gestykulując dramatycznie zaczęła nerwowo spacerować wzdłuż stołu. W obliczu zagrożenia Sheledon zamykał się w sobie, zaś Danja, buchając energią, rwała się do działania. Nieopatrznie potraciła krzesło, na którym wcześniej położyła skrzypce, po czym błyskawicznie chwyciła cenny instrument, by nie upadł na kocie lby. Kolejne oburzone spojrzenie trafiło Lozella, jakby to on był winny.

Sheledon wyciągnął rękę, odebrał jej skrzypce i smyczek i położył je na stole, gdzie stały jedynie ich szklanki. Nie patrząc, wytarł krople wina obok bezcennego instrumentu, jednego z niewielu przedmiotów z czasów Ladowania, które wciąż nadawały się do użytku.

-Dzisiaj na przykład - podjęła nerwowo spacer - rano uczyliśmy młodzież, potem udało nam się coś przelknąć i zabrałiśmy się za malowanie pomieszczeń, żeby choć część była gotowa na letni semestr. Mieliliśmy pięć minut, by się przebrać i mimo to nie zdążyliśmy na smoczą paradę, która na przykład ja - tu dziabnęła się kciukiem w okolice mostka - bardzo chciałam obejrzeć. - Występowaliśmy już dwa razy - mówiła z przekonaniem - i niewątpliwie będziemy dalej przygrywać, aż do wschodu słońca, a jutro zaczniemy wszystko od nowa, tyle że nie będzie Zgromadzenia i pewnie uda nam się wypać, żeby nabrać sił i na okrągło wykonywać prace jak wyżej, a w przerwach przygotowując się do nowego semestru. Który, nota bene, zaczyna się za tydzień, a potem już w ogóle nie będzie na nic czasu, bo trzeba będzie pracować z nauczycielami, którzy wkrótce opuszczają uniwersytet, by nieść Słowo na najdalsze rubieże kontynentu - wskazała na wschód z aktorską swadą, po czym padła na krzesło, gdzie wcześniej leżały skrzypce. - Kiedy, twoim zdaniem, mamy znaleźć czas na dodatkowe badania, Clisser?

-Dotąd zawsze jakos znajdowaliśmy czas - cicha odpowiedź rektora kryła w sobie delikatną krytykę jej gwałtownej wypowiedzi.

-Może niech grupy uczniów popracują nad tym w ramach zajęć z historii? - zaproponował Lozell.

-To jest rozwiązanie - ucieszyła się Bethany, która jak zwykle zadowolona była obserwacją wybuchów Danji, jakby to był atrakcyjny pokaz ognia sztucznych. - Moim pierwszym zadaniem przyda się trochę samodzielnej pracy.

-Poki starczy nam prądu dla biblioteki - dodała kwasno Danja.

-Starczy, starczy - Clisser usmiechnal sie. - Podczas pokazow Kalvi poslal technikow na dach, zeby naprawili ogniwa sloneczne. Jutro podlacza je do glownych bankow pamieci. Wyobraz sobie, ze nie tylko ty dzisiaj pracowalas.

-Wielka mi pociecha - odciela sie Danja.

Rektor dolal jej wina.

-A do tego cos mi sie zdaje, ze przydaloby sie troche chwytliwych melodii i dobrych tekstow. Niech male dzieci naucza sie na pamiec wszystkich oznak zapowiadajacych Przejscie, zanim stana sie na tyle dorosle, by je kwestionowac.

-Jeden plus jeden to dwa, a dwa dodac dwa to cztery? - Danja zaspiewala stara piosenke uczaca dodawania, po czym usmiechnela sie przebiegle.

-Bardzo skuteczne narzedzie dydaktyczne, sami przyznacie - teraz Clisser napelnil wlasny kieliszek. - Shel, czy moglbyś zabrac sie za komponowanie i dostarczyc nam paru prostych, ladnych melodyjek?

Sheledon przyklasnal entuzjastycznie.

-Od lat powtarzam, ze powinniśmy przekazywac podstawowe wiadomosci w formie muzycznej. Jemmy potrafi pisac niezla popularna muzyke.

Na twarzy Bethany zajasnial szeroki usmiech. Jemmy byl jej ulubionym uczniem i zawsze z wielkim zapalem go popierala. Nawet Danje to nieco ulagodzilo.

-Dobrze - powiedzial Clisser, rozwiazawszy jedna z palacych kwestii. - To co, wchodzimy na scene nastepni?

-Juz skonczyles dyskusje? - zdenerwowala sie Danja. - Zaczekaj chwile! Clisser, czy ty kiedyś spowazniejesz?

Rektora wyraznie ubodly te slowa. Bethany przysunela sie i pogladzila jego dlon, starajac sie ulagodzic go usmiechem.

-O co ci chodzi, Danja? - zapytal.

-Czy ty sobie nie zdajesz sprawy, jak ogromna odpowiedzialnoscia obarczyles nas przed chwila ot, tak sobie... - Danja szeroko rozlozyla ramiona, a dlonie uniosla do gory w gescie pelnym rozpacz.

-Na pewno damy sobie z tym rade, kochanie - odpowiedziala uspokajajaco Bethany - trzeba nam tylko troche czasu i pomyslunku.

-No wlasnie, czasu. Czy starczy nam czasu? - wlaczyl sie ponownie Lozell. - Jak sobie damy rade, jesli zima bedzie choc w polowie tak sroga jak w zeszlym roku? Chociaz pewnie bedzie gorsza, bo ta przekleta Czerwona Planeta szczyrzy sie do nas z coraz blizszej odleglosci.

-Jakos sie uda. Zawsze sie udawalo - westchnal Sheledon z rezygnacja. - Paulin nam pomoze. Weyry na pewno tez cos dadza.

Danja rzucila mu gniewne spojrzenie.

-Juz gramy na inna melodie, co? Jeszcze niedawno twierdziles, ze cierpimy na brak czasu, czy tez mi sie wydawalo?

Sheledon wyzywajaco wzruszyl ramionami.

-Moim zdaniem pomysl Lozella, zeby uczniowie szukali rozwiazania w ramach samodzielnej pracy, rozwiazuje jeden klopot. A jesli Jemmy wygwizdze nam jakies melodyjki, ja z pewnoscia cos do tego zrymuje. A moze Jemmy robi jedno i drugie, gdy znajdzie chwilke - twarz Sheledona zlagodniala, rozciagnieta przez suchy usmieszek. Zwalczal w sobie zazdrosc o Jemmy'ego, ktory wyroznial sie wszechstronnym talentem i choc jeszcze oficjalnie nie ukonczyl uniwersytetu, juz prowadzil kilka grup studentow i wygladalo na to, ze potrafi swietnie podolac kazdemu zadaniu, ktore przed nim postawia. Clisser przezywal go Mistrzem Zlota Raczka.

-A jesli studenci, ktorzy z natury sa obojetni wobec tematu badan, przegapia wlasnie te najwazniejsza kwestie? - spytala Danja.

-Kochanie, jestesmy ich nauczycielami wlasnie po to - odparla Bethany - by sprawdzac, czy aby nie umknelo im jakies oczywiste rozwiazanie. Przynajmniej oszczedza nam przekopywania sie przez tony materialow i przedstawia najbardziej sensowne pomysly. Jemmy moze ich nadzorowac. Najszybciej czyta i ma najmlodsze oczy.

W tym momencie instrumentalisci na estradzie skończyli ostatni utwór i klaniali się do wtoru entuzjastycznych braw, którymi nagradzali ich spoceni tancerze na równi z widzami popijającymi wino przy stołach. W końcu zeszli ze sceny.

-No dobrze, co gramy, Clisser? - spytał Sheledon. Wychylił resztkę wina i wstał.

-Nasi starsi uczniowie wykonali dużo szybkich tanecznych melodii - odpowiedział zapytany. - Niech sobie ludzie trochę odetchną i posłuchają czegoś wolniejszego... na przykład wiazanki starych przebojów. Zaczniemy od "Długiej kretej drogi", żeby od razu stworzyć nastrój.

-Hm... a potem zjemy kolację, kiedy młodszy uczniowie będą grać to coś, co mylnie określamy jako muzykę - dodała Danja, która z wielką pogardą traktowała popularną w tym czasie hałasliwą muzykę diatoniczną.

-Wszystkich naraz nie zadowolisz - oznajmił sentencjonalnie Clisser i sięgnął po gitarę. Pomógł Bethany odsunąć krzesło i podał jej ramię. Uśmiechnęła się niesmiało w odpowiedzi na uprzejmy gest, wzięła flet poprzeczny w sztywnej, zniszczonym futerale, flety proste w skórzanych etui i małą fujarkę z trzciny, która w tym roku otrzymała nagrodę za najlepszy instrument. Miała specyficzną, słodką i czystą barwę tonu, którą Jemmy od tej pory starał się osiągnąć, robiąc inne fleciki. Potem pokustykała na estradzie, z pozoru nie dbając o zniekształconą stopę i niezgrabny krok. Głowę uniosła wysoko i usilnie patrzyła wprost przed siebie.

Jemmy podszedł do nich od swego stołu i machinalnie odebrał jej futerał z fletami. Grał w ich zespole na bebenku, choć innym muzykom wtórował na gitarze. Wyglądał niepozornie: blada cera i płowe włosy nie łagodziły ostrych rysów. Zachowywał się bardzo skromnie i nigdy nie chępnął się osiągnięciami naukowymi. Choć nie był atletycznie zbudowany, przez ostatnie trzy lata wygrywał maraton na Letnich Igrzyskach. Nie potrafił nawiązywać kontaktu z rówieśnikami. "Mamy zupełnie odmienne sposoby myślenia" powiedział, dokonując w ten sposób niesmiałej samooceny.

Naturalnie, miał rację, gdyż nie zmieścił się w skali zwykłych testów na inteligencję, sprawdzających zdolności kandydatów na nauczycieli. Nie znalazł także zrozumienia w rodzinie. Prości rybacy z Warowni Tillek w pewnym momencie nawet uznali, że jest opóźniony w rozwoju. Jako czternastolatek zaczął wraz z rówieśnikami uczyć się rodzimego rzemiosła. Wytrzymał trzy rejsy. Choć okazał się świetnym nawigatorem, cierpiał nieustannie na morską chorobę i nigdy nie opanował "marynarskiego chodu", nie nadawał się więc do pracy na kuterze, przynosząc tym wielki wstyd rodzinie. Chłopcem zainteresował się sam kapitan Kizan. Zaproponował, żeby wyuczyć go na nauczyciela i posłać go do Warowni Fort na okres próbny. Clisser z radością przyjął kandydata, gdyż nastrój ogromnie mu się poprawił po spotkaniu z kims tak gorąco pragnącym wiedzy. A gdy rektor dowiedział się, w jakim tempie Jemmy przerabia nawet najtrudniejszy materiał, sam ułożył dla niego indywidualny tok studiów. Okazało się, że Jemmy, mimo absolutnego słuchu, nie ma dobrego głosu, więc zaczął nadrobić ten brak grając na różnych instrumentach i każdy bez wyjątku opanowywał w kilka godzin.

Choć rodzina, a nawet Lord Bastom mieli nadzieję, że chłopak wróci do Tilleku jako nauczyciel, Clisser twardo obstawał przy tym, że dzieci w Warowni mogą uczyć każdy, niekoniecznie geniusz. Zaproponował, że dostarczy doskonale wykształconego kandydata, jeśli Jemmy będzie mógł dalej studiować na Uniwersytecie, z korzyścią dla całego kontynentu.

O jednej rzeczy na jego temat wspomniano w uniwersyteckich kolegiach tylko w ścisłym gronie: Jemmy intuicyjnie wiedział, jak wypełnić luki w dokumentach powstałe w wyniku niestarannego przepisywania lub zniszczenia. Sporządzane przez niego notatki, krótkie i treściwe, stanowiły wzór przejrzystości. Uniwersytet z trudem by sobie radził bez jego umiejętności i inteligencji. Jemmy nie był dobrym nauczycielem, gdyż drażniły go procesy myślowe o wiele wolniejsze niż jego własne, lecz potrafił układać podręczniki i kompendia podstawowych tekstów, które przywieźli ze sobą osadnicy. To on wymyślił, by zmienić nazwę Ziemia na Pern.

Rówieśnicy nie przepadali za jego towarzystwem, a on wolał przebywać z wykładowcami... choć prędko przewyższył ich wiedzą i umiejętnościami jej zastosowania w praktyce. Ponadto wszystkim było wiadomo, choć taktownie pomijali to milczeniem, że bezgranicznie uwielbiał Bethany. Ona zaś, niezmiennie uprzejma i życzliwa, odrzucała wszystkich mężczyzn. Dawno już postanowiła, że nie zaryzykuje urodzenia zdeformowanego dziecka i zrezygnowała ze wszystkich związków, nawet tych, które gwarantowały bezdzietność.

Kiedy tak Clisser siedział u jej boku na estradzie, zastanawiał się, czy Jemmy w końcu nie zburzy dziewiczego muru, który otaczał te kobiety. Rektor doskonale zdawał sobie sprawę, że Bethany bardziej zależy na tym chłopaku z Tilleku niż na jakimkolwiek innym mężczyźnie, którego znalazła w ciągu tych trzydziestu lat, gdy Clisser miał możliwość obserwowania jej, najpierw jako studentki, a potem wykładowczynie. Była tak cudownie łagodna... stworzona do tego, by kochać i być kochaną. Znano różne sposoby zapobiegania ciąży, więc w tej kwestii nie miałyby powodów do niepokoju. Różnica wieku jest tu bez znaczenia, pomyślał, a Jemmy rozpaczliwie potrzebuje równowagi emocjonalnej, jaką dala mu poznanie pełni życia.

Obaj z Jemmym pomogli jej wejść na pozbawione balustrady schody wiodące na scenę. Potem, zgrabnie układając fałdy długiej spodnicy kryjącej ortopedyczny but, usadowiła się na krześle. Ułożyła pod ręką flety w pokrowcach, a fujarkę

umiesciła na stojaku nutowym. Ten zespół muzyczny nie potrzebował partytur, lecz inne nie potrafiły się bez nich obejść.

Danja przyłożyła skrzypce do podbrodka, uniosła smyczek i spojrzała na Jemmy'ego, który zanucił "la", by mogła się dostroić. Sheledon wziął cichy akord na gitarze, sprawdzając harmonie, a Lozell przebiegł palcami po strunach dużej harfy.

Jedno jedyne pianino pozostałe na kontynencie - jego ulubiony instrument - było akurat w naprawie. Coś niedobrego działo się z młoteczkami; nie udało się odtworzyć dokładnego odpowiednika oryginalnego filcu.

Clisser kiwnął głową do Jemmy'ego, ten odegrał na tamburynie werbel, by zwrócić uwagę słuchaczy, rektor podał tempo i popłynęła muzyka.

Upłynęło kilka dni, zanim Clisser znalazł czas, by porozmawiać z Jemmy'ym o nowym projekcie.

-Od dawna zastanawiam się, dlaczego nie piszemy ballad ułatwiających naukę historii - odpowiedział Jemmy.

-Nie zamierzamy nadawać formy muzycznej historii.

-Właśnie, że tak - Jemmy zaprzeczył w zwykły, bezpośredni i niegrzeczny sposób, do którego Clisser przez długi czas nie potrafił się przyzwyczaić. - A przynajmniej tak potraktuje nasze pieśni kolejne pokolenie... i wszystkie następne.

-Racja, racja.

Jemmy coś zanucił, przerwał, podbiegł do stołu, złapał zapisaną kartkę papieru i odwrócił ją na czystą stronę. Szybkimi pociągnięciami nakreślił pięciolinię, dodał klucz i od razu zaczął zapisywać nuty. Clisser przyglądał mu się, zafascynowany.

-Ach - powiedział chłopak mimochodem, podczas gdy jego dłoń biegła w górę i w dół po pięciolinii - ta melodia meczy mnie od kilku miesięcy. To niemal ulga przelać ją na papier teraz, gdy wreszcie może mi się do czegoś przydać.

Zaznaczył następny takt. Pióro na moment zawisło nad papierem, po czym podjęło dalszą wędrówkę.

-Można z tego zrobić coś w rodzaju wzorca. Zaczyna się partia sopranu, naturalnie chłopięcego, który opisuje miejsce akcji. Potem wchodzi tenory, naturalnie jeźdźcy smoków, i barytony, czyli Lordowie Warowni, a do tego pare basów - przedstawicieli grup zawodowych... każda grupa opowiada o swoich obowiązkach wobec Weyru... a potem w końcowym refrenie, przetworzeniu pierwszej linijki, cały Pem opiewa swą wdzięczność wobec smoków. Tak, to będzie niezły kawalek.

Clisser wiedział, kiedy jego obecność jest zbędna i z uśmiechem opuścił pomieszczenie. Jeśli Bethany miała rację i studenci bieżącego semestru sprawnie uporają się z zadana pracą, będzie można spełnić śmiało obietnicę, jaką złożył Radzie. Miał szczera nadzieję, że komputery wytrzymają jeszcze tyle czasu, ile potrzeba do starannego przeczesania banków danych. Ostatnio stały się tak chimeryczne, że operatorzy przestali im ufać. Część danych była nie do odczytania, albo uległa zniekształceniu. Co gorsza, nikt nie wiedział, skąd wziąć części zamienne. Naturalnie, komputery były tak wiekowe i zniszczone, że cudem dotrwały do dziś dnia. Czy prowadzenie wykładów z elektroniki miało w ogóle jakikolwiek sens?

Przypomnił sobie, że musi porozmawiać z dwiema parami rodziców, którzy upierają się, by zapisać dzieci na kurs obsługi komputerów, jako najbardziej prestiżowy na Uniwersytecie. Ta dziedzina wymagała również najmniej wysiłku, gdyż pozostało już bardzo niewiele sprzętu. Gdzie ci młodzi ludzie mają wykorzystywać nabyte tu umiejętności? Co gorsza, żaden z tej dwójki nie zdradzał najmniejszych predyspozycji do pracy z mechanizmami. Po prostu wydawało im się, że wiedza, czego chcą. Co roku zdarzały się takie przypadki. A jeszcze ci rodzice z Warowni, którzy nie życzyli sobie, by coreczka zadawała się z "nizej urodzonymi", jak to ładnie ujął Sheledon.

Tak, jakby mieli miejsce i sprzęt, by prowadzić więcej kolegiów nauczycielskich, albo mogli dostarczać prywatnych nauczycieli, jak życzyliby sobie tego niektórzy Lordowie Warowni. Ha! Wędrowni nauczyciele i tak krazyli po kontynencie jak rok długi, trudząc się, by dzieci z najdalszych nawet osad nie były pozbawione podstawowej wiedzy. No cóż, może kiedyś, w przyszłości, powstanie drugie uniwersyteckie miasteczko - tak to kiedyś określano, prawda? - na wschodnim wybrzeżu. Naturalnie teraz, gdy nadchodzi Nici, trzeba będzie pozmienić wszystkie trasy i kalendaria, a także pouczyć wędrowców, jak ratować życie. Kiedyś, zanim popsuł się projektor, Clisser oglądał zdjęcia Opadu. Zadrzał na samo wspomnienie. Choc przez całe życie zdawał sobie sprawę z nadchodzącego niebezpieczeństwa, nie potrafił przyjąć do wiadomości, że jest ono nieodwracalne. Rzeczywistość wkrótce rzuci się ludziom do gardła.

Przywódcy Weyrow mogą sobie głądzić o tym, jak dobrze przygotowane są Warownie i Weyry, o pełnej obsadzie smoczycich siedzib, doskonałej organizacji załóg naziemnych i dostawach sprzętu, ale czy ktoś naprawdę zdaje sobie sprawę, co się będzie działo? Zaklął pod nosem i pospieszył w stronę pomieszczeń, które trzeba było w ciągu pozostałych pięciu dni przygotować na przyjęcie nowych mieszkańców. Podczas posiłku trzeba będzie popracować nad programami.

Nagle uderzyła go pewna myśl. Zatrzymał się, przez moment zapominając nawet postawić stopę na kolejnym stopniu. Przede wszystkim należy wypracować całkowicie nowe podejście do nauczania!

Po co uczyć młodzież przedmiotów, które tu, na Pernie, stały się całkowicie bezużyteczne, jak na przykład programowanie komputerowe i naprawa sprzętu elektronicznego? Do czego pernskimi dzieciom przyda się wiedza o dawnych geograficznych i politycznych podziałach na starej Ziemi? Bezużyteczne informacje. Przecież oni nigdy tam nie pojadą! Jakże to wszystko odległe od tutejszej codzienności...

Trzeba koniecznie zrewidować wszystkie cele nauczania i dostosować je do potrzeb ludzi, którzy bezpowrotnie i nieodwołalnie osiedlili się na tej planecie. Po co komu teraz wiedza o pośrednich przyczynach Kosmicznej Wojny z Ludem Nathi? Tutaj nikt się nie wybiera w kosmos - nawet zasięg lotu smoków jest ograniczony groźbą niedoboru tlenu. Czy nie lepiej byłoby analizować satelitarne mapy Pernu, a zapomnieć o Ziemi i jej koloniach? Nie ciekawiej będzie zagłębić się w postanowienia Karty, dotyczącej pernskimi społeczeństwa, niż analizować prehistoryczne rzydy i społeczeństwa? Naturalnie, niektóre ważniejsze fakty można wkomponować w program nauczania, by pokazać, w jaki sposób rozwijał się obecny model rządów. Trzeba pozbyć się oczywistych nonsensów! Nic dziwnego, że nauczyciele z trudem realizują programy, a studenci umierają z nudów, gdy tak niewiele wiedzy, którą tu zdobywają, ma choćby śladowy związek z ich własnym życiem i planetą, którą zamieszkują. Tak naprawdę, wykłady z historii powinny zaczynać się od Lądowania na Pernie... bez przesady, trzeba wspomnieć o pojawieniu się homo sapiens, ale po co zwracać sobie głowę wiadomościami o obcych cywilizacjach, na które natrafili ziemscy badacze, jeśli żadna z nich najprawdopodobniej nie zjawi się w systemie Rukbatu?

Ponadto, postanowił Clisser, zafascynowany nową ideą, należy postawić na specjalizację i podnieść rolnictwo, a także weterynarię do godności nauk równie prestiżowych jak kursy komputerowe. Hodowla zwierząt w pernskimi środowisku i walka z tutejszymi pasożytami są o wiele ważniejsze niż choroby dokuczające inwentarzowi kiedyś tam, na starej Ziemi. Trzeba poinformować górników i hutników, gdzie na zdjęciach satelitarnych występują rudy żelaza, i jaka jest ich jakość. Należy pamiętać o historii sztuki, tym bardziej że dzieła sztuki na starych przezroczach przypominają w większości rozmazane plamy, a zacząć uczyć stosowania lokalnych pigmentów, materiałów, wzorów i wykrojów. Rybacy potrzebują wiedzy o prądach, oceanografii, przetworstwie ryb, nawigacji, budowie statków i meteorologii... a właściwie, czemu by nie podzielić od siebie tych wszystkich dyscyplin, by uczniowie dowiadywali się tego, czego im rzeczywiście potrzeba, a nie steku zbędnych faktów, cyfr i teorii?

Na przykład, niech Kalwi weźmie sobie... jak to się kiedyś nazywało?... właśnie, czeladników i niech nauczy ich hutnictwa i obróbki metalu. Górnictwo trzeba koniecznie oddzielić od metalurgii. Musi powstać osobny system nauki dla tkaczy, rolników i rybaków. I naturalnie, dla nauczycieli. Edukacja w czystej postaci zawsze ma za zadanie uczyć rozwiązywania problemów dnia codziennego, ale przy tego rodzaju specjalizacji można naprawdę ograniczyć zakres wiedzy tak, by obejmował tylko najpotrzebniejsze zagadnienia. Właściwie, obecnie i tak działa coś w rodzaju systemu cechowego... rodzice uczą dzieci rodzowego rzemiosła, albo oddają je na naukę sąsiadom. Obaj synowie Kalwiego w tej chwili nadzorują jego zakłady w Telgarze. System ten powinien także umożliwić nieprzystosowanym dzieciom, takim jak Jemmy, naukę rzemiosła odmiennego od tradycyjnych zajęć rodu. Każdy szesściolatek będzie musiał przejść podstawowe testy na inteligencję, a każdy jedenasto- albo dwunastolatek podda się bardziej specjalistycznym badaniom. W ten sposób najlepiej poznamy zdolności dzieci i umieścimy je tam, gdzie nauka i szkolenie pozwoli im w pełni wykorzystać wrodzone zdolności.

Nawet w medycynie trzeba stworzyć nowy program nauczania, opierający się na surowcach dostępnych na Pernie, a nie na tym, co przywieźli ze sobą Ojcowie Założyciele. Wszyscy wiedzą, że Corey ciągle narzeka na brak tego czy innego lekarstwa, sprzętu czy też techniki, przydatnych do ratowania ludzkiego życia, tyle że już od dawna niedostępnych.

Clisser parsknął pogardliwie. Za dużo czasu marnujemy rozpaczając, że czegoś tam już nie ma, a czegoś innego zabrakło, zamiast jak najlepiej wykorzystać to, co jest dostępne tu i teraz. Jak brzmiało to starożytne powiedzenie?

Nie nam osadzać, czy los szczenioliwy,

Lecz tym, co nam zsyła, będziemy sobie radzić.

Wprawdzie nie pamiętał już, kto to napisał, ani czego dotyczyło, ale jakże to było aktualne! Pern miał ogromne bogactwa, o których zapominano, rwać szaty nad przeszłością. Nawet Corey przyzna, że tutejsze zioła okazały się pomocne przeciw wszelkim typowym dolegliwościom, a w niektórych przypadkach sprawdziły się nawet lepiej, niż przywiezione z Ziemi, troskliwie przechowywane chemikalia.

Podstawy matematyki oraz historii, jak również pojęcia odpowiedzialności i obowiązku rzeczywiście można przenieść na język muzyki, pomocny przy przekazywaniu wiedzy i jej zapamiętywaniu. Wtedy każdy, kto ledwie umie brzdakać na instrumencie, będzie mógł uczyć dzieci w Warowniach czytania, pisania i podstaw arytmetyki. Na tym koniec, i niech dzieciaki zajmą się tym, co im życie przyniesie. A muzyka przecież zawsze była bardzo ważna dla tutejszego ludu!

Postawił wreszcie nogę na stopniu schodów, zadowolony, że wpadł na tę genialną myśl. Oto całkowicie nowe podejście do uczenia i szkolenia młodzieży, idealnie dostosowane do potrzeb i charakteru planety. Tak, trzeba będzie spokojnie usiąść i dobrze to wszystko przemyśleć... jak tylko znajdzie trochę wolnego czasu.

Zasmiał się, kpiąc ze swych własnych genialnych idei. Zdawał sobie jednak sprawę, że rzeczywiście trzeba wreszcie zmienić i zreformować wiele dawnych pojęć, więc dlaczego zmiany nie miałyby objąć metod dawkowania wiedzy? Czy dawkowanie to odpowiednie słowo? Brzmi tak jakby wiedza była lekarstwem. Westchnął. Szkoda, że tak wiele osób trzeba zmuszać, by ją przyjmowały. Oczywiście, jednostki takie jak Jemmy dowodzą, że nauka może być przyjemnością, ale rzadko zdarza się napotkać kogoś tak bardzo głodnego wiedzy samej w sobie.

Gdy dotarł do szczytu schodów, jego dobry humor niemal całkiem powrócił. Ach, na wszystkie świętości, musi znaleźć czas na to wszystko. I to koniecznie.

Rozdział III

Pozna jesień w Weyrze Telgar

-Tym razem przeszła sama siebie, nie sędzisz? - Rozpromieniona Zulaya popatrzyła na Paulina, a potem odwróciła się i obdarzyła serdecznym spojrzeniem swoją złotą królową, która władczo rozposcierala skrzydła, strzegąc pięćdziesięciu jeden jaj, z których, sędząc ze wszystkich znaków na niebie i ziemi, dziś miały się wykluc smoczeta. Przez całe rano smoki zwoziły gości i kandydatów. -Czy Weyry przypadkiem nie przesadzają z takimi ilościami jaj? - spytał Paulin. W Bendenie i lscie Wylegi odbyły się zaledwie kilka miesięcy temu. W czasie Poszukiwan wybrano spośród jego ludzi dwóch dobrze zapowiadających się gospodarskich synów. Nielatwo było mu pogodzić się z tą stratą, tym bardziej że jeźdźcom ograniczano swobody, jakimi cieszyli się w czasie Przerwy w Opadach; nie mogli już dzielić czasu pomiędzy Weyr a Warownie i uczyć się jakiegos rzemiosła.

-Częste Wylegi i wiele jaj to kolejny, niezawodny znak zapowiadający Przejscie - oświadczyła Zulaya, wyraźnie rada, że już wkrótce pemskie smoki zajmą się tym, do czego przystosowali je genetycy. - Słyszales nową piosenkę, nadesłaną z Uniwersytetu?

-Mhm, słyszałem - uśmiechnął się. - Od tej pory przesładuje mnie jej melodia.

-Clisser obiecał, że dziś wieczorem usłyszymy więcej takiej muzyki.

-I nic ponadto? - Paulin zmarszczył brwi. - Prosilismy przecież o urządzenie, dzięki któremu nikt nie wtapilby w zagrożenie, jakie niosą Przejscia.

Zulaya uspokajająco poklepała go po ręce.

-Już niedługo będziesz mógł go spytać, czy praca posuwa się naprzód.

Za ich plecami nagle wyrosł K'vin i niby to mimochodem położył dłoń na ramieniu swej partnerki. Władczy gest przypominał kubek w kubek niedawne zachowanie smoczycy. Paulin zachichotał i oddalił się pospiesznie.

-Niepokoi się o te zabezpieczenia - powiedziała Zulaya, kryjąc rozbawienie zazdrośnym zachowaniem spizowego jeźdźcy.

-Pięknie wyglądasz w tej nowej sukni - wyznał, przyglądając się jej z uwagą.

-Naprawdę? Dziękuję, Kev. - Kokietyrnie poruszyła biodrami, aż tkanina zawirowała. - Dobrze, że mi przypomniales - i podała mu zwój brokatu, bogato ozdobionego purpurowym haftem, który przygotowała na ten Wyleg. - Fredig zaproponował, by we wszystkich Weyrach i Warowniach powiesić gobeliny przedstawiające powrót Czerwonej Gwiazdy, a na obramowaniu umieścić wzory matematyczne. Może wyjść z tego całkiem niebrzydka tkanina.

-Kolory blakną, gobeliny z czasem się rozpadają...

-Wisi u nas jeszcze kilka tkanin, które ozdabiały domy na Ladowisku. Ten pejzaz kosmiczny Ziemi i Księżyca...

-Powiedziano mi, że utkano je syntetyczną nicią, znacznie trwalszą niż nasza bawełna, len czy wełna. A mimo to wyglądają już staro i traca kolory.

-Kaze je wyprac...

-I nici z tego wyjda... o, przepraszam - zasmial sie z przypadkowego skojarzenia.

-... co wcale nie jest moim celem. Kev, nie rozumiem, dlaczego nie mozna by przekazac tego ostrzezenia pod wieloma roznymi postaciami.

-Najlepiej kuc w skale... - Przywodca Weyru spowaznial.

-Skaly tez sie poruszaja.

-Ale dopiero przed samym Przejsciem. Tylko w jaki sposob utwalic te najwazniejsza wiadomosc?

-Za bardzo sie tym przejmujecie. Popatrz wokol siebie - tu Zulaya szerokim gestem ogarnela Wylegarnie i Weyr. - Po co hodowano smoki? Po co tworzone by Weyry, nie majac po temu bardzo waznych powodow? Przeciez to jedyna skuteczna obrona planety.

Nagle zaalarmowal ich dzwiek, bardziej wyczuwalny niz slyszalny. Wydawala go Meranath. Smoczyca uniosla sie na tylnych lapach, rozpostarla szerokie skrzydla, a jej oczy zalsnily jasna zielenia i zaczely wirowac z emocji.

-Ach, zaczyna sie! - usmiechnela sie radosnie jej jezdzczyzni. - Uwielbiam Wylegi!

Przywodcy Weyru, trzymajac sie za rece, pospieszyli do wyjścia i oglosili radosna wiesc. Nie bylo to wlasciwie potrzebne, bo telgarskie smoki takze uslyszaly matczyne gruchanie i odpowiedzialy na nie glebokim, meskim pomrukiem.

Niecka Weyru zapelnila sie podnieconymi smokami, ktore lataly we wszystkich mozliwych kierunkach, nieraz o wlos unikajac zderzenia. Opiekunowie mlodych jezdzcow pomagali kandydatom dotrzec do Wylegarni, dorosli jezdzczy podwozili na gorace piaski przed samym Amfiteatrem rodzicow i przyjaciol, kibicujacych szczesliwym wybrancom. Wszyscy starali sie znalezc dla siebie najlepsze miejsca, by bez przeszkod przygladac sie Naznaczeniu.

K'vin poslal Zulaye z powrotem do legowiska Meranath, by dotrzymywala jej towarzystwa, a sam zapraszal gosci do srodka, po czym zatrzymal sie przy grupce zdenerwowanych, odzianych na bialo kandydatow, ktorzy zatrzymano przy wejściu do chwili, az wszyscy widzowie usadowia sie na miejscach.

-I tak czeka was dlugie stanie na goracym piasku - uspokajal ich T'dam, Mistrz Weyrzatek, czyli opiekun mlodych jezdzcow i smoczat. - Poparzylibyscie sobie w koncu stopy...

Przez caly czas smocze nucenie przybieralo na sile; Meranath towarzyszy chor wszystkich pozostalych smokow, ktore wydawaly tony, jakie Sheledon i inni na prozno starali sie nasladowac. Gardziel smoczycy az wibrowala od piesni, brzmiacej caly czas z rownym nasileniem, jakby krolowej nie potrzebna byla przerwa na zaczerpniecie oddechu. Po chwili zanucila jeszcze glosniej; wtedy jej brzuch i piers rowniez zaczely rezonowac glebokim mruzeniem. K'vin uswiadomil sobie, ze jak zwykle w odpowiedzi na smocza piesn odczuwa platanine emocji: radosc, od ktorej serce niemal wyrwalo sie z piersi, dume, nadzieje, lek, pragnienie - a jego czescia, co dziwne, byl glod, a takze smutek, ktory juz nie raz pobudzal go do placzu. Zulaya zawsze plakala przy Wylegach - lecz uspokajala sie przy Naznaczeniach. Wtedy ogarnial ja szampanski nastroj. Wyraznie udzielalo jej sie zadowolenie krolowej z doboru jezdzcow dla smoczat.

W archiwach Warowni Fort zmagazynowano cale pudla zapelnione rejestrami pierwszych profili psychicznych, analizami wplywu Wylegu najezdzcow, smoki i swiezo Naznaczonych jezdzcow. Miedzy mlodymi partnerami powstawala wszechstronna i gleboka wiedz, nieporownywalna z zadnym innym zwiazkiem, z poczatku wprost oszolamiajaca; najniezwyklejsze przezycie, jakiego do tej pory doswiadczyli mlodzi kandydaci w ciagu calego zycia. Niektorzy z nich bez trudu akceptowali niezwykle gleboki zwiazek, ogarniajacy najintymniejsze sfery zycia, inni zas ulegali zwatpieniu i poczuciu wlasnej malosci. Kazdy Weyr mial wlasne srodki, stosowane w roznym przypadkach. Kandydaci przechodzili staranne szkolenie, a przez pierwsze miesiace po Naznaczeniu otaczano ich troskliwa opieka. Samodzielnosc uzyskiwali dopiero, gdy Przywodcy Weyru i Mistrz Weyrzatek uznali, ze psychika Naznaczonej mlodej osoby ustabilizowala sie i moze ona przyjac odpowiedzialnosc za siebie i smoka.

W koncu jezdziec i smok stawali sie niemal jednym jestestwem, a wiedz miedzy nimi krzepla tak, ze przerwanie jej konczylo sie samobojstwem smoka, ktory stracil partnera. W odwrotnej sytuacji, nieszczesny jezdziec rowniez czesto odbieral sobie zycie. Jesli postanowil pozostac, przez reszte zycia byl cieniem czlowieka, a poczucie ogromnej straty nie opuszczalo go nawet na chwile. Kobiety rzadziej decydowaly sie pojsc w slady zmarlego smoka; mialy przynajmniej mozliwosc ukoic swoj zal macierzynstwem.

Gdy jeszcze male ogniste jaszczurki - ktore dostarczyly inzynierom genetycznym material do stworzenia wielkich smokow - zyly w bliskosci ludzi, osieroceni jezdzczy znajdowali w ich towarzystwie nieco pociechy. Niestety, przez ostatnich piecdziesiat lat znaleziono w lscie tylko trzy jaszczurcze gniazda. Prawdopodobnie wiecej ich bylo na Kontynencie

Poludniowym, ale poszukiwania okazały się bezowocne. Weterynarze doszli do wniosku, że stworzenia na pomocnych ciepłych płazach przetrzebiła jakaś nieznaną zarazę, która zdziesiątkowała żywe osobniki lub zniesione jaja, a może i jedno i drugie. Niezależnie od powodów, jaszczurki ogniste przestały towarzyszyć ludziom.

Gdy większość gości przebyła już pas gorącego piasku, T'dam ustawił kandydatów w luznym kregu wokół jaj. W tym Wylegu zabrakło złotych królewskich jaj, co jednocześnie martwiło i cieszyło Przywódców Weyru. W Telgarze mieszkało już pięć młodych królowych, a to w zupełności wystarczało do utworzenia skrzydła naziemnego. W zasadzie w żadnym z Weyrow nie brakowało królowych, lecz bezpieczniej byłoby mieć dodatkowe matki, by zapewnić ciągłość hodowli.

Pośród kandydatów stała piątka dziewcząt. Powinno być ich sześć, ale rodzina jednej nie zgodziła się oddać jej jeźdźcom podczas Poszukiwania. Argumentowano, że ma już narzeczonego i nie można odwołać danej obietnicy. K'vin przewidywał, że z co najmniej jednej trzeciej jaj, a może nawet z połowy wyklują się zielone smoczyce i miał nadzieję, że wystarczy kandydatów do ich Naznaczenia. Zielone ceniono w Weyrach za szybkość i zreźność, choć były mniej wytrzymałe od większych pobratymców. Podczas walki z Nicmi były jednak najbardziej chimeryczne. Jeśli dosiədali ich mężczyźni, podniecone Opadem często ignorowały rozkazy przywódców Weyru. Krótko mówiąc, niepotrzebnie popisowały się odwagą przed resztą eskadr. Z drugiej strony, jeźdźczynie zielonych, choć bardziej stateczne, zachodziły w ciążę jeśli choć na chwilę zapomniały o środkach zapobiegawczych, gdyż zielone smoczyce były zwykle bardzo aktywne seksualnie. Nawet naturalne poronienia, spowodowane zimnem pomiędzy, wymagały pewnego czasu na rekonwalescencję, więc zielone jeźdźczynie ciągle zwalniano od obowiązków. Eufemizmem "krótka przejazdka na smoku" określano w owych czasach usunięcie niechcianej ciąży. Jednak mimo wszystko, K'vin wolał, by zielone smoczyce Naznaczały kobiety, jeśli tylko odnaleziono podczas Poszukiwania odpowiednie kandydatki.

Smocze nucenie, które Clisser nazywał prenatalną kolysanką, brzmiało już z nieznosną natarczywością. Osiągnęło szczyt, gdy zaczęło pękać pierwsze jajo. Widzowie okazywali zwykle w takich razach podniecenie: podskakiwali, płakali, śpiewali do wtoru smokom, chociaż i oni uspokajali się w miarę, jak smoczeta się Wykluwały.

Zaczęło się. Jednocześnie pękły trzy skorupy, odłamki poleciały na inne jaja, które rozpadły się od uderzeń. K'vin naliczył dziewięć mokrych smoczków, z czego sześć zielonych i uznał, że małych smoczków będzie co najmniej połowa, a nie trzecia część.

Piskleta zaraz po wykluciu były niebezpieczne, rozpaczliwie głodne po długim okresie zamknięcia w skorupie, więc niektórzy z blisko stojących kandydatów pośpiesznie usunęli się im z drogi. Dwie zielone kierowały się do Jule, dziewczynki z Weyru, ale blondynka z Isty, wyróżniająca się inteligencją, podeszła do jednego z pisklat i obie Naznaczyły. Kolejne trzy ruszyły do chłopców, którzy okazywali w Warowniach preferencje homoseksualne. Ostatnia zielona wygramoliła się ze skorupy, stanęła i kolysała głową w przód i w tył, zanosząc się rozpaczliwym płaczem.

Na znak T'dama, otoczyły ją pozostałe dziewczęta. Jakaś brunetka z Isty ruszyła przed siebie i natychmiast piskle dobiegło do niej, cwierkając z ulgą.

K'vin przelknął ślinę, by ukryć wzruszenie; moment wzajemnego rozpoznania zawsze przypominał mu wstrząs, jaki przeżył, gdy Naznaczył Charantha: niewiarygodnie cudowne uczucie stapiania się w jedno z przepelnionym miłością umysłem oraz świadomością, że od tej pory sercem, mózgiem i duszą stanowią nierozdzielalną całość.

I dalej tak jest, prawda? powiedział Charanth głosem zgrubiałym ze wzruszenia na myśl o minionych przeżyciach. Choć siedział razem z pozostałymi smokami z Weyru na skalnej polce pod sufitem, K'vin bez trudu dosłyszał jego westchnienie.

Zulaya uśmiechnęła się do niego, bo odgadła, co się dzieje bardzo przeżywała Wyleg, że po twarzy sypiał jej strumień łez.

K'vin pomyślał, że Isniace ciało Meranath stanowi doskonałe tło dla pięknej nowej sukni, w którą Zulaya ubrała się na tę okazję: czerwien na złocie.

W tym momencie znowu pękło kilkanaście jaj i po całej Wylegarni poniosł się echem przeraźliwy skrzek głodnych smoczków. Płakały przenikliwie. Po spotkaniu z Naznaczonym kandydatem skrzek natychmiast ustawał i zmieniał się w głębokie gruchanie, które szybko ustępowało miejsca zalosnemu popiskiwanemu z głodu. Rozpaczliwe skargi robiły na widzach jeszcze większe wrażenie niż wcześniejsza agresja. Przy takich okazjach K'vin nieodmiennie czuł, że żołądek skreca mu się z głodu, jakby współczując z piskletami.

Podczas Wylegu panuje niespotykany harmider, pomyślał. Na szczęście trwa krótko, gdyż ludzkie bebenki uszne nie wytrzymałyby długo takiego natężenia dźwięku i kakofonii. Pod koniec zawsze czuł się z lekką ogluszony i obolący.

Nagle zdał sobie sprawę, że gdzieś poza piaskiem Wylegarni pojawił się nieznaną, niespokojny ton, zwiastujący

zamieszanie. Przez chwile probowal sprawdzic, co tam sie stalo, ale dostrzegl, ze T'dam ruszyl w strone zbiegowiska. Skoncentrowal sie wiec na ostatnich smoczkach, dwoch brazowych i jednej zielonej. Do zielonej podeszlo dwoch chlopcow o zacietych minach. Piskle jednak zdecydowanie odwrocilo sie od nich i popedzilo w kierunku dziewczynki, ktora wlasnie weszla na piasek. K'vin oniemiał. Przeciez miala byc tylko piatka dziewczat. Prawde mowiac, ucieszyl sie z tej szostej. W dodatku, zielone smoczatko pragnelo wlasnie jej, bo odepchnelo chlopca, ktory chcial zawrocic je z drogi.

W tym momencie na teren Wylegarni weszlo trzech mezczyzn o zagniewanych twarzach, choc T'dam probowal ich trzymac z dala od swiezo Naznaczonej zielonej pary.

-Debero! - huknal pierwszy z intruzow. Sila oderwal dziewczynke od smoczatka.

I to byl jego pierwszy blad, pomyslal K'vin, pedzac przez piaski, by zapobiec wypadkowi. Ach, do licha! Dlaczego brutalnie przerwano te cudowna chwile? Wylegi powinny byc swiete.

Zanim zdazyl dobiec, zielona smoczyca zareagowala na probe oderwania jej od nowo wybranej partnerki. Wyprostowala sie nieco niepewnie na chwiejnych jeszcze tylnych lapach, wysunela pazury i rzucila sie na mezczyzne.

K'vin zdazyl tylko spostrzec przerazenie na jego twarzy i lek dziewczyny, gdy mloda smoczyca powalila natreta na ziemie i rozdziawila paszcze, w ktorej bez trudu zmiescilaby sie jego glowa. T'dam, ktory znalazl sie blizej, skoczyl na ratunek. Dziewczyna, Debera, rowniez probowala odcignac smoka od ojca.

-Ojczy! Ojczy! Morath, prosze zostaw go! Teraz juz mnie nie tknie. Jestem jezdzczyzna smoka. Morath, czy ty mnie slyszysz?

K'vin, choc zaniepokojony, ze mlodziutka zielona Morath mogla juz poranic tego czlowieka, niemal zasmial sie, slyszac stanowczosc w glosie Debery. Dziewczynka instynktownie wybrala wlasciwy sposob postepowania ze swa nowo wykluta podopieczna. Nic dziwnego, ze ja Odszukano... w jakims gospodarstwie, jak widac, nie bardzo odleglym od Weyru. K'vin zajal sie Debera, podczas gdy T'dam wyniosl lezacego mezczyzne z zasiegu smoczycy lap. Towarzysze odcigneli go, ale Morath dalej skrzeczala i rwala sie do walki.

Chcial cie skrzywdzic. Chcial cie na wlasnosc. Ty jestes moja, a ja jestem twoja, i nikt nie moze stac miedzy nami, mowila Morath tak rozpaczliwie, ze slyszeli ja wszyscy jezdzczy.

Zulaya podeszla i pochytila sie, by sprawdzic, jakie rany odniosl ojciec Debery, a potem przywolala medykow, zajetych opatrywaniem drobnych skaleczen i otarc, zwykle zdarzajacych sie w czasie Naznaczenia. Na szczescie Morath jeszcze nie miala prawdziwych szponow, wiec skorzana kamizela nieco oslonila mezczyzne, choc na twarzy i piersi mial szerokie szramy wyorane obnazonymi, miekkimi pazurami.

Wikszosc nowo wyklutych smokow opuscila juz Wylegarnie, spieszac na pierwszy posilek z reki wybranych towarzyszy zycia. Widzowie, schodzac z wyzszych rzadow amfiteatru, rzucali spojrzzenia na rannego. Niewatpliwie beda opowiadac o tym wydarzeniu przy kazdej okazji. K'vin mial tylko nadzieje, ze ich wersje nie okaza sie zanadto przesadzone. Teraz jednak musial zajac sie tym, co wlasnie sie zdarzylo.

-Mozesz powiedziec nam, o co tu chodzi? - spytal Debere, ktora postawiona oko w oko z Przywodcami Weyru nagle ugiela sie pod brzemieniem zwatpienia i wyrzutow sumienia.

-Wybrano mnie w czasie Poszukiwania - powiedziala, nerwowo gladzac Morath, ktora probowala wtulic sie w nia glowka. - Mialam prawo tu przyjsc. Chcialam tu przyjsc. - Wskazala z uraza na lezacego ojca. - A oni nawet nie pokazali mi listu z zaproszeniem. On chce, zebym wyszla za maz, bo zawarł umowe z Borysem w sprawie nowej kopalni, a za to Ganmar mial mnie dostac za zone. A ja nie chce Ganmara i nie interesuje mnie gornictwo. Wybrano mnie w czasie Poszukiwania i do rnie nalezy decyzja - pelne zalu slowa padaly gwaltownie, a na twarzy dziewczyny malowal sie niesmak, uraza i gniew.

-Tak, Debero, przypominam sobie, ze widzialam twoje imie na liscie - powiedziala Zulaya. Ustawila sie nieco za plecami dziewczyny, wyrazajac w ten subtelny sposob swoje poparcie. Nie uszlo to uwagi starszego z dwoch mezczyzn pochylych nad lezacy przyjaciele. - Ty jestes Borys? - spytala, - W takim razie ty musisz byc Ganmar - zwrocila sie do mlodszeo. - Czyzbyście nie wiedzieli, ze Debere wybrano w czasie Poszukiwania?

Ganmar niepewnie spuscil oczy. Zmarszczka na czole Borysa poglebila sie, gdy zazarcie wysunal szczeke.

-Lavel powiedzial mi, ze odmowila.

W tym momencie podszedl do nich Maranis, lekarz Weyru, by obejrzec rannego. Po chwili poslal pomocnika po noszowych i zaczal badac poszkodowanego. Sciagnal podarta kamizelke, az polprzytomny mezczyzna jeknal z bolu.

-Sluchaj, Borysie! - Zulaya byla uosobieniem surowosci. - Jak widac zdajesz sobie sprawe, ze Debera ma prawo...

-Wy, ludzie z Weyrow ciagle to powtarzacie. Ale to my cierpimy z powodu tego, co nazywacie "prawem".

-W dalszym ciagu powodujesz zamieszanie, Borysie? - spytal Tashvi, podchodzac do nich wraz z Salda.

-Dales zgode, Tashvi. - Borys nie wysilal sie na uprzejmosci w stosunku do Lorda swojej Warowni. - Powiedziales, ze mozemy zalozyc te nowa kopalnie. Cieszyles sie, ze ide z synem do tej roboty. A Lavel chcial, zeby Ganmar wzial sobie jego corke...

-Tylko ze, jak sie wydaje, corka nie za bardzo go chciala - zauwazyła Lady Salda.

-Chciala, chciala, nieprawdaz, Deb? - Borys rzucil dziewczynie gniewne, oskarzycielskie spojrzenie. Debera w odpowiedzi dumnie uniosla podbrodek.

-Odmienilo jej sie gdy przybyli ludzie z Weyru na Poszukiwania...

-Poszukiwania sa wazniejsze - odparl Tashvi. - I ty, Borysie, o tym wiesz.

-Wszystko juz mielismy umowione - odezwal sie ojciec, gdy Maranis wtarl mu w rany balsam z mrocznika kojacego bol. - Mielismy umowe jak sie patrzy! - Spojrzenie, ktore rzucil corce, bylo pelne wscieklosci i gorzkiej urazy.

-Tak, rzeczywiscie wszystko juz umowiliscie - odparla Debera z rowna gorycza - ale tylko miedzy soba, bez mojego udzialu, nawet jeszcze przed Poszukiwaniem!

Gniewna odpowiedz przerwal zalosny pisk Morath.

-Jest glodna. Musze ja nakarmic. Chodzmy stad - poprosila o wiele bardziej serdecznym tonem i nie obejrzawszy sie ani razu, wyprowadzila zielona smoczyce z Wylegami.

-Zdaje sie, ze ta umowa miala calkiem spore niedociagniecia - skomentowal Tashvi.

-Wszystko bylo dobrze - odpowiedzial Lavel, wygrazajac piescia jezdzcem - poki oni nie przyszli i nie zaczeli zawracac glowy dziewczynie. Przedtem byla spokojna, ciezko pracowala i zawsze sluchala ojca. A panowie jezdzczy powiedzieli jej, ze nadaje sie dla smokow. Nadaje sie! Ja dobrze wiem, co panowie jezdzczy wyprawiaja, a Debera to dobra dziewczyna. Nie taka, jak wy...

-Wystarczy tych bzdur - obrazona Zulaya wyprostowala sie gwaltownie.

-Tak, dosc! - Tashvi gniewnie zmarszczyl brwi. - Wlaczyni Weyru na pewno zrozumie, ze nie jestes soba, czlowieku, odniosles rane i...

-Rana nie ma nic wspolnego z moim slusznym gniewem, Lordzie Warowni. Prawda jest, ze wszystko zesmy miedzy soba umowili, a ty powinienes broniec swoich ludzi, a nie tych z Weyru i ich podlych obyczajow i sztuczek, co teraz beda je probowac na mojej biednej coreczce - tu zalal sie lzami z bezsilnego gniewu raczej niz z bolu, gdyz znieczulenie dzialalo juz z pelna moca. - Dobra dziewczyna z niej byla, poki do niej nie przyszli. Dobra, posluszna dziewczyna!

Tashvi stanowczym gestem polecil noszowym, by zabrali mezczyzne z Wylegami, po czym odwrocil sie do Przywocow Weyru.

-Rzeczywiscie zgodzilem sie, by Borys i Ganmar zostali wlascicielami nowej kopalni, ale nie mialem pojecia, ze Lavel tez jest w to wplatany. Ten czlowiek od samego poczatku sprawia mi klopoty - powiedzial, nieswiadomie przestepujac z nogi na noge na goracym piasku.

Zulaya skinela reka, zapraszajac ich do wyjscia z Wylegami. Mimo dodatkowej wkladki, ktora rano wlozyla sobie do butow, piasek j a parzyl, a Tashvi mial tylko lekkie mokasyny.

-Nie mysl tylko, ze on nie ma innych corek - dodala Salda, biorac meza pod reke, by szedl szybciej. - Ma ponad tuzin dzieci i wlasnie wzial sobie druga zone. Jak tak dalej pojdzie, cala rodzina zagarnie dosc ziemi, zeby zalozyc wlasna Warownie, tyle ze nikt o zdrowych zmyslach nie odda sie pod opieke takiego Lorda.

Zatrzymali sie na chwile u wyjscia z Wylegarni. K'vin i Zulaya instynktownie staneli w miejscu, skad mogli miec na oku nowo wyklute smoczeta, ktore z pomoca jezdzcow objadaly sie kawalkami miesa, pokrojonymi i ulozoneymi w wielkich

stosach, by ułatwić pierwsze karmienie.

Przypadek Debery był nietypowy. Większość rodzin radoła się, gdy wybrano ich dziecko podczas Poszukiwania. Oprócz prestiżu dla całego rodu, jeździec przynosił rodzinie także namacalne korzyści, w razie potrzeby przewozić ludzi i towary na grzbiecie swego smoka.

Zjadliwa krytyka życia Weyrow, która usłyszeli z ust Lavela, przysięgła Przywódców Weyru i Lordów Warowni. To prawda, że w Weyrach panowały specyficzne obyczaje, gdyż jeźdźcy musieli dostosować się do potrzeb smoków, lecz bynajmniej nikogo nie zachęcano do rozwiązania. Wręcz przeciwnie, ściśle przestrzegano praw. Wprawdzie jeźdźców nie wiązały pisemne kontrakty małżeńskie jednak żaden mężczyzna nie śmiał złamać słowa danego swojej partnerce, albo unikać łożenia na dziecko. Bardzo niewiele dzieci urodzonych w Weyrach po osiągnięciu dojrzałości, nawet jeśli nie było im dane Naznaczyć, przenosiło się do dziadków w Warowniach.

W Głównej Jaskini rozpoczęła się już zabawa. Muzycy zagraли wesolą melodię, odzwierciedlającą radość z udanego Wylegu. Nowi jeźdźcy jeszcze karmili swoich podopiecznych, lub odprowadzali ich do kwater w pomieszczeniach Weyrzatek. Dopiero gdy najedzone smoczki zasnęły, mogli przyłączyć się do swoich krewnych.

Zulaya zastanawiała się, czy nie powinna przypomnieć Lavelowi o tym, że młode jeźdźczynie i jeźdźcy mieszkali w osobnych budynkach. Gospodarz wyraźnie nie zdawał sobie sprawy, ile troski wymaga młody smok. Młodzieńcy jeźdźcy zwykle padali wieczorem na łożka jak nieżywi, marząc jedynie o odpoczynku. Rano zaś opiekun musiał wyciągać ich z poscieli, bo zwykle spali twardo, nie słysząc narzekan głodnych smoczków.

Ten młody człowiek, Ganmar, stał chmurny i wyraźnie czuł się nieswojo. Zulaya bardzo wąpiła, by niespodziewane wydarzenia zламаły mu serce. Naturalnie, ciężko pracował wraz z ojcem przy budowie nowego gospodarstwa, więc ładna dziewczyna w łożku co noc byłaby pewną rekompensatą.

-Ja zaś chciałabym wiedzieć - mówiła Salda - dlaczego Debera dojechała tu tak późno, sama i niewatpliwie scigana. Naturalnie zdajecie sobie sprawę - Zulaya bardzo dobrze знаła surowy wyraz oczu Saldy - że nam, Lordowi Tashviemu i mnie, nie spodoba się, że dziewczynie próbowano odebrać prawa gospodarskie.

-Gospodarskie? - parsknął Lavel i jęknął, gdy nierozsądny ruch sprawił mu ból. - Teraz nie będzie miała żadnego gospodarstwa! Jest dla nas na zawsze stracona.

-A ty nie masz żadnych szans, by wsadzić sobie do kieszeni przysługujący jej udział w ziemi, co? - odparowała Salda z fałszywym współczuciem. Lavel warknął i próbował się od niej odwrócić. - I tak zagarniesz więcej, niż przeciętny gospodarz. Mam nadzieję, że Gisa jeszcze czuje się dobrze? Czy może już zrobiła jej następne dziecko? Wykonczysz ją tak samo jak Mille. Niestety, niektóre kobiety są tak głupie, że kusi je twoja stale rosnąca posiadłość ziemską. Tfu - odwróciła się od niego z niesmakiem. - Zabierzcie mi go z oczu. Jego obecność mnie obraża. I psuje radosną atmosferę.

-Nie odniósł aż tak poważnych ran, by przeszkodziły mu w podróży - usłusznie wtracił się lekarz.

-W podróży? - wykrzyknął Borys z udawanym przerażeniem i spojrzał w kierunku Nizszej Jaskini, gdzie podawano pieczen.

-Może znaleźć mu jakieś miejsce na nocleg - zaproponował z wahaniem Maranis.

W tym momencie jednak czwórka młodych jeźdźców podprowadziła konie gości, które schwytali podczas rozmowy dorosłych.

-Oto wasze podjezdki, Borys - rzekła Zulaya. - Nie będziemy opóźniać waszego wyjazdu. Bez trudu dotrzecie do domu przed zmrokiem. Maranis, podaj Lavelowi trochę soku fellisowego, by znieczulić go na czas jazdy. Chodźmy, K'vinie, już od dawna powinniśmy składać gratulacje szczęśliwym rodzicom.

Wzięła pod ramię K'vina, a z drugiej strony Lady Salde, i poprowadziła ich na przeciwną stronę Niecki.

-Powiedziałabym, że mieliśmy bardzo udany Wyleg - zaczęła rozmowę, nie zaszczycając odprawionych gospodarzy nawet jednym spojrzeniem. - Dziewiętnaście zielonych, piętnaście niebieskich, jedenastu brunatnych i siedem szpizowych. Coraz bardziej jestem przekonana, że smoki z każdym kolejnym Wylegiem są nieco większe.

-Smoki przecież jeszcze nie osiągnęły maksymalnych rozmiarów - podjął wątek K'vin. - Wątpię, by stało to się za naszego życia.

-Chyba i tak są już wystarczająco duże? - Salda rozwarła szeroko oczy. Zulaya roześmiała się. - Ach, nie, ale już są o

wiele dloni większe niż ich przodkowie, którzy pierwsi walczyli z Nicmi. Ich wzrost z pewnością ułatwi nam zadanie.

-Tak, a wy wiecie, czego się spodziewać. - Tashvi kiwnął głową z aprobatą.

Zulaya i K'vin wymienili krótkie spojrzenie. Dobrze by było, gdyby rzeczywiście wszystko okazało się zgodne z oczekiwaniami i nie przytrafiły się żadne niemiłe niespodzianki, mówiły ich oczy.

-Ano coż, i w tym mamy przewagę nad praszczurami - odpowiedział K'vin stanowczo.

Zulaya lekko uściśliła jego ramię, potem je puściła i podeszła do pierwszego stołu, gdzie siedziały rodziny dwóch nowych brunatnych jeźdźców. K'vin odprowadził Salde i Tashviego do honorowego stołu i obiecał, że wraz z Zulaya dotrzymają im towarzystwa, gdy tylko wypełnią miły obowiązek zamienienia kilku słów z rodzicami nowych jeźdźców. Skierował się ku przeciwnej ścianie obszernej jaskini i w myśli założył się sam ze sobą o pewną drobnostkę.

Przy czwartym stoliku wygrał zakład. Wiadomość o niezwykłym Naznaczeniu ostatniej zielonej smoczycy już obiegła zgromadzonych.

-Czy to prawda - spytała jakaś gospodyni, matka spizowego jeźdźcy - że ta dziewczynka musiała uciekać z domu? - Kobieta była wstrząsnęta, podobnie jak inni przy jej stoliku.

-Dotarła tu na czas, a to najważniejsze. - K'vin gładko uniknął niewygodnych wyjaśnień.

-Co by się stało, gdyby nie przyjechała? - spytała zarliwie jedna z dziewcząt. - Czy smok by...

Przerwała nagle. K'vin odgadł, że ktoś kopnął ją w kostkę pod stołem.

-Nic takiego. Na pewno widziałas, ilu chętnych chłopców otoczyło smoczka - powiedział, by zamaskować niezręczną pauzę. - Malenka smoczycą wybrałaby któregoś z nich.

Ale to nie była prawda. Właśnie po to, żeby uniknąć podobnych sytuacji, każdy Weyr starał się, aby do Naznaczenia przystąpiło jak najwięcej kandydatów. W przeszłości odnotowano pięć przypadków, gdy smocze piskle nie znalazło osoby o odpowiedniej psychice. Za każdym razem śmierć malenstw doprowadzała cały Weyr niemal do załamania i od tej pory ze wszystkich sił starano się nie dopuszczać do takiej sytuacji. Zgadzano się nawet, by smoczeta Naznaczały widzów.

Zdarzały się również nie wykłute jaja. W dawnych czasach, gdy były jeszcze dostępne środki techniczne, dokonywano sekcji zwłok, by zbadać przyczynę. W większości zanotowanych przypadków była to dysfunkcja żółtka albo deformacja płodu, które i tak uniemożliwiłyby smoczeciu przeżycie Wylegu. Jednakże w trzech przypadkach nie rozpoznano przyczyny zgonu, a płod był idealnie zdrowy, bez widocznych deformacji i niedorozwoju. Z pokolenia na pokolenie przekazywano radę, by takie jaja natychmiast pozostawiać pomiędzy; ten smutny obowiązek wypełniali zwykle Przywódca Weyru i jego spizowy smok.

-Widziałam, jak nadjeżdża i jak tamci chcą ją zatrzymać - powiedziała dziewczynka, zachwycona, że znalazła kolejnego słuchacza.

-A zatem siedziałas na najlepszym miejscu w całym amfiteatrze - uśmiechnął się K'vin.

Dziewczynka z urazu popatrzyła na pozostałych członków rodziny.

-Właśnie, że tak! Widziałam wszystko! Nawet to, że młody smok chciał kogoś zjeść. Czy to był jej ojciec?

-Suze, dość tego - skarcił ją ojciec, a siedzący obok brat chyba ją uszczypnął, bo wyprostowała się gwałtownie i rzuciła mu gniewne spojrzenie.

-Tak, to był jej ojciec - odparł K'vin.

-Nie zdawał sobie sprawy, na co się naraza uderzając jeźdźcy? - spytał ojciec Suze, wyraźnie wstrząsnęty zachowaniem napastnika.

-Zdał sobie sprawę, lecz po niewczasie - odrzekł sucho K'vin, obserwując zaskoczenie na twarzy dziewczynki. - Powiedz mi, przyjacielu, jakie twój syn - tu Charanth, jak zwykle, podpowiedział imię chłopca tak przedko, że przerwa była niemal niezauważalna - Thomas, wybrał sobie jeździeckie imię?

-Chłopiec w najsmielszych snach nie przypuszczał, że Naznaczy - powiedziała matka. Na jej twarzy malowała się duma

ze skromnosci syna i radosc z jego sukcesu.

-Nigdy nie lubil swojego imienia - wtracila nieujarzmiona Suze. - Wybierze sobie calkiem nowe - rzucila rodzicom pogardliwe spojrzeie spod oka.

-A oto i on, jesli sie nie myle. - K'vin wskazal chlopca, zmierzajacego w ich strone po kamiennej posadzce grotu. Przywodca Weyru pouczal kandydatow o obowiazkach jezdzcow wzgledem smokow, i zdazyl poznac czesc z nich. Thomas, czy jak mu tam, byl bardzo podobny do siostry i brata, wiec latwo go bylo rozpoznac. K'vin mial nadzieje, ze jedynie z twarzy przypomina te mala zlosnice.

-Dobra robota, mlody czlowieku - powiedzial, wyciagajac reke. - Jak bedziesz sie od tej pory nazywac?

-S'mon, panie - odparl chlopiec, w dalszym ciagu zarumieniony z emocji. Odwzajemnil sie mocnym, stanowczym usciskiem dloni. - Zastanawialem sie nad T'omem, ale nigdy specjalnie nie lubilem tego imienia.

-A mowiles, ze... - Suze wyraznie zarobila kolejnego kopniaka pod stolem, bo az pisnela i lzy stanely jej w oczach.

-Latwiej to wymowic - stwierdzil S'mon. - Tiabethowi tez sie podoba - dodal tym chwytajacym za serce tonem, w ktorym duma przeplatala sie z radoscia posiadacza, tak typowym dla mlodych jezdzcow, przyzwyczajajacych sie do nowych warunkow i obowiazkow. - A w dodatku byl juz jeden T'mas, w pierwszej bendenskiej grupie jezdzcow.

-Od dawna nie zyje. - Ojciec me byl zachwycony wyborem. - w naszej rodzinie zawsze ktorys z synow nosi to imie. Ja tez nazywam sie Thomas, dziewiaty z kolei.

Chlopiec spojrzal na ojca z pewna wyzszoscia i niezalezoscia, wlasciwa dla wszystkich weyrzatek, jakby chcial powiedziec: "od dzisiaz nie bedziesz mnie pouczal", albo "to moja sprawa, tato. I tak bys tego nie zrozumial".

-Za Tiabetha i S'mona! - K'vin uniosl kieliszek, który niosl ze soba od stolu do stolu i wypil zdrowie smoczycy partnerow. Pozostali pospieszyl w jego slady. - Jedz, S'monie. Teraz nie tak latwo ci bedzie znalezc czas, by najesc sie do syta - dodal i zostawil chlopca z rodzina, by skorzystal z zyczliwej rady.

Przy kolejnych stolach slyszal coraz ciekawsze plotki dotyczace spoznionego przybycia Debery. Juz zaczeto koloryzowac wydarzenie: wedlug jednej z wersji, dziewczynka zostawila ojca, który wykrwawil sie na smierc. Inni opowiadali, ze to Debera odmowila udzialu w Naznaczeniu, ale rodzina zmusila ja do wyjscia na piaski Wylegarni. Jednak to mloda Suze miala najlepsze miejsce w amfiteatrze, bo choc siedziala z daleka od areny i nie widziala Naznaczen, nikt jej nie zaslaniat tego, co sie dzieje na zewnatrz. Dzieki temu K'vin mogl podac swoja wersje wydarzen i nie dopuscic, by plotki wymknely sie spod kontroli. Na szczescie muzyka i slowa pieszni pochlanialy uwage zebranych. Prawie wszystkie utwory byly nowe. Artysci Clissera rzeczywiscie wykonali kawal dobrej roboty.

Staral sie, by nie dolewano mu wina zbyt czesto i przegrzyl pieczenia z whera i wolu obowiazkowe toasty za zdrowie mlodych jezdzcow.

Obszedl juz prawie wszystkie stoly, gdy zauwazyl, ze jacys gospodarze z Telgaru razem z T'damem prowadza Debere do glownego stolu. Salda i Tashvi wstali i podeszli do niej. Debera nadal miala nieprzytomny wyraz twarzy. Sploszona, rozgladala sie po zatloczonej jaskini. Ktos odzial ja w zielona suknie, która uwydatniala kragle, kobiece ksztalty jej ciala. Gleboka jasna zielen podkreslala piekna cere dziewczyny i krecone, brazowe wlosy, teraz juz starannie uczesane, a nie zwisajace w strakach wokol spoconej, przerazonej twarzy. Niewatpliwie gospodynini Weyru, Tisha, miala znaczacy udzial w tej przemianie. Zulaya kiedys powiedziala, ze Tisha traktuje wszystkie dziewczeta z Weyru jak zywe lalki, tak lubi je przebierac i czesac. Choc Tisha miala wlasne dzieci, gleboki macierzynski instynkt kazal jej sie opiekowac cala mlodziem, z wielkim pozytkiem dla Weyru.

Salda otoczyla Debere ramieniem i pochylila glowe, gdyz dziewczynka byla od niej nizsza. Rozmawiala z nia zywo, wyraznie chcac zadoscuczynic mlodej jezdzczyni za nieobecność rodziny na uczcie, która zwykle byla radosnym wydarzeniem w zyciu gospodarzy czy tez rzemieslnikow. Czy to bylo ostatnie spotkanie Debery z rodzina? Malo wazne; teraz nalezy do wielkiej rodziny Weyru, do smoczego bractwa, i znajdzie sobie milszych i blizszych przyjaciol.

Zulaya przedstawila Debere Sarrze, dziewczynie z lsty o wyplowialych na sloncu blond wlosach, która opowiadala cos z takim ferworem, ze na twarzy Debery pojawil sie usmiech, przelotny, lecz w opinii K'vina znamionujacy rosnaca pewnosc siebie.

-Morath grzecznie zasnela? - spytal, podchodzac do kobiet.

-Myslalam, ze nigdy nie przestanie jesc - odpowiedziala Debera, marszczac niespokojnie brwi. Suknia pieknie podkresla

zielen jej oczu, ocenil K'vin. Tisha doskonale sie sprawila.

-Och tak, to straszne zarloki - rozesmiala sie serdecznie Zulaya. - Tak samo, jak ja. Siadajmy, bo nic dla nas nie zostawia.

Salda prychnela zabawnie i usmiechnela sie do Debery.

-Niemozliwe. Od tygodnia przysylamy wam najtlusciejsze cieleta ze wszystkich stad- gestem przekazala K'vinowi opieke nad Debera i zwrocila sie do niej: - Jedno jest pewne, dziewczyno: tutaj w Telgarze, na pewno bedziesz jadac lepsze kawalki miesa niz w domu. I w dodatku to nie ty bedziesz gotowac.

Bezceremonialnosc Saldy tak wyraznie zbila dziewczyne z tropu, ze K'vin ujal ja za reke i podprowadzil do schodow wiodacych na plyte skalna, gdzie ustawiono stol.

-Debero, bedziesz tu bardzo szczesliwa ze swoja przyjaciolka Morath - powiedzial lagodnie.

Twarz dziewczynki natychmiast zlagodniala i pojasniala z radosci, a do oczu naplynely lzy. Bezbronny zachwyty, malujacy sie w jej oczach, tak wzruszył Przywodce Weyru, ze potknal sie, idac za nia po schodach.

-Ona jest dla mnie kims wiecej niz przyjaciolka - odpowiedz brzmiala bardziej jak modlitwa lub zwykle stwierdzenie faktu.

-Chodz, siadaj ze mna - zawolala Zulaya. Odsunela krzesla i zaprosila gestem K'vina na dalsze miejsce. Nie siedzieli, jak zwykle, posrodku biesiadnikow, lecz szybka wymiana spojrzeń z Salda i Tashvim sprawila, ze lordowska para Warowni zajela miejsca obok, jakby nigdy nic. - Posluchaj tej melodii. Jaka piekna... - dodala, przechylajac glowe. Po pierwszych taktach muzyki, roznej, choc nie bojowej, w ogromnej jaskini zamilkly wszystkie rozmowy.

-A co za slowa... - oczy zasluchanej Saldy rozszerzyly sie ze zdziwienia i zachwyty. Gdy jej maz chcial cos powiedziec, uciszyla go w pol slowa.

K'vin rowniez sluchal, uradowany.

Sheledon, ktory uparl sie, aby czesc nowych utworow wykonac po raz pierwszy podczas Naznaczenia w Telgarze, byl bardzo zadowolony, ze ucichly rozmowy i wszyscy sie zasluchali. Teraz nadszedl czas, by uderzyc w wielki dzwon. Gdy tylko skonczyli kode piesni, ktora Jemmy nazwal "Smocza milosc", polozyl na stojaku nuty "Ballady o Powinnosciach" i wskazal je swej zonie, sopranistce, ktora miala spiewac partie chlopiecego dyszkantu. Nie znalezli jeszcze chlopca z odpowiednim sopranowym glosem, ale Sydra potrafila rozjasnic ton na tyle, by osiagnac potrzebny efekt. Na sygnal Sheledona Bethany odegrala na flecie czarujacy wstep, a Sydra wstala i rozpoczela swoja partie.

Nie mieli dosc wyszkolonych glosow, by rzeczywiscie zauroczyc publicznosc Ballada. Sheledon slyszal w myslach, jak zabrzmialaby w wykonaniu pelnego choru, lecz doskonala akustyka jaskini bardzo im pomogla. Utwor rzeczywiscie chwytal za serce. W glosie Sydry dzwieczala mlodosc i autentyczne zauroczenie... Z kolei Gollagee odspiewal cudownym tenorem partie smoczego jezdzca, Sheledonowi tez niezle udala sie partia barytonu, a potem nastapil final, w wykonaniu altu Bethany, kontrapunktowanego chorem spiewakow z Weyru.

Na ulamek sekundy zapanowala kompletna cisza, tak mila sercu kazdego wykonawcy, a potem wszyscy zerwali sie na nogi i zaczeli bic brawo, krzyzcac i tupac z zachwyty. Nawet smoki, porwane zapalem jezdzcow, przylaczyly sie do ogolnego entuzjazmu. Sydra klaniala sie bez przerwy i zachecala pozostalych, by wstawali i przyjmowali owacje. Nawet Bethany wstala, a po jej policzku stoczylo sie kilka lez, wywolanych wspanialym, zgodnym odbiorem piesni.

Bisowali Ballade piec razy, a pod koniec wszyscy umieli jej juz refren na pamiec i przylaczali sie do spiewakow. Gdy Sheledon niechetnie odmowil szostego bisu, zaczeto wywoływac "Smocza milosc", piesn jakby stworzona na ten wieczor.

Fantastyczny debiut, pomyslal Sheledon, obserwujac rozesmiana twarz Sydry. Jemmy przeszedl sam siebie, a Clisser bedzie w siedmym niebie. Moze rektor ma racje i trzeba sie zabrac za przekształcenie szkolnictwa? Uczniowie rzeczywiscie nie powinni tracic czasu na zdobywanie bezuzytecznej wiedzy, lecz od razu poznawac Prawdziwy Sens Zycia.

Rozdzial IV

Weyr Telgar i Uniwersytet

Wladczyni Weyru Zulaya zauwazyla, ze Debera jest coraz bardziej zdenerwowana.-Wracaj do Morath, kochanie. Jestes wyczerpana i musisz sie wyspac.

-Dziękuję, pani...

-Tu w Weyrze, nie używamy tytułów - nauczyła ją Zulaya. - Zmykaj. Masz moje pozwolenie, jeśli to na nie tak grzecznie czekasz.

Debera wyszeptala podziękowanie i wstała, pragnąc wymknąć się z sali niepostrzeżenie. Wydawała się sobie okropnie niezgrabna i nieobyta towarzysko, choć wszyscy, nawet Lord i Pani Warowni, byli dla niej tak niesłychanie dobrzy i mili. Myślała, że będzie trzeba im się długo tłumaczyć z niezwyklego zachowania, tymczasem oni natychmiast stanęli po jej stronie. Naprawdę czuła, że jakby jej prawdziwe życie zaczęło się w chwili, gdy napotkała spojrzenie Morath.

I tak było rzeczywiście, uznała, wędrując wzdłuż groty ze spuszczoną głową, by nie napotkać niczyjego wzroku. Ale wszyscy mijani ludzie tylko uśmiechali się do niej i byli bardzo uprzejmi. Nie zauważyła wcale wszeteczności, która zdaniem jej ojca przenikała cały Weyr.

Ojciec naopowiadał jej dużo różnych rzeczy. A o innych nawet nie wspomniał. Na przykład o tym, że do domu przyszło oficjalne zawiadomienie o wynikach Poszukiwania, opatrzone jej nazwiskiem i zawierające datę Wylegu, żeby wiedziała, kiedy ma się stawić.

Nie, ten list musiała znaleźć sama, wcisnięty na polkę w kredensie, gdzie przechowywano papier do ponownego użytku. Nikt w gospodarstwie Balan, a już szczególnie ojciec i macocha, nie wyrzuciłby całej karty papieru, zapisanego tylko po jednej stronie, a więc nadającego się do ponownego użytku. Ach, jakże ona nienawidziła tego zwrotu! Ponowny użytek, przetwarzanie, przerabianie. Ta mania opanowała każdy aspekt życia na farmie. A przecież nie byli ubodzy w sensie materialnym. Niektórym gospodarzom wiodło się o wiele gorzej. Jednak od śmierci matki wszystkich trapiło większe nieszczęście: ubóstwo duchowe.

Znalazła list przypadkiem, szukając czegoś innego. Nie mieli kalendarza, ale było oczywiste, że dokument leży już od dłuższego czasu, może nawet od tygodni, bo był poplamiony i musiał być wielokrotnie rozkładany i składany. Zgodziła się na małżeństwo z Ganmarem, bo miała dość życia na ojcowskiej farmie. Wiedziała, że czeka ją praca, może jeszcze cięższa niż w domu, przy budowie nowej siedziby, która trzeba będzie wykuc w skalach nad kopalnią, ale nowy dom przynajmniej stanie się jej własnością - i Ganmara - i będzie mogła go urządzić po swojemu. Nie wierzyła bynajmniej w szalone, nierealne obietnice Ganmara i Borysa. Potrzebowali tylko silnej kobiety, zdolnej do ciężkiej pracy.

Poprzedniego dnia jednak widziała na niebie wiele smoków, przeważnie z pasażerami. Gospodarstwo Balan leżało niedaleko od Weyru Telgar, nawet jeśli chciało się podróżować konno. Więc gdy tylko przeczytała wiadomość, miała już gotowy plan i nie wahała się ani chwili. Wybrano ją podczas Poszukiwania. Ma prawo tam jechać. Życie w Weyrze na pewno nie jest gorsze niż harówka na farmie. A gdyby została jeźdźczynią...

Wsadziła list do kieszeni na biodrze i zatrzasnęła drzwiczki kredensu. Była sama w kuchni, zalanej słonecznym blaskiem. Jasne światło umocniło powzięte postanowienie. Nawet nie wrocila do pokoju, który dzieliła z trzema przyrodnimi siostrami. Złapała kurtkę i ruszyła na pastwisko, gdzie trzymano konie pod wierzch. Na podwórku nie było nikogo; wszyscy pracowali poza obocem. Przy śniadaniu każdemu wyznaczano zadania i trzeba było pokazać ojcu ukończoną pracę. W przeciwnym razie nie dostawało się południowego posiłku.

Nie śmiała iść do stodoły po siodło i uzdę, bo starsi bracia przekładali tam siano, gdyż za pierwszym razem nie dość przyłożyli się do pracy. Złapała tylko rzemień. Kantar wystarczy do powodowania koniem osobie, która jeździ tak dobrze jak ona.

Najszybszy będzie Bilwil. Południowy posiłek zacznie się pewnie za jakieś trzy godziny i dopiero wtedy zauważy jej nieobecność, zaś ona będzie już dojeżdżała do Weyru.

Spojrzała przez ramię, by sprawdzić, czy ktoś jej nie obserwuje, a potem szybkim krokiem poszła na pastwisko, jakby miała tam do zrobienia coś pilnego. Bilwil pasł się niedaleko miejsca, gdzie przeskoczyła przez płot - brama była za blisko warzywnika, w którym dwie przyrodnie siostry wyrwały zielsko. Ach, byłyby zachwycone, mogąc donieść swojej matce albo ojcu, że Debera się leni. Dwaj bracia pracowali w stodole, następna dwójka poszła z ojcem do lasu, a matka robiła sery w mleczarni. Debera mella pszenice na maki, gdy pekała złączka. Właśnie dlatego zajrzała do kredensu. Szukała jakiegos gwoździa, by naprawić zarna i dalej pracować. Tak więc Gisa nie od razu zaalarmuje pozostałych; jeśli nie zmiela maki, nie będzie chleba, a Gisa, będąc w ciąży, nie zechce sama obracać ciężkiego kamienia.

Bilwil zarzał cicho, gdy podeszła i schwytała go za grzywe. Poprzedniego dnia nikt nie zatroszczył się, by go wyczesać i sierść miał sklejoną potem po ciężkiej pracy przy zwoźce drzewa. Może wziąć innego? Ale Bilwil opuścił leń, czekając, aż włoży mu do pyska rzemień. Nie mogła ryzykować poscigu po całym pastwisku za innym, wypoczętym, i mniej skłonny do współpracy wierzchowcem, więc skreśliła rzemień wokół jego dolnej szczęki, złapała go za grzywe i skoczyła na grzbiet.

Czy jutro będzie dosiadać smoczego grzbietu? Położyła się płasko na konskiej szyi na wypadek, gdyby ktoś przypadkiem spojrzal na pastwisko, i kolanami skierowała zwierzę naprzód, w stronę lasu.

Gdy dojeżdżała do splatanego zywoplotu na granicy posiadłości, po raz ostatni popatrzyła na budynki gospodarstwa, okna wykute w litej skale, nierówne wejście do pomieszczeń mieszkalnych i szerokie wrota do stajni i obor. Ani żywego ducha.

-Jazda, Bilwil, zabieramy się stąd - mruknęła, uderzyła go piętami w boki, by ostro zaklusował i skierowała się do plotu, tam, gdzie po drugiej stronie prowadziła lesna ścieżka.

Na szczęście koni lubił skoki, bo dała mu bardzo mało miejsca do wybicia. Mimo to zrecznie przefrunął nad plotem i wsparł się na przedniej lewej nodze, obracając się w prawo przy ladowaniu w odpowiedzi na pociągnięcie wodzami i ucisk pięt. W jednej chwili znaleźli się między drzewami i szybko dotarli do drożki. Raz spróbował zawrócić w lewo, do domu, ale wymierzyła mu ostrego kopniaka i ruszył na prawo. Oddalili się od gospodarstwa tak bardzo, że do rodziny nie dotarłby tetent kopyt, chyba, żeby ktoś przyłożył ucho do ziemi, co było całkiem nieprawdopodobne. Wszyscy pewnie szukali jej w pomieszczeniu z zarnami, a ona już gdzie indziej zostawiała tropy. Uśmiechnęła się, choć w dalszym ciągu groził jej pościg.

Gdy ścieżka zmieniła się w lesny trakt, pusiła Bilwila klusem, radując się jedyną czynnością, która sprawiała jej przyjemność.

Kilka razy zatrzymywała się, by dać odpoczynek własnym i konskim mięśniom, a także spróbować późnych jagód. Szkoda, że nie zabrala na drogę resztek sera ze śniadania, albo choćby kilku jabłek.

Dopiero pod samym Weyrem Telgar zorientowała się, że ja scigają, bo wypatrzyła na drodze trzech jeźdźców. Mogli to być goście zaproszeni na Wyleg, lecz woliała wziąć pod uwagę najgorszą możliwość. Być może jeden z nich to ojciec, a pozostali dwaj to Borys i Ganmar. Musiała dotrzeć do bezpiecznego Weyru, zanim ją dopadną. Jak udało im się ją doścignąć w tak krótkim czasie? Czyżby ktoś ją mimo wszystko dostrzegł i pobiegł zawiadomić Lavela?

W najcięższej ścianie telgarskiego krateru wykuto długi, oświetlony zarnami tunel dla ruchu naziemnego. Bilwil był zmęczony po wspinaczce i wczorajszej ciężkiej pracy. Wydawało jej się, że słyszy męskie głosy i zmusiła wierzchowca do strudzonego truchtu. Choć zachęcała go bebnieniem pięt po zebrach, nie mógł już iść szybciej. Potem usłyszała nucenie, od którego wibrowały wszystkie ściany wokół. Wiedziała, co to oznacza. Krzyknęła rozpaczliwie.

Mimo wszystkich poświęceń, jest za późno, nie pozostał ani jeden smok do Naznaczenia... choć przecież ją wybrano. Jak teraz wrócić do domu? O nie, nic z tego. Znała swoje prawa. Zwrocono na nią uwagę w czasie Poszukiwan. Mogła pozostać w Weyrze do następnego Wylegu. Wszystko, tylko nie wracać do tego, co pozostawiła za sobą. Malzeństwo z Ganmarem nic by nie zmieniło, choć od początku starała się ustawić związek z młodym gornikiem na właściwej płaszczyźnie. Był bardzo przystojny. Matka mówiła jej, że są różne sposoby na kierowanie mężczyzną tak, by nie zdawał sobie z tego sprawy. Niestety jej matka, Mila, umarła, zanim zdążyła podzielić się z nią swoją wiedzą. A Gisa, która chyba porzuciła wszelką nadzieję na szczęśliwy związek, skoro w ostateczności zdecydowała się na ślub z ojcem, była typem ofiary i lubiła dominację.

W tunelu rozległ się tetent koni i Debera, w rozpaczliwym pragnieniu dotarcia do celu, jeszcze raz popędziła Bilwila. Dzielne stworzenie ruszyło ciężkim klusem, który mało nie wystraszył jej wszystkich kości z ciała, ale dotarli do Niecki.

W Wylegarni był już tłum ludzi i pełno młodych, niezgrabnych smocząt, ale ujrzała jeszcze kilka niewyklutych jaj. Nie musiała zatrzymywać Bilwila przy wejściu. Stanął natychmiast, gdy przestała go kopać. Zsunęła się z jego grzbietu i popędziła na gorące piaski, w chwili, gdy dogonili ją ojciec, Borys i Ganmar krzycząc, by się zatrzymała i oprzytomniała... Wyrwała się im z rak i wpadła prosto na Morath. Wreszcie dopięła swego.

Teraz, gdy wędrowała z powrotem do pomieszczeń przeznaczonych dla weyrzatek, ogarnęło ją zmęczenie jakiego nie doznała jeszcze nigdy w życiu, nie była taka szczęśliwa: Narobiła hałasu, próbując gorączkowo otworzyć drzwi. Z sąsiedniego budynku dla chłopców wysunął głowę. T'dam.

-Wróciłaś już? Spi mocno, nawet nie drgnęła. Ty chyba też padasz ze zmęczenia?

Pokiwała głową, zbyt strudzona by mówić. Uchyliła skrzydło drzwi, tak szerokich, by zmieściły się w nich podrosnięte smoczki i wsłiznęła się do środka. Chciała zamknąć wrota, ale za nią wszedł T'dam, sięgnął w górę i otworzył koszyk z zarnami. Gdyby tego nie zrobił, potłukłaby się o pierwsze z brzegu smocze legowisko.

Były to proste drewniane platformy, wzniesione pół metra nad ziemią, wystarczająco duże dla smocząt dopóki nie dorosły na tyle, by przenieść się do własnej jaskini w Weyrze. Jeźdźcy sypiali na pryczach na kolkach, ustawionych obok platformy. Pod każdą pryczą było miejsce na rzeczy osobiste, a w nogach stała pojemna skrzynia.

Ominela prycze, rada, że nie obudziła śpiącego smoka i dotarła do Morath, leżącej na następnej platformie. I do własnego łózka. Na skrzyni leżała jakaś odzież.

-Tisha przysłała ci coś do ubrania, bo zobaczyła że nie masz nic ze sobą - wyjaśnił T'dam. - Chyba jest tam i piżama. Otwórz żuraw nad swoim łóżkiem, to zgasze górne światło.

Gdy usłuchała, zamknął duży kosz z zarami i wyszedł, zatrząskując za sobą drzwi. Natychmiast zaczęła oglądać Morath, zwiniętą w klebek i przykrywającą oczy skrzydłami. A więc tak śpi smoczki? Rozpamiętując wszystkie szczęśliwe wydarzenia tego dnia, Debera zapałała się w śpiącą smoczycę tak czule, jak matki patrzą na nowo narodzone, upragnione dzieciątko. Brzuch Morath wciąż wypychał kawalki mięsa, które zjadła wieczorem. T'dam zaśmiał się tylko, gdy Debera niepokoiła się, że mała pochoruje się po takim obżarstwie.

-Przez pierwszy miesiąc najadają się tak szcście, a nawet siedem razy dziennie - ostrzegł. - Po paru dniach uznasz, że przez resztę życia będziesz kroila dla niej kawalki mięsa... w końcu jednak zaczniesz jeść trzy razy dziennie. Nic się nie martw, bo pod koniec pierwszego roku będzie potrzebowała tylko dwóch posiłków tygodniowo, a w dodatku sama zaczniesz polować.

Debera uśmiechnęła się na wspomnienie tej rozmowy, bo T'dam wyraźnie nie zdawał sobie sprawy, że taka praca będzie dla niej wypoczynkiem, darem miłości przyjmowanym z serdeczną wdzięcznością. Uniosła rękę nad grzbietem swej ukochanej Morath, ale bała się, by pieszczota nie przerwać wypoczynku malenstwa, tym bardziej że sama niemal zasypiała na stojąco. Mimo zmęczenia wpatrywała się jeszcze w swą podopieczną, obserwując, jak zebra Morath unosi się i opadała w rytmie sennego oddechu, w końcu zmęczenie wzięło górę.

Była jedyną ludzką istotą w stodole... alez nie, w kwaterze weyrzatek. No coż, pozostali jeźdźcy świetlowali wraz z rodzinami. Kto by pomyślał, że tej nocy Debera z Balanu będzie spać wśród smoków? Sama by w to nie uwierzyła. Wyliznęła się z pięknej sukni, gładząc zieloną tkaninę, gdy składała ją po raz ostatni. Świetnie się w niej czuła, a kolor był taki twarzowy... nigdy nie miała na sobie nic piękniejszego. Gisa zabrała dla siebie wszystkie suknie matki, które zwyczajowo należały do Debery. Wzruszyła ramionami i włożyła piżamę, czując słodki zapach ziół, którym tkanina przesiąknęła na polce. Kiedyś z matką miały czas, by zbierać pachnące kwiaty i liście, a potem zaszywać je w torebki.

Naciągnęła gruby wełniany koc, czując pod palcami jego miękkość. Nie tęskniła ani trochę za spraną, cienką narzutą, która dzieliła z przyrodnymi siostrami. Pod policzkiem miała miękka poduszka, która także słodko pachniała. O niczym więcej nie zdążyła już pomyśleć.

Sheledon, Bethany i Sydra wrócili na smoczym grzbiecie na Uniwersytet, przepelnieni radością z powodu entuzjastycznego przyjęcia ich muzyki w Telgarze.

-Nie mam pojęcia, dlaczego wcześniej nie pomyśleliśmy o Balladach Instruktażowych - powiedziała Sydra, nieco zachrypnięta po wieczornym śpiewaniu.

-Szkoda, że nie zdążyliśmy z nimi na dwa wcześniejsze Wylegi. - Sheledon zawsze musiał wypatrzeć jakąś wadę. - Czy zapowiadają się jeszcze jakieś okazje?

-Będzie Święto Konca Roku... - pocieszyła go Bethany.

-Zwykle tu je obchodzimy - zaprotestował, gdyż wcale nie pragnął rezygnować z delikcji, które Chrislee przygotowywał z tej okazji. Profesorowie uniwersyteccy zawsze byli zapraszani do Fortu i wszyscy przyjmowali zaproszenia, przedkładając gościnnie u Paulina nad trzydniowe wakacje z rodzinami.

-Może tym razem powinniśmy rozjechać się do domów, by głosić Słowo - Sydra popatrzyła na niego z prośbą.

Bethany zmarszczyła brwi: - Jednak tylko duży chor i akompaniament całej orkiestry nadają pieśni prawdziwą wymowę...

-Z pewnością uda nam się zorganizować odpowiednie grupy wykonawców dla wszystkich większych Warowni - zastanawiał się Sheldon marszcząc brwi. - Jezdźcy i tak zawsze się tam zjeżdżają w gości, więc wszyscy mogliby usłyszeć... - pochylił się z uśmiechem ku żonie. - Bardzo dobrze wyszła ci partia chłopieckiego sopranu. Ale chyba lepiej będzie, jeśli postaramy się znaleźć jakiś młody głos przed Nowym Rokiem. Calkiem zachryplas.

-Hej, hej, tam w dole! - Na ten okrzyk wszyscy spojrzeli w górę, gdzie Clisser wychylał się z okna na piętrze i machał do nich ręką. - Podobały się ballady?

Muzycy spojrzeli po sobie, Sheledon podał tempo i wyskandowali chórem w odpowiedzi: - By-li za-chwy-ce-ni!

Clisser uniosl do gory kciuki w gescie radosnej akceptacji, a potem machnieciami dloni zaprosil ich do swojego gabinetu w starej czesci budynku.

Dotarli tam wczesniej od Clissera. Radosc z udanego wystepu natychmiast sie ulotnila, gdy zobaczyli wyraz jego twarzy.

-Co sie stalo? - spytala Bethany.

-Komputery padly i zdaniem Jemmy'ego, nic juz im nie pomoze - poinformowal ich ponuro Clisser i padl na fotel za biurkiem w pozie wyrazajacej calkowita rozpacz.

-Ale dlaczego? Przeciez wszystko bylo dobrze - zdenerwowal sie Sheledon. - Co ten Jemmy...

Clisser podniosl reke do gory: - To nie byl Jemmy...

-Pewnie jakis student buszowal po katalogach... - mina Sheledona sugerowala surowa kare.

Rektor pokrecil glowa: - Blyskawica...

-Blyskawica? Mialo nie byc burzy!

-Spalily sie tez wszystkie baterie sloneczne, choc akurat to mozna latwo zastapic. A Corey stracila resztki swego systemu, wlacznie z diagnostyka, ktora tak goraczkowo przepisywala.

Sheledon, oniemiały w obliczu takiej katastrofy, ciezko usiadl na brzegu biurka. Niepoczieszona Sydra oparla sie o sciane.

-Ile programow uleglo zniszczeniu? - Bethany chciala ocenic rozmiar nieszczescia.

-Wszystkie - Clisser strzelil palcami, zlozyl rece na piersi i spuscil wzrok.

-Ale... ale na pewno to tylko kwestia...

-Z glownych plyt zostalo tylko troche wegla i kleju - powiedzial rektor martwym glosem. - Jemmy posprawdzal wszystkie zapasy chipow, ktore nam zostaly. Okazalo sie, ze nie starczy ich na odbudowe chocby jednego komputera, a zreszta to i tak nie pozwoliloby uruchomic calego systemu, czy nawet jego czesci. Wszystko przepadlo - kolejne machnieciami reki wyrazalo bezradnosc i rozpacz.

Przez moment panowala cisza, bo wszyscy starali sie przyjac do wiadomosci rozmiar straty.

-A ile studenci zdazyli... - spytala Bethany, ale przerwala w pol zdania, gdy Clisser uciszyl ja zirytowanym gestem. - Przeciez cos sie musialo uratowac.

-Cos tam zostalo, ale to kropla w morzu potrzeb, nic w porownaniu z materialem przeznaczonym do skopiowania, zaledwie ulamek niezbednej wiedzy...

-Sluchaj, Clisser, co naprawde stracilismy? - spytala lagodnie Bethany.

Poderwal glowe i spojrzal na nia z furia.

-Jak to, co naprawde stracilismy? Wszystko!

A Sheledon i Sydra patrzyli na nia, jak na szalona.

-Stracilismy wiadomosci historyczne, ale one, jak sie okazalo, nie maja zadnego zwiazku z naszym zyciem - powiedziala Bethany cicho. - A oprócz tego opisy archaicznych urzadzzen i technik, ktorych nie potrzebujemy na Pernie, bo nie ma tu zaawansowanego technicznie spoleczenstwa. Czy przypadkiem od pewnego czasu nie planowales podobnej czystki, przyjacielu? Chciales zmienic orientacje szkolnictwa na miare naszych potrzeb na tej planecie, chciales zignorowac nie wiadomo ile gigabajtow informacji, ktore naprawde sa zbedne! Nie musimy sie juz wiec fatygowac - machnieciami reki zbyla strate - i zamartwiac, w jaki sposob przetlumaczyc te glupstwa na jezyk zrozumialy dla potomnosci. Teraz zajmiemy sie tym, co jest przydatne tutaj. Pytam wiec, co naprawde stracilismy?

Zapanowalo milczenie, ktore w koncu przerwal ostry smiech Sheledona.

-Wiecie co, ona chyba ma racje. Do utraty sil przepisywalismy informacje, ktore i tak tu, na Pernie bylyby bezuzyteczne. Tym bardziej - jego glos stwardnial - ze nikogo na Ziemi najwyrazniej nie interesuje, co sie z nami dzieje.

Sydra puscila do niego perskie oczko: - Znow zaczynasz od nowa o powrotnej kapsule Tubbermana?

-No coz, wiemy z... - zaczal sie bronic Sheledon.

-Z raportow na dyskietkach - weszla mu w slowo Sydra, usmiechajac sie zlosliwie, az sie zaczerwienil - ze wiadomosc w kapsule nie zostala opatrzona podpisem admirała Bendena. A bez tego nikt na Ziemi nie potraktuje jej powaznie. Jesli w ogole dotarla na Ziemi.

-Ale ktos moglby przyleciec i sprawdzic, co sie dzieje - odpowiedzial j ej maz.

-Och, daj spokoj, Shel - przerwala im Bethany, rozbawiona nagla zmiana pogladow kolegi, ktory zawsze wysmiewal sie z Teorii Kapsuly Tubbermana. - Pern jest za biedny, by ktos sie nim przejmowal.

-Tak mowia nasze bezcenne raporty, ale moim zdaniem tylko po to, by zachowac twarz. Powinni sprawdzic, jak nam sie tu wiedzie... Wobec shavianskich kolonii, ktore byly glownym powodem wojny kosmicznej z Ludem Nathi, okazali sie bardzo opiekunczy.

-To bylo ponad sto lat temu, Shel - odpowiedziala Bethany opanowanym tonem, ktorego uzywala na lekcjach.

-I nie ma nic wspolnego z tym, co sie wlasnie wydarzylo - dodala Sydra. - Sluchajcie, zniszczenie komputerow to niewatpliwie powazna strata, ale jakos ja sobie powetujemy...

-Ach, te wszystkie dane! - Clisserowi znow naplynely lzy do oczu.

-Clisser, przyjacielu - Bethany pochylila sie ku niemu i lagodnie pogladzila po rece - w dalszym ciagu mamy komputery najwyzszej jakosci - tu poklepala sie w czolo - naladowane mnostwem danych. Jest ich wiecej, niz nam potrzeba do zycia.

-Ale... ale teraz nigdy sie nie dowiemy, jak zachowac dla potomnych informacje o zywotnym znaczeniu, takie jak termin powrotu Czerwonej Planety!

-Na pewno cos wymyslmy - odpowiedziala stanowczo, nieco rozpraszajac jego przygnebienie. Na chwile odrobine sie rozpogodzil, po czym popadl w jeszcze glebsza rozpacz.

-Ale zawiedlismy pokladane w nas zaufanie, ze zachowamy dostep do tych danych...

-Bzdura! - zirytowal sie Sheledon i huknal piescia w biurko. - Komputery dawno juz przekroczyly maksymalny okres eksploatacji. Wiem, bo czytalem duzo starych podrecznikow. Od piecdziesieciu lat kazdy kolejny dzien funkcjonowania komputerow graniczyl z cudem. A poza tym, jak mowi Bethany, wcale nie utracilismy wszystkiego. Zawiodlo kolejne sprytne urzadzenie z przeszlosci. Teraz po prostu trzeba bedzie pozegnac sie z latwym dostepem do danych i pracowicie przebijac sie przez ksiazki! Tak, ksiazki! Ogromne ilosci ksiazek, ktore czekaja na polkach.

Clisser zamrugal i potrzasnal glowa, jakby jego umysl nie chcial sie pogodzic z jakas mysla.

-Przeciez zamierzalismy pominac mnostwo starych informacji -dodala lagodnie Bethany. - Przepisalismy juz to, co dla nas najwazniejsze - zakreslila reka krag, oznaczajacy terazniejszosc Pernu -no, powiedzmy, wiecezosc - poprawila sie, widzac, ze Clisser otwiera usta. - A reszta nigdy sie nam nie przyda, jesli do tej pory po nia nie siegalismy.

-Ale utracilismy calosc ludzkiej... - zaczal rektor.

-Ha! - przerwala mu Sydra. - Calosc historii starozytnej, moj panie. Przetrwalismy tu juz tyle lat... Tylko Pern jest wazny. Bethany ma racje. Jesli jakies dane do tej pory nie byly nam potrzebne, mozemy o nich zapomniec, wiec uspokoj sie wreszcie.

Clisser drapal sie w glowe obiema rekami.

-Jak ja mam to powiedziec Paulinowi?

-Czy w Forcie burza tez spowodowala jakies uszkodzenia? - spytal Sheledon i sam sobie odpowiedzial: - Widzialem robotnikow przy panelach slonecznych...

-Powiedzialem mu, ze sprawdzamy, co uleglo zniszczeniu... - I okazalo sie, ze wszystko? - upewnil sie Sheledon.

-Wszystko! - Clisser po raz kolejny spuscil glowe na piersi, poddajac sie nieuniknionemu losowi.

-Słuchaj, Cliss, przecież to nie ty wywołałaś te burze, prawda? - stwierdziła Bethany.

Popatrzył na nią gniewnie.

-Czy ktoś uruchamiał system w czasie wylądowania? - spytał Sheledon.

-Naturalnie, że nie - unosił się Clisser i spojrzał na niego wojowniczo. - Znasz przecież regulamin. Podczas każdej burzy wylacza się wszystkie urządzenia elektroniczne.

-I tym razem też wyłączyliście?

-Tak.

Bethany wymieniła z Sheledonem spojrzenie, nie całkiem przekonana o prawdziwości tych zapewnień. Oboje wiedzieli, że Jemmy nieraz pracował do późna w noc, aż zasnął nad klawiaturą.

-Mówię wam, padły wszystkie urządzenia elektryczne - opowiadał Clisser. - Całe szczęście, że generatory mają zabezpieczenia przed przeciążeniem sieci, ale komputerom nic to nie pomogło. Wszystko poszło w wewnętrzne obwody, a nie w sieć zasilającą.

-Komputery i tak już ledwo dyszały. Teraz nie żyją na dobre i już - powiedział Sheledon twardo. - Niechaj spoczywają w pokoju. Jeśli nie chcesz rozmawiać z Paulinem, mogę iść i powiedzieć mu o tym.

-Ja do niego pójdę - Clisser uderzył pięścią w stół. - Mam obowiązek sam mu to wyznaczyć.

-NO to powiedz mu jeszcze, że stosujemy już nowe techniki nauczania i nie straciliśmy nic, co mogłoby się przydać przyszłym pokoleniom - powiedziała Sydra.

-Ale... skąd wiadomo, co im będzie potrzebne? - sadząc po tym retorycznym pytaniu, Clisser w dalszym ciągu był w rozpacz. - Nie wiemy nawet połowy tego, co powinniśmy wiedzieć.

Bethany wstała i podeszła do automatycznego baru.

-Też nie działa - ostrzegł ją Clisser z niesmakiem i machnął ręką, jakby awaria obrażała go osobiście.

-Szkoda, bo był wygodny - odpowiedziała.

-Będzie nam brakowało wielu wygod - zauważył, gwałtownie wydechając powietrze z płuc i po raz kolejny przeczesał włosy niecierpliwymi palcami.

-No cóż, trzeba będzie wrócić do kuchenki gazowej - wzruszyła ramionami Sydra. - Też umie zagrzzać wodę, choć może robi to wolniej. Wszystkim należy się filiżaneczka dla poprawy nastroju, prawda? - Wzięła Clissera za rękę i zmusiła do wstania z fotela. - Szczególnie tobie by się to przydało.

-Uskrzydła was udany występ - odpowiedział oskarżycielsko, jednak wstał.

-To prawda, ale dzięki temu możemy ci skuteczniej pocieszyć, przyjacielu - odpowiedział Sheledon.

-Clisser - zaczęła Bethany miękko, przekonującym głosem - wiemy z odczytów, że sztuczna inteligencja, SIWSP, wyłączyła się sama. Wiemy także, dlaczego. W mądrości swej zdała sobie sprawę, że ludzie zaczęli uważać ją za nieomylną wyrocznie, znającą odpowiedzi na wszystkie nasze problemy. Niekoniecznie dotyczące historii. Co gorsza, ludzie zaczęli na niej polegać do tego stopnia, że stało się to nierozsadne. Więc się wyłączyła, dla naszego dobra.

-Za długo kierowaliśmy się pozostawioną nam w spadku wiedzą z komputera. Uzależniliśmy się od niej. Czas już, byśmy mocno stanęli na własnych nogach... - przerwała i kapryśnie wydeła usta, podkreślając kontrast tych słów z własnym kalectwem - ... i sami zaczęli podejmować decyzje. Tym bardziej, że to, co przekazywały nam komputery, coraz mniej przystawało do naszych obecnych potrzeb.

-Dobrze powiedziane, Bethany. - Sheledon pokiwał głową z aprobatą, choć cierpko się przy tym skrzywił.

Clisser znowu przeczesał włosy i uśmiechnął się złośnie.

-Lepiej by było, gdyby to wszystko przytrafiło się odrobinę później. - Rozstawił kciuk i palec wskazujący, by pokazać, jak niewiele czasu było mu potrzebne. - nie zdążyliśmy znaleźć informacji, potrzebnej smoczom jeźdźcom.

-Chodzi ci o niezawodny system ostrzegania przed powrotem Czerwonej Planety i Opadami? - spytał Sheledon, wzruszając ramionami. - Nad tym zagadnieniem pracują najlepsze umysły na całym kontynencie.

-Na pewno znajdziemy rozwiązanie - w głosie Bethany znów zabrzmiał dziwny spokój i determinacja. - Jak wiesz, ludzkość zawsze w końcu jakos sobie daje radę.

-I na dodatek mamy smoki - dodała Sydra. - Oszaleje, jeśli natychmiast nie dostane filizanki kłahu.

Rozdział V

Koszary Weyrzatek i Warownia Bitra

Z głębokiego snu wyrwało Deberę uczucie dojmującego, narastającego głodu. Poczuli się zupełnie zdezorientowani. Łozko wydało jej się za miękkie, leżała w nim sama, a zapachy i dźwięki były kompletnie obce. Naprawdę jestem strasznie głodna. Wiem, że bardzo się dziś zmęczyłaś, ale mój brzuch jest już pusty, pusty, pusty...

Morath! Debera usiadła gwałtownie i uderzyła głową w smoczą szczękę, gdyż Morath pochylała się nad jej łozkiem.

Auuu! zabrzmiał głos w jej myślach.

-Ach, najdroższa, nie zrobiłam ci krzywdy, prawda?

Debera stanęła na łozku i objęła Morath na przeprosiny, gładząc ją po policzkach i wypustkach usznych. Cichym szeptem wyrażała swój żal i obiecywała, że to się już nie powtórzy.

Oczy smoczątka zmieniły barwę: wirowały coraz wolniej, a cień czerwieni, oznaczającej ból i strach szybko zniknął po tak gorących przeprosinach.

Twoja głowa wcale nie wyglądała na taką twardą, odpowiedziała Morath, lekko potrzęsawszy łbem.

Debera podrapała smoczą szczękę, tam, gdzie przedtem niechcący ją uderzyła.

-Tak cię przepraszam, kochanie - powiedziała i nagle usłyszała z tyłu śmiech. Odwróciła się na pół z gniewem, na pół instynktownym, obronnym ruchem. Okazało się, że już nie jest sama w koszarach weyrzatek. Blondynka z Isty - zdaje się, że miała na imię Sarra - siedziała na brzegu łozka i chowała ubrania do skrzyni. Jej smok w dalszym ciągu leżał zwinięty w ciasny kłebek, z którego dochodziło lekkie pochrapywanie.

-Oj, nie chciałam cię urazić - Sarra uśmiechnęła się tak serdecznie, że Debera natychmiast się uspokoiła. - Szkoda, że nie widziałas, jakie miałyście miny. Morath dostała strasznego zęza, gdy ją huknęłaś w szczękę.

Debera skrzywiła się i

-Spalam tak głęboko... Z początku nie pamiętałam, gdzie jestem...

-Morath bardzo chciała być delikatna - odpowiedziała Sarra, - T'dam kazał się ubrać do ciężkiej pracy. Po pierwszej drzemce mamy je wykapać.

Debera przypomniała sobie o stosie ubrań, których nie zdołała obejrzeć poprzedniego wieczora.

Czy ubieranie się długo trwa? spytała grzecznie Morath.

-Wcale nie, najmilsza - odpowiedziała Debera i odwróciła się od Sarry na wypadek, gdyby koleżanka poczuła się skrepowana. Ściągnęła piżamę i rzuciła na kupkę odzieży, używanej ale odpowiedniej do pracy. Usiadła i zaczęła się ubierać.

Skarpetki były nowe, zrobione z solidnej, bawełnianej dzianiny. Bardzo się ucieszyła na ich widok, bo te, w których przyjechała, nosiła już od kilku dni. Włożyła własne buty i wstała.

-Juz jestem gotowa - powiedziała do zielonej smoczycy, która zeszła z platformy i natychmiast przewróciła się na nos.

Sarra zeskoczyła z łozka, o które miała się potknąć i pomogła jej wstać, z trudem pohamowując śmiech, tak, że niemal się krztusiła. Gdy Debera spostrzegła, że jej podopiecznej nie stała się krzywda, odpowiedziała koleżance uśmiechem.

-Czy one wszystkie są takie...

-Tak mowil T'dam - przytaknela Sarra. - Za drzwiami jest wiadro z jedzeniem dla smoczat... Dzis rano jeszcze dadza nam spokoj - tu zmarszczyla nos z zabawnym grymasem - ale od jutra trzeba bedzie wstawac o swicie i kroic mieso na sniadanie dla naszych pieszczoszkow...

Smoczyca Sarry wydala dlugie, parskajace chrapniecie i dziewczyna natychmiast odwrocila sie do niej, sprawdzic, czy sie nie obudzila. Chrapniecie jednak zmienilo sie w cichutkie, piskliwe "ooooch" i oddech powrocil do poprzedniego rytmu.

-Przez cala noc tak puszczala? - spytala Debera.

Jestem juz TAKA glodna...

Dziewczynka goraco przeprosila Morath, a Sarra przylaczyła sie do przeprosin i pobiegła otworzyć oba skrzydła drzwi, po czym wykonała głęboki ukłon, zapraszając je do wyjścia. Morath w jednej chwili znalazła się obok Debery i zaczęła ją popychać w prawo, gdzie młody smoczy nos wyczuł zachwycający zapach unoszący się nad dwoma przykrytymi wiadrami, wiszącymi na hakach w ścianie. Debera uniosła wiadro i postawiła je na ziemi. Morath niecierpliwie zepchnęła nosem pokrywke i zaczęła wsysać kawalki miesa jak pompa. Debera pozwoliła jej napełnić paszczę, a potem zasłoniła sobą wiadro.

-Morath, pogryz to, co masz w pysku, dobrze? Zadławisz się na śmierć i co będzie?

Smoczyca posłała jej w odpowiedzi spojrzenie tak pełne złołalego zdumienia i urazy, że dziewczyna z trudem zachowała powagę.

-Gryz - poprosila, wpychając garsc okrawkow do otwartego pyska.

-No, gryz! - powtorzyła, a Morath posłusznie poruszyła szczekami, zanim je rozwarła w oczekiwaniu na kolejną porcję. Debera w gospodarstwie poznała niejedną sztuczkę przy odchowywaniu osieroconych młodych zwierząt.

Ten ktos, kto napełniał wiadra, dokładnie znał pojemność smoczego żołądka, pomyślała, bo Morath zwolniła tempo polykania gdy w naczyniu ukazało się dno. Smoczyca westchnęła, zanim zjadła ostatni kęs.

-Juz po sniadaniu, co? - uslyszala glos T'dama, ktory tak niespodziewanie pojawil sie z tym, ze zaskoczona Morath pislana, a Debera chciala wstac. Opiekun polozyl jej dlon na ramieniu i zmusil, by usiadla.

-Tu, w Weyrze nie musisz zanadto przejmowac sie manierami, Debero - wyjasnil lagodnie. - Zaprowadz ja teraz do jeziora - dodal, wskazujac na prawo, gdzie dostrzegla spore wzgorki, ktore okazaly sie zarysami spiacych smoczatek. - Kiedy sie obudzi po tym karmieniu, bedziecie mialy blisko do kapieli, a potem nasmarujesz ja oliwka. - Usmiechnal sie.

-Ale zanim ja znow nakarmisz, trzeba... - tu wskazal na lewo -... brzydzisz sie tego?

Spojrzala uwaznie w tamtym kierunku. Na rzeźniczych trojnogach kolysalo sie szesc odartych ze skory zwierzecych tusz, wokol ktorych uwijali sie mlodzi jezdzy z nozami. Odcinali mieso od kosci, a potem na pobliskim stole kroili je na kawalki, odpowiednie dla smoczkw.

-Ja? - parsknela cynicznie. - Skadze znowu.

-To dobrze - ucieszyl sie T'dam. - Niektorzy twoi rowiesnicy nie moga tego zniesc. Chodz, Morath - dodal zupełnie innym tonem, z lagodna, serdeczna perswazja - musisz troche odpoczac, a plazza przy jeziorze nagrzala sie juz od slonca...

Morath uniosla glowe i ogarnela Opiekuna Weyrzatek zielononiebieskawym spojrzeniem.

Jaki on mily - powiedziala i podreptala do jeziora, a pelen miesa brzuch kolysal sie w rytm jej krokow.

-Kiedy sie tam usadowi, Debero, nie zapomnij o wlasnym sniadaniu. Czeka w kuchni. To dobrze, ze nie brzydzisz sie takiej pracy - powiedzial, odwracajac sie od nich, ale do uszu Debery dotarl jeszcze jego dobroduszny smiech.

Do jeziora jest strasznie daleko, prawda, Debero?- spytala zasapana Morath.

-Nie tak bardzo - odpowiedziala. - A tu jest za duzo kamieni i bedzie ci niewygodnie spac.

Morath opuscila drugi nos i popatrzyła pod nogi, a potem kopniem lewej odrzuciła z drogi spory kamień. Westchnęła i ruszyła dalej. Debera zachęcała ją po każdym kolejnym, powolnym kroku, aż dotarli do piaskow wokol jeziora. Ktos je niedawno grabil, bo miedzy odciskami smoczycych lap i ogonow zostaly jeszcze slady. Udalo jej sie namowic smoczyce, by

weszła nieco dalej na plażę, gdzie ujrzała wolne miejsce między dwoma spizowymi. Skapane w blasku jesiennego słońca, leżały zwinięte w ciasne kłębki i skrzydlami osłaniały oczy przed nadmiarem światła.

Morath z ciężkim westchnieniem złożyła zad na piasku. Jej mina świadczyła o tym, że nie ruszy się stąd ani na krok. Powoli ułożyła się na prawym boku, otoczyła się ogonem, zgięła szyję, wsunęła łeb pod prawe skrzydło, wydała z gardzieli głęboki odpowiednik niemowlecego gruchania i zasnęła.

Debera z zalem odsunęła się od smoczątka. Była szczęśliwa, że pokochało ją tak cudowne, drogie jej sercu stworzenie.

Przez całe życie była samotna i niekochana - od śmierci matki i odejścia z domu najstarszego rodzonego brata. Teraz miała Morath, wyłączną dla siebie, a lata osamotnienia stały się nic nie znaczącą chwilką.

Miała jest tu zupełnie bezpieczna, uznała wreszcie. Zmusiła się, by odejść od Morath i pospieszyła do jaskini kuchennych po drugiej stronie Niecki. Zachęcający zapach świeżego chleba i innych wiktualów sprawił, że przyspieszyła kroku, nie całkiem przekonana, czy uda jej się pochlaniać jedzenie z mniejszą żarłocznością, niż smoczyca.

Jaskinia kuchenna w Weyrze Telgar składała się z szeregu grot różnej wielkości, szerokości i wysokości. Debera zatrzymała się przy wejściu do najbliższej i najmniejszej. Wzdłuż wewnętrznej ściany rozmieszczono paleniska i piece, których kominy przebijały skałę i wychodziły na zewnątrz. Po drugiej stronie stało znacznie mniej długich stołów niż poprzedniego wieczoru wystawiono na ucztę dla gości, jednak było przy nich dość miejsca dla stałych mieszkańców Weyru. Wewnątrz panowała krzątanina: mężczyźni i kobiety przygotowywali jedzenie.

-Śniadanie jest tam - uśmiechnęła się jakaś kobieta, wskazując Deberze właściwy stół. - Owsianka jeszcze nie wystygła, a i kłah jest świeży. Czestuj się.

Debera spojrzała w lewo, ku najdalszemu palenisku, gdzie zapraszająco ustawiono stoły i krzesła.

-Zaraz przyniosę wam świeży chleb, jak tylko wyjdzie z pieca - dodała kobieta i zajęła się pracą.

Ledwie Debera zdążyła nałożyć sobie solidną porcję owsianki - gładziutkiej, bez grudek i w ogóle nie przypalonej - i nalać kubek kłahu, gdy do jaskini weszło dwóch oniesmielonych chłopców, którzy wyraźnie nie wiedzieli, co dalej ze sobą poczwać.

-Miski są tam, kubki obok - pokazała im. - I przytrzymajcie garnek z owsianką przez ścierekę, jak będziecie sobie nakładać, bo jest gorący.

Uśmiechneli się niepewnie. Chyba dopiero co osiągnęli odpowiedni wiek do Naznaczenia, pomyślała, czując się trochę starsza i mądrzejsza. Udało im się napełnić kubki kłahem, ale trochę owsianki wylądowało w palenisku, płomienie zasyczały i rozszedł się śwad. Obaj odskoczyli, ale talerze mieli już pełne.

-Siadajcie obok, ja nie gryze - poklepała blat stołu. Wcale nie wyglądali na ponuraków ani marudy, jak jej młodszy przybrani bracia.

-Masz zielonego smoka, prawda? - spytał pierwszy. Jego gesty czarne włosy niedawno obcięto prawie do samej skóry.

-Oczywiście, że ma zielonego, ty głupku - drugi wymierzył mu sojkę w bok. - Jestem M'rak, jeździec spizowego Canetha - dodał z całkowicie usprawiedliwionym, dumnym uśmiechem.

-Mój spizowy nazywa się Tiabeth - powiedział czarnowłosy, równie dumny ze swojego smoka i dodał skromnie: - A ja jestem S'mon. A jak ma na imię twoja smoczyca?

-Morath. - Debera uświadomiła sobie, że uśmiecha się szeroko. - Czy wszyscy nowo Naznaczeni jeźdźcy są tak zauroczeni smokami?

Chłopcy usiedli przy stole i zaczęli jeść prawie tak samo żarłocznie jak małe smoczki. Debera celowo zwolniła tempo. Owsianka była naprawdę za dobra, by lykac ją pośpiesznie, nie czuła w niej ani jednej plewy albo nie wymłoczonego ziarna. Telgar rzeczywiście dostarczał Weyrowi wszystko, co najlepsze - nawet owies. Westchnęła, wdzięczna losowi nie tylko za wczorajsze Naznaczenie Morath.

Chłopcy nagle zastygli z łyżkami w pol drogi do ust. Ostrzeżona ich zachowaniem Debera przedko się odwróciła. Bez trudu rozpoznała masywną postać Tishy, gospodyni Weyru, która właśnie zbliżała się do ich stolika. Jej szeroka twarz jasniała uśmiechem, w którym malowała się cała dobroduszość tej kobiety.

-Jak się macie? Zdomawiacie się powoli? Może trzeba wam czegoś z magazynów? Rodzice zwykle dają młodzieży najlepsze ubranie, jak na Zgromadzenie, a tak naprawdę powinni spakować najgorszą, jak do pielienia - powiedziała głębokim kontraltem, w którym wprost kipiało zadowolenie z życia. - Smakuje śniadanko? Właśnie wyjmują świeży chleb, możecie się najść ile dusza zapagnie.

Zatrzymała się przy krześle Debery i pogładziła ją delikatnie po ramieniu kształtnymi dłońmi o długich, silnych palcach, jakby chciała w ten sposób przekazać coś wyłącznie dla dziewczyny. - Jak ci czegoś będzie brakło, zaraz mi powiedz, albo zawiadom T'dama. Wy, młodziaki, nie powinniście zajmować sobie głów niczym poza opieką nad smokami. To bardzo ciężka praca, zobaczysz sama, więc mi się tu nie kryguj - jeszcze raz poklepała ramię Debery, zanim opuściła rękę.

-Nie pomyślałam, żeby przynieść tu suknie, która mi pani wczoraj pożyczyła na wieczór -

odpowiedziala Debera, niepewna, czy przypadkiem gospodyni nie chciala jej o tym delikatnie przypomniec.

-Wielkie nieba, dziecko! - Juz i tak ogromne oczy w okraglej twarzy Tishy rozszerzyly sie jeszcze bardziej ze zdziwienia. - Przeciez ta suknia byla szyta na ciebie, nawet jesli wtedy jeszcze nie wiedzielismy, ze ktos taki do nas przyjdzie. - Od glebokiego smiechu zakolysaly sie jej piersi i brzuch.

-Ale ta sukienka jest za dobra... - zaczela protestowac Debera. Tisha znow poklepala japo ramieniu.

-Idealnie na ciebie pasuje. Uwielbiam szyc nowe rzeczy. Wprost to kocham. Sama sie przekonasz, zawsze nad czymys pracuje. - Znow klepniecie, potem nastepne. - Ale w zeszlym roku skroilam ja i uszylam nie majac nikogo konkretnego na mysli. Nie sprawilabym sie lepiej, nawet z przymiarkami. Bierz ja, jest twoja. Kazdy z nas lubi Siodmego Dnia miec na sobie cos ladnego. Umiesz szyc? - spojrzala na nia z nadzieja.

-Niestety, nie - odpowiedziala Debera, spuszczajac oczy. Przypomniala sobie, jak matka wieczorami siadywala z robotka w reku, haftujac lub kladac piekne sciagi na swiatecznych ubraniach. Macocha Gisa, z trudem radzila sobie z prosta latanina, wiec jej corki nie mialy od kogo nauczyc sie cerowania i szycia.

-No coz, w takim razie sama nie wiem, czego gospodynie ucza dzieci w dzisiejszych czasach. Ja tam pierwszy raz dostalam igle do reki, gdy skonczylam trzy lata... - zaczela.

Widac bylo, ze chlopcow nudzi ta rozmowa.

-Wy tez, moi mlodzi przyjaciele, predko nauczycie sie szyc uprzeze - pogrozila im palcem. - A do tego buty i kurtki, jesli bedziecie umieli sami zaprojektowac sobie ubior do latania.

-He? - zdumial sie M'rak. - Szycie jest dla kobiet.

-Nie w Weyrach - odparla twardo Tisha. - Wkrotce sami sie o tym przekonacie. To jedno z normalnych zajec jezdzcow. Nauczycie sie. O, jest juz chleb, maslo i sloik dzemu.

Rzeczywiscie, nastepna zazywna kobieta postawila wyladowana tace na stole, usmiechnieta i zadowolona, ze moze im dac tyle dobrych rzeczy.

-To powinno wystarczyc, dziekuje ci, Allie - zwrocila sie do niej Tisha, a gdy Debera polglosem mruknela podziekowanie, S'mon tez przypomnial sobie o dobrym wychowaniu. M'rak nie trafil czasu na glupstwa, tylko zlupal kronike parujacego chleba i wsadzil sobie do ust.

-Jejku, jaki dobry!

-Uważaj, byś go nie zmarnował, jak będziesz przygotowywać następny posiłek dla swojego smoka - skomentowała Tisha i oddaliła się, zanim zdziwiony spizowy jezdziec zrozumiał, o co jej chodzi.

-Dlaczego tak powiedziała? - spytał pozostałych. Debera uśmiechnęła się.

-Jestes z gospodarstwa?

-Nie, rodzice są tkaczami - odpowiedział chłopiec. - Z Warowni Keroon.

-Musimy sami dzielić mięso dla smoków, prawda? - spytał S'mon z lekkim niepokojem w głosie. - Z tych... tych ciał, które tam wiszą?

-To znaczy, kazała nam zdejmować mięso z... z niezwykłych zwierząt? - M'rak nieco zbladł i przelknął ślinę.

-Tak tu właśnie jest - potwierdziła Debera. - Jeśli chcecie, mogę odciąć duże kawałki, a wy wszystko pokroicie. Umowa stoi?

-Nie ma sprawy - zgodził się z wielką radością M'rak i znów przelknął ślinę. Jakby zapominał o chlebie, który przed chwilą zjadał z takim zapalem. Teraz kromka tkwiła w osłabłych palcach. Odłożył ją. - Nie wiedziałem, że to też obowiązek jeźdźcy.

-Wkrótce pewnie wszyscy przekonamy się, że jeźdźcy muszą robić coś więcej, niż tylko rozpieścić się na smoczych szyjach i jeździć, gdzie im się zamarzy - zaśmiała się Debera.

Jak się okazało, była to niezwykle trafna przepowiednia. Choć nie zallowała umowy zawartej z chłopcami, gdyż był to sprawiedliwy podział pracy, przez następnych kilka tygodni miała wrażenie, że spędza czas wyłącznie na dzieleniu mięsa, karmieniu smoczycy i kąpieniu jej, a pomiędzy tymi zajęciami zostaje jej zaledwie tyle czasu, by się przespacerować. To prawda, opiekowała się przedtem małymi zwierzętami, ale żadna z sierotek nie była tak wielka, ani tak żarłoczna jak Morath. A smoczyca rosła w oczach, jakby w jednej chwili przetwarzała porcje w tkankę - co oznaczało, że znów będzie więcej skóry do szorowania i smarowania, a także napychania coraz większą ilością krojonego mięsa.

-Ciagle sobie powtarzam, że warto było - pewnego dnia mruknęła zmęczona Sarra i padła na łóżko.

-I to ci pomaga; - spytała Grasella. Jęknęła i przewróciła się na bok.

-Co za różnica? - odparła Mesla i zrzuciła buty z nog.

-Ta cała oliwka zmieknęła mi dłoń - zauważyła mile zdziwiona Debera, po raz pierwszy od przybycia do Weyru przyjrząwszy się rekom.

-A mnie splatala wlosy w koltun - uzupelnila Jule, spojrzawszy na koniec zmechaconego warkocza. - Ciekawe, kiedy znajdzie wreszcie czas, zeby umyc glowe.

-Popros Tishe, a zrobi ci cudowny masaz. - Angie przeciagnela sie na lozku i ziewnela. - Noga juz mnie prawie wcale nie boli.

Razem z Plath potknely sie i przewrocily, a Angie naciagnela sobie wszystkie miesnie prawej nogi tak paskudnie, ze z poczatku obawiano sie zlamania. Plath szalala ze zdenerwowania, poki Maranis nie orzekl, ze to tylko bolesna kontuzja. Wszystkie kolezanki pomagaly pechowej jezdzczyzni w opiece nad smokiem.

-Takie wlasnie jest zycie jezdzcow - skomentowal T'dam. Zawsze jednak staral sie byc w poblizu kontuzjowanej Angie, w razie gdyby potrzebowala pomocy i w ten sposob wyrazal wspolczucie. - Kiedys bedziecie sie z tego smiac - dodal.

Choc w komnacie, w ktorej Lord Chalkin pozowal do portretu nowo mianowanemu Artystcie imieniem Iantine bylo i tak cieplej, niz w pozostalych pomieszczeniach Warowni Bitra, znanych malarzowi, ten westchnal cicho ze znuzenia. Chwycil go kurcz reki i byl bardzo zmeczony, lecz przezornie staral sie nie okazywac tego swemu odpychajacemu modelowi.

Trzeba blyskawicznie namalowac portret, albo utkwi w tej zalosnej Warowni az do wiosny. Na szczescie pierwszy snieg wlasnie topnial, wiec jesli skonczy obraz, bedzie mogl odjechac zanim wyschnie farba. Z obiecanyymi markami w kieszeni, nie inaczej!

Nie mial pojecia dlaczego kiedys mu sie wydawalo, ze poradzi sobie ze wszystkimi problemami zwiazanymi z zamowieniem. W dodatku ostrzegano go, wprawdzie glownie przed grami hazardowymi w Bitrze... zreszta, nie mial tu nawet marki przy duszy. Koledzy mowili jednak zbyt ogolnie. Dlaczego Ussie nie opowiedzial, ile osob padlo ofiara oszustw Lorda tutejszej Warowni? Naprawde wydawalo mu sie, ze kontrakt wyglada prawidlowo, a jednak okazal sie katastrofalny w skutkach. Oto kara za arogancje, brak doswiadczenia i nadmiar wiary w siebie. Widocznie Mistrz Domaize na prozno probowal wbic w jego tepa glowe nieco madrosci zdobytej przez lata doswiadczen. Niestety, Mistrz zazwyczaj pozwalal swoim podopiecznym uczyc sie na wlasnych bledach, szczegolnie, gdy nie mialy zwiazku ze Sztuka.

-Lordzie Chalkinie, prosze sie nie ruszac jeszcze przez chwile. Szkoda takiego dobrego swiatla - powiedzial Iantine widzac, ze jakis miesien bezustannie drga w tlustej twarzy modela. Pan Bitry nie mial bynajmniej nerwowego tik, ale nie potrafil dlugo usiedziec na tym pieknym fotelu, zupełnie jak jego dzieci.

Iantine przekornie zastanawial sie, czy by nie domalowac efektow skurczu miesni, ale za wiele trudu kosztowalo go doprowadzenie tej twarzy do porzadku. Maslane, brazowe, osadzone za blisko oczy modela uparcie zezowaly na mostek miesistego, bulowatego nosa, ktory malarz nieco uszlachetnil.

Mistrz Domaize często powtarzał uczniom, że przy portretowaniu potrzebna jest również uprzejmość i życzliwość wobec modelu, ale Lantine spierał się z nim w tej mierze: realizm jest konieczny, jeśli ktoś chce mieć wierny portret.

-Wierne portrety nigdy nie bywają realistyczne - tłumaczył mistrz studentom w przestronnej sali, gdzie odbywały się zajęcia. - Realistycznie powinniście malować krajobrazy i historyczne freski, ale nie ludzi. Nikt nie chce widzieć siebie takim, jakim go widzą inni. Dobry portrecista powinien odznaczać się taktem i współczuciem.

Lantine pamiętał, jak oburzał się wtedy na nieuczciwość i schlebienie ludzkiej miłości własnej. Mistrz Domaize popatrzył ponad połowkowymi szklami, które musiał teraz nosić, jeśli chciał spojrzeć dalej niż na czubek własnego nosa, i uśmiechnął się tym swoim łagodnym, mądrym uśmiechem.

-Ci z nas, którzy nauczyli się, że portrecista musi być także dyplomata, zarabiają nie najgorzej. Ci, którzy chcą portretować prawdę, łądzą w cechu rzemiosł i do końca życia malują bordiury.

Kiedy Akademii Mistrza Domaize zlecono namalowanie miniatur młodszych dzieci Lorda Chalkina, nikt nie chciał przyjąć zamówienia.

-Co jest złego w tej umowie? - denerwował się Lantine, gdy oferta wisiała na tablicy już od trzech tygodni bez niczyjego podpisu. Wkrótce czekały go końcowe egzaminy w Akademii Mistrza Domaize i miał nadzieję, że mu się powiedzie.

-Zleceniodawca, ot, co - prychnął cynicznie Ussie.

-Och, znam jego reputację. - Lantine beztrąsko machnął ręką, pokrytą plamami farby. - Wszyscy ją znamy. Ale przecież daje takie warunki - postukał w dokument - jakich podobno powinniśmy wymagać przy zleceniach.

Ussie przysłonił dłoń pogardliwym uśmiechem i spojrzał na młodego malarza pobłaźliwie, co zawsze irytowało Lantine'a. Doskonale wiedział, że Ussie nawet po najdłuższym życiu nie będzie lepszym rysownikiem i kolorystą niż on, a jednak tamten zawsze zachowywał się z wyższością, Lantine zdecydowanie przewyższał go ogólnymi umiejętnościami, i w dodatku stawał się coraz lepszy. Był tego doskonale świadomy, bo przecież w studio można było podpatrywać prace kolegów. Anatomiczne szkice Ussiego wyglądały tak, jakby pozował do nich mutant... a kolorystyka wydawała się co najmniej dziwaczna. Pejzaże wychodziły mu znacznie lepiej, a wręcz mistrzowsko potrafił projektować tarcze herbowe, symbole i podobne dzieła sztuki użytkowej.

-Tak, tylko że podczas pracy będziesz musiał mieszkać w Warowni Bitra, a początek zimy to nie najlepszy okres, by tam gościć.

-Co? Na czas pracy nad czterema miniaturami? Ile to może potrwać? - Lantine myślał o

siedmiodniu. Powinno to wystarczyć, nawet, jeśli dzieci beda bardzo male i ruchliwe.

-Dobrze, dobrze, zawsze udaje ci się namówić dzieciaki do spokojnego pozowania. Ale to potomstwo Chalkina, i jeśli są choć odrobine do niego podobne, dostaniesz szalu, zanim posadziś je choćby na tyle, by oddać ogólne podobieństwo. Jednak, szczerze wątpię, żeby rodzice chcieli mieć wierne portrety. A ciebie znam nie od dziś, Ian... - Ussie pogroził mu palcem. - W życiu nie uda ci się upiekszyć tych małych pieszczołek na tyle, by zadowolic ich kochającego papcia.

-Ale...

-Kiedy ostatni raz nasza Akademia dostała zlecenie od Chalkina - do rozmowy przyłączył się Chomas - Macartor siedział w Bitrze dziewięć miesięcy, zanim jego dzieło uznano za "zadowolające". - Chomas wskazał palcem paragraf, zaczynający się od słów "po przedstawieniu zadowolających prac" - i dodał: - Gdy wrócił, wyglądał jak swój własny duch i był biedniejszy, niż przed przyjęciem zamówienia.

-Macartor? - Iantine znalazł tego zdolnego czeladnika, obdarzonego umiejętnością wychwytywania szczegółów, który obecnie pracował przy freskach w nowej Wielkiej Sali w Neracie. Spróbował znaleźć jakiś powód, dla którego Macartor nie zadowolil Chalkina. - Mistrzowsko maluje szczegoly, ale portrety nie wychodzą mu najlepiej.

Brwi Ussiego podjechały wysoko, przez co twarz wydała się jeszcze dłuższa. W szarych oczach studenta zabłysły złosliwe chochliki.

-Jeśli tak sądzisz, to weź to zlecenie i sprawdź na własnej skórze, jak na tym wyjdiesz. Sam wiesz, że niektórym z nas przydałoby się kilka dodatkowych marek przed Koncem Obrotu, ale nie aż tak, aby zarabiać w Bitrze. Mówiono ci, jacy to hazardzisci? Latwiej przeżyją bez powietrza niż bez szulerki.

-Ach, na pewno nie jest aż tak źle - odparł Iantine. - Szesnaście marek plus koszty podróży i utrzymanie to całkiem niezła kwota.

Ussie zaczął odliczać kolejne kwestie na palcach.

-Podróż? No coż, sam będziesz musiał zapłacić za przejazd do Warowni...

-Ale on wymienia podróż - sprzeciwił się Iantine, postukując palcem w odpowiedni paragraf umowy.

-No, tak, ale przedtem sam opłacisz przejazd, a zanim dostaniesz zwrot za wydatki, będziesz musiał rozliczyć się z każdej wydanej ćwierćmarki. Już tylko to zajmie parę dni. Chalkin jest tak skąpy, że nic wytrzyma u niego żaden porządny kucharz, ani gospodyni, kamerdyner i inna służba, więc pewnie będziesz musiał sam sobie gotować... a może jeszcze policzy ci za opał. Warownia nie ma centralnego ogrzewania, a o tej porze roku

trzeba już palić w kominku. I jeszcze jedno, zabierz ze sobą futra do spania, bo on nie wydaje poscieli zwykłym robotnikom.

-Robotnikom? Portrecistów z Akademii Domaize nie traktuje się jak zwykłej siły roboczej - odparł Lantine z uraza.

-Mój drogi przyjacielu, w Bitrze wszyscy są traktowani w ten sposób - wtracił Chomas. - Chalkin w życiu nie podpisał przyzwoitej umowy. Przynajmniej uważnie przeczytaj słowo po słowie, skoro naprawdę zwariowałeś i chcesz przyjąć to zlecenie. Jeśli jednak zostało ci choć trochę oleju w głowie, z pewnością się na to nie zdecydujesz. - Chomas kiwnął stanowczo głową i ruszył ku swojemu stanowisku pracy, gdzie zajmował się delikatną inkrustacją biurka.

Lantine jednak bardzo potrzebował marek, które przyniosłoby mu to zlecenie. Miał już dyplom niemal w reku i pragnął spłacić rodzicom zaciągnięty dług. Ojciec chciał wykorzystać jego przydział ziemi, i powiększyć pastwiska, lecz brakło mu marek, by zapłacić Radzie za przeniesienie praw. Kwota nie była wielka, ale gdyby rodzina Lantine'a musiała ją zebrać sama, trzeba byłoby zrezygnować ze wszystkich drobnych przyjemności. Dla młodego człowieka stanowiło to więc kwestie dumy i godności własnej.

Rodzice zapewnili mu dobry start życiowy, lepszy, niż na to zasługiwał, bo od ukończenia dwunastego roku życia rzadko pracował w rodzinnym gospodarstwie. Matka, która do zamążpościa była nauczycielką, pragnęła, by syn poszedł w jej ślady. Nauczyła podstaw wiedzy jego samego, dziewięcioro rodzeństwa, a także góralskie dzieci w sąsiednich bendenskich fermach owczych i gospodarstwach rolniczych. Ponieważ Lantine nie tylko objawiał wielki zapal do nauki, lecz także wyraźny talent rysunkowy - wypełniał każdy centymetr miejsca w swym cennym szkicowniku rysunkami z natury, przedstawiającymi życie w górskim gospodarstwie - postanowiono, że pójdzie na Uniwersytet. Ojciec, choć niezadowolony, że ubędzie para rak do pracy, niechętnie musiał przyznać, że chłopak lepiej sobie radzi z piórkiem i ołówkiem, niż z łaską pasterską. Jeden z młodszych braci, który upodobał sobie prace przy owcach, szalał z radości, że przypadła mu w udziale obowiązki Lantine'a.

Na Uniwersytecie natychmiast poznano się na jego niezwykłym talencie i zmysle obserwacji, więc zachęcano go do pracy. Rektor Clisser zalecił mu sporządzenie teczki szkiców "organizmów zwierzęcych i roślinnych oraz przedmiotów nieożywionych". Nic było to trudne zadanie, gdyż Lantine rysował bez przerwy i zdążył już sportretować wielu nie podejrzewających niczego kolegów, zwykle w czasie przeznaczonym na inne lekcje. Mistrzowi Clisserowi szczególnie spodobał się rysunek Bethany z gitarą, lekko pochylonej, by chwycić jakiś skomplikowany akord. Wszyscy byli nim zachwyceni, nawet sama artystka.

Teczke wysłano do kilku prywatnych Szkół Rzemiosł, które kształciły w różnego rodzaju umiejętnościach, od tłoczenia kurdybanów, poprzez rzeźbę w drzewie, wydmuchiwanie

szkła, aż po kamieniarstwo. Żadna ze szkół na Zachodnim Wybrzeżu nie miała wolnych miejsc, ale Mistrzynie tkacka z Południowego Bollu obiecała skontaktować się z Mistrzem Domaize z Keroonu, jednym z najznamienszych portrecistów Pernu, gdyż jej zdaniem talent chłopca rozwijał się w tym właśnie kierunku.

Ku zdumieniu Iantiny, pewnego ranka na Uniwersytet przybył jeździec z zielonym smokiem, by zawieźć go na oficjalną rozmowę u samego Mistrza Domaize. Iantina nawet nie wiedział, co było bardziej emocjonujące: lot pomiędzy smokiem, perspektywa spotkania z Mistrzem, czy nadzieja, że będzie pracował jako artysta. W czasie spotkania musiał naszkicować portret samego Domaize, a Mistrz przyjął go na naukę i tego samego dnia wysłał wiadomość do jego rodziców z propozycją warunków umowy.

Rodzina Iantiny oniemiała na te wieści. Jeszcze bardziej zdumiała ich wiadomość, że lordowska para Warowni Benden chce opłacić ponad połowę czesnego za młodego artystę.

Teraz zaś Iantina pragnął zarobić ile się da i to jak najprędzej, by udowodnić swoim bliskim, że ich poświęcenie nie poszło na marne. Lord Chalkin z pewnością okaże się trudnym klientem. Niewątpliwie będą problemy. Ale marki obiecał za wypełnienie zlecenia opłacić przeniesienie tytułu własności. Tak więc Iantina podpisał umowę, kopie przekazano do akt Mistrza Domaize, a oryginał powrócił do Chalkina.

Chalkin zezwolił na zaświadczenia Mistrza o umiejętnościach studenta i otrzymał je, po czym odesłał podpisaną umowę.

-Przeczytaj ją jeszcze raz, Ian - ostrzegł Ussie, gdy Iantina triumfalnie pomachał mu dokumentem przed nosem.

-Dlaczego? - Iantina spojrział na stronicę i wskazał dolne linijki: - Tu jest mój podpis, tu Mistrza Domaize, a dalej Chalkina, o ile ten zygzak ma pełnić taką funkcję. - Podał kartkę Ussiemu.

-Hmm, chyba wszystko w porządku, choć nigdy jeszcze nie widziałem podpisu Chalkina. Do licha, skąd oni wzięli taką maszynę do pisania? Wybija nierówno co najmniej połowę liter. - Ussie oddał mu umowę.

-Sprawdź w aktach, może są tam jeszcze inne podpisy Lorda Chalkina - zgodził się Iantina - chociaż nie mam pojęcia, dlaczego i po co miałby zmieniać tekst, który sam zaproponował?

-To Bitranczyk, a oni są dziwni. Jesteś pewien, że to twój podpis? - Ussie wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdy kolega podejrzliwie przyglądał się własnemu imieniu, a potem zachichotał.

-Pewnie, że mój. Popatrz na krzywą kreskę przy t. Ja tak zawsze piszę. O co ci chodzi, Ussie? - Iantina zaczął irytować to ciągle dogadywanie.

-Widzisz, Bitranczycy doskonale falszują dokumenty. Pamiętasz podrabiane dowody przekazania praw własności do ziemi, pięć lat temu? Nie, ty pewnie nic o tym nie słyszałaś. Jeszcze wtedy chodziłaś do szkoły. - Ussie machnął ręką i poszedł sobie, a zaskoczony lantine nieco się zaniepokoił.

Gdy opowiedział o wszystkim Mistrzowi, Domaize pokazał mu wzór podpisu Chalkina na pogniecionym, wytartym dokumencie, a nadto włożył okulary i dobrze przyjrzał się własnemu nazwisku na nowej umowie.

-Nie, to na pewno moja ręka, a poza tym poznaję twoje ukosne t - uspokoił go i włożył dokument do skrzynki na "pisma przychodzące". - Trzeba zrobić kopie do księgi zamówień. Jeśli będziesz miał jakieś kłopoty w Warowni Bitra, daj mi natychmiast znać. Łatwiej zaprowadzić porządek od razu na początku. I nie daj się wciągnąć do gry, nawet jeśli sądzisz, że chytryś z ciebie - tu pogroził palcem.

-Bitranczycy w ten sposób zarabiają na życie. Nie masz szans wobec ich umiejętności.

lantine szczerze obiecał, że nie będzie w nic grał. Nigdy go to specjalnie nie interesowało, a gdyby znalazł się w towarzystwie graczy, pewnie wolałby ich szkicować, niż przyłączyć się do zabawy. Mistrzowi nie chodziło jednak o hazard. Dopiero teraz zaczął rozumieć, jaki był sens jego słów... szczególnie zaś dała mu się we znaki specyficzna interpretacja terminu "zadowolający". Takie proste słowo, a tak źle można je zrozumieć. Na tym właśnie polegał jego błąd.

Nie namalował czterech miniatur, lecz bez mała dwadzieścia, nie tylko zużył wszystkie przywiezione materiały, lecz jeszcze posłał do Akademii po więcej, gdyż drewno pod miniatury musiało być specjalnie sezonowane, by farba się nie niszczyła, szczególnie jeśli obrazy miały zawisnąć w tak wilgotnym miejscu jak Bitra.

Pierwsze cztery zrobił na blejtramach, które przywiozł ze sobą. Wkrótce przekonał się że płótno, podobnie jak wiele innych kwestii dotyczących malowideł, nie jest "zadowolające" dla Lorda Chalkina i Lady Nadony, jego małżonki.

-Jeśli nie jest najlepszej jakości, to długo nie przetrwa - stwierdziła i przejechała po obrazie paznokciem przypominającym smoczy szpon, rozrywając materiał tak, że przestał nadawać się do użytku. - Życzymy sobie drewna z nieboszczotki.

-Nieboszczotka jest droga...

-A my szczerze płacimy za te miniatury - odparła. - Proszę przynajmniej użyć materiałów najwyższej jakości.

-W umowie nie było wzmianki o nieboszczotce...

-A była konieczna? - spytała z pogardą. - Upewniłam się, że Akademia Domaize oferuje

usługi najwyższej jakości.

-Mistrz Domaize wyposażył mnie w najlepsze płótno - lantine odsunął pozostałe obrazy z jej zasięgu. - Powiedział, że takie proponuje wszystkim klientom. Jeśli pani życzyła sobie malowideł na nieboszczotce, trzeba było uczynić o tym wzmiankę w kontrakcie.

-Naturalnie, że sobie tego życzyłam, młody człowieku. Dla moich dzieci nadaje się tylko to, co najlepsze.

-Czy w Warowni jest takie drewno? - spytał. Przynajmniej nieboszczotki nie można zniszczyć, jeśli malowidło znowu okaże się "niezadowolające".

-Naturalnie.

To był jego pierwszy błąd, ale wtedy jeszcze chciał wykonać pracę najlepiej, jak umiał. Pokazano mu drewno - niezgrabne kłocę, wysezonowane z przeznaczeniem na meble i za cienkie na miniatury - "miniatury", które do tej pory już urosły, dwukrotnie przekraczając zwyczajową wielkość.

Jedną z ważniejszych pozycji na liście "niezadowolających" kwestii było ustawienie dzieci, choć sama Pani Warowni na początku zaproponowała takie właśnie pozy.

-Chaldon wygląda całkiem nienaturalnie - narzekala. - Zupełnie niepodobny. Wydaje się zdenerwowany, kiedy tak opuszcza ramiona. Dlaczego mu nie każesz siedzieć prosto?

lantine zdusił odpowiedź, że robił to często, jak zresztą sarna słyszała.

-W dodatku, tak się brzydko krzywi. Taki był "naturalny" wyraz twarzy chłopca.

-W takim razie, może na stojąco? - zaproponował. Na myśl o tym, że będzie musiał zmusić dzieciaki, by pozowały stojąc, po plecach przebiegł mu dreszcz. Miał dość kłopotów z nakłonieniem ich, by siedziały spokojnie. Zgodnie z przepowiednią Ussiego, były nieposłuszne i nie potrafiły skupić uwagi choćby na tak długo, by udało mu się namówić je do przyjęcia odpowiedniej pozy, albo zrobienia nieco bardziej pogodnej miny.

-Dlaczego, u licha, namalowałeś to na takim małym płótnie? Potrzeba do tego szkła powiększającego. - Lady Nadona odsunęła od siebie podobiznę Chaldona na długość ramienia. lantine poznał już te kobiety na tyle, by nie wspominać jej o dalekowidztwie.

-To zwyczajowa wielkość dla miniatury...

-To ty tak twierdzisz - oddaliła jego tłumaczenie. - Chce obrazu, który będzie mogła oglądać nawet z najdalszego końca pokoju...

Potrzeba ta była wielce zrozumiała, gdyż Lady zwykle starała się przebywać w najdalszym

koncu pomieszczenia, gdy w pobliżu pojawiała się jej potomstwo. Były to najbardziej niechłujne dzieci, jakie Lantine widział w życiu; tłuste z powodu wrodzonego niezgultwa, zawsze w niedopasowanych ubraniach, gdyż krawcowa Warowni niezbyt dobrze znalazła się na swoim rzemiosle, a poza tym ciągle jadły coś co ciekło, lepilo się, rozmazywało albo kruszyło na buzie i ubrania. Żadne z nich nie kapalo się niezbyt często, więc złe podcięte włosy miały długie i przetluszczone. Jedną z dziewcząt ciachnęła je nożem... oprócz jednego długiego loka na plecach, w który wplotła paciorki i dzwoneczki. Reszta miała grube warkocze, rozplątane tylko wtedy, gdy zgubiły to, czym akurat był związany koniec.

Lantine ciężko pracował nad prosiaczkowatym Chaldonem i w końcu zrozumiał, że nie może sportretować go tak, aby wyglądał "naturalnie". Postanowił więc zachować tylko tyle podobieństwa, by rodzina mogła rozpoznać, kogo obraz przedstawia. Ale portret i tak okazał się "niezadowolający". Tylko miniatura najmłodszego, krepiego trzylatka, który wymawiał jedno jedyne słowo, czyli "nie" i nie rozstawał się z pluszową zabawką, została uznana za "w miarę zadowolająca". Właściwie najlepszy z całego portretu był nie Briskin, lecz jego wypchany mis, o ile to był mis.

Lantine próbował nadać nieco romantyki niezwykle uczesaniu jednej z córek, ale poinformowano go, że Luccha znacznie lepiej wygląda "z normalnymi włosami", które każdy malarz wart tej nazwy dodałby sam, bez podpowiadania. A poza tym, dlaczego Luccha ma taką niewyraźną minę, kiedy w rzeczywistości się ślicznie i ma uroczy charakter? Który najpełniej ujawniał się, gdy próbowała związać razem ogony wszystkich kotów w Warowni, skomentował w myśli Lantine. W ogóle, w Warowni Bitra ze świecą nie znalazłoby się zwierzęcia bez okaleczeń, a chłopak stajenny kiedyś mu powiedział, że w tym roku jedynie siedem psów zginęło w różnych "wypadkach".

Usta Lucchy, nieco skosnie osadzone, zwykle były zacisnięte w cienką, nieprzyjemną kreskę. Młodsza od niej Lonada miała obrzmiałą twarz i małe czarne szparki w miejscu oczu, a do tego nos ojca; nieładny w przypadku mężczyzny, lecz wprost fatalny dla kobiety.

Lantine musiał także "kupić" kłódkę od zarządcy, by futra do spania nie wywedrowały z małej klitki, w której go zakwaterowano. Miał świadomość, że jego bagaże przeszukano już pierwszego dnia, pewnie kilka razy, sadząc po zamazanych odciskach palców, które pozostały na szkiełkach z farbami. Nie przejmował się tym, gdyż nie zabrał ze sobą nic cennego; nieliczne wartościowe rzeczy pozostawił w Akademii. W każdej Warowni był jakiś sługa, którego na widok cudzej własności swędziały ręce. Nadzorca zwykle wiedział, kto to taki i bez trudu odzyskiwał to, co zniknęło z gościnnych pokoi. Ale gdy Lantine zobaczył, że ze szkiełki ktoś bez troski pożejmoł wieczerkę i farba wyschła, w końcu się zdenerwował i "zapłacił" za kłódkę. Nie do końca poprawiło to jego poczucie bezpieczeństwa, bo mogło być do niej kilka kluczy, ale jednak futra pozostały na swoim miejscu. Bardzo się cieszył, że je zabrał, gdyż dano mu tylko dziurawy koc, który od dawna powinien zostać podarty na szmaty.

Były to najmniejsze trudności, z jakimi spotkał się w Warowni. Wysłuchawszy wszystkich

krytycznych uwag na temat kolejnej serii miniatur, trzykrotnie większych niż pierwsze, wreszcie zaczął się nieco orientować, w jaki sposób rodzice widzą swoje pociechy. Piąta wersja nieomal została uznana za "zadowolająca". Nieomal...

Wtedy dzieci, jedno po drugim, zapadły na jakąś zakaźną chorobę, wywołującą taką wysypkę, że w żaden sposób nie mogły pozować.

-No cóż, lepiej weź się za jakąś robotę, by zarobić na utrzymanie - powiedział Chalkin portreciście, gdy Lady Nadona poinformowała, że dzieci muszą zostać w swoich pokojach.

-Według umowy mam zapewnione mieszkanie i wyżywienie... Chalkin unosił tłusty palec z uśmiechem, w którym nie było najmniejszego śladu wesołości.

-Tylko wtedy, gdy wypełniasz jej warunki.

-Ale przecież dzieci są chore. Lord wzruszył ramionami:

-To nie ma nic do rzeczy. Nie jesteś w stanie wypełnić konkretnych warunków tej umowy, a zatem nie masz prawa do wyżywienia i mieszkania na koszt Warowni. Naturalnie, zawsze mogę odjąć wolny czas od należnej zapłaty... - uśmiech stał się mściwy.

-Wolny czas... - Rozwścieczony Lantine przez chwilę nie był w stanie się pohamować. Nic dziwnego, że nikt inny w Akademii Domaize nie chciał podpisać zamówienia z Bitry, pomyślał, trzesąc się z tłumionego gniewu.

-No cóż - kontynuował Chalkin, jakby to było najnormalniejsze w świecie zachowanie - jak inaczej nazwać czas, w którym nie wykonujesz złecej ci pracy?

Lantine zaczął się zastanawiać, czy pracodawca wie, jak bardzo potrzebna jest mu dokładnie taka kwota, jaka przewidziano w umowie. Nie wdawał się w Warowni w żadne rozmowy: wszyscy tu byli ponurzy i mało mówni, nawet w chwilach najlepszego nastroju - czyli zwykle przy posiłkach. Miał nadzieję, że nigdy nie trafi na zły humor służby. Uparcie odmawiał, gdy kucharze albo strażnicy proponowali mu "malenka partyjke" i z tego względu wszyscy traktowali go z niechęcią. Skąd więc ktoś miałby wiedzieć coś o jego życiu osobistym albo o powodach, dla których przyjął pracę w Bitrze?

Tak więc, zamiast wracać do domu po wykonaniu dobrej roboty z kieszenia ciężka od marek, Lantine spędzał "czas wolny" retuszując twarze przodków Chalkina na freskach w wielkiej sali.

-Z pewnością przyda ci się takie ćwiczenie - powiedział Chalkin z fałszywą sympatią podczas codziennej inspekcji prac. - Będiesz lepiej przygotowany, gdy przyjdzie czas na malowanie zadowolających portretów obecnego pokolenia.

Wszyscy mają świnię twarze, podsumował Lantine, i rodowe miesiste nosy. O dziwo

jedna czy dwie prababki były całkiem przyjemne, o wiele za młode i za ładne dla mężczyzn o wąskich wargach, którym je oddano. Szkoda, że męskie geny zdominowały rod.

Naturalnie, musiał sporządzić specjalne farby do fresków, gdyż jadąc do Warowni nie miał pojęcia, że nakłonia go do tej pracy. Zorientował się również, że ilość farb olejnych gwałtownie zmalała, bo zużył zbyt wiele na kolejne, niezadowolające portrety. Miał wybór: albo posłać do Akademii Domaize po nowe farby, zapłacić za transport i długo czekać na dostawę, albo samemu znaleźć surowce i zrobić barwniki. Doszedł do wniosku, że to lepsze wyjście.

-Ile? - wykrzyknął zdumiony, gdy kuchmistrz powiedział mu, jak wiele musi zapłacić za jajka i olej, potrzebne do rozmieszania pigmentów.

-Ano tyle, a jeszcze dodatek za pozyczenie garnków, nie? - oświadczył kucharz i kichnął. Miał nieustający katar, który nieraz splotał mu na górną wargę... jednak nie skapywał do przygotowywanych właśnie dań, lantine przekonywał sam siebie z wielką stanowczością.

-Muszę od ciebie pożyczyć miski i garnki? - młody malarz był zdumiony, jak bardzo zaraziła go chciwość Chalkina.

-Ano, jak ja w nich nie robię, tylko ty, to należy się za najem, nie? - tu kichnął tak gwałtownie, że w zatokach nie pozostało mu chyba wreszcie ani trochę wydzieliny. - Jak się czegoś potrzebuje, to się zabiera ze sobą, nie? Lord zobaczy, że masz u siebie statki z kuchni i za to policzy. Ale nie mnie! - i znowu kichnął, podkreślając swoje słowa wzruszeniem ramienia w brudnobiałym kitlu.

-Przybyłem tu z odpowiednim zapasem narzędzi i materiałów do pracy, do której mnie wynajęto - odpowiedział lantine, pohamowując gorące pragnienie, by wcisnąć twarz tego człowieka w cienką zupkę, która mieszał chochła.

-No i co?

Malarz wyszedł, sztywny z wściekłości. Próbował się pocieszać, że właśnie przechodzi najsurowszą z możliwych lekcji postępowania z klientami.

Poszukiwanie surowców na pigmenty było równie trudne, gdyż na bitranskich wzgórzach zadomowiła się już ostra zima. Znalazł solidny kawał kamienia, zaokrąglony na jednym końcu, doskonały na tłuczek, a potem skałę z zagłębieniem, która posłużyła jako moździerz. Jedno z górskich zboczy było całe porośnięte krzewami sabsab, z których korzeni wyrabiano żółty barwnik; w okolicy było dość kobaltu na błękity, a liście lapiej jagody po ugotowaniu dawały cudownie czystą czerwień, bez śladu fioleto lub pomarańczy. Szczęśliwie trafił również na błota zawierające ochre. Zamiast "wypożyczyć" garnki, użył poszczerbionych naczyń, które wygrzebał ze smietnika. Musiał kupić olej podrzędnej jakości za cenę pierwszorzędnego surowca; w dodatku był pewien, że zapłacona za to marka nigdy nie powedruje do kieszeni Lorda Chalkina.

Znalazł dość kubków i spodków - naczynia w Bitrze były marnej jakości - by wystarczyło na wszystkie potrzebne kolory. Jeszcze nie skończył pracy, gdy Chaldon wydobrzył na tyle, by pozować po raz kolejny.

Chłopiec schudł z powodu gorączki, która pojawiła się jednocześnie z wysypką, a nadto bardzo osłabł i stał spokojnie, poki lantine opowiadał mu różne zabawne historie. Malarz, wyzywając się w duchu od najgorszych pochlebców, nadal dziecku podobienstwo do najprzystojniejszego z przodków na odnowionym fresku. Mały był z tego ogromnie zadowolony i pobiegł po matkę, wykrzykując, że wygląda zupełnie jak pradziadko, tak jak to mamusia zawsze powtarza.

Ta sama sztuczka nie najlepiej udała się w przypadku Lucchi, która wyzdrowiała następną. Cera dziewczynki zżółkła, włosy się przerzedziły i zanadto wychudła, co bynajmniej nie poprawiło jej przeciętnej urody. Postanowił upodobnić ją do praprababki, ale nie miała odpowiedniego kształtu twarzy, i sam musiał przyznać, że rezultat jest niezadowolający.

-To przez te choroby - mruknął, gdy Chalkin do spółki z Nadona recytowali długą listę różnic między portretem a modelką.

Lepiej mu poszło z Lonada i Briskinem który, o kilka kilo lżejszy, przypominał brata pradziadka - mężczyźni o wychudłej twarzy, wydatnej dolnej wardze i ogromnych uszach. Przewidując zmniejszył je na swoim malowidle, zastanawiając się, jakiej sztuczki użył kolega artysta z dawnych czasów, by model pogodził się z takimi niepochlebnyymi przydatkami na swym portrecie.

Gdy skończył te dwójki, poprawił Lucche: trochę przybrała na wadze i miała nieco lepszą cerę. Nie bardzo, ale wystarczająco. Odrobine szerzej rozstawił oczy w malowanej twarzy, co niesłychanie dodało jej urody. Szkoda, że modelce nic już nie mogło pomóc. Przypomniawszy sobie, jak mawiano, że Ojcowie Założyciele potrafili zmieniać kształt nosów i odstających uszu...

W końcu, z wielką niechęcią, zaproponował tylko drobnych poprawek do czterech portrecików, bynajmniej nie miniaturowych na tym etapie, doprowadzając artystę do stanu, w którym był bliski polamania czegoś - najchętniej karku swym gospodarzom - Lord i Lady Bitry uznali, że obrazy są zadowolające. Ostatnia krytyczna sesja potrwała aż do późnej nocy, ciemnej i burzliwej; wycie wiatru słyszano się nawet przez trzymetrowe skalne ściany.

Tak więc, znudzony, lecz wielce odprezony wszedł do swej komnatki na dolnym piętrze i dopiero tam poczuł przenikliwe zimno. W wielkiej sali, gdzie ogień huczał w czterech kominkach, panowała znosna temperatura, lecz na dole nie było ogrzewania. Zimno przenikało do kości, więc jedynie rozluźnił pas, zdjął buty i wpełznął na twarde siennik, zwany tu materacem, który wyglądał i woniał jak coś wydobytego ze statku po Pierwszej Przeprawie. Zwinął się w kłębek pod futrami, bardziej niż zwykle wdzieczny losowi, że zabrał jeź soba i zasnął.

Obudził go lodowaty podmuch. Twarz zeszytywniała mu z zimna i mimo ciepłych futer, zabolaly go miesnie, gdy probowal sie przeciągnac. Nabawil sie skurczu szyi - ciekawe, czy w nocy w ogole sie poruszył. Bylo tak zimno, ze zapewne instynktownie szukal ciepla. Ale teraz musial pojsc do toalety.

Wcisnal stopy w skorzane buty, sztywne od mrozu, otulil sie ciasno futrami i ruszył korytarzem przed siebie. Z ust unosil mu sie pioropusz pary, mroz kasal w policzki i nos. Skonczyl jak najpredzej i pobiegl do siebie, by zalozyc najgrubszy welniany sweter. Zastanowil sie, czy nie narzucic nan jeszcze futer, dla lepszej ochrony przed zimnem, ruszył w gore po schodach, wsrod scian, ociekajacych wilgocią. Zatrzymal sie przy pierwszym oknie na pietrze: bylo kompletnie zasypane sniegiem. Wszedl na wyzsza kondygnacje i otworzył drzwi do kuchni, w ktorej powinno byc nieco cieplej.

Czy w nocy wygasly wszystkie kominki w Warowni? Czy chlopcy, odpowiedzialni za palenie ognia, poprzymarzali w nocy do swych waskich prycz? Gdy odwrocil glowe, by spojrzec w ich strone, przesliznal sie wzrokiem po kolejnym oknie: zasypane na wysokosc dloni. Podszedl i wyjrzał na dziedziniec: zobaczyl nieskalanie biala, sniezna plaszczyzne. Tam, gdzie dziedziniec laczył sie z droga, powinno byc zaglebiecie, ale snieg pokryl je rowna warstwa. Na dworze nie bylo nikogo. Nie dostrzegł tez zadnych sladow na dziedzinie, ktore oznaczalyby, ze ktos z sasiednich gospodarstw probowal dostac sie do Warowni.

-Jeszcze tego mi brakowalo - powiedzial, kompletnie zalamany tym widokiem. - Przeciez moge tu utkwic na cale tygodnie!

I placic za utrzymanie i kwatere. Gdyby te dzieciaki nie zachorowaly na odre... gdyby nie pospieszyl sie tak z freskami... Jak on to przetrwa? Czy z umowionej zapłaty - zdawalo by sie, tak szczodrej - zostanie choc pare groszy w dniu, kiedy opuści juz te nieszczesna Warownie?

Tego samego ranka, gdy na pol zamarnieci ludzie poczeli likwidowac szkody wyrzadzane przez sniezyce, zawarł kolejny układ z Wladcami Warowni; tym razem wyrazal swoje propozycje niezwykle szczegolowo. Otoz podjal sie namalowac dwa portrety, jeden przedstawiajacy cala postac Lorda Chalkina, drugi - Lady Nadony, oboje w swiatecznych szatach. Obrazy mialy byc malowane na deskach z nieboszczotki o powierzchni metra kwadratowego, dostarczonych przez Chalkina, podobnie jak wszystkie materialy i sprzet do wyrobu potrzebnych pigmentow. Zastrzegł tez sobie wyzywienie i mieszkanie w komnacie na pietrze, z ogniem na; kominku rozpalanym rano i wieczorem.

Bez trudu skonczyl portret Lady Nadony - chetnie siadywala bez ruchu, gdyz dawalo jej to znakomita wymowke, by oddawac sie ulubionemu nierobstwu. Wprawdzie w polowie pracy postanowila zmienic suknie, gdyz doszla do wniosku, ze blekit bardziej pasuje do jej cery niz czerwien. Miala racje, ale jakos jej to wyperswadowal i delikatnie zmienil czerwona z natury twarz na lagodny rumieniec, a do tego przyciemnil barwe bladych oczu tak, ze dominowaly w calej twarzy. Tyle nasluchal sie juz o podobienstwach miedzy Pania Warowni

a Luccha, że nie omieszkał odmłodzić nieco matki.

Gdy chciała zmienić kołnierzyk u sukni, domalował go na wzór fali koronek, która widział na jednym ze starych portretów. Doskonale ukrywała obwisły podbródek, który zresztą już wcześniej zlikwidował, a do tego nadawała twarzy łagodniejszy wyraz.

Z Chalkinem nie miał tyle szczęścia. Psychika tego człowieka nie pozwalała mu usiedzieć spokojnie ani przez chwilę - bez przerwy postukiwał palcami, zakładał nogę na nogę, podrygując nerwowo, podrzucał ramionami, krzywił twarz i w ogóle nie był w stanie przyjąć nieruchomej pozy.

Lantini niemal dostawał obłędu, pragnąc wreszcie z tym skończyć i opuścić to straszne miejsce przed następną śnieżycą. Zastanawiał się, czy wszystkie opóźnienia powodowane przez Chalkina i rzadkie momenty, kiedy łaskawie zgadzał się na pozwolenie, nie są przypadkiem kolejną sztuczką obliczoną na to, by opóźnić jego odjazd i odliczyć sobie część należnej zapłaty. Chalkin nieraz zapraszał go do kasyna, zajmującego najcieplejsze i najelegantsze pomieszczenia w Warowni. Lantini zawsze potrafił znaleźć jakąś wymówkę.

-Proszę się nie ruszać, Lordzie Chalkinie, pracuję nad pańskimi oczami i nie uda mi się, jeśli będzie pan nimi w ten sposób poruszał - powiedział, ostrzej niż kiedykolwiek przedtem.

-Przepraszam - odparł Chalkin i gniewnie podrzucił ramionami.

-Lordzie Chalkinie, proszę wreszcie usiąść spokojnie na pięć minut, chyba że chce pan mieć zęza na tym portrecie. Bardzo proszę!

Zdenerwowanie Lantini'ego chyba wreszcie dotarło do świadomości Lorda, bo nie tylko się uspokoił, lecz także zaczął swidrować go wściekłym wzrokiem. I to znacznie dłużej, niż przez pięć minut.

Lantini, najszybciej jak mógł, skończył precyzyjną pracę przy oczach modelu. Poszerzył je trochę i zlikwidował spuchnięte worki pod nimi. Wyszczuplił prosiakowatą twarz o obwisłych policzkach i ujął nieco mieszystego nosa, nadając mu z lekką rzymski kształt. Poszerzył za to i podwyższył ramiona, czyniąc je bardziej atletycznymi, a także przyciemnił włosy. Pracownicy oddali też ogień, rzucając przez kamienie w licznych pierscieniach. Właściwie, te ostatnie zdominowały obraz, co zdaniem artysty powinno spodobać się Chalkinowi, który, jak się zdaje, miał więcej pierscieni niż było dni w roku.

-Proszę! - powiedział, odłożył pedzel i cofnął się by objąć wzrokiem obraz, ucieszony, że wykonał pracę najlepiej jak było można, biorąc pod uwagę konieczność "zadowolenia" klientów i jak najszybszego opuszczenia tego straszego miejsca.

-Najwyższy czas - odparł Chalkin, zsunął się z krzesła i podszedł do malarza.

Lantini obserwował jego twarz, na której zadowolenie na moment zastąpiło zwykły, ponury

grymas. Chalkin przyjrzał się bliżej, jakby szukając śladów po pociągnięciach pedzlem. Iantine, jako kompetentny artysta, od dawna ich nie zostawiał na swych pracach.

-Uwaga na farbe. Jeszcze nie wyschła - ostrzegł szybko malarz i wyciągnął reke, żeby Chalkin nie dotknął obrazu.

-Phi - odpowiedział pan Warowni i wzruszył ramionami, by poprawić grubą kamizelę. Udawał obojętność, ale sposób, w jaki spoglądał na własną twarz, powiedział Iantine'owi, że w końcu udało mu się zadowolic tego człowieka.

-I jak? Zadowolający? - spytał, nie wytrzymując napięcia.

-Niezły, wcale niezły, ale... - Chalkin znow wyciągnął paluch.

-Proszę nie rozmazywać farby, Lordzie Chalkinie. - Iantine obawiał się, że będzie musiał odbyć kolejną sesję, by naprawić ewentualne szkody.

-Jestes grubiański, malarzu.

-Nosze oficjalny tytuł Artysty, Lordzie Chalkinie i proszę mi powiedzieć, czy ten portret jest zadowolający, czy nie!

Chalkin rzucił mu szybkie, nerwowe spojrzenie. W twarzy zadrgał mu jakiś mięsień. Nawet Lord Bitry wyczuwał, gdy zdarzyło mu się posunąć wobec kogoś za daleko.

-Nie jest zły...

-Czy jest zadowolający, Lordzie Chalkinie? - Iantine włożył w to pytanie cały gromadzony tygodniami niepokój i zdenerwowanie.

Chalkin podniósł reke, wykrzywił się, nie mogąc podjąć decyzji, po czym pośpiesznie ułożył twarz w grymasie przydającym jej nieco godności, prawie tak jak na portrecie.

-Tak, sądzę, że jest zadowolający.

-W takim razie - Iantine ujął go za łokieć i poprowadził do drzwi - ruszajmy do biura i podpiszmy umowę.

-Zaraz, trzeba jeszcze...

-Jeśli jest zadowolający, wypełniłem warunki umowy i możecie się teraz rozliczyć ze mną za miniatury, panie - oświadczył Iantine i dalej prowadził go zimnym korytarzem do biura. Niecierpliwie tupął, czekając, aż Chalkin wyjmie klucze z kieszeni i otworzy drzwi.

Na kominku buchał taki ogień, że Iantine natychmiast się spocił. Na władczy gest Chalkina odwrócił się, by nie patrzeć, jak pan Warowni majstruje przy sejfie. W końcu, z

nieskonczona ulga, usłyszał zgrzyt klucza w metalowym zamku i zapanowała cisza. Trzasnęło zamykane wieko.

-Proszę bardzo - powiedział zimno Chalkin.

lantine przeliczył marki. Szesnastę. Wszystkie farmerskie, ale nie miał nic przeciwko temu, gdyż takie przyjmowano w Bendenie.

-Umowy?

Chalkin zmierzył go gniewnym spojrzeniem, lecz otworzył szufladę, wyciągnął papiery i niemal rzucił je na biurko przed artystą. lantine podpisał się i oddał je Chalkinowi.

-Proszę, moje jest dobre - powiedział, gdy Lord udawał, że nie może znaleźć dobrze piszącego pióra wśród nieporządnie porzucanych przedmiotów na biurku.

Chalkin nabazgrał swoje imię.

-Jeszcze data - dodał lantine, by uniknąć późniejszych zażaleń.

-Za dużo sobie pozwalasz, malarzu.

-Artysto, Lordzie Chalkinie - odparł z uśmiechem pozbawionym wesołości i odwrócił się. Przy drzwiach zatrzymał się na chwilę i ostrzegł: - Proszę nie dotykać farby jeszcze przez czterdzieści osiem godzin. Nie wróć, jeśli ktoś ją rozmazie. Gdy opuściliśmy salę, obraz był zadowolający. I lepiej, żeby taki pozostał.

lantine wrócił do sali, by zabrać pędzle, które jeszcze nadawały się do użycia, ale zostawił wszystkie farby własnej roboty. Poprzedniej nocy w przypiływie nadziei spakował pozostałe rzeczy. Teraz, skacząc po dwa, a czasem trzy stopnie, wbiegł na schody, starannie owinał pędzle, wetknął podpisane i opatrzone data umowy do worka, wskoczył w kurtkę, zwinął futra, złapał oba worki w dłoń i był już znowu na polowie schodów, gdy spotkał wchodzącego Chalkina.

-Nie możesz teraz wyjechać - zaprotestował Lord, chwytając go za ramię. - Musisz poczekać, aż żona zobaczy mój portret i potwierdzi, że jej się spodobał.

-Ależ skądże, wcale nie muszę - lantine odepchnął rękę swego gospodarza.

Zanim Chalkin zdążył coś jeszcze dodać, malarz był już za drzwiami i pobiegł przed siebie drogą wśród zasp. Uznał, że nawet jeśli noca chwyci go śnieżyca na drodze, i tak będzie bezpieczniejszy, niż gdyby został choćby jeszcze godzinę w Warowni Bitra.

Miał szczęście, gdyż następną śnieżną burzę przeczekał w chatce drwala, odległej o kilka klików od Warowni.

Rozdział VI

Weyr Telgar, Warownia Fort

-Zgadnijcie, co znalazłem? - zawołał P'tero, gestem zapraszając gościa do kuchennej jaskini. - Tisho, on jest na pol zamrznęty i umiera z głodu - dodał młody jezdziec, zaciągnął wysoka, zawinięta w futra postać do najbliższego paleniska i posadził ją w fotelu. Na stole ułożył jakieś paczki. - Dajcie mu prędko kłahu, na miłość małych smoczków, bardzo was proszę... Podbiegły do nich dwie kobiety, jedna z kłahem, a druga z pospiesznie napełnioną miską zupy. Z drugiego końca jaskini nadeszła wielkimi krokami Tisha, dopytując się, o co chodzi, kogo uratował P'tero i gdzie to było.

-W ogóle nie powinno się wychodzić na dwór w taką pogodę - powiedziała i wzięła zamrznętego człowieka za przegub dłoni, by wyczuć puls.

-Prawie zamarł na śmierć.

Odwinęła jego twarz z futer i dopiero wtedy podała mu kubek. Objął go zaczerwienionymi dłońmi, podmuchał i w końcu ostrożnie pociągnął łyk. Nie był w stanie opanować dreszczy.

-Wypatrzyłem sygnał SOS na śniegu. Miał szczęście, że cienie kładły się od słońca, bo inaczej nie dostrzegłbym znaków - opowiadał P'tero, wielce zadowolony z siebie. - Znalazłem go niedaleko od Warowni Bitra...

-Nieszczęsny człowiek - przerwała mu Tisha.

-Och, masz zupełną rację - skomentował P'tero z ironicznym zapalem. - On nie zamierza tam wracać. Opowiedział mi wszystko - młody jezdziec padł na krzesło, a ktoś podał mu kubek kłahu. - Wyrwał się z pazurow Chalkina, nietknięty - dodał, uśmiechając się złośliwie - a potem przetrwał trzy noce w gospodarstwie jakiegoś drwala... mając do jedzenia jedynie kubek owsianki...

Sluchając opowiadania, Tisha poleciła przynieść butle z gorącą wodą, ogrzane koce, a gdy dobrze przyjrzała się rekom mężczyzny, także mrocznik i balsam przeciw odmrożeniom.

-Chyba tylko solidnie zmarzły - powiedziała, ujęła jedną z jego dłoni, które gorączkowo zaciskały się na kubku z kłahem i rozcapierzyła palce, szczypiąc czubki. - Nie, nic złego się nie stało.

-Dziękuję, bardzo dziękuję - odpowiedział mężczyzna, z powrotem ujmując kubek. - Strasznie zmarzłem, wydeptując ten napis...

-Kto wychodzi na taki mroz bez rękawiczek! - skarciła go gospodyni.

-Kiedy wyruszyłem do Bitry z Akademii Domaize, była jesień - wychrypiał.

-Jesien? - powtorzyła jak echo, wytrzeszczając ze zdumienia piękne oczy. - To ile czasu spędziłeś w Warowni Bitra?

-Siedem koszmarnych tygodni - odpowiedział, wyrzucając z siebie słowa z wielkim niesmakiem. - Myślałem, że zajmie mi to najwyżej siedmiodziesiąt...

Tisha zaśmiała się, aż jej brzuch skakał pod szerokim fartuchem.

-Przede wszystkim, co u licha sprowadziło cię do Bitry? Jesteś artysta, prawda?

-Skąd wiesz? - w jego spojrzeniu malowało się zaskoczenie.

-Masz farbę za paznokciami...

Lantine przyjrzał się im i zaczerwieniona od mrozu twarz pokrył ciemniejszy rumieniec.

-Nawet się nie zatrzymałem, by umyć ręce - odparł.

-I bardzo dobrze zrobiłeś, biorąc pod uwagę ceny, jakich Chalkin sobie życzy za takie luksusy jak mydło - zaśmiała się cicho.

Jakąś kobietę przyniosła rzeczy, o które Tisha przed chwilą prosiła. Nawet, gdy kobiety się nim zajmowały, zaciskał to jedną dłoń, to drugą na kubku z kłahem, a później na misce z zupą. Futra, które uchroniły go przed zamrożeniem na śmierć, zabrano do wysuszenia przed kominkiem; zdjęto mu buty i sprawdzono, czy nie odmroził palców u nóg. Szczęśliwie nic się im nie stało, więc na wszelki wypadek kobiety nasmarowały je balsamem i owinęły w ciepłe ręczniki; resztę ciała otulono rozgrzаныmi kocami. W ręce i twarz także wmasowano balsam i dopiero wtedy mogli dokonać gorący posiłek.

-A teraz podaj nam swoje imię i powiedz, komu przekazać wiadomość, że cię odnaleźliśmy? - spytała Tisha, gdy zadbała już o jego zdrowie.

-Jestem Lantine, portrecista z Akademii Domaize - odpowiedział dumnie, ale i z lekką kpina. - Zlecono mi namalowanie miniatur dzieci Chalkina...

-I to był twój pierwszy błąd - zaśmiała się Tisha. Zaczerwienił się.

-Masz wiele racji, ale potrzebowałem pieniędzy.

-I co, dostałeś choć część? - oczy P'tera błysnęły złośliwie.

-Ach, co do grosza - odparł z taką mocą, że wszyscy wokół się uśmiechnęli. - Ale musiałem się rozstać z jedną osmą marki w chacie drwala - westchnął. - Podzielił się ze mną wszystkim, choć sam miał mało.

-Skorzystał na tym, to pewne...

lantine przez chwile sie nad tym zastanawial.

-Mialem szczescie, ze udalo mi sie przeczekac te burze u niego. I naprawde sie ze mna podzielim... - szybko wzruszil ramionami i na moment na jego twarzy odmalowal sie smutek.
- Poza tym, to on wymyslil ten znak na sniegu, dla smoczycy jezdzcow. Dobrze, ze jeden z nich go zauwazyl - sklonil glowe w strone P'tera.

-Nie ma sprawy - odpowiedzial tamten beztrosko. - Ciesze sie, ze cie spotkalem. - Pochylil sie przez stol do Tishy. - Jeszcze jeden dzien, a zamarzlbym na smierc.

-Ile czasu czekales?

-Dwa dni od kiedy minela sniezycyca, ale na noc chodzilem do starego Fendlera. Jak czlowiek jest glodny, nawet waz tunelowy mu smakuje - dodal zastanawiajac sie, kiedy to ostatni raz jadal porzadny posilek.

-Ach, biedny chlopiec - wzruszyla sie Tisha i polecila przyniesc mu podwojna porcje gulaszu, chleba, dzemu i kilka owocow przyslanych z Isty.

Pod koniec posilku lantine poczul, ze chyba nadrobil zaniedbania z ostatnich czterech dni. Rece i stopy szczypaly, mimo mrocznika i balsamu. Kiedy wstal, by pojsc do toalety, zachwial sie tak, ze musial przytrzymac sie krzesla.

-Uwazaj, chlopcze, pusty zoladek to byla zaledwie polowa twoich klopotow - ostrzegla Tisha i skoczyla mu na pomoc znacznie zwawiej, niz mozna bylo sie spodziewac po kobiecie o tak poteznych ksztaltach. Polecila gestem P'terowi, by podparl malarza z drugiej strony.

-Ale ja musze... - zaczal lantine.

-W porzadku, jest po drodze do sypialni - odparla i zarzucila sobie jego reke na ramie. Byli tego samego wzrostu.

P'tero wzial bagaze i razem pomogli mu dojsc do lazienki, a pozniej do lozka w pustej komnatce. Tisha ponownie obejrzala mu stopy, nasmarowala je po raz drugi mrocznikiem i wyszla na paluszkach. lantine upewnil sie tylko, ze jego worki - i ciezko zarobiona zaplata - sa przy lozku i zapadl w gleboki sen.

Gdy spal, wyslano wiadomosci do Akademii Domaize, oraz Weyru i Warowni Benden, gdz lantine oficjalnie podlegal Bendenowi. Choc malarzowi nic sie nie stalo, M'shall uznal jego przypadek za kolejna nieuczciwosc Chalkina. Irena jakis czas temu sporzadzila liste wykroczen Bitranczyka, ktore glownie uderzaly w tych, ktorzy nie potrafili stawic oporu jego zadaniom. W jego Warowni nie bylo sadu, rozstrzygajacego spory ani tez uczciwych arbitrow, wydajacych decyzje.

Powazni kupcy, na ktorych bezstronnych raportach zawsze mozna bylo polegac, omijali

Bitre i przytaczali liczne przypadki nieuczciwego postępowania, które nagromadziły się przez piętnaście lat, od czasu gdy Chalkin objął Warownię. Nieliczni drobni kupcy, którzy odwagili się tam pojechać, rzadko odwiedzali to miejsce po raz drugi.

Po pamiętnym Zgromadzeniu, na którym podjęto decyzję o zdjęciu Chalkina ze stanowiska, M'shall polecił jeźdźcom - zwiadowcom odwiedzić wszystkie pomniejszych gospodarstwa w Bitrze i dowiedzieć się, czy Chalkin, zgodnie ze swymi obowiązkami, powiadomił ludzi o zbliżaniu się Nici. Żaden z gospodarzy nic nie wiedział, choć wszyscy musieli płacić Warowni podwyższoną daninę. Sądząc ze sposobu pobierania dodatkowych dóbr, Chalkin gromadził zapasy wyłącznie dla siebie, nie dla całej społeczności. Samotne gospodarstwa niewątpliwie odczuwają brak nawet podstawowej żywności. Stanowiło to jawne nadużycie stanowiska Władcy Warowni.

Paulin przeczytał raport M'shalla i spytał, czy gospodarze Chalkina zaświadcza przeciw niemu. Jeździec odparł, że wstępny rekonesans wykazał kompletny brak poczucia obywatelskiej odpowiedzialności u większości drobnych farmerów. Chalkin zastraszył ich do tego stopnia, że bali się go oskarżać - szczególnie wobec nadchodzącego Przejścia - gdyż w dalszym ciągu mogli zgodnie z prawem eksmitować buntowników.

-Może zmienia zdanie, gdy Nici zacznie opadać - skomentował to K'vin w rozmowie z Zulaya.

-Obawiam się, że wtedy będzie już za późno, by ich jakos przygotować do obrony.

K'vin wzruszył ramionami.

-Na szczęście to nie nasz problem i naprawdę się z tego ciesze. Przynajmniej udało nam się uratować lantynę'a.

-Biedaczek. Postanowił rozpocząć w Bitrze karierę zawodową? Nie najlepiej trafił. - Zulaya zaśmiała się sardonicznie.

-Może na więcej nie ma szans - zastanawiał się jej partner.

-Niemożliwe, jeśli kształcił się w Akademii Domaize - odpowiedziała ostro. - Ciekawe, kiedy odzyska pełną sprawność w dłoniach?

-Chciałabys nowy portret? - spytał, rozbawiony.

-No cóż, brakuje mu osemki do potrzebnej kwoty...

K'vin spojrzał na nią rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma: - Chyba nie chcesz...

-Oczywiście, że nie - odparła z irytacją. - Przyda mu się też trochę grosza na własne potrzeby. Podziwiam każdego, kto wytrzymał tyle czasu w Bitrze, niezależnie od powodów.

W dodatku, lantine okazał się honorowym chłopcem, chciał zapłacić za przejazd.

-Włóż do pozowania te czerwone suknie, które miałas na sobie w dzień Wylegu - zaproponował K'vin. Potarł podbródek. - Wiesz co, może i mnie przydałby się jakiś portret?

Rzuciła mu długie spojrzenie.

-Ciekawe, czy chłopak opuści Weyr Telgar szybciej, niż Bitre.

-Za to w dniu odjazdu będzie miał wypchaną sakiewkę i nikt nie odliczy mu opłat za utrzymanie...

-Za mydło, gorącą wodę i porządne jedzenie - dodała. - Tisha twierdzi, że trzeba go odkarmić. Została z niego skóra i kości.

lantine zupełnie zdezorientowany, otworzył oczy słysząc jakąś piosenkę. W Bitrze przecież nikt nie śpiewa. I było mu ciepło! Na dodatek, w powietrzu unosił się zapach dobrego jedzenia. Usiadł. Skóra na rękach, stopach i twarzy zeszywniała, ale przestała boleśnie pulsować. Poczł dojmujący głód.

Zaszeleszczyła kotara po drugiej stronie pokoiku i wyjrzała zza niej chłopieca główka.

-Obudziles się już, panie Artysto lantine? - spytało dziecko.

-Ano, obudzilem się - odpowiedział i rozejrzał się za odzieżą. Ktoś go rozebrał i zabrał gdzieś ubranie.

-Mam ci pomoc panie, jeśli będziesz czegoś potrzebował - chłopiec wysunął się zza kotary. - Tisha przygotowała ci czyste rzeczy - dodał i zmarszczył nos. - Powiedziała, że twoje już dość dawno dojrzało.

lantine zaśmiał się.

-Z pewnością miała rację. Mydło do prania skończyło mi się trzy tygodnie temu.

-Byles, panie w Bitrze. Tam trzeba za wszystko płacić - chłopiec unosił ręce w geście niesmaku. - Jestem Leopold - przedstawił się, a potem wyjął miękkie kapcie spod stosiku ubrań na stolku. - Tisha powiedziała, że byś włożył je zamiast butów. Ale najpierw masz posmarować się balsamem... - podał mu słoik. - Obiad już na stole... - oblizł się.

-A ty musisz poczekać z jedzeniem, aż się ubiorę, co? Leopold kiwnął poważnie głową, ale zaraz się uśmiechnął.

-To nic. Dostanę więcej, bo czekałem.

-Czy w tym Weyrze skąpi się jedzenia? - zaszotał lantine, przebierając się w czystą

odzież. Dziwne, że coś tak zwyczajnego jak świeżo wyprane ubranie, zaczyna wydawać się szczytem luksusu, kiedy przez jakiś czas go brak.

Leopol pomógł mu posmarować balsamem stopy, wciąż wrażliwe na dotyk. Po wmasowaniu masci zaczęły go natychmiast swędzieć. Szczęśliwie mrocznik, czy inny składnik lekarstwa, szybko zlikwidował nieprzyjemne uczucie.

Po powrocie z łazienki, gdzie razno parszając umył twarz i ręce, poszedł za Leopolem do niższej jaskini, w której podawano wieczorny posiłek.

Usiedli przy bocznym stoliku obok kominka, nakrytym dla dwóch osób i natychmiast pojawili się kucharze z polmiskami pełnymi mięsa, winem dla Iantiny'a i kłahem dla Leopola.

-Bardzo proszę jeszcze, panie Artysto - kucharz z zadowoleniem obserwował, jak Iantina z zapalem zabiera się za pieczenie. - Później Przywódco Weyru chcieliby z tobą porozmawiać, jeśli nie będziesz zbyt zmęczony.

Mruknął coś na znak, że dziękuje i rozumie i bez reszty poświęcił się jedzeniu. Chętnie wzięby kilka dokładek, ale po długim niedojadaniu żołądek sprzeciwiał się nadmiarowi dobrego mięsa. Leopol przyniósł mu dużą porcję deseru, ale i tego nie mógł przełknąć, bo gardło go piekło i drapało. Najchętniej wróciłby do łóżka, ale w tym momencie podeszli do niego Przywódcy Weyru. Leopol oddalił się dyskretnie, uśmiechem dodając mu pewności. Iantina spróbował wstać, by dwornie powitać swych gospodarzy, ale zachwiał się na pozbawionych czucia stopach i z impetem siadł na krzesło.

-Nie przejmujemy się tu ceremoniałem - uspokoiła go Zulaya i gestem poleciła mu siedzieć dalej. K'vin podał jej krzesło, a potem napełnił wszystkie kubki winem z bukłaka, który przyniósł ze sobą. Iantina z grzeczności upił łyk i choć wino było smaczne i ożywcze, nawet ta odrobina sprawiła, że poczuł kwas w żołądku.

-Wysłaliśmy wiadomości o uratowaniu ciebie i dostaliśmy potwierdzenia odbioru - powiedział K'vin z uśmiechem. - Mistrz Domaize już się zaczynał martwić, więc dzięki nam oszczędzi kurierowi wycieczki do Bitry.

-Bardzo dziękuję, Zulayo i K'vinie - odpowiedział, wielce zadowolony, że w Akademii nauczono go między innymi nazwisk ważnych osobistości ze wszystkich Warowni, Weyrow i Cechów. - P'tero w sam czas przybył mi na ratunek.

-Będzie się tym chętnie chwalił do wiosny - odpowiedziała Zulaya z uśmiechem. - Ale to dowodzi, jak bardzo potrzebne są powietrzne patrole, nawet w czasie Przerwy.

-Powinnoś wiedzieć, Pani, że Lord Chalkin nie wierzy w nadejście Przejścia - wyrzucił z siebie Iantina.

-Naturalnie, że nie wierzy - odparł gładko K'vin. - Opady są mu nie na ręce. Jednak Bridgely

i M'shall byliby ci wdzieczni za sprawozdanie z pobytu w Bitrze.

-To znaczy, że można coś przeciw niemu zrobić? - zdumiał się malarz. Lordowie Warowni cieszyli się pełną niezależnością w granicach swych posiadłości. Nie wiedział, że i przeciw nim można podejmować jakies kroki.

-Sam się wrobi - Zulaya wykrzywiła usta w gorzkim grymasie.

-Ach, to byłoby cudowne - ucieszył się Iantine, ale uczciwość kazała mu dodać: - Tylko on właściwie nic złego mi nie zrobił...

-Być może Artyscie z naszego Weyru brak wykształcenia - odparł K'vin - ale poinformował mnie, że malowanie czterech miniatur rzadko kiedy zajmuje siedem tygodni...

-Właściwie namalowałem dwadzieścia dwie, aż w końcu cztery im się spodobały - odchrząknął ponuro. - Haczykiem w umowie było słowo "zadowolający".

-Ach - odparli zgodnie Zulaya z K'vinem.

-Skonczyły mi się farby i płotno, bo zabrałem ze sobą tylko tyle, ile moim zdaniem było potrzeba... - unosił ręce i zaraz zaczął je rozcierać, bo zaswedziały. - Potem wszystkie dzieci pochorowały się na odre, a ponieważ nie chciałem, by mi odliczono z honorariów pieniądze za mieszkanie i wyżywienie, zgodziłem się odnowić freski w Warowni... tylko że nie miałem odpowiednich farb i musiałem je zrobić...

-Czy policzył sobie opłatę za wypożyczenie narzędzi? - spytała Zulaya, ku jego zdumieniu.

-Skąd o tym wiecie? Rozesmiała się tylko i machnięciem ręki poleciała, by opowiadał dalej, więc podjął wątek:

-Wygrzebałem ze smietnika wszystkie potrzebne naczynia.

-Doskonale... - klasnęła w ręce, uradowana jego pomysłowością.

-Na szczęście, większość surowców na farby można znaleźć bez trudu. Trzeba je tylko przetworzyć. Zresztą, i tak musiałbym to zrobić. Mistrz Domaize świetnie uczy takich technik.

W końcu nakloniłem go, by uznał miniatury, które wtedy już bynajmniej nie były miniaturowe, ale w nocy śnieżyca odcięła mi drogę do domu - Iantine zaczerwienił się. Z opowieści wyraźnie wynikało, jaki z niego głupiec.

-A potem? Jak się miały sprawy kontraktu?

-Trochę zmadrzałem. A raczej tak mi się wydawało - skrzywił się i streszczył punkty umowy, jakie udało mu się wywalczyć.

-Trzymal cie w Bitrze na pietrze dla sluzby? - Zulaya byla wstrzasnieta. - Dyplomowanego Artyste? Oczywiscie, ze to powod do protestu! Wiekszosc Warowni, Cechow i Weyrow ma zwyczaj swiadczyz pewne uprzejmosci wedrownym czeladnikom rzemiosl, a juz na pewno Artystom!

-Tak wiec, gdy Lord Chalkin w koncu zaakceptowal swoj portret, ruszylem w droge najpredzej, jak moglem!

K'vin poklepal go po ramieniu, rozbawiony zapalem, z jakim malarz wyglosil ostatnie zdanie.

-Nie za bardzo to poprawilo moja sytuacje - dodal predko lantine - az do czasu, gdy P'tero mnie uratowal. - Chrype mial coraz wieksza, wiec znow musial odchrzaknac. - Chcialbym wam za to goraco podziekowac. Mam nadzieje, ze nie przeszkodzilem mu w pelnieniu waznych obowiazkow.

-Alez skad - uspokoil go K'vin. - Widzisz, nie jestem pewien, po co on latal wtedy nad Bitra, ale dobrze sie zlozylo.

-Jak tam rece? - spytala Zulaya, patrzac, jak zaciera swedzace palce.

-Nie powinienem podrazniac skory, prawda?

-Leopol, przynies lantine'owi mrocznika, dobrze? - powiedziala Wladczyni przez ramie.

Mlody czeladnik nie zauwazyl dyskretnej obecności chłopca, ale cieszył się, że nie musi sam iść po słoik do odległej komnatki.

-To pozostalosc po przemarznieciu i tyle - powiedzial, spogladajac na palce. Zauwazyl to samo, co Tisha: farbe za paznokciami. Podkurczyl palce, zawstydzony, ze siedzi za stolem w Weyrze z brudnymi rekoma. Po plecach przeszedl mu zimny dreszcz.

-Zastanawialam sie, lantine - zaczela Zulaya - czy nie mialbys ochoty znowu namalowac portretu, albo dwoch. Weyr placi ustalona cene i nie odlicza zadnych dodatkowych oplac.

-Z radoscia namaluje twoj portret, Wladczyni, bo chyba siebie masz na mysli, prawda?

W slad za pierwszym dreszczem wstrzasnal nim drugi. Staral sie go w miare mozności ukryc.

-Tak, ale pod warunkiem ze przyjmiesz godziwa zaplate, mlody czlowieku - odparla surowo.

-Ale...

-Zadne ale - wtracil K'vin. - Poniewaz zbliza sie Przejscie, ani Zulaya, ani ja nie mielismy czasu by zajmowac sie portretami. Ale skoro juz tu jestes... i masz ochote do pracy?

-Naturalnie, ze tak, ale nie znacie moich prac, a w dodatku dopiero niedawno przyznano mi...

Zulaya ujela jego dlonie w swoje, gdyz gestykulowal szeroko, z jednej strony pelen entuzjazmu, a z drugiej - pragnac ukryc kolejny dreszcz.

-Czeladniku lantine, jesli udalo ci sie wykonac cztery miniatury i dwa portrety dla Chalkina, a nadto odswiezyc freski w jego Warowni, twoje kwalifikacje sa bardziej niz wystarczajace. Nie wiedziales, ze Macartor przez piec miesiecy nie mogl skonczyc obrazu, przedstawiajacego dzien slubu Chalkina?

-W dodatku musial pozyczyc marki od mechanika, zeby splacic reszte swego "dlugu" - dodal K'vin. - Pozwol przedstawic sobie Waine'a. Tylko nie zaczynaj pracy, poki calkowicie nie dojdiesz do siebie po tym przemarzniECiu.

-Juz doszedlem do siebie, naprawde - odpowiedzial lantine i wstal, podobnie jak Przywodcy Weyru. Zmusil sie, by opanowac kolejny atak dreszczy.

Gdy przedstawili go niewysokiemu Waine'owi, odeszli by porozmawiac z ludzmi odpoczywajacymi przy innych stolach. Pod sciana ktos zaspiewal przy wtorze gitary, wiec wktotce wesole dzwieki zaczely gorowac nad gwarem swobodnych rozmow. lantine dopiero teraz zdal sobie sprawe, ze w Bitrze czegos takiego w ogole nie znano: muzyki, rozmow, wspolnego odpoczynku po pracowitym dniu.

-Slyszalem, ze nadziales sie na Chalkina? - Waine z usmiechem pochylik glowe, a potem wyjal zza plecow plik starannie przewiazanych duzych kart papieru i garsec olowkow. - Mowili mi, ze wszystko zuzyles w Bitrze.

-Och, dziekuje. - lantine z zadowoleniem pogladzil doskonaly papier; zauwazyl tez, ze olowki byly roznej miEkkosci. - Ile to bedzie kosztowac?

Waine rozesmial sie, ukazujac przerwy miedzy zebami.

-Za dlugo byles w Bitrze. Mam tez barwniki, ale nie za duzo. Same podstawowe.

-A zatem pozwol, bym zrobil dla ciebie cala palete - odparl z wdziecznoscia lantine, zaciskajac zeby, bo zaczely podzwaniac w kolejnym paroksyzmie.

-Doskonala wymiana - ucieszyl sie Waine. Wyciagnal reke do lantina i malo nie pogruchotal mu palcow z radosci. Wyczul tez atak dreszczy, tak silny, ze lantine nie zdolal go opanowac.

-Sluchaj, jestes przeziebiony.

-Ciagle sie trzese, choc siedze pod samym paleniskiem - odpowiedzial lantine, przestal

napinac miesnie i pozwolil, by dreszcz wstrzasal nim z cala sila.

-TISHA!

Iantine poczul sie zaklopotany tym, ze Wayne tak glosno wzywa pomocy, ale nie opieral sie, gdy otulono go z powrotem w koce i odprowadzono do lozka, wezwano lekarza, a Tisha polecila przyniesc wiecej futer, butelek z wrzaca woda i aromatycznych olejkow, ktore rozpuszcza sie w goracej wodzie, by ich zapach ulatwial oddychanie. Bez oporu przyjal przepisane lekarstwa, bo zaczela go poteznie bolec glowa. Podobnie jak kosci.

Zanim zapadl w niespokojny sen, uslyszal jak Maranis, lekarz z Weyru, powiedzial do Tishy:

-Miejmy nadzieje, ze sami w Bitrze tez to zlapia, za kare, ze go zarazili.

Pozniej Leopold opowiadal Iantine'owi, ze Tisha czuwala przy jego lozku przez trzy noce, gdy trawila go gorska goraczka, ktora zarazil sie w Warowni. Chorobe pogorszyly jeszcze trzy dni, spedzone w gorach na mrozie. Maranis byl zdania, ze to stary drwal jest nosicielem choroby; sam sie na nia uodpornil, lecz zarazal innych.

Kiedy goraczka opadla, malarz zobaczyl przy lozku swoja matke. Oczy miala czerwone od lez, a widzac, ze syn oprzytomnial, ponownie wybuchnela placzem. Dowiedzial sie od Leopola, ze to Tisha po nia poslala, gdy goraczka nie chciala minac.

Ku jego zdumieniu, nie przyjela pieniedzy na oplaty za prawa do ziemi z taka radoscia, z jaka je oddawal.

-Twoje zycie nie jest tego warte - powiedziala mu na koniec, gdy zaczal sie martwic, ze powodem jej niezadowolenia jest brak jednej osmej marki, ktora zaplacil drwalowi. - Przez te osemke o malo cie nie zabil.

-Tvoj syn to dobry chlopak - wtracila sie zirytowana Tisha - i ciezko pracowal, zeby zarobic te pieniadze u Chalkina.

-To prawda - matka przytaknela pospiesznie, zorientowawszy sie, ze wcale nie okazala wdziecznosc. - Choc nie pojmuje, dlaczego starales sie zadowolic tego starego dusigrosza.

-Bo dobrze placil - odparl cicho Iantine.

-Nie przejmuj sie tak bardzo, Ian - powiedziala Tisha, gdy matka musiala juz wracac do domu. - Po prostu, bardziej jej zalezy na tobie, niz na tych markach. Wiesz, zmartwieni ludzie potrafia wygadywac dziwne rzeczy - wytlumaczyla i poklepala mlodego czlowieka po ramieniu. - Chciala cie zabrac do domu i tam kurowac - uspokajala go dalej. - Nie mogliśmy jednak wystawic twoich pluc na zimno pomiedzy. Wcale sie jej nie spodobalo, ze sami bedziemy sie toba zajmowac! - usmiechnela sie. - Widzisz, matki nigdy nie ufaja obcym.

Udalo mu sie odpowiedziec jej usmiechem.

-Zdaje sie, ze masz racje.

W koncu Leopold przywrocil mu spokoj umyslu.

-Masz bardzo mila matke, panie - powiedzial, przycupnawszy na brzegu lozka. - Od zmyslow odchodzila, ze cie tu zostawia samego, poki P'tero nie obiecal, ze przywiezie ja natychmiast, w razie gdyby ci sie pogorszylo. Nigdy przedtem nie jezdyla na smoku.

lantine zachichotal.

-Nie, nie sadze. Pewnie strasznie sie bala.

-Bardziej niepokoila ja twoja choroba, tak ciezka, ze az po nia poslano. Ale mowila P'terowi, ze ojciec ogromnie sie uraduje z tych pieniedzy, ktore zarobiles. Naprawde sie ucieszysz. P'tero malo nie ogluchl, kiedy wykrzykiwala mu w samo ucho o tym, ze zawsze w ciebie wierzyla i ze dobrze sie spisales, wyduszajac z Chalkina cale honorarium.

-Naprawde tak bylo? - az usiadl z wrazenia. Matka sie nim chwalila?

-Pewnie, ze tak - Leopold energicznie pokiwal glowa na potwierdzenie.

Chlopiec wiedzial niemal o wszystkim, co sie dzialo w Weyrze. Nigdy tez nie skarzyl sie, ze musi biegac na posylki przez caly czas powolnej rekonwalescencji lantine'a.

Mistrz Domaize takze odwiedzil swojego ucznia. I to wlasnie Leopold wyjasnil choremu powod tej wizyty.

-Ten Lord Chalkin wyslal skarge do Mistrza Domaize, ze uciekles z jego Warowni nie okazujac mu naleznego szacunku i on teraz powaznie rozwaza, czy by sie nie ubiegac o zwrot czesci zaplaty, bo widac, ze jestes nowy w Cechu, a oplata byla przeznaczona dla doswiadczonego mistrza, a nie zoltodzioba. - Leopold zasmial sie, widzac gniewna reakcje lantine'a. - Ach, nie martw sie prosze. Twój Mistrz, zna zycie. Sam M'shall zawiozl go do Bitry i obaj powiedzieli, ze nie maja najmniejszych zastrzezen co do twojej pracy dla Lorda Chalkina - tu Leopold przechylil glowe i obrzucil go taksujacym spojrzeniem. - Zdaje sie, ze bardzo duzo roznych osob chce ci pozowac, panie. Wiedziales o tym?

lantine potrzasnal glowa, probujac sie pogodzic z niesprawiedliwymi zarzutami Chalkina. Furia odebrala mu mowe. Leopold usmiechnal sie.

-Nie przejmujcie sie, panie lantine. To Chalkin powinien sie martwic, ze cie tak potraktowal. Wasz Mistrz i Przywodca Bendenu tez mu to powiedzieli. Masz kwalifikacje i naleza ci sie wszystkie wygody, ktorych nie dostales w Warowni Bitra. Dobrze, ze pochorowales sie dopiero wtedy, gdy K'vin i Zulaya uslyszeli juz twoja wersje opowiesci. Chociaz Chalkinowi i

tak pewnie nikt by nie uwierzył, żeby nie wiem co. Wiesz, że nawet whery nie zakładają gniazd w Bitrze?

Rekonwalescencja Iantine'a po zapaleniu płuc potrwała jakiś czas, więc malarza denerwowała własna słabość.

-Ciagle zasypiam - skarżył się Tishy pewnego dnia rano, gdy przyszła z lekarstwami. - Jak długo mam to jeszcze brać?

-Poki Maranis nie uzna, że masz czyste płuca - odpowiedziała karcaco. Potem wręczyła mu papier do szkicowania i ołówki, które dostał od Waine'a pierwszego wieczoru w Weyrze. - Zaczynaj ćwiczyć sprawność palców. Na szczęście w twoim wypadku możesz zajmować się ulubionym zajęciem na siedząco.

Dobrze było poczuć znowu w palcach papier i ołówek. Dobrze było rozglądać się po Nizszej Jaskini i szkicować, szczególnie, gdy model nie był tego świadomy. Jego oczy nie straciły bystrości, a palce, choć od czasu do czasu bezwładne po chorobie, były coraz silniejsze. Zapomniał o upływie czasu i nie zauważył, że za plecami zgromadził się dumek osób, ciekawych, co rysuje.

Waine przyniósł moździerz, tłuczek, olej, jaja i kobalt, znakomity do sporządzenia błękitu. Nauczył się kilku technik na własną rękę, ale nie mogło to zastąpić twardej szkoły, jaką przeszedł Iantine; kiedyś się na nią zrywał, lecz teraz docenił ją w pełni, widząc, jakie są skutki braku tych umiejętności.

Zima rozgłosiła się na dobre, ale pierwszego słonecznego dnia Tisha zawinęła go w futrzany kokon i posadziła w Niecce, by "nalykał się świeżego powietrza". Ponieważ akurat wypadła pora kąpieli młodych smoków, Iantine'a natychmiast zafascynowały ich figle, a poza tym zdał sobie sprawę, jak wiele ciężkiej pracy trzeba włożyć w wychowanie smoczków. Na dobrą sprawę widział je po raz pierwszy w życiu. Poznał już urok i potęgę dorosłych smoków i podziwiał ich wygląd. Teraz obserwował młode, przekorne, a nawet złośliwe stworzenia - właśnie jeden wepchnął swego jeźdźcę do jeziora - obdarzone niesłychaną pomysłowością. Żaden z ostatnio wyklutych smoczków nie dojrzał jeszcze do latania, ale kilka z poprzedniego wylęgu już zaczęło podejmować dorosłe obowiązki. Miał więc pierwszorzędna okazję, by oglądać ich niezgrabne wyczyny.

Następnego dnia spostrzegł P'tera i błękitnego Ormontha w środku licznej grupy uczniów. Gdy podszedł bliżej okazało się, że zgromadzili się tam nie tylko jeźdźcy z ostatnich trzech Wylegów, lecz również cała młodzież powyżej dwunastu lat. Ormonth rozłożył jedno skrzydło i przyglądał mu się z jakimś zdziwieniem, jakby go nigdy przedtem nie widział. Tego było za wiele dla Iantine'a; zauroczony wyrazem smoczego pyska wyjął szkicownik i natychmiast narysował całą scenę. P'tero go zauważył, ale pozostali uczniowie całkiem skoncentrowali się na treści wykładu. Słowa T'dama powoli docierały do artysty, pochłoniętego pracą nad liniami i kompozycją.

-Wiemy z kronik, że najgroźniejsze są rany na brzegu skrzydeł, szczególnie gdy Nici opadają w klebach, a smok wraz z jeźdźcem poruszają się zbyt wolno, by ich uniknąć. Smok może latać przy uszkodzeniach wielkości jednej trzeciej zewnętrznego płata... - T'dam przesunął dłoń wzdłuż brzegu Ormonthowego skrzydła. Jednakże... Ormonth, czy byłbyś tak dobry i zwinął nieco skrzydło? - zwrócił się do smoka. - Dziękuję.

Teraz T'dam musiał stanąć na palcach, by dosięgnąć powierzchni wewnętrznego skrzydła.

-Jednakże rany tego płata są znacznie poważniejsze, gdyż w zależności od kąta padania, Nic może przedostać się przez skrzydło do ciała. - Schylił się pod skrzydłem i poklepał smoczy bok. - Tutaj są płuca, i rana w tym miejscu może okazać się... śmiertelna.

Stojący w polkolu słuchacze aż westchnęli z przerażenia.

-Dlatego w locie nie można sobie pozwolić nawet na chwilę rozluźnienia. Wchodźcie w pomiędzy nawet jeżeli tylko podejrzewacie Pobrzdzenie.

-Skąd mamy to wiedzieć? - spytał ktoś.

-Ha! - T'dam wsunął kciuki za grubą skórzany pas i przerwał na chwilę. - Smoki są bardzo odważnymi stworzeniami, biorąc pod uwagę wszystko, czego od nich wymagamy. Ale - przepraszając, poglądził Ormontha - niezwykle szybko reagują... szczególnie na ból. Doskonale będziecie wiedzieli! - znowu przerwał. - Niektórzy z was byli tutaj, gdy Missath złamała kość ramieniową, prawda? - rozglądał się, wypatrując uniesionych rak. - Pamiętajcie, jak skrzeczła?

-Ten dźwięk przeszywał mnie do szpiku kości, jak piła - powiedział jakiś rosły chłopak i zadygotał na samo wspomnienie.

-Zaczęła skrzeczeć w momencie, gdy straciła równowagę, jeszcze przed złamaniem kości. Zanim upadła, wiedziała już, że będzie ją bolało. W czasie Opadu dzięki wysokiemu poziomowi adrenaliny, smoki nie będą reagować aż tak gwałtownie, ale i tak będziecie wiedzieć. Dochodzimy więc do kwestii, która bezustannie podkreślamy przy każdym szkoleniu: zawsze, ale to zawsze, zachowajcie w myśli wyobrażenie jakiegoś miejsca. Podczas Opadu powinien to być raczej Weyr, bo wszyscy tutaj - objął gestem grupkę osób, które nie dosiadały smoków - będziemy przygotowani do pomocy. Nie popełniajcie błędów, wychodząc z pomiędzy zbyt nisko. Zimno pomiędzy powstrzyma Nici od wgrzyzania się w smocze ciało... - w odpowiedzi rozległy się stłumione pomruki wyrażające lek i niechęć - ...więc wyladujecie tak gładko jak tylko pozwoli okaleczenia. Nie wolno dopuścić do upadku przy lądowaniu, bo to tylko pogorszy szkody wyrządzone przez Nici. Zaczynajcie dodawać otuchy smokowi, gdy tylko zorientujecie się, że został ranny. Naturalnie, zdaje sobie sprawę, że wy również możecie zostać trafieni, ale jesteście jeźdźcami i oczywiście potraficie opanować własny ból i zadbać o smoka. Pamiętajcie, z was dwojga on jest ważniejszy. Bez niego przestajecie być jeźdźcami.

-Cała sztuka w tym, by wetrzec dużo balsamu - ponownie objął wzrokiem słuchaczy. Wyjął z wiadra szeroka szczotkę i zaczął przesuwając ją raz za razem po skrzydle Ormontha. Oczywiście blekitnego smoka lekko wirowały, gdy z uwagą obserwował całą operację.

-Nacierac, nacierac i jeszcze raz nacierac! - T'dam podkreślał każde powtórzenie długim pociągnięciem szczotki. - Przekonacie się, że wasz smok, albo smoczyca - tu uśmiechnął się do zielonych jeźdźców - będzie tym bardziej zadowolony lub zadowolona, im więcej mrocznika znajdzie się na ranie. Rana zostanie znieczulona dokładnie w trzy sekundy... przynajmniej na zewnątrz. Dopiero po pewnym czasie ból przeniknie przez naskórek do głębszych warstw skóry, więc postarajcie się przekonać smoka, że nie jest aż tak poważnie ranny, jak jemu lub jej się wydaje. W takiej chwili potrzebna im będzie cała wasza pewność siebie... Niezależnie od tego, jak poważna jest waszym zdaniem rana, nie przekazujcie tych myśli smokowi. Powtarzajcie, że jest wspaniały i dzielny, a mrocznik działał i ból wkrótce przeminie.

W przypadku, gdy Nici przejdzie przez kosc...

-Ach, P'tero wyszedł całkiem jak żywy... - pełen podziwu szepnął to wprost w ucho lantine'a. Obejrzał się... Za nim stał wysoki młodzieniec: M'leng, jeździec zielonej Sith i szczególnie bliski przyjaciel P'tera. Lantine widywał ich obu, nierozłącznych, w jaskini kuchennej.

-Czy mogłbym dostać od ciebie ten kawałek rysunku? - jeździec postukał w część szkicu, przedstawiająca P'tera i Ormontha.

M'leng był przystojnym chłopcem, o migdałowatych oczach i pociągłej twarzy. Lekki wiaterek błądzący po Niece rozwiewał jego ciemnobrazowe loki.

-Ponieważ zawdzięczam mu życie, narysuję dla ciebie większy szkic...

-Och, naprawdę? - uśmiech rozjaśnił poważną twarz jeźdźcy. - Podaj mi proszę, cenę. Mam dość marek, by potraktować cie lepiej, niż Chalkin.

lantine próbował protestować, tłumacząc, że jest dłużnikiem P'tera.

-Spełnił swój obowiązek, i tyle - odparł M'leng szorstko. - Tak naprawdę, chciałbym mieć jego prawdziwy portret. Wiesz, zbliżają się Nici, a ja chciałbym mieć coś na wypadek... - przerwał, przelknął ślinę i gorąco powtórzył prośbę.

-Muszę najpierw namalować portrety Przywódców Weyru - odparł lantine.

-Tylko ich dwojga? - M'leng był zaskoczony. - Myślałem, że cały Weyr już ustawił się do ciebie w kolejce...

-Tisha jeszcze nie wypuściła mnie spod opieki - odparł rozbawiony malarz.

-Ach, Tisha - M'leng skwitował wiadomość machnięciem ręki. - Czasem za dużo się przejmuję. Ale oczy masz w porządku i ręce też... spojrz, jak ten P'tero na twoim rysunku opiera się o Ormontha! Wypisz, wymaluj on!

Komplement bardzo ucieszył Iantine'a. Szkic błękitnego jeźdźcy rzeczywiście był dobry - lepszy, niż zaklamane portrety malowane w Bitrze. W dalszym ciągu wstydził się przed samym sobą, że zgadzając się tam na wymuszone pochlebstwa, pogwałcił swoje przekonania. Miał nadzieję, że już nigdy nie znajdzie się takiej sytuacji. Uwaga M'lenga była jak balsam dla strapionej duszy.

-Mogę zrobić coś lepszego...

-Ale ta poza bardzo mi się podoba. Czy mogłbyś namalować go właśnie tak? - M'leng unikał wzrokiem spojrzenia artysty. - Wolalibyśmy, żeby P'tero nic o tym nie wiedział... To znaczy...

-To ma być niespodzianka?

-Nie, chce ten obraz dla siebie! - M'leng z wyzwaniem w oczach postukał się kciukiem w piers. - Chce coś mieć...

Nie wiedząc, co począć z takim uporem, Iantine zgodził się pośpiesznie, by niepotrzebnie nie zasmucac jeźdźcy. Oczy M'lenga zwilgotniały, a wargi zacisnęły się stanowczą kreską.

-Naturalnie, nie ma problemu, choć lepiej byłoby z pozwaniem...

-Ach, mogę wszystko urządzić tak, żeby się nie zorientował. Ty i tak bez przerwy szkicujesz - zabrzmiało to niemal jak oskarżenie.

Dzięki wysłuchanemu przed chwilą wykładowi, Iantine o wiele lepiej niż przedtem zdawał sobie sprawę, jakie niebezpieczeństwa wkrótce zagrożą smokom i ich jeźdźcom. Mogł przynajmniej trochę uspokoić jednego z nich, malując portret jego przyjaciela.

-Dzisiaj wieczorem - oświadczył M'leng, zmierzając prosto do celu - postaram się, byśmy usiedli blisko ciebie. Namówię go, żeby założył świąteczną tunikę, wygląda w niej najlepiej.

-Ale w jaki sposób... - zaczął Iantine, nie wiedząc, jak ma pracować, by jeździec nie spostrzegł się, że go maluje.

-Zajmij się portretem, a ja się zajmę P'terem - M'leng uspokajająco poklepał go po ramieniu. - Póki go jeszcze mam - dodał półszeptem.

Ta ostatnia uwaga sprawiła, że Iantine wstrzymał oddech. Dlaczego

M'leng zachowywał się, jakby wiedział, że P'tero umrze?

-Postaram sie z calego serca, uwierz mi!

-Och, jestem tego pewien - M' leng ruchem glowy odrzucil loki z twarzy i usmiechnal sie, zaciskajac jednoczesnie usta. - Nie na darmo obserwowalem cie przy pracy.

Wyciagnal dlon, miemka od oliwy, ktora jezdzczy nacieraja smoki. lantine ujal ja i zdumial sie, jak silny byl uscisk zielonego jezdzca.

-Waine powiada, ze dobra miniatura, bo o cos takiego wlasnie mi chodzi - poklepal sie po kieszeni na piersi, by okreslic wielkosc obrazka - malowana przez czeladnika, kosztuje cztery marki. Prawda?

lantine kiwnal glowa, nie mogac wydobyć głosu ze scisnietego gardla. M'leng z pewnoscia dramatyzuje. A moze nie? W tle dalej bylo slychac T'dama opisujacego sluchaczom rozne rodzaje powaznych smoczycy ran i kontuzji i wyjasniajacego, jak w kazdym wypadku powinna wygladac pierwsza pomoc.

Coz za dziwaczne, okrutne nauki pobieraja tu mlode weyrzatka! A jednak, czy nie lepiej i uczciwiej jest powiedziec im o tym teraz, by zmniejszyc szok, gdy cos takiego wydarzy sie naprawde?

-A wiec, dzis wieczorem? - powiedzial stanowczo M'leng.

-Tak jest, dzis wieczorem, M'lengu - odparl lantine, kiwnawszy glowa. Po odejsciu zielonego jezdzca potrzebowal dobrych kilku minut, nim sie znow zabral do szkicowania.

No coz, jednak byla taka rzecz, ktora mogl podarowac Weyrowi w podziemie za okazana dobroc: mogl sporzadzic galerie portretow wszystkich jego mieszkancow.

Rozdzial VII

Warownia Fort

Tego dnia w Warowni Fort rowniez odbywalo sie szkolenie. W auli Uniwersytetu Naczelnicy Lekarzy, Corcy prowadzila seminarium dla uzdrowicieli z calego Pemu, ktorzy smoki przywiozly na trzydniowe zajecia. Miedzy innymi zorganizowala dla nich kurs pierwszej pomocy, udzielanej ludziom i smokom. Pomagal jej medyk z Weyru Fort, N'ran, ktory studiowal weterynarię, zanim przypadkowo nie Naznaczyl brazowego Galatha. Galath wygrzewal sie na sloncu na zewnatrz budynku, a do srodka zaproszono zielona smoczycę, na tyle mala, by zmiescic sie w sali, i pokazywano na jej ciele miejsca mozliwych uszkodzen, podobnie jak na Ormonthu w Weyrze Telgar. -Udalo nam sie wreszcie skopiowac sprawozdania doktorow Tomlinsona, Marchane i Lao, zawierajace wyblakle juz zdjecia autentycznych ran. Na szczescie do posilku zostalo nam jeszcze sporo czasu - powiedziala z krzywym usmieszkiem. - Opisy slowne sa jeszcze gorsze, ale niestety konieczne, by uswiadomic wszystkim, ktorzy beda mieli do czynienia z okaleczeniami na

ziemi, jak niewiarygodnie szybkie - tu zagięła jeden palec - i niszczące - dołączyła drugi - są Nici, i jak błyskawicznie należy działać - tym razem pauza była dłuższa - by zmniejszyć cierpienia.

Odpowiedziały jej pomruki. Widziała, że niektórzy spośród słuchaczy pobledli. Inni spoglądali zuchowato.

-Z badań, które przeprowadził nasz zespół - wskazała na słuchaczy w pierwszym rzędzie - wynika, że niewiele więcej można zrobić. My, na ziemi, nie będziemy mieli możliwości skoku w pomiedzy na grzbiecie smoka... tak?

-Dlaczego? Jeśli to możliwe...

-Dla nich tak, dla nas nie - odparła twardo. - Wszystkie sprawozdania podkreślają niewiarygodną szybkość, z jaką Nici pochłaniają materię organiczną. Zbyt gwałtownie, by wezwąć smoka, nawet jeśli w pobliżu znajdzie się jakiś. Duża krowa znika w ciągu dwóch minut.

-Ależ, nie będzie nawet czasu, by...- zaczął jakiś mężczyzna i gwałtownie umilkł.

-Ważnie - potwierdziła Corey. - Jeśli to kończyna zostanie pobrużdżona, istnieje możliwość amputacji, zanim pasożyt rozprzestrzeni się w ciele...

-Do diaska! Nie można tak po prostu... - zaczął ktoś inny.

-Jeśli utrata kończyny daje szansę na przeżycie, to można.

-Pod warunkiem, że ktoś z nas będzie pod ręką...

Corey przypomniała sobie, że to lekarz z dużego gospodarstwa w Neracie.

-Wielu z nas będzie jednak pod ręką - odpowiedziała stanowczo - z patrolami naziemnymi, dzieląc groźne im niebezpieczeństwo... aby uratować tak wiele osób, jak się da - udało jej się z lekką uśmiechnąć. - Pomocna może być nawet najmniejsza sadzawka, gdyż Nici tona, i to szybko, jeśli wierzyć kronikom. W zależności od miejsca urazu, woda może zahamować proces pochłaniania na tyle, by można było dokonać amputacji. Nawet swińskie koryto się nada - spojrzała w notatki. - Niciom niezbędny jest tlen, na równi z materią organiczną. Tona w trzy sekundy.

-A jeśli już wgrzyzły się w ciało?

-Też w trzy sekundy. W ciele nie ma dość wolnego tlenu niezbędnego im do życia. Łódź również może spowolnić proces, ale nie zawsze jest dostępny.

-Załóżmy więc, że udało nam się w jakiś sposób powstrzymać rozwój pasożyta, lecz mamy

brzydka bruźda i ewentualna konieczność amputacji. Mrocznik, mrocznik i jeszcze raz mrocznik! Niech będzie błogosławiona nasza planeta za to, że zrodziła coś, co jest nam tak ogromnie potrzebne. Naturalnie, przy amputacji należy postępować jak zwykle w takich przypadkach, włącznie z przyzeganiem. To przynajmniej ostatecznie wyeliminuje wszelkie możliwe pozostałości Nici. Ponieważ zabieg wywołuje wstrząs, zalecany jest sok fellisowy... jeśli pacjent do tej pory nie straci przytomności.

Ponownie zająrzała do notatek.

-Tomlinson i Marchane podają również, że duży procent przypadków terminalnych spowodowanych przez Nici następuje z powodu zapadnięcia lub ataku serca. Lao, który praktykował pod koniec pierwszego Przejścia, zauważył, że częstokroć lekko pobrudzeni pacjenci, leczeni w sposób prawidłowy, umierali z powodu szoku. Przygotowując zespoły do pracy starajcie się podkreślać, że bruźdy po Niciach można skutecznie leczyć.

-Jeśli zdążymy dobiec - zająrtował ktoś z sali.

-Dlatego właśnie zależy nam, żeby jak najwięcej załóg naziemnych miało w swoim składzie lekarza, z tego powodu również musicie nauczyć pierwszej pomocy wszystkich mieszkańców gospodarstw i siedzib cechów w swojej okolicy. Jest nas mało, lecz możemy wielu przeszkolić i zmniejszyć liczbę wypadków śmiertelnych.

-Poza tym należy nalegać - mówiła dalej - by wszyscy pracownicy, którzy nie są niezbędni do walki, pozostawali pod dachem, dopóki załogi naziemne nie ogłoszą, że teren jest bezpieczny.

-Teraz przejdziemy do kontuzji, jakie odnoszą smoki, gdyż i to może się zdarzyć, a wtedy ci z nas, którzy będą obecni na miejscu, posłużą pomocą smokowi i jeźdźcowi. Maja oni nad nami jedną przewagę - zawsze mogą uciec pomiędzy i zamrozić atakującego pasożyta. Mimo tego, bruźda będzie równie bolesna.

-Najbardziej narażona na Nici część smoczego ciała są skrzydła... bądź tak miła, Balzith - zwróciła się do cierplivej zielonej smoczycy, która posłusznie rozwinęła skrzydło, by lekarka mogła prowadzić dalszą część wykładu.

W przerwie na posiłek, po którym miała nastąpić zmiana tematu, czyli dyskusja o higienie i czystości w małych i średnich gospodarstwach, gdzie pod tym względem panowały gorsze warunki niż w większych siedzibach ludzkich, do Corey podeszli dwaj starsi stopniem lekarze, Joanson z Południowego Bollu i Frenkal z Warowni Tillek.

-Corey, jakie zajmujesz stanowisko w sprawie... miłosierdzia? - spytał bardzo rozważnie Joanson.

Długo wpatrywała się w wysokiego, szczupłego mężczyznę.

-Takie jak zawsze, Joansonie. Jak sam dobrze wiesz, wielu z naszych dzisiejszych słuchaczy nie odebrało pełnego medycznego wykształcenia. Nie mogę prosić ich o to, co dla mnie samej byłoby bardzo, bardzo trudne: by udzielili pacjentowi miłosierdzia - znów omiotła go długim spojrzeniem, a potem przeniosła wzrok na Frenkala, którego bawiła etyczna pulapka, w jakiej znalazła się kobieta.

-Przysięgalismy chronić życie. Przysięgalismy też, że zapewnimy naszym pacjentom życie na przyzwoitym poziomie - czuła, jak drgają jej usta na myśl, że w pewnych sytuacjach te dwa postulaty mogą stać w sprzeczności. - Każde z nas musi przemyśleć, jak zamierza zachowywać się w sytuacji ostatecznej: czy konieczne, a nawet etyczne jest skrócenie agonii. Nie sadzę, że w chwili, gdy będziemy zmuszeni do podjęcia... działania, znajdziemy czas na rozważania moralne i etyczne, albo zastanawianie się, czy nasz uczynek jest dobry, czy też okrutny - przerwała i wzięła głęboki oddech. - Doskonale pamiętam film, który kiedyś Szpital miał w swoich zasobach: pokazywał, jak Nici pochłaniają żywcem jakieś zwierze... - zauważyła, że Joanson się skrzywił. - Tak, żywcem, gdyż spadły na jego zad. Moim zdaniem, gdyby zamiast tego stworzenia był wasz znajomy, staralibyście się położyć temu jak najszybszy koniec.

Ponieważ wielu innych słuchaczy chciało rozstrzygnąć podobne wątpliwości, nieledwie z radością powitała koniec przerwy na posiłek. Mogła teraz rozpocząć wykład na nieco mniej drażliwy temat amputacji. Każdemu przyda się odświeżenie wiadomości, szczególnie że operacje będą musiały się odbywać bez chwili zwłoki, i nie będzie czasu na zwykłe przygotowania, dzięki którym uzyskiwano się prawidłowy kikut. Później miała rozdać nowe piły do kości, które raczej przypominały topory niż tradycyjne narzędzia chirurgiczne. Przywoził je Kalvi.

-Najlepsze chirurgiczne ostrza, jakie kiedykolwiek wyszły z naszych zakładów, Corey - powiedział z pewną dumą. - Testowaliśmy; je w rzeźni. Tę ciało i kość jakby to był ser, ale trzeba je ostrzyć. Zrobiłem też zabezpieczenia na ostrza, żeby nikt sobie przez pomyłkę nie uciął paluszka.

Nie tylko chirurdzy lubią czarny humor, uznała lekarka.

W Wielkiej Sali w Forcie w pierwszym rzędzie krzesel siedział Lord Paulin i przysłuchiwał się, jak tenże Kalvi demonstruje słuchaczom, którzy mieli tworzyć patrole naziemne, działanie i obsługę cylindrów z kwasem azotowym. Zaczął od opisu budowy, a potem szybko wyliczył najczęstsze i najpoważniejsze awarie, zdarzające się podczas pracy w terenie. Obecni byli wszyscy drobni gospodarze podlegający Warowni; wielu zabrało ze sobą najstarszych synów i córki. Przyszli pieszo albo przyjechali konno, gdyż Weyr Fort, podobnie jak inne, zaczął ograniczać przejazdy na smokach. Lord Paulin rozumiał to i akceptował.

-Ach, szliśmy na łatwiznę, korzystając ze smoków tak, jak nasi przodkowie z san i pojazdów powietrznych - powiedział podobno do dzierżawcy, który skarżył się, że odmówiono mu

przelotu. - Wiesz, konie hoduje sie nie tylko na wyscigi. A jezdzy i tak byli az nazbyt uprzejmi. Dobrze nam zrobi troche spacerow i przejazdok. Rozbudowales, oczywiscie swoje stajnie, aby pomiescily caly inwentarz?

To, ze trzeba bylo wykonac te prace powodowalo kolejne narzekania. Wszyscy mieli pretensje do mechanikow, ze zbyt malo czasu poswiecaja na odtworzenie wspanialych maszyn do ciecienia skaly, za pomoca ktorych przodkowie budowali schronienia w gorskich jaskiniach. Kalvi przetrwal prawdziwa burze pretensji i skomentowal ja jedynie wzruszeniem ramion.

-Nasza lista priorytetow nie zawiera takiego punktu. To niemozliwe. W dalszym ciagu mamy dwie pary slizgaczy na pomocy, ale brak nam paliwa. Nie wiemy, czym je napędzali - powiedzial. - Z pewnoscia nie ma tez sposobu, by odtworzyc zrodlo napędu, gdyz w przeciwnym wypadku starozytni by to zrobili, zamiast projektowac smoki. Poza wszystkim innym, zasoby, ktore mozna odnawiac, maja wiecej sensu, niz wyrafinowane, egzotyczne, ale jednorazowe przedmioty.

Gdy glowny wyklad dobiegl konca, poproszono wszystkich, by po poludniowym posilku zebrali sie na cwiczenia w terenie. Bylo to o wiele ciekawsze, niz sluchanie gadaniny Kalwiego o przykrecaniu dysz miotaczy kwasu azotowego tak, by dawaly dlugi, wazki jezyk ognia, albo krotszy, szeroki plomien, i o oczyszczaniu rur z niepalnych pozostalosci.

-Miotacze daja plomien niemal tej samej sily co smoczy - tlumaczyl glosem nieco stlumionym przez zabezpieczenia, zarzucajac jednoczesnie cylinder na plecy. - Sluchaj, ty tam, ten helm jest po cos potrzebny. Wloz go natychmiast i opusc oslone na twarz!

Skarcony mezczyzna bez chwili wahania wykonal polecenie.

-Przy najwczeszym ustawieniu zasieg sprzetu wynosi szesc metrow, przy najszerszym - dwa. Lepiej nie podchodzic blizej... - Kalvi majstrowal cos przy dyszy. - Co za uparta bestia... - wzial srubokret i lekko nim poruszył. - Zawsze, ale to zawsze trzymajcie wylot dyszy z dala od siebie i stojacych w poblizu osob - dodal bardzo glosno, odsuwajac rure od wlasnego ciala. - Mamy palic Nici, a nie ludzi. - Nigdy, ale to nigdy nie wolno wam odblokowac strumienia obu gazow, zanim nie spojrzycie, na co kierujecie dysze. Mozecie nieswiadomie spalic, spopielic, oparzac smoka lub jezdzca. Nieprawdaz, Laland? - zwrocił sie do jednego z wlasnych czeladnikow, ktory w odpowiedzi usmiechnal sie niepewnie i przestapil z nogi na noge, unikajac jego wzroku.

-Paulinie, prosze, daj sygnal ludziom na wzgorzu - powiedzial Kalvi. Mowiac to zaparl sie w ziemie i wycelowal dysze do gory.

Paulin machnal czerwona chustka i nagle klebek jakiejś dziwnej materii zaczął opadac ze szczytu skaly, zaskakujac wszystkich widzow z tyłu. Niektorzy, wyposazeni w cylindry, uniesli rury obronnym gestem, a reszta westchnela, bo klebek rozdzielil sie na dlugie

srebrzyste pasma, cienkie i grube, opadające ze zroznicowana szybkością. Gdy materia znalazła się w zasięgu rażenia, Kalvi uruchomił miotacz.

Przez ułamek sekundy wydawało się, że płomień zamarł na końcach włókien, lecz niemal natychmiast przebiegł po nich, pozostawiając tylko dymiący popiół, który opadł na ziemię wraz z kamykiem, obciążającym klebek podczas wystrzału. Rozległy się hałasliwe wiwaty i brawa.

-Całkiem niezłe - skomentował Paulin, zadowolony z czujności zgromadzonych ludzi.

-Tak, staraliśmy się uzyskać właśnie ten efekt - Kalvi wyłączył obie butle. - Użyliśmy także spowalniacza. Mielismy do dyspozycji mnóstwo opisów Opadu; nasza symulacja jest możliwie najbliższa rzeczywistości.

-Słuchajcie - odwrócił się do zgromadzonych. - Najlepiej jest dopaść Nici zanim opadną na was lub na ziemię. Wiemy, że dzieli się one na dwa rodzaje: pierwszy, częściej występujący, zjada sam siebie, więc; nie stwarza problemu, tylko zaciemnia obraz. Kroniki powiadają, że drugi rodzaj szuka do zjedzenia czegoś, co pozwoli im przejść na kolejny etap cyklu rozwojowego. Niestety, naszym przodkom nigdy nie udało się przeprowadzić wyczerpujących badań. Wiedzieli tylko, że takie Nici występują. My również o tym wiemy, gdyż tu, na Polnocy w dalszym ciągu istnieją obszary wyjałowione ponad dwadzieścia lat temu, w czasie ostatniego Przejścia. Jeśli ta odmiana uzyska potrzebny jej rodzaj pożywienia, czyli przede wszystkim materię organiczną, może się rozmnażać, dzielić, czy też rozwijać w jakiś inny sposób. Po to są potrzebne patrole naziemne. Nie możemy pozwolić, by ten gatunek Nici tu pozostał, zagrzebał w ziemi i zniknął z oczu. Nasi przodkowie uważali, że Nici muszą znaleźć jeszcze w ziemi jakies pierwiastki śladowe lub cząsteczki, ale nigdy się tego nie dowiemy na pewno, gdyż im się to nie udało - westchnął z zalem. - Wszystko jedno, trzeba palić całe dranstwo, które umknie smokom - podkreślił swoje słowa szerokim machnięciem ręki, przerwał na chwilę i spojrzał na szczyt urwiska, gdzie czekała obsługa wyrzutni.

-GOTOWI? - zawołał przez zwinięte w trabkę dłonie. Niemal natychmiast w odpowiedzi na całej długości urwiska pojawiły się czerwone flagi.

-Dobrze, proszę podzielić się na grupy po pięć osób i ustawić na wprost tych czerwonych flag. Kiedy wszyscy będziemy na miejscu - poza zasięgiem dysz - usmiechnął się ironicznie - podam sygnał i zobaczymy, jak sobie dacie radę.

Wyniki były nierówne: niektórzy błyskawicznie opanowali obsługę cylindrów, inni zaś nie potrafili nawet uzyskać odpowiedniej mieszanki gazów, by buchnął płomień.

-Ano, zdarza się - podsumował Kalvi spokojnie, choć z rezygnacją. - Powinni za karę sami zanieść te nici z powrotem na urwisko - dodał.

-Dobrze im to robi.

-Ale zajmie za duzo czasu. ZRZUCIC SIECI! - ryknal i usmiechnal sie do Paulina. - Przewidzialem, ze beda klopoty. Zaraz wciagniemy modele Nici na gore i zuzyjemy ponownie.

-Ile wam jeszcze zostalo?

-Cale kilometry - usmiechnal sie ponownie.

Gdy minelo krotkie zimowe popoludnie i zapadl zmierzch, wszyscy gospodarze przecwiczyli juz wypalanie Nici, choc czasem plomien z dysz dostawal czkawki, a czasem pudlowali haniebnie. Sztuczne Nici skonczyly sie, zanim ludziom znudzilo sie strzelanie.

-Tylko nie przesadzajcie z cwiczeniami w domu - Paulin ostrzegl ludzi idacych najblizej niego, gdy wracali do Warowni. Prowizoryczny poligon znajdowal sie w pewnej odleglosci na pomoc od zabudowan, by ogien nie uszkodzil chat i nie poparzył zwierzat. - Kwas azotowy stosunkowo latwo wyprodukowac, ale miotacze sa skomplikowane. Nie poniszczcie ich, zanim bedziecie musieli z nich naprawde skorzystac.

-Jutro wyczyscimy sprzet - oswiadczył Kalvi, gdy podawano klah. - Tak dlugo bedziecie rozbierac i skladac miotacze, az uznam, ze naprawde potraficie to robic. Najszybszy i najdokladniejszy mechanik dostanie nagrode od Lorda Paulina.

W odpowiedzi zabrzmialy glosne wiwaty.

-Doskonale nastroje - powiedzial Paulin. Kalvi kiwnal glowa, zadowolony z powodzenia pierwszego szkolenia.

Gdyby wszystkie treningi zaplanowane w pozostalych Warowniach poszly rownie sprawnie, moglbym wziac pare dni wolnego i wybrac sie do Isty na ryby, pomyslal. Podczas goraczkowego przeszukiwania skladow, by znalezc jakies zapomniane zapasy, ktore moglyby sie nadac przy Opadach, natrafiono na kilka klebkow solidnej nylonowej nici. Kody kreskowe na pudelkach byly zamazane, wiec nikt nie wiedzial, kiedy linki zostaly wyprodukowane, ale Kalvi mial wielka chec wyprobowac je na paru wielkich sztukach, nierzadko trafiajacych sie w tropikalnych wodach. Tego rodzaju sztuczne wlokna bywaja niezwykle wytrzymale i z pewnoscia nie zerwa sie pod ciezarem pakfiszka, co nierzadko ma zasadnicze znaczenie.

Trzecia grupa, zlozona z samych nauczycieli - nowicjuszy i doswiadczonych praktykow - zebrała sie w przestronnym uniwersyteckim refektarzu. To zgromadzenie bylo poswiecone przyjemniejszym tematom zapamietywaniu i cwiczeniu nowych Ballad, przeznaczonych do uczenia dzieci. Drugiego dnia Przywodca Weyru Fort mial wytlumaczyc wedrownym nauczycielom, gdzie najlepiej skryc sie przed Nicmi, gdyby zaskoczyl ich w drodze. Clissera zasypywano skargami, ze Weyry ograniczaja przeloty na smokach, co do tej pory bylo najczestszym sposobem podrozowania. Nie wszyscy nauczyciele potrafili dosiadc krepych, silnych konikow, hodowanych specjalnie do dlugich podrozy, rowniez w gorach; niewielu tez

potrafiło się nimi zajmować. Musiał więc pozmienić przydziały starszym nauczycielom, co było ogromnie kłopotliwe.

Na szczęście, przez najbliższe trzy dni miało się zajmować głównie muzyką i nowym programem nauczania. Nie oznaczało to jednak, że wszystkim się on spodobał. Rektor zaczął dzielić zdanie Bethany, że obecnie, podobnie jak w czasach Ojców Założycieli, ludzie są zbyt uzależnieni od łatwego dostępu do informacji. O dziwo, niektórzy starzy nauczyciele zdecydowanie popierali nowy program.

-Najwyższy czas dopasować wszystko do życia, jakie prowadzimy tu i teraz, a nie do tego, co przodkowie dawno temu zostawili poza sobą - powiedział Layrence z Tilleku. - Nigdy nie będziemy mieli tych wszystkich rzeczy, więc po co mieszać dzieciom w głowach?

-Ale trzeba przestrzegać naszych tradycji - zmarszczyła czoło Sallisha. Clisser natychmiast uswiadomił sobie, że nie bez racji uważano ją za niezwykle zasadniczą osobę. - Wszyscy muszą zrozumieć tradycje, by właściwie docenić to, co jest nam dane...

-Ach, Sallisho - Bethany uśmiechnęła się kojąco - włączamy przecież te wszystkie tradycje do Ballad, tyle że kładziemy nacisk na zrozumienie współczesności.

-Ale nasza chwalebna przeszłość... - zaczęła kobieta.

-Dawno minęła - przerwał jej z naciskiem Sheledon, wpatrując się w nią z chmurną miną. - Wszystko przeminęło, skończyło się, więc po co rozwodzić się nad związkami, które nasi przodkowie przecielili, mając po temu ważne powody?

-Ale... ale... ludzie powinni wiedzieć... - znów zaczęła Sallisha.

-Jeśli zechcą dowiedzieć się czegoś więcej, mogą to wyczytać z książek - odparł Sheledon - i w ten sposób pogłębiać wiedzę. Na razie jednak, trzeba się uporać z problemem Nici...

-I jest to o wiele ważniejsze, niż wiedza o tym, które planety przetrwały bombardowanie Nathi, albo kto był Przywódca Świata w roku 2089 - dodał Shulse. - Albo, jak wykresić kurs paraboliczny wokół centralnej gwiazdy układu. Sallisha spoglądała wyzywająco na nauczyciela matematyki.

-Naturalnie - mówił dalej - zgadzam się na wzmianki tego rodzaju, gdy mówimy o naszej gubernator, Emily Boli, albo o admirałce floty Paulu Bendenie, ponieważ oni odegrali niekwestionowaną rolę w pernenskiej historii.

-Musimy przecież przedstawić studentom obraz ogólny... - upierała się nauczycielka.

-Jestem pewien, że niektórzy z nich będą żywo zainteresowani - odparł Shulse. - Zgadzam się jednak z Clisserem, że powinniśmy ukierunkować nauczanie tak, by odnosiło się do tego świata i naszej cywilizacji.

-Cywilizacji? - Sallisha pozwoliła sobie na gryzaca ironie.

-Coz to? Czyzbyś wahała się określić nasze dokonania mianem cywilizacji? - Sheledon uwielbiał dokuczać Sallishy, która wszystko traktowała dosłownie.

-Tak, w porównaniu ze środkami, które mieli do dyspozycji nasi przodkowie.

-Razem ze wszystkimi wadami społeczeństwa zaawansowanego technicznie, na przykład przestępczością nieletnich, gangami miejskimi, przedziwnymi epidemiami i oszustwami na takim poziomie technicznym, że ludzie woleli wypychać kredytami materace, niż oddawać dochody do banku, a do tego...

-Daj sobie spokój - przerwała wzgardliwie Sallisha - i zamiast tego skoncentruj się na wszystkich dobrych stronach...

Sheledon zachichotał.

-Nie zdajesz sobie sprawy, jak niebezpieczny był na starej Ziemi zawód nauczycielski?

-Bzdura! Nasza cywilizacja - położyła specjalny nacisk na te słowa - szanowała profesorów i nauczycieli każdego stopnia.

-Dopiero, gdy zezwolono na zaprowadzenie w klasach dyscypliny - zaczął Sheledon.

-I na użycie paralizatorów - skończył za niego Shulse.

-Tego rodzaju problemy nie istnieją na Pernie - odparła z godnością. - I niech tak już zostanie - podsumował twardo Clisser. - Dlatego włączymy do programu więcej tematów interesujących naszych uczniów i usuniemy z niego rzeczy niepotrzebne.

Sallisha gwałtownie zwróciła się w jego stronę.

-To znaczy rzeczy, które twoim zdaniem są niepotrzebne, prawda?

Rektor wskazał na teczki z dokumentami na polkach zajmujących ściany biblioteki, w której toczyła się rozmowa.

-Rozesłałem ankiety do wszystkich zarejestrowanych nauczycieli oraz do większych i mniejszych dzierżawców, prosząc o informacje. Na podstawie uzyskanych odpowiedzi ułożono nowy program - uniosł gruby tom. - Wszyscy otrzymaliście egzemplarze. Ballady Instrukcyjne znajdziecie w materiałach, które rozdamy w czasie konferencji.

Sallisha usiadła, niezadowolona i naburmuszona, niby niepokorna studentka. Ciekawe, czy sama zauważyła to podobieństwo, pomyślał Clisser. Mimo swoich wad, była doskonałą nauczycielką, potrafiła jednakowo dobrze uczyć dzieci jak i studentów, więc powierzono jej nadzór nad południowo-wschodnim Pernem. Miała jednak swoje dziwactwa, jak każdy.

Uczenie się Ballad Instruktażowych na pamięć rozszerzy słownictwo dzieci; Clisser zdawał sobie sprawę, że on sam nie potrafi już zmusić swojego umysłu do zapamiętywania większych dawek informacji, gdyż zbyt uzależnił się od pamięci komputerów. No cóż, kolonisci przybyli na Pern, planetę ubogą w bogactwa mineralne, między innymi po to, by stworzyć społeczeństwo w mniejszym stopniu zaawansowane technicznie. Czytał kiedyś, że na Ziemi niektórzy ludzie w ogóle przestali wychodzić z domów, kontaktując się ze światem jedynie za pośrednictwem elektroniki, nie dlatego, że świat zewnętrzny ich przerazał, ale po prostu z lenistwa. Na Pernie nikt nie odważyłby się lenić, powiedział Clisser do siebie i uśmiechnął się. Jakież puste byłoby życie, gdyby człowiekowi przyszło przesiadywać dzień za dniem w jednym miejscu! Coż, może rzeczywiście siły natury tu, na Pernie, spowodowały, że społeczeństwo znalazło się na nieco niższym poziomie technicznym, niż przewidywali pierwsi osadnicy, lecz ludzie w końcu przystosowali się do nowego domu i dopasowali planetę do swoich potrzeb, teraz zaś byli gotowi walczyć z zagrożeniem z pomocą w pełni rozwiniętej, samoodtwarzającej się siły powietrznej.

Miejmy nadzieję... Clisser wciągnął powietrze z cichym świstem. Wszyscy mieszkańcy planety - z wiadomym wyjątkiem - przepasali ledzwie i zabezpieczyli domostwa przed atakiem. Przygotowania to jedno, ale przetrwać pięćdziesiąt lat nalotów to zupełnie inna sprawa. Przekartkował sprawozdania opublikowane przez kolonistów z Syriusza III i Węgi IV, otoczonych i bombardowanych przez Lud Nathi. Historyczne zapisy mówiły o tym, jak dzień w dzień spadały na tamte światy pociski zakazające... po takich atakach powierzchnia planet nie nadawała się do zamieszkania. Całe pokolenia wyrosły w glebinowych schronach... Clisser uśmiechnął się do siebie, zauważając podobieństwo do pernskich grot mieszkalnych. Rzeczywiście, kolonisci skorzystali na doświadczeniach z Syriusza i Węgi: ogrzewali swe siedziby energią cieplną podziemnej magmy, a światło dawały im baterie słoneczne. Rasa ludzka nie raz już przetrwała gorsze warunki niż te, które panują na Pernie. Tu przynajmniej wiadomo kiedy i gdzie będą opadać Nici, co ułatwia skuteczną obronę. Jednakże, skala inwazji jest przerazająca, a klęska może przynieść straszliwe konsekwencje.

Jak niemal każda klęska.

Clisser miał nadzieję, że muzyka, skomponowana jako psychiczne wsparcie dla ludzi, wywrze na słuchaczach odpowiedni efekt; wzmocni morale i zachęci ich do dalszych wysiłków. Przez chwilę zastanawiał się, co by się stało na starej Ziemi, gdyby w okresie narodowościowym nie pojawił się wspólny pozaziemski wróg, który zjednoczył zwasnione rasy.

Muzyka Jemmy'ego i Sheledona rzeczywiście była bojowa i optymistyczna. Niektóre mniej ambitne melodie tak słuchaczowi wchodziły w ucho, że zaczynał dzień od pogwizdywania upartego motywu, albo przynajmniej słyszał go w myślach; zdaniem Clissera była to cecha dobrej muzyki. Rozpisali też swoje utwory na pojedyncze lub połączone popularne instrumenty tak, że nawet najmniej doświadczeni muzycy w odległych warowniach bez trudu mogli akompaniować śpiewakom.

"Zagadka" Jemmy' ego była po prostu uroczą. Clisser jeszcze nie znalazł wszystkich odpowiedzi, ale piosenka na pewno będzie doskonałym sposobem na odprezienie dla ludzi zamkniętych w Warowniach podczas Opadów. Następny w programie miał być "Lament" Bethany, jej pierwsza piosenka, więc Clisser usiadł wygodnie, by posłuchać.

Niestety, nie potrafił skupić myśli na muzyce; jego umysł pracował na najwyższych obrotach, niepokojąc się, jak ludzie zareagują na nowy program nauczania. Poza tym, co tu zrobić z Warownią Bitra? Nowy nauczyciel, którego tam skierował, już zdecydował zrezygnować i całkowicie anulował kontrakt z Chalkinem. Clisser nie winił Issony'ego, gdy dowiedział się, że rozbismurmanione dzieciaki z Warowni poniżały swego preceptora i groziły mu, ale dzieci mimo wszystko musiały otrzymać podstawowe wykształcenie. Nie można pozwolić, by cały region popadł w analfabetyzm.

Naturalnie, dzieci mają zróżnicowane tempo uczenia się, a zajęcia powinny być prowadzone jak najciekawiej, by zachęcić młodzież do dalszej nauki, a właściwie nawet poznawania życia. Oto cel edukacji; rozwijać umiejętności pod kątem rozwiązywania problemów, i wykorzystać do maksimum potencjał, obecny w każdym uczniu - nawet u Bitranczyków, dodał kwasno.

Może trzeba znowu przydzielić ten region Sallishy, pomyślał i zachichotał. Niestety, szanse na to były niewielkie. Wspięła się tak wysoko w hierarchii, że mogła teraz odmówić mu wprost.

Wtedy zdecydował się, znajdując wsparcie w kojących frazach muzyki skomponowanej przez Bethany, by poruszyć sprawę Chalkina, Lorda Bitry, na następnym Zgromadzeniu. Z tym człowiekiem trzeba wreszcie coś zrobić.

Podczas ostatniego wieczornego posiłku, wydanego jednocześnie dla wszystkich trzech grup na dziedzińcu Warowni, podano trzy pieczone woly. Clisser usłyszał, że ktoś wymienił nazwisko Chalkina i skierował się do grupki rozmawiających.

-Nie dość tego! - denerwował się M'shall, gniewnie marszcząc łagodną zazwyczaj twarz. - Postawil straze na granicy i ci, ktorzy chca odejsc, moga zabrac tylko odziez. Nie wolno im wziac nic innego, musza zostawic nawet zwierzeta, ktore sami wyhodowali.

Clisser nie wiedział, że Przywódca Weyru Benden już przybył, lecz jego obecność była niewatpliwie szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

-Rozmawiacie o Chalkinie? - spytał, gdy rozsuneli się i zrobili mu i miejsce w kregu.

M'shall zaśmiał się gorzko: - A kto inny wyganiałby teraz ludzi z Warowni?

-Dostałem właśnie wiadomość od jednego z wędrownych nauczycieli, Issony'ego, że rezygnuje z pracy i nikt go nie namowi do powrotu do Bitry. Ale nawet oni muszą mieć podstawowe wykształcenie.

-Ha! - skomentował M'shall, a pozostali go poparli.

-Zajęcia w szkole zajmują Bitranczykom czas, w którym mogliby zarobić więcej marek dla swojego Lorda. Co on zrobił Issony'emu?

-Sam ci powie, jeśli go spytasz. Właściwie, dobrze by mu to zrobiło. Zdaje się, że to jeden z waszych jeźdźców go uratował.

-Sporo ludzi ratujemy teraz w Bitrze - M'shall wcale nie był z tego j zadowolony. - Ale tylko tych, którzy pochodzą z innych Warowni - zastrzegł się.

-Słuchajcie - Bridgely wyglądał, jakby zaraz miał wybuchnąć - nie zamierzam przyjmować do siebie wszystkich jego uciekinierów. I nie kiwnę palcem, gdy Nici zaczną opadać na jego Warownie.

-Tylko, widzisz - M'shall unosił z namaszczeniem rękę - on nie wierzy w nadchodzące Opady.

-Byłoby śmiesznie, gdyby okazało się, że ma rację - zaśmiał się Farley, jeden z pomniejszych dzierzawców Fortu. - Oj, chyba powiedziałem coś niewłaściwego - zreflektował się, gdy na dowcip odpowiedziano zimnymi, pogardliwymi spojrzeniami.

-Chalkin jest z natury przekorny - odparł Clisser - ale nigdy nie zachowywał się jak głupiec.

-Moim zdaniem, teraz zaczyna popełniać cholerne głupoty - zauważył Bridgely. - Jest tu ten twój nauczyciel, Issony? Bardzo dobrze, niech przyjdzie do Fortu. Trzeba postanowić coś konkretnego w sprawie Chalkina.

-Teraz, zaraz? - Clisser nie potrafił powstrzymać się od spojrzenia na piekące się mięso, które pachniało zniewalająco.

-Też mam zamiar coś zjeść - Bridgely uspokoił się nieco.

-Ja przed chwilą skończyłem kolację w Bendenie - powiedział M'shall, ale i jego nos chciwie łowił zapachy. - Ach, no coż, zjemy po kawalku, do towarzystwa.

-Doskonale wyczucie czasu, prawda? - zauważył Farley, komentując żywe zainteresowanie piekącym się mięsiwem. - Czy naprawdę można coś zrobić w sprawie nieodpowiedzialnego Lorda Warowni?

-Przeczytaj sobie na nowo Kartę, Farley - poradził mu Clisser.

-Od jak dawna stoi ta... straż graniczna? - Paulin był oburzony takim postępowaniem.

Wszyscy zainteresowani zebrali się po jedzeniu w jego gabinecie w Warowni. Issony był w pobliżu na wypadek, gdyby zechcieli usłyszeć jego opowieść.

-Od jakis siedmiu dni - odparl M'shall. - Jak wiecie, odwiedzalismy wszystkie gospodarstwa, zeby sprawdzic, kto z ludzi Chalkina zostal poinformowany o nadejsciu Nici.

-Przeciez musieli o tym uslyszec na Zgromadzeniach... - zaczal Paulin.

-Ha! - wykrzyknal Bridgely. - Malo kto tam wie, kiedy i gdzie odbywaja sie Zgromadzenia, a prawie nikt na nich nie bywa.

-To niesprawiedliwe - Paulin potrzasnal glowa.

-Szczzerze mowiac, Paulinie, uwazam, ze naklada na swoich ludzi wygorowane oplaty dzierzawne. Nie spotkalem nikogo, kto mialby marke na zbyciu, nawet kiedy przywoza swoje wyroby na sprzedaz do Bendenu. Zreszta, wcale nie sa zachecani do podrozy.

-Nawet na Zgromadzenia? - spytal Paulin i sam sobie zaraz wiedzial: - Nie, przeciez mu to nie na reke, prawda?

-Obawia sie, ze zaczna porownywac warunki, panujace w innych! Warowniach. Poza tym nie lubi, zeby bitranskie marki byly w obiegu poza granicami jego posiadlosci.

-I odbiera, co moze, gdy ludzie biora udzial w tych milusich grach i zabawach, ktore tak chetnie organizuje - dodal M'shall.

-Musze przyznac, ze nie wiedzialem o tych ograniczeniach - powiedzial Paulin z wielka powaga.

-A skad miales wiedziec? - usprawiedliwil go Bridgely. - Jestes z Zachodniego Wybrzeza. My wiemy, gdyz na naszych Wschodnich Zgromadzeniach pojawiaja sie tylko nieliczni Bitranczycy. Oprocz, oczywiscie, bukmacherow i graczy, ktorzy zadnego nie opuszczaja...

-Tak, sa wszedobylscy, to prawda - mruknal Paulin pod nosem. - Tak wiec, zamyka granice, co oznacza, ze niektorzy dzierzawcy wpadli w panike na wieśc, ze naprawde spodziewamy sie Opadow?

-W rzeczy samej - potwierdzil Bridgely z ponura mina. - W dodatku, gdy ludzie odwazyli sie pojsc do niego z petycja, pobil ich i wyrzucil z Warowni. Ogladalem slady po kanczugach, wiec wiem, ze nie klamia. Mowili, ze takiego ataku furii nie widzieli, jak zyja. Klal tez na czym swiat stoi, ze otwieracie nowa kopalnie w Ruathcie, a przeciez kochani Bitranczycy mogliby uruchomic na nowo szyby w Dolinie Stenga.

-Twierdzi, ze swiat zwrocil sie przeciwko Bitrze? - spytal Paulin sucho.

-Wlasnie - odparl M'shall.

-Odmowil takze przyjecia cylindrow z kwasem azotowym... - dodal Kalvi.

-To znaczy, powiedział, że nie zapłaci - poprawił go M'shall. - Tak opowiadali jeźdźcy z Telgaru moim ludziom.

-Tak, czy owa, nie będa mieli patroli naziemnych. Moim zdaniem posunal sie za daleko i nalezy zdjac go ze stanowiska - powiedzial Paulin powoli, rozwaznie. - Jako Lord Warowni ma obowiazek informowac swoich ludzi i przygotowowac ich do Opadow. Po to wlasnie powstal system podzialu na Lordow Warowni i dzierzawcow; aby ludzie na czas Opadu mieli silnego przywodce, ktory nimi pokieruje i zapewni pomoc w sytuacjach zagrozenia. Zamykajac granice pogwalcil takze jedna z podstawowych wolnosci zagwarantowanych w Karcie: swobode poruszania sie. Autonomie obrocil w despotyzm. Wysle szczegolowy raport do wszystkich Lordow Warowni i Mistrzow cechowych... ajaj... - tu spojrzal z niepokojem na Clissera - teraz juz nie mozemy szybko kopiowac dokumentow, prawda?

-Jeden jezdziec moze odwiedzic wszystkie Warownie - odpowiedzial M'shall. - Jeszcze lepiej, niech jeden poslaniec obleci zachodnie wybrzeze, a drugi nasze. Dzieki temu wystarcza tylko dwie kopie.

-Poprosze, by S'nan przydzielil mi jezdzca. - Paulin siegnal po notes.

-Bedzie zachwycony - zapewnil go M'shall. - Bynajmniej nie spodobala mu sie bezczelnosc Chalkina. Tak sie po prostu nie robi, panowie. - M'shall usmiechnal sie, nasladujac wyniosly ton S'nana.

-Musimy bezzwlocznie podjac dzialania przeciw Chalkinowi - stwierdzil Paulin - nie czekajac na kolejne oficjalne Zgromadzenie na Koniec Obrotu. Czas ucieka - tu zwrocil sie do Clissera: - Co mi przypomina, Cliss, ze mieliscie znalezc jakas niezawodna metode okreslania pory powrotu Nici. Poszczescilo wam sie?

-Sa rozne mozliwosci - odpowiedzial Clisser, starajac sie nadac swemu glosowi wiecej pewnosci, niz rzeczywiscie odczuwal. - Poniewaz stracilismy dostep do komputerow, bardzo duzo czasu zajmuje nam przeszukiwanie zrodel i badanie roznych rozwiazan.

-No coz, pracujcie nad tym - Paulin z usmiechem dotknal ramienia rektora - podobnie jak nad pozostalymi licznymi zadaniami, ktorymi was obciazylismy. Tak na marginesie, te piosenki instruktazowe byly naprawde doskonale - tu wlozyl palec do ucha, poruszył nim przez chwile i usmiechnal sie jeszcze szerzej: - Dzieciaki spiewaja je bez ustanku, nie tylko na lekcjach.

-Tak mialo byc. - Clisser pekäl z dumy, jednoczesnie rozbawiony tym uczuciem. - Mam zaczekac na brudnopis?

-Najuprzejmiej ci dziekuje, przyjacielu, ale ten dokument z wielka przyjemnoscia wypisze sam - na twarzy Lorda Warowni Fort pojawil sie usmieszek. - Bede pamietal, by zrobic kopie do archiwum. Tak przy okazji, czy starozytni nie mieli przypadkiem jakiegos sposobu na kopiowanie? Czegos, co by przenosilo pismo na strone pod spodem?

Clisser przez chwile zastanawial sie z pochylona glowa.

-Papier kopiujacy, prawda? Nie mamy tego, ale moze Pani Salda wpadnie na jakis pomysl. Albo wymyslmy jakas metode wielokrotnego kopiowania, albo bedziemy calymi godzinami biedzic sie nad kazdym dokumentem - westchnal ciezko i z zalem.

-Zastanow sie wiec i nad tym - zakonczyl Paulin. - Dziekuje wam wszystkim, panowie. A teraz zmykajcie stad wszyscy, i to juz - usmiechnal sie do Przywodcow Bendenu i do Kalwiego - i bawcie sie dobrze przez reszte wieczoru, kiedy ja bede tu pracowal. W pewnym sensie bedzie to dla mnie przyjemnosc - stwierdzil, podniosl piro i przyjrzal sie stalowce.

Po tak uprzejmym pozegnaniu, wyszli po kolei z biura. Clisser pomyslal, ze Issony jest chyba rozczarowany, gdyz nie poproszono go o wy, gloszenie litanii skarg na Lorda Chalkina. Postaral sie wiec, by nauczyciel wypil tego wieczoru tyle dobrego wina, ile tylko zdolal w siebie wlac.

Rozdzial VIII

Weyr Telgar

Gdy znow zaswiecilo slonce, lantine ponownie poprosil Tishe, by pozwolila mu wyjsc na powietrze, wiec byl w Niecce, kiedy do Weyru zjechali wedrowni kupcy. Na ich powitanie wybiegli wszyscy mieszkancy grot. lantine goraczkowo szkicowal wielkie, zakurzone wozy, zaprzezone w kilka par krzepkich, roboczych wolopodobnych stworzen, wyhodowanych specjalnie do takiej pracy. Byl to efekt jednego z ostatnich bioinzynieryjnych eksperymentow Wind Blossom, ktorej babka, mistrzyni w tej sztuce, stworzyla pernenskie smoki. lantine od dziecka widywal wedrownych handlarzy na szlakach i z prawdziwa przyjemnoscia wspominal rzadkie przyjazdy bendenskiej karawany do ich samotnego gospodarstwa. Najlepiej pamietal smak konfitur, aromatyzowanych jagodami, ktorych mnostwo roslo w Neracie. Kupcy rozdawali je szcudrze, a raz dali dzieciom swiezy cytrusowy owoc, niewiarygodna uczte dla podniebienia.

Dla mieszkancow odleglych farm przyjazd karawany stanowil rownie wielka atrakcje, jak Zgromadzenia. Ku zdumieniu lantine'a, ludzie z Weyru okazali tak samo zachwyty. Mimo ze bez trudu mogli podrozowac na smoczym grzbiecie gdzie dusza zapragnie, powitali przyjazd kupcow z jeszcze wiekszym entuzjazmem niz przybycie wozow z danina. Zreszta, wozy jako takie nie byly szczegolnie mile widziane, gdyz wszyscy musieli pracowac przy rozladunku produktow zywnosciowych, niezbednych dla Weyru. Ale handlarze przywiezli rowniez nowiny ze wszystkich mijanych po drodze gospodarstw i cechow. lantine zauwazyl, ze prawie tyle samo osob gromadzi sie na pogawedke, co oglada towary wystawione na sprzedaz przez Lilienkampow. Z jaskin kuchennych wyniesiono na powietrze stoly i krzesla; podawano klah, swiezy chleb i slodkie buleczki.

Leopol, zawsze chetny do pomocy malarzowi, przyniósł mu kanapkę na drugie śniadanie, przysiadł obok i zaczął przekazywać nowiny.

-Zbudowali kryte zajazdy przy drodze do nas - powiedział między! kesami ciastka. - Nie zamierzają zrezygnować z wędrowek tylko dlatego, że mają opadac Nici. Ale muszą się do tego przygotować. Polowa! ładunku na tych wielkich wozach to materiały do budowy bezpiecznych! schronów. Mogą wykorzystać wszystkie jaskinie po drodze, jednak skończy się noclegi pod gołym niebem... pewnie wędrowka straci dla nich trochę uroku - uśmiechnął się szeroko - ale jak trzeba, to trzeba. - Widzisz? - pobrudzony miodem palec wycelował w grupę mężczyzn i kobiet, siedzących razem z Przywódcami Weyru nad mapami, porozkładanymi na stołach. - Zaznaczają te miejsca, żeby wszyscy u nas wiedzieli, gdzie ich szukać, jeśli wpadną w Opad.

-A kto jeździ do Bitry? - spytał lantine z przekasem. Leopol parsknął śmiechem.

-Nikt, kto ma olej w głowie. Szczególnie teraz. Słyszałeś, że Chalkin zamknął granice, aby mu ludzie nie puciekali? Wiesz, że on nie wierzy w Nici? - Chłopiec szeroko otworzył oczy z przerażenia, że ktoś może być tak bezczelny. - I o tym, że nie powiedział swoim gospodarzom o groźnym Opadzie?

-Rzeczywiście, odniosłem dokładnie takie wrażenie podczas pobytu w Bitrze - odpowiedział lantine. - A wnioski wyciągałem raczej na podstawie tego, czego nie mówiono i nie robiono. Widzisz, nawet w Akademii Domaize magazynowano żywność i materiały na okres Opadów, ale w Bitrze rozmawiano o zakładach i bukmacherach, zaś o Opadach i Niciach nie padło ani jedno słowo.

-Chcieli cię wciągnąć do gry? - Leopol chciwie czekał na odpowiedź, jakby spodziewał się potwierdzenia.

lantine potrząsnął głową i uśmiechnął się do swego ciekawskiego słuchacza.

-Miałem się na baczności. Przecież wszystkich ostrzegają przed grą z Bitranczykami na Zgromadzeniach, prawda? A poza tym, nie miałem pieniędzy na zakłady.

-Dobrze, bo byś przepuścił całą zapłatę - mruknął Leopol, ale wciąż z okrągłymi oczyma rozważał w myśli niebezpieczeństwa, jakich cudem uniknął lantine.

-Moim zdaniem Chalkin stawia na złego konia uważając, że ignorowanie Nici zapobiegnie Opadowi. Bada musieli zbudować ogromne schrony - wskazał potężne pociągowe zwierzęta, które prowadzono do wodopoju w jeziorze.

Albo czworonogi były przyzwyczajone do smoczków, albo tak zimnokrwiste, że nie zwracały na nie uwagi. Natomiast młode smoki nigdy nie widziały czegoś takiego w swym krótkim życiu, więc z wielkiego przerażenia piszczały przeraźliwie, aż starsze smoki, wygrzewające się na polkach skalnych w chłodnym zimowym słońcu, obudziły się, by sprawdzić, co się

dzieje. Iantine usmiechnal sie i zaczal goraczkowo szkicowac w rogu kartki. Pomyslal, ze w tym tempie predko mu sie skonczy papier, choc Waine byl szczodry.

-Beda musieli zuzyc metalu do pokrycia dachow, wiesz? - powiedzial Leopol. - Weyr tez pomaga Lilienkampom, bo nakladaja drogi, zeby wspiac sie tu do nas, na gore.

Iantine nigdy nie zastanawial sie nad systemem danin na utrzymanie Weyru, jezdzcow i smokow. Zawsze wiedzial, ze Weyry korzystaja z danin, ale dopiero teraz nabral wielkiego szacunku dla organizacji calej siedziby i zarzadzania nia. Kontrast z Bitra byl ogromny, gdz wszyscy mieszkancy Weyru radosnie podejmowali kazda prace i byli dumni, ze ktos ich potrzebuje. Tu wszyscy pomagali sobie wzajemnie i wygladali na szczesliwych. Wlasciwie, Iantine dopiero niedawno zdal sobie sprawe, ze jego dzieciinstwo rowniez bylo w miare beztroskie i szczesliwe. Nauka na Uniwersytecie takze sprawiala mu przyjemnosc i wiele mu dala, gdz terminowanie w Akademii Domaize minelo bez wiekszych klopotow, choc natrudzil sie, by doskonalic nowe techniki i w pelni zrozumiec sztuke.

Dopiero w Bitrze otworzily mu sie oczy. Podobnie zreszta, jak w Weyrze, ale tu doswiadczenie bylo pozytywne. Z gorycza uznal, ze dobro mozna docenic dopiero wtedy, gdy zaznalo sie zla. Usmiechnal sie ironicznie do siebie, podczas gdy jego prawa reka szybko konczyla szkic, na ktorym Przywodcy Weyru prowadzili powazna narade ze starszymi karawany Lilienkampow.

Ten Rod zapoczatkowal wedrowki kupcow, dostarczajacych do odleglych gospodarstw towary i mniej pilne wiadomosci. Pierwszy Lilienkamp nalezal do grupy najwazniejszych Ojcow Zalozycieli. Iantine przypominal sobie j ego portret na wielkim fresku w Warowni Fort, do ktorego pozowal wraz z innymi sygnatariuszami Karty: drobny, ciemny mezczyzna, czarnowlosy, bystrooki, z notesem zwisajacym u pasa i - co dobrze wrylo sie w pamiec malarzowi - z roznymi przyborami do pisania wystajacymi z kieszeni na piersi; jeden dlugopis nawet byl zatkniety za uchem. Iantine'owi wydalo sie to tak logicznym miejscem na pioro, ze sam nabral podobnego zwyczaju.

Przyjrzel sie blizej przywodcom karawany. Tak, jeden z nich rzeczywiscie mial za uchem cos, co wygladalo jak olowek, a u pasa zwisal mu pusty mieszek, w ktorym pewnie zazwyczaj trzymal notes, ktory teraz lezal przed nim na stole.

Ciekawe, czy schrony beda wystarczajacym zabezpieczeniem kupcow, by przez nastepnych piecdziesiat lat Przejscia mogli dalej wedrowac po drogach mimo niebezpieczenstwa Opadu Nici? Iantine niedawno przekonal sie na wlasnej skorze, ze planowanie i realizacja planu to dwie rozne sprawy. Z drugiej strony, przewoz towarow bezposrednio z Cechow do gospodarstw nastreczalby powaznych klopotow, tym bardziej ze smoki beda wykorzystywane wylacznie do obrony ziemi przed Nicmi. Stworzono je, by pelnily funkcje obronne; transport ludzi i towarow to wylacznie dodatkowe zajecie na czas Przerwy.

Później spyta, czy kupcy przywieźli jakiś papier w tych swoich wielkich wozach. Tyle że w sakiewce nie pozostało mu nawet ćwierć marki. Może i jednak uda się dostać szkicownik w zamian za jeden czy dwa rysunki.

Szybko lecz starannie wypełnił ostatnią czystą kartkę montażem obrazków: wozy wjeżdżające do Niecki, ludzie wybiegający im na powitanie, towary na wystawie, dobijanie targu, a pośrodku kierownicy karawany rozmawiający z Przywódcami Weyru o schronach. Odsunął szkic na długość ramienia i przyglądał mu się krytycznie.

-Wspaniale! - powiedział ktoś za jego plecami. Odwrócił się gwałtownie, zaskoczony. - Zrobiles to w jednej chwili!

Zielona jeźdźczyni w towarzystwie rozleniwionej smoczycy uśmiechała się. niesmiało, a w jej oczach lśnił nabożny podziw. Poprzedniego dnia Leopold pokazał mu te dziewczyny i opowiedział o tym, jak gwałtownie wpadła do Wylegarni w czasie niedawnej ceremonii Naznaczania.

-Debera? - spytał, przypomniawszy sobie, jak ma na imię. Gwałtownie westchnęła i cofnęła się, zaskoczona. Smoczyca natychmiast oprzytomniała, a zaniepokojenie sprawiło, że oczy jej zawirowały szybciej. Och, przepraszam, nie chciałem...

-Cicho, Morath, on nie zrobi mi krzywdy - powiedziała do smoczycy, a potem uśmiechnęła się do niego uspokajająco. - Zdziwiłam się po prostu, że wiesz, jak się nazywam.,

-To dzięki Leopoldowi. - lantine wskazał ołówkiem na chłopca, który zawsze targował się z przybyszem, mniej więcej w tym samym wieku i co on. - Gdy dochodziłem do sił po chorobie opowiadał mi o wszystkim, co działo się w Weyrze.

-Ach, tak. - Dziewczyna chyba się uspokoiła i uśmiechnęła się z większą pewnością siebie. - Znam go. Wszędzie go pełno. Ale ma dobre serce - dodała pośpiesznie, podnosząc wzrok na lantine'a. - Mówił mi, że ty też miałeś różne przygody. - Potem wskazała na szkic. - Tak ci to ładnie wyszło, i tak szybko... prawie slychac, jak sie targuja - dodała, wskazując postać handlarza z otwartymi ustami.

lantine przyjrzał się obrazkowi krytycznie.

-Och, szybkość nie zawsze pomaga, jeśli chce się uzyskać dobry efekt. - Sprawnie dodał fałde na szacie przywódcy karawany, gdyż zauważył, że nad paskiem ubioru nieco się wybrzusza. - Zobaczmy, czy spodoba się modelowi. - Sam się zdziwił, słysząc zdenerwowanie w swoim głosie.

Dziewczyna przyjrzała mu się z uwagą.

-Jeśli tak wygląda rysunek, zrobiony w pośpiechu - powiedziała łagodnie - chciałabym zobaczyć coś, co zajęło ci więcej czasu.

Nie mogli się oprzeć tym słowom, więc przewrócił kilka kartek i pokazał jej szkic, na którym przedstawił ją sama, gdy naciera oliwka skóre Morath.

-Och, wcale nie zauważyłam, jak to rysujesz... - wyciągnęła rękę, by dotknąć rysunku, ale on już szukał drugiego szkicu, na którym Debera razem z Morath przysłuchiwały się wykładowi T'dama. Dziewczyna zarzuciła ramię na szyję smoka... Lantine'owi wydawało się, że uchwycił subtelna więź, uwidoczniająca się w tym uścisku.

-To cudowne. - Lantine ze zdziwieniem spostrzegł łzy w jej oczach. Instynktownie ujęła go za ramię, by napawać się chwilę rysunkiem, zanim artysta przewróci kartkę.

-Ach, jakbym...

-Podoba ci się?

-Bardzo - gwałtownie puściła jego ramię, schowała ręce za siebie i zaczerwieniła się po same uszy. - Naprawdę bardzo... - przygryzła wargi, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

-O co chodzi? Zasmiała się, skrepowana.

-Nie mam nawet złamanej marki.

Wyrwał szkic z notatnika i podał go dziewczynie.

-Ach, ja nie mogę... nie mogę - i odsunęła się o krok, choć błysk w jej oczach powiedział Lantine'owi, jak bardzo pragnęła mieć ten rysunek.

-Dlaczego nie? - próbował wcisnąć jej kartkę w dłoń, choć się opierała. - Debero, proszę cię, weź to. Muszę ćwiczyć odmrożone palce, a to przecież tylko szkic.

Znowu podniosła na niego wzrok. Oprócz zdenerwowania, w głębi tych pięknych, zielonych oczu, czaił się jeszcze jakiś inny lek.

-Wiesz, powinnas mieć coś takiego, żeby nie zapomnieć, jak Morath wyglądała w młodości.

Jedna ręka wysunęła się zza pleców i sięgnęła po szkic.

-Jestes taki dobry, Lantine... - szepnęła dziewczyna, trzymając kartkę koniuszkami palców, jakby się bała ją zabrudzić. - Ale nie mam czym ci zapłacić...

-Ależ masz - odpowiedział szybko w nagłym przypływie natchnienia i wskazał kupców, w dalszym ciągu zgromadzonych wokół stołu. Możesz odegrać rolę zadowolonej klientki i pomóc mi wycyganic nich blok rysunkowy w zamian za kilka szkiców.

-Tak, ale... - rzuciła handlarzom krótkie, spłaszczone spojrzenie, a potem, jakby udzieliła sobie w myślach reprimendy, w jednej chwili jej nastrój się odmienił. Wolna ręka powędrowała na

głowe smoczatka, szukając wsparcia. Stworzenie spojrzalo na nia milosnie, a wzrok Debery na chwile utracil ostrosc, co lantine nie raz juz zaobserwowal u jezdzcow, przerywajacych rozmowe, by porozumiec sie ze smokami. Odetchnela gleboko i powiedziala rezolutnie: - Z radoscia powiem dobre slowo na twoj temat Mistrzowi Jolowi. Prawde mowiac, to moj kuzyn, ze strony matki.

-Naprawde? - uradowal sie lantine. - Chodz, sprawdzimy, czy powiazania rodzinne przydaja sie w interesach.

-Naturalnie niczego ci nie moge obiecac - powiedziala sladko, gdy ruszyli w strone grupy. Z trudem radzila sobie ze szkicem, ktory trzepotal na wietrze.

-Zwin go w rulon - zaproponowal. - Pomoc ci?

-Dziekuje, dam sobie rade. - Zwinela papier o wiele staranniej, nizby to zrobil lantine.

Narada wlasnie sie konczyla, a zebrani zaczeli sie rozchodzic.

-Mistrzu Jolu? - powiedziala Debera lamiacym sie nieco, cichym glosem. - Mistrzu Jolu - powtorzyla bardziej stanowczo.

Obawia sie, ze handlarz jej w ogole nie rozpozna, pomyslal lantine.

-Czy to nie Debera? - spytal kupiec, wpatrujac sie w nia, jakby nie wierzyl wlasnym oczom. Jego twarz rozjasnil szeroki usmiech i mezczyzna podszedl do nich szybkim krokiem, wyciagajac rece na powitanie. Debera jakby oniesmielila tak wielka serdecznosc. - Kochanie, slyszalem, ze Naznaczylas smoka.

lantine opiekunczo objal ja w pasie i niemal niedostrzegalnie pchnal do przodu.

-Tak. Oto Morath - w jej glosie nagle pojawila sie pewnosc siebie i duma. Jezdzczyzni i smoczyca wymienily jedno z tych serdecznych spoj rzen, ktore zawsze wzruszaly lantine'a do glebi.

-Witam cie serdecznie, mloda Morath. - Handlarz oficjalnie sklonil sie smoczycy. Jej oczy zaczely wirowac szybciej.

Debera dodala jej otuchy lekkim klepnieciem.

-Mistrz Jol jest kuzynem mojej matki - wyjasnila smoczycy.

-A zatem i twoim, dziewczyno - przypomnil jej Jol. - Bardzo jestem dumny, ze mam w rodzinie smoczego jezdzca. Ach, jestes taka podobna do matki. Wiedzialas o tym?

lantine zobaczył, ze twarz dziewczyny spochmurniala.

-Nie chcialem cie zasmucac, dziecko - zreflektowal sie Jol, niezadowolony z siebie. - Ach, bylaby tak szczesliwa, gdyby wiedziala, ze ty... Przerwal i odchrzaknal. Iantine wiedzial, ze stara sie pospiesznie naprawic kolejna niezrecznosc - ... jestes tutaj, zostalas jezdzczynia...

-I uniezaleznilam sie od ojca - skonczyła za niego Debera z gorycza.

-Czy o tym rowniez slyszales, Mistrzu Jolu?

-Tak, naturalnie. - Mistrz Jol usmiechnal sie jeszcze serdeczniej, a w jego oczach blysnela iskierka zlosliwosci. - Wielce uradowala mnie ta wiadomosc, przyznaje. Co moge dla ciebie zrobic? Swiateczne ubranie, dobre buty na futerku... malo co z soba tu przywiozlas, na ile znam twego ojca.

-Weyr dal mi wszystko, czego potrzebowalam, Mistrzu Jolu - odparła ze spokojna godnoscia.

-Mistrzu? A zatem jednak nie jestem twoim kuzynem, mloda kobieto? - spytal z zartobliwa surowoscia.

Usmiech powrocil wreszcie na jej twarz.

-Och, kuzynie, dziekuje ci bardzo. Mam do ciebie inna prosbe.

-Coz to takiego?

Debera rozwinela rysunek I pokazala go handlarzowi.

-Iantine mnie narysowal... i ciebie tez - tu malarz podsunal Jolowi szkicownik, otwarty na montazu. - Tylko ze skonczyly mu sie kartki, a podobnie jak ja, nie ma grosza przy duszy...

Mistrz Jol siegnal po szkicownik, w jednej chwili zmieniajac sie w krytycznego handlarza. Rzucil tylko jedno spojrzenie na rysunek i zaczal uwaznie przygladac sie artyście.

-Nazywa sie Iantine, powiadasz? - Kiedy oboje przytakneli, na szerokich wargach, zdradzajacych dobroduszny charakter, znow pojawil sie usmiech. - Wiem juz, o kogo chodzi. To ty jestes tym chlopakiem, który bez szkody wyrwal sie z pazurow Chalkina? - Jol podal mu reke. - Doskonale, chlopcze. Opowiadali mi o twoich przygodach - mrugnal z aprobata. - My, kupcy, zawsze wiemy o wszystkim i nauczylismy sie odrozniac zdzbla prawdy od sieczki klamstw - dodal i wrocil do ogladania szkicow, wedrujac oczyma od jednego rysunku do drugiego. Westchnal z rozbawieniem i z uwaga przyjrzał sie swemu portretowi, z olowki za uchem.

-To wypisz, wymaluj ja, nawet o olowku nie zapomniales - dotknal swego narzedzia pracy, by sie upewnic, czy gdzieś nie zginelo. - Mozna? - uprzejmie poprosil o pozwolenie przejrzenia rysunkow na innych, kartach.

-Naturalnie - lantine sklonił się wytwornie. Chętnie kopnąłby się w kostkę, bo nogi się pod nim nieco ugięły.

-Hejże, chłopcze, wiem, że dopiero niedawno wstałeś po chorobie - powiedział Jol i pospieszył, by go podeprzeć. - Usiadzmy gdzieś, żebyśmy mogli się dobrze przyjrzeć wszystkiemu, co tu narysowałeś.

Ignorując protesty lantine'a, kupiec poprowadził go do stołu, który przed chwilą opuścił, i usadowił na krześle. Debera i Morath poszły za nimi. Dziewczyna wyglądała na bardzo zadowolona z opiekunczności kuzyna.

Jol przejrzał szkice równie dokładnie, jak uczyniłby to Mistrz Domaize. Rzucił różne uwagi na temat znajomych mieszkańców Weyru, uśmiechał się i bez przerwy kiwał głową. Potrafił również dostrzec, które rysunki pozostały nie dokończony.

-A więc, czego ci potrzeba, Artysto lantine?

-Przede wszystkim więcej papieru - odparł młody człowiek z wahaniem.

Jol przytaknął ruchem głowy.

-Zdaje mi się, że mam jeden blok papieru tej jakości, ale trochę mniejszy. Od czasu do czasu przywozi je Waine'owi. Naturalnie, mogę się postarać o większe karty...

-Pewnie nie będzie mnie już w tym Weyrze, kiedy znowu przyjedziecie...

Mistrz Jol zbył te uwagi.

-Mam magazyny w Warowni Telgar i mogę ci przysłać potrzebne towary za dzień lub dwa. - Rzucił lantine'owi zamysłone spojrzenie. - Pewnie tak szybko stąd zresztą nie wyjedziesz - dodał. Wyjął zza ucha ołówek, a z mieszka przy pasie wyciągnął notes. - Teraz powiedz mi, czego ci konkretnie potrzeba, Artysto lantine.

-Ja...

-Chcę narysować wszystkich jeźdźców i wszystkie smoki w naszym Weyrze - powiedział Leopold, który niezauważenie podszedł na tyle blisko, by słyszeć całą rozmowę.

-Masz już więc mnóstwo zleceń, prawda? - spytał z zadowoleniem mistrz Jol. Jego ołówek zawisł nad czystą kartką papieru.

-Nno, nie całkiem... widzi pan... - zająknął się malarz.

-Wiem o trzech - wyreczył go Leopold. - P'tero dla M'lenga i Przywódcy Weyru...

lantine chętnie ugryzłby go w nos.

-Przywodcy Weyru to inna sprawa. To beda portrety olejne. Szkice zas maja byc moim podziekowaniem dla wszystkich ludzi w Weyrze za to, ze byli dla mnie tacy dobrzy.

-Sportretowanie wszystkich tutejszych mieszkancow to calkiem spore przedsiwziecie. - Mistrz Jol zapisal kilka slow. - Potrzeba ci bedzie duzo papieru i olowkow. A moze wolisz atrament? Mam bardzo dobry gatunek. Gwarantuje, ze nie narobi kleksow - spojrzal na malarza wyczekujaco.

-Ale mam tylko j eden rysunek na wymiane - odpowiedzial lantine.

-Chlopcze, Grupa Jola Lilienkampa wlasnie otworzyla ci kredyt - powiedzial lagodnie Jol, lekko klepiac go po ramieniu. - Nie jestem Chalkinem ani ciałem, ani duchem, ani tez uczynkami - tu wybuchnal tak zarazliwym smiechem, ze lantine tez musial sie usmiechnac. - Dobrze, teraz juz bez ceregieli zloz zamowienie. Ulze twój emu sumieniu... jesli zrobisz ten obrazek - koniec olowka postukal w montaz szkicow - akwarela, dam ci za niego dwie marki. Aha, i jeszcze chcialbym ten z wykladem T'dama -przekartkowal notes, by znalezc rysunek. - Niech wreszcie ludzie zobacza na wlasne oczy, ze jezdzczy smokow nie tylko bujaja w przestworzach. Za to moge zaplacic poltorej marki...

-Ale... ale - wykrztusil z trudem lantine, probujac jednoczesnie uporządkowac myśli i ulozyc liste potrzeb. Debera usmiechala sie radosnie, podobnie jak jej smoczyca. - Nie mam ze soba akwarel - zaczal, probujac wyrazic, jak bardzo chce skonczyc prace nad montazem szkicow.

-Akurat tak sie sklada, ze ja je mam i wlasnie dlatego zlozylem ci taka propozycje - wyjasnil Jol wesolo. - Zaiste, jak to sie nam wszystko dzis szcieszliwie sklada - dodal i usmiechnal sie takze do Debery. - A to - ponownie postukal w montaz z duma wlasciciela - pokolorowane farba wodna i oprawione w szklo, bedzie doskonale wygladac w moim wedrownym biurze. Tak, tak. Zdaje mi sie, ze nasi przodkowie nazywali to reklama.

-Mistrzu Jolu? Mozna prosic na moment? - zawolal jeden z czlonkow karawany.

-Zaraz wroce, chlopcze. Poczekaj tu na mnie. Ty takze, Debero. Jeszcze z wami nie skonczylem, dzieciaki.

Gdy lantine i Debera wymieniali oslupiale spojrzenia, kuzyn dziewczyny raznym truchtem pobiegl zobaczyc, co sie dzieje. Znow wsunal olowek za ucho i w biegu zamknal notes.

-Nie moge w to uwierzyc - lantine potrzasnal glowa. Czul sie oslabiony i z trudem lupal oddech.

-Dobrze sie czujesz? - Debera pochylila sie ku niemu przez stol.

-Zatkalo mnie - powiedzial, przypominajac sobie ulubiony zwrot ojca. - Kompletnie mnie zatkalo.

-Mnie chyba tez- przytaknela Debera. - Nigdy bym nie pomyslala...

-Ja tez nie.

-Dlaczego? Nie ufacie kupcom? - spytal Leopold, jakby nieco urazony.

Lantine zasmial sie niepewnie.

-Kupcom mozna ufac. Ale nigdy nie spodziewalem sie takiej szczodrosci...

-Ile czasu spedziles w Bitrze? - spytala przekornie Debera, mierzac go dlugim spojrzeniem.

-Akurat tyle, zeby sie nauczyc nowego znaczenia slowa "zadowolajacy" - skrzywil sie Lantine.

W odpowiedzi lekko zmarszczyla czolo.

-Niewazne - mruknal. Potrzasnal glowa i pogladzil japo rece. - Bardzo ci dziekuje, ze przedstawilas mnie swojemu krewniakowi.

-Od momentu, kiedy zobaczyl ten szkic wcale ci nie bylam potrzebna - odparla niesmialo.

-Zamawiales to wszystko, prawda? - zabrzmial czyjs baryton. Jezdzczyzni i malarz ze zdumieniem spogladali na kupca, ktory ulozyl przed nimi na stole cale narecze przedmiotow: dwa bloki, jeden wiekszy, drugi mniejszy, ladne kwadratowe pudelko z kalamarzem, garseczki piorka i paczke olowkow. - Dostawa specjalna - dodal poslaniec, usmiechnal sie, obrucil na piecie i zniknal tam, skad przyszedl.

-Mistrz Jol zawsze byl dumny ze sprawnej obslugi. - Leopold usmiechnal sie od ucha do ucha.

-Widzisz? Masz wszystko, czego pragnales - powiedziala Debera.

-O tak, wszystko - odpowiedzial Lantine, a jego slowa zabrzmialy jak modlitwa.

Rozdzial IX

Warownia Fort i granice Bitry, wczesna zima.

Komunikat Lorda Paulina do pozostalych Lordow Warowni i Przywocow Weyrow przyjeta z mieszanymi uczuciami. Mimo zgromadzonych dowodow nie wszystkim podobalo sie usuwanie ze stanowiska jednego z Lordow. Paulin byl zaniepokojony i zniechecony, gdyz liczy na jednoglosna decyzje, ktora pozwoli pozbyc sie Chalkina zanim jego ludzie zdemoralizuja sie do reszty. Jamson i Azury byli zdania, ze cala sprawa moze poczekac do Rady, zwolywanej na koniec Obrotu. Pierwszy z nich zawsze byl konserwatysta, ale zastrzezenia Azury'ego zaskoczyly Paulina. Mieszkancy tropikalnych regionow nie rozumeli,

co oznacza zimowa pogoda. Oczywiście, że trudniej będzie przygotować Bitre do Opadu w środku zimy, twierdził Azury, ale przecież można podjąć pewne kroki, by być gotowym na lato, gdy zacznie opadać mordercze Nici. W zasadzie prace należało rozpocząć dwa lata temu, tak, jak zrobiły to pozostałe Warownie. Zaczęto w nich wysiewać więcej zboża, magazynować nadwyżki, naprawiać budynki, chronić uprawne pola, a nadto budować schrony przy głównych drogach i zabezpieczenia dla patroli naziemnych, nie wspominając o szkoleniach do walki z Nicmi, które przedostały się pod ziemię.

Co gorsza, ludzie Chalkina byli całkowicie bierni, choć nie należało korzystać z tego argumentu i odmawiać im informacji o zbliżających się trudnościach.

Kto miałby go zresztą zastąpić? Tu dopiero zaczynały się prawdziwe kłopoty.

Bastom odpisał, podając dobre rozwiązanie: należy natychmiast powołać zastępcę lub regenta, do czasu, gdy jeden z synów Chalkina osiągnie dojrzałość; synów zaś trzeba starannie kształcić w zakresie kierowania Warownią. Zresztą, nowy Lord niekoniecznie musi być z Rodu Chalkina, ale przestrzeganie zasad dziedziczenia nakreślonych w Karcie

z pewnością uspokoiłoby rozdrażnionych Lordów. Zdaniem Paulina dziedziczenie powinno w pierwszym rzędzie zależeć od zdolności i umiejętności, a władcy nie zawsze przekazywali te cechy jako spuściznę genetyczną.

Na przykład Sidney, najstarszy siostrzeniec Paulina zdecydowanie wykazywał cechy dobrego zarządcy. Lubił ciężką pracę, był uczciwym człowiekiem i dobrym sędzią ludzkich charakterów i zdolności. Paulina kusilo, by wyznaczyć młodego człowieka jako swego spadkobiercę, a co za tym idzie - Lorda Fortu. Do własnego syna, Mattewa, miał pewne zastrzeżenia, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że sam swoją rodzinę ocenia bardziej krytycznie niż obcy im ludzie.

Zdecydowanie należy przedstawić Radzie propozycję Bastoma; młodszym synom i córkom przyda się bezpośrednia praktyka w kierowaniu Warownią. Biorąc zaś pod uwagę, w jakim stanie jest Bitra, konieczne będzie powołanie całego zespołu do zarządzania nią. W ten sposób uniknie się także oskarżeń o nepotyzm, a jednocześnie da młodym okazję do wykazania się inicjatywą i umiejętnościami.

Kiedy Paulin otrzymał już wszystkie odpowiedzi, przekazał młodemu zielonemu jeźdźcowi wiadomość do M'shalla z Weyru Benden. Wiedział, że M'shall będzie równie rozczarowany wynikami ankiety, jak on sam. Próbował się przekonywać, że mimo wszystko jeszcze zdąży odpowiednio przygotować Bitre do nadchodzących Opadów. Jednak im prędzej te przygotowania się rozpoczną, tym lepiej. Miał nadzieję, że M'shall odnajdzie tego wuja i sprawdzi, czy nadaje się on do kierowania Warownią. Jeśli nie, trzeba będzie przeprowadzić poszukiwania uprawnionych spadkobierców...

-Ach, do diaska - mruknął. Odepchnął się od biurka i westchnął ze złością i rozgoryczeniem.

Nic z tego. Już nie można przeprowadzać szybkich Poszukiwań w ramach Programu Genealogicznego, obejmującego wszystkich członków Rodow. Jednak Clisser na pewno wydrukował ten program i skopiował go. - Tak, natychmiast potrzebujemy tych danych, wszystko jedno w jakiej formie - powiedział na głos i znowu westchnął. Aby poprawić sobie humor, zabrał się za czytanie raportów o budowie nowej kopalni.

Założyciele chcieli ją nazwać CROM, od pierwszych liter swoich nazwisk: Chester, Ricard, Otty i Minerva. Paulin nie widział przeszkód, ale dla porządku należało przedstawić oficjalny wniosek Radzie. Podczas . Przerwy w Opadach przestano się przejmować formalnościami i teraz zaczęło się to bardzo niekorzystnie na wszystkich odbijać, jak na przykład w przypadku powołania Chalkina na stanowisko Lorda Warowni. Paulina nieco pocieszała świadomość, że wtedy Warownie Fort reprezentował jego ojciec, Lord Emilin, a zatem on sam nie ponosił winy za ten błąd w ocenie. Teraz zaś miał okazję naprawić zło.

Nagle ktoś załomotał do drzwi. Zanim Paulin zdążył podejść, otworzyły się szeroko; M'shall, Przywódca Weyru Benden odsunął na bok Matthew i wszedł do komnaty.

-Paulin, trzeba coś z tym zrobić i to natychmiast - powiedział z ponurą miną, ściągając długie jezdzieckie rękawice i rozpinając kurtkę.

-Mój list szybko do Ciebie dotarł... Matt, przynies kłahu - polecił Paulin, gestem prosząc syna, by się pośpieszył. Twarz M'shalla poczerwieniała od zimna pomiędzy... i od czegoś jeszcze.

-Dostałem go. Ale to nie wszystko. W Bitrze panuje fatalna pogoda, a ludzie zamierzają na śmierć, bo nie chcą odejść znad granicy - poinformował.

-Nie chcą? A może nie mogą?

-Tak, raczej nie mogą niż nie chcą. Chalkin wydał rozkazy, że żaden "niewdzięczny dysydent" nie dostanie z powrotem gospodarstwa. Ma to być kara za zdradę. A przecież on sam naraził życie i zdrowie swoich dzierżawców na niebezpieczeństwo.

-Ile osób wchodzi w grę? - zaniepokojenie Paulina rosło gwałtownie.

M'shall przyglądał gestowi siwiejąca czupryna, zgnieciona pod hełmem.

-L'sur powiada, że przy głównym przejściu granicznym do Bendenu zgromadziła się ponad setka, w tym kobiety, dzieci i starcy. Przy innych przejściach jest ich tyle samo, a może nawet więcej. Nie mają żadnego schronienia, nie wpuszczają się do strażnic. Wszystkich zagnano do prowizorycznych zagrod. Co gorsza, L'sur widział zwłoki powieszono głową w dół, na których strażnicy wyraźnie uprawiali się w strzelaniu. Paulinie - Weyr Benden nie może ignorować takiego barbarzyństwa.

-Naturalnie! Warownia Fort też się z tym nie pogodzi! - Paulin skoczył na równe nogi i zaczął

spacerowac po komnacie. - Jesli jego zdaniem na tym polega zarzadzanie Warownia, nalezy go bezwzglednie usunac!

-Tak jest - zdenerwowany M'shall ponownie przeczesal wlosy palcami. - Jeszcze jedna taka noc i ci ludzie poumieraja z zimna i glodu. Przylecialem do ciebie, by miec za soba autorytet Rady, gdyz Bridgely chce, aby wszystko odbylo sie w miare mozliwosci zgodnie z prawem. Przeciez cos takiego nie powinno sie w ogole zdarzyc! - wykrzyknal z gorycza. - Ci ludzie wcale go nie zdradzili. Oni po prostu smiertelnie sie boja i rozpaczliwie pragna bezpieczenstwa... ktorego, jak widac, prozno im szukac w Bitrze. - Pochylil sie w krzesle. - Sluchaj, Paulinie, nawet jesli dostarczymy im zywnosc, kto zareczy, ze straznicy jej nie zgarna dla siebie, jak tylko odlecimy? Uwazam, ze trzeba bedzie tam zostawic oddzialy jezdzcow do ochrony... a to da Chalkinowi okazje do skarg, ze Weyr sie wtraca w jego sprawy.

Paulinowi zrobilo sie niedobrze. Sytuacja byla taka, jakby odrodzila sie prosto z kart krwawej ziemskiej historii, ktora osadnicy z cala swiadomoscia pozostawili poza soba, tworzac kodeks postepowania i etyki, uniemozliwiajacy takie zachowania! Statut osadnictwa na tej planecie przyznawal kazdemu, kto chcial pracowac, tyle ziemi, ile mu sie nalezalo z racji urodzenia. Tak mowila Karta.

-Nie bedzie mowy o ingerencji, jesli jezdzczy zostana po waszej stronie granicy. Poza tym, Warownia Bitra pozostaje pod ochrona Weyru Benden...

-Tylko w czasie Opadu Nici - poprawil go M'shall.

-W pewnym sensie jest to element ochrony przed Nicmi - Paulin usmiechnal sie ponuro. - Lord Warowni ma zobowiazania wobec ludzi, a kiedy ich nie dopelnia, do kogo maja sie zwrocic? Oczywiscie do Weyru. Nie masz racji - stanowczo uderzyl piescia w stol. - Bedziecie dzialac w zgodzie z prawem... jesli jezdzczy na ochotnika zglosza sie do tego zadania.

-L'sur tam zostal, tak przynajmniej jego smok powiedzial Craigathowi.

-Ale nie uzywajcie ogniowego kamienia - Paulin surowo podniosl palec w gore. - Nawet w przypadku zastosowania przemocy.

-W tej sprawie wydalem stanowczy zakaz, zapewniam cie - M'shall wykrzywil usta z gorycza. - Ostatnio nie mielismy zadnych cwiczen w Bendenie, wiec w smoczych pyskach nie pozostal nawet najmniejszy plomyk. Jesli chodzi o straznikow, najchetniej zastosowalbym szybki podrzut i dlugie spadanie w pomiedzy, ale... - uniosl obie dlonie, by pokazac Paulinowi, jaki jest zdyscyplinowany.

Mattew wrocil z taca pelna parujacych kubkow z klahem, naczyn z zupa i goracych pasztecikow. Ustawil ja na stole i wyszedl.

M'shall nie czekał na zaproszenie gospodarza, lecz złapał miske zupy, zaczął na nią dmuchać i wypił natychmiast, jak tylko się dało.

-To jest właśnie to. Jeśli masz cały gar, zabiorę go ze sobą- uśmiechnął się, oblizując wargi. - Jest taka gorąca, że nie ostygnie nawet w pomiedzy.

-Zabieraj wszystko, razem z garnkiem. L'sur tam został, powiadasz? A może posłać jeźdźców na wszystkie przejścia graniczne? - spytał Paulin, mieszając słodzik w kubku z kłahem.

M'shall kiwnął głową.

-Dobrze. Ich obecność powinna przeciwdziałać dalszym brutalnym czynom.

Było to jedynie zabezpieczenie, a nie środek zaradczy. Paulin chciałby zrobić coś więcej, aniżeli przysłać żupę, ale na tym etapie mogłoby to zaszkodzić jego pozycji jako Przewodniczącego Rady.

-Przynajmniej Weyr ma prawo rozpocząć działania, podobnie jak Bridgely - dodał z namysłem i znowu uderzył pięścią w stół. - Za to ja osobiście porozmawiam z Jamsonem i Azurym. Odkąd Chalkin stosuje tak brutalne środki, zaistniała pilna potrzeba, żeby ich przywiesić do rozsądka.

M'shall wzruszył ramionami.

-Lordowie Warowni mają wszelkie powody, by ci ufać, Paulinie. Bitrancyści nigdy nie pokładali zaufania w Chalkinie.

-Najchętniej zabrałbym ze sobą niezdecydowanych, jak Jamson i Azury i pokazał im, co się dzieje w Bitrze. Prawdopodobnie wydaje im się, że przesadzamy.

-Przesadzamy? - M'shall, pełen urazy huknął pustą miską w stół. - Przepraszam. Co im strzeliło do głowy?

-Nigdy w życiu sami by czegoś takiego nie zrobili. Trudno im uwierzyć, że inny Lord Warowni mógłby tak postąpić.

-No coż - M'shall nieomal warczał. - Mogłoby to zrobić... i właśnie zrobił.

Rozległo się nieco grzeczniejsze pukanie do drzwi. Matt wpuszczał K'vina.

-Właśnie dowiedziałem się o kłopotach na granicy, M'shallu. Zulaya poprosiła, by Meranath porozmawiała z Maruth, więc wiedzieliśmy z Charanthem, że tu jesteś - powiedział młody Przywódca, z równie pochmurną twarzą, jak jeździec z Bendenu.

-Czy to znaczy, że zablokował również zachodnią granicę?

K'vin kiwnal glowa.

-Telgar nie ma powodow, by sie sprzeciwiac zamykaniu granicy, ale ten czlowiek z premedytacja zabija swoich dzierzawcow, wygnawszy ich na mroz w taka pogode. Nie moge pozwolic... nie pozwole, by w ten sposob traktowano kogokolwiek - wbil w Paulina wzrok pelen nadziei.

-Wlasnie rozmawialismy z M'shallem na ten temat. Nie mozna sie zgodzic na cos takiego. Rozeslalem juz do Lordow Warowni zapytanie dotyczace podjecia natychmiastowych krokow. Nie otrzymalem jednoglosnej zgody, wiec jako Przewodniczacy Rady, niewiele moge zrobic... to znaczy, oficjalnie. Ale, tak jak zauwazyl M'shall, Weyr odpowiada za ochrone ludzi. Naginajac nieco rzeczywistosc, mozna powiedziec, ze zagrazaja im Nici - usmieszek na jego twarzy byl niemal zlowieszczy gdyz porzucili nie przygotowane do Opadu gospodarstwa. Tak wiec - Weyry moga podjac dzialania tam, gdzie Rada jest bezsilna.

-To chcialem wiedziec! - K'vin uderzyl sie rekawicami po udzie, podkreslajac zadowolenie.

-Naturalnie - Paulin pohamowal go uniesieniem reki - musisz byc ostrozny i nie dac Chalkinowi pretekstu do powolania sie na punkt o pogwalceniu autonomii Warowni...

-To chyba niewazne w sytuacji, gdy celowo krzywdzi ludzi, ktorych przedtem z premedytacja oklamywal - zaniepokojony K'vin podniosl glos.

-Widzicie, nie czas teraz naruszac neutralnosc Warowni - Paulin popatrywal to na jednego, to na drugiego. - Nici jeszcze nie opadaja.

-Dajze spokoj, Paulinie... - zaczal M'shall.

-Duchem jestem z wami, ale jako Przewodniczacy Rady, musze wam -przypomniec - wbrew moim osobistym pogladom - ze nie mamy prawa wtracac sie do zarzadzania Warownia.

-Moze ty nie, Paulinie - odparl K'vin. - Ale my z M'shallem mozemy I to zrobic. Miales racje, wspominajac o tym, ze Weyry musza chronic ludzi przed zagrozeniami.

-Ze strony Nici... - Paulin przypomnial mlodszemu jezdzcowi.

-Przed zagrozeniami - odparl tamten twardo. - Zamarzniec na smierc bez dachu nad glowa w niebezpiecznych warunkach pogodowych to takie samo zagrozenie, jak Opad Nici.

Paulin przytaknal z aprobatą.

-Chyba zapomne o waszej dzisiejszej wizycie - powiedzial z usmiechem. - M'shallu, nie wiesz przypadkiem, gdzie mieszka ten jedyny wuj Chalkina?

-Juz o tym pomyslałem... ale nie zastalismy go tam. Dom byl pusty. Az nazbyt pusty. A przeciez wiem, ze jesienia Vergerin byl i mial sie dobrze.

-Co masz na mysli, mowiac "az nazbyt pusty"? - spytal Paulin, notujac jednoczesnie imie wuja na kartce.

-Za dokladnie tam posprzatano. Nie tak - M'shall podniosl reke, powstrzymujac nieuniknione pytanie Paulina - jak to sie robi po smierci czlowieka, ale tak, by sie wydawalo, ze nikt nigdy tam nie mieszkal. Ale Vergerin wypielil wszystkie rosliny na dziedzincu, jak kazdy rozsadni dzierzawca. Ktos porozrzucal wszedzie smieci, zeby to ukryc.

-Czyzby Chalkin nas ubiegl? - Paulin zadal retoryczne pytanie, a potem powiodl wzrokiem po twarzach jezdzcow. - Uratujcie tych ludzi, zanim zgina od mrozu lub z rak Chalkinowych zbirow. Chcialbym tez z nimi porozmawiac, jak tylko przestana sie obawiac obcych. - Gdy M'shall juz polozyl reke na klamce, Paulin dodal: - Tylko bardzo was prosze, zadnych plomieni. Ktos moglby cala sprawe rozdmuchac ponad wszelkie wyobrazenie. K'vin wytrzeszczyl oczy, udajac, ze przeraza go sama mysl o tym. M'shall rozejrzal sie wokol.

-Niczego nie slyszalem, Paulinie - stwierdzil sztywno, z godnoscia.

-Tak, jakbysmy mogli... - rozzalil sie K'vin, gdy wyszli z Warowni.

-Ja bym chcial - odpowiedzial starszy jezdziec z wysilkiem. - W tym cala rzecz. Widzisz, znam Chalkina dluzej, niz ty.

Craigath i Charanth juz czekali na swoich jezdzcow, gotowi do lotu.

-Zajmiesz sie zachodnimi i polnocnymi przejsciami, K'vinie? - spytal M'shall, zanim wsiedli na swe spizowe bestie. - Sprawdziles, ile tam jest osob?

-Tak, a poza rym prowadzimy loty patrolowe, od kiedy Chalkin zamknal granice. Zulaya ostrzeze Tashwiego i Salde, ze zaczynamy akcje. Najpierw zabierzemy wszystkich do Weyru. Jesteśmy do tego calkowicie przygotowani.

-Dobra nasza, K'vinie - M'shall usmiechnal sie do kolegi. - Do roboty! - wskoczyl na smocza lape, sprawnie podciagnal sie i usadowil miedzy dwoma pierwszymi grzebieniami.

Lecimy na pomoc? spytal Charanth K'vina.

Tak jest. Powiedz Meranath, ze Zulaya moze zaczynac. Spotkamy sie z naszym skrzydlem przy drodze do Wodospadow. Zabierzemy tez ze soba lantine'a.

Gdy K'vin dotarl do Telgaru, pierwsza grupa ratownikow byla juz gotowa do startu. Wyladowal tylko po to, by zabrac ze soba malarza, posadzil go z tylu na Charantha i dal sygnal do lotu.

-lantine, zrob jak najwiecej czarno-bialych szkicow. Chce przygwozdzic Chalkina tymi dowodami.

lantine byl szczesliwy, ze zwrocono sie do niego z ta prosba. Mogl w ten sposob odplacic aroganckiemu Panu Warowni za chciwosc i podlosc. Jednak, gdy wyladowali na zasniezonym punkcie granicznym, odczuwal juz tylko przerazenie i niesmak. Oszczedna kreska naszkicowal "zagrode" - drzewa powiazane linami, a w srodku tlum drzacych z zimna ludzi, ktorzy musieli stac w lodowatym blocie i w tloku, gdyz nie starczylo miejsca, aby usiasc. Rysowal zaciete twarze, zmarznie, skulone z zimna ciala, grupki ludzi przytulonych do siebie, by dzielic sie odrobina ciepla. Niektorych odarto z ubrania, zostawiajac tylko bielizne. Otaczali ich ciasno inni wiezniowie, by uchronic ich od zamarzniecia. Inni stali boso na szmatach i butach wspoltowarzyszy niedoli, a ich odmrozone stopy przybraly niebezpieczny odcien fioletu i bieli. Dzieci snuly siej placzac z glodu i zmeczenia, albo lezaly jak nieprzytomne, w blocie u stopi doroslych. Obok zobaczyli zeszywniale ciala trojga zmarlych starcow. Niemal nie widzialo sie twarzy, ktore nie bylyby poznaczone sincami i splamione krwia.

Za to straznicy nie marzli: ubrani w kilka warstw odziezy, grzali sie przy ogniskach, nad ktorymi obracaly sie na roznach kawaly miesa zwierzat nalezacych do uciekinierow. Pozostaly inwentarz powiazano i zamknieto w zagrodach, do pozniejszego wykorzystania. Rzeczy wiezniow ulozono na stosach obok straznicy. Z tylu staly pelne wozy i taczki. lantine wiernie odtwarzal pierscienie, bransolety, a nawet kolczyki, ktorymi przyozdobili sie straznicy.

Przerazilo ich przybycie smokow, wiec ukryli sie w kamiennym budynku. Tym latwiej przyszlo transportowac uciekinierow, chociaz wielu z nich bylo tak zszokowanych, ze lekali sie smokow i jezdzcow niemal tak bardzo, jak brutalnych nadzorcow.

Zulaya zabrala ze soba kilku zwyklych mieszkancow Weyru, co pomoglo wiezniom nabrac zaufania. Koce i cieple kurtki tez sie do tego przyczynily. Zupa rowniez zrobila swoje... dla wielu byl to pierwszy posilek od czasu, gdy opuscili domy.

Dwoch rzeczy lantine nie potrafil oddac na papierze: dzwiekow i zapachow. Staral sie jednak... pokazal otwarte usta krzyczacych z przerazenia ludzi, ich oblakany wzrok, pozwijane z bolu ciala, okrywajace je galgany, ludzkie odchody spietrzone w stosy, gdyz straznicy naturalnie nie zadbali takze i o te ludzkie potrzeby, porzucone przedmioty i wozy. Dopiero teraz, gdy zobaczyl prawdziwe cierpienie, zdal sobie sprawe, jak wiele mial szczescia podczas krotkiego kontaktu z Lordem Warowni Bitra.

Wrocil do Weyru razem z ostatnia grupa. Pozwolil rece odpoczac tylko na czas skoku w pomiedzy, szkicujac nawet podczas lotu w notatniku opartym o plecy P'tera.

-Nawet na chwile nie przerwales - krzyknal jezdziec przez ramie. - Reka ci odmarznie!

lantine pomachał tylko dłoń, by pokazać, że wszystko w porządku i dalej rysował. Dodawał szczegóły do szkicu, przedstawiającego zwłoki powieszono głowami w dół, do których strażnicy strzelali dla rozrywki. Odcieto je natychmiast po ładowaniu, więc miał tylko tyle czasu, by zaznaczyć zarysy, ale szczegóły dobrze utkwily mu w głowie pomimo ogromu pracy, wykonanej tego dnia. Musiał utrwalic wszystkich na papierze, inaczej czulby, że ich zdradził.

Gdy mlody niebieski jezdziec wysadził go przed wejściem do dolnej jaskini, lantine, w dalszym ciągu rysując, znalazł jakos miejsce przy stole w pobliżu paleniska, by sie nieco rozgrzac - i moc sprawniej pracowac. Palce powoli tajaly i ołówek coraz szybciej smigal po papierze.

Ktos dotknal jego ramienia, lantine az podskoczyl na krzesle.

-To ja, Debera - zielona jezdyczyni postawila przed nim klan i miske gulaszu. - Wszyscy juz dawno zjedli. Ty tez powinienes - powiedziala srogo, wyjela mu z jednej dloni ołówek, a z drugiej szkicownik. - Wygladasz strasznie - dodala, przyjrzaawszy sie mu blizej.

Siegnal po notatnik, ale trzepnela go po rece i zabrala papier.

-Najpierw masz zjesc. Bedziesz potem lepiej rysowal. Ojej! - spojrzala na to, co szkicowal i zaslonila usta, a oczy rozszerzily jej sie z przerazenia. - To chyba niemozliwe.

-Rysowalem, co widzialem - odparl krotko i westchnal gleboko, z calego serca. Gdy wciagal powietrze, poczul kuszacy zapach gulaszu. Popatrzył w miske pelna kawalkow warzyw i miesa. Naprawde, tutaj potrafi wyczarowac cuda z wherowego miesa. Wzial lyzka, zaczal jesc i dopiero wtedy poczul, jaka pustke mial w brzuchu. Jedzenie niemal bolalo... a potem malo brakowalo, by odsunal miske. Wiezniowie Chalkina nie jedli przez trzy, a nawet cztery dni.

-Juz wszyscy sa najedzeni - szepnela Debera.

Spojrzal na nia zaskoczony, a dziewczyna uspokajajaco dotknela jego ramienia, takim samym gestem, jakim gladzila Morath.

-Kiedy przedtem sama jadlam, czulam sie podobnie - powiedziala i usiadla przy stole. - Zaharowywalismy sie wszyscy, zeby ich nakarmic, kiedy Tisha kazala nam przerwac prace i tez cos zjesc - zaczela kartkowac szkicownik i z kazdym nowym tragicznym rysunkiem twarz jej coraz bardziej powazniala. - Jak on mogl cos takiego zrobic?

lantine pochylił sie, lagodnie odebral jej notes i zamknawszy go, polozyl miedzy nimi.

-Wydal rozkazy - zaczal tłumaczyc.

-I dokladnie wiedzial, do czego doprowadza, nieprawdaz? Widzialam jednego z tych...

straznikow. Nawet moj ojciec nie przyjalby kogos takiego do pracy - postukala w szkicownik. - Nikt nie moze przejsc obojetnie wobec takich dowodow.

-Tym bardziej ze jezdzy smokow moga wszystko potwierdzic! - prychnal lantine.

Skonczyl gulasz, wyprostowal nogi pod stolem i potarl dlonmi twarz, ktora ciagle go szczyपालa po dlugich godzinach spedzonych na mrozie nad granica.

-Wiesz co, lantine, idz do lozka - poradzila mu Debera, wstajac Rozejrzala sie po jaskini, w ktorej ledwie kilku jezdzcow i mieszkancow Weyru konczylo wieczorny posilek. - Wszystkich juz rozlokowano, ale moze uda ci sie znalezc gdzies miejsce do spania. Ja chyba tez pojde odpoczac. Ta moja Morath! Budzi sie glodna jak wilk, niezaleznie od tego, ile jedzenia dostala poprzedniego dnia.

lantine usmiechnal sie, slyszac serdeczne cieplo w jej glosie. Wstal i zachwial sie lekko.

-Masz racje. Trzeba sie wyspac. Dobranoc, Debero. Obserwowal jak odchodzi zdecydowanym krokiem, wyprostowana, z dumnie uniesiona glowa. Bardzo sie zmienila od czasu Naznaczenia. Usmiechnal sie znowu, zabral szkicownik i powoli powedrowal do komnatki.

Nie przydzielono mu na kwatere zadnego uciekiniera, ale na materacu pod sciana lezal Leopold. Nawet nie drgnal, gdy lantine przygotowywal sie do snu.

Okazalo sie, ze liczba uciekinierow przekracza poczatkowe wyliczenia. Zapasy w obu Weyrach byly na ukonczeniu, wiec Lordowie Warowni natychmiast zaczeli nadsylac zywnosc i ofiarowali sie przyjac ludzi pod swoj dach. Niektorzy Bitranczyzy jednak powaznie sie przeziebili i nie mozna ich bylo od razu przewiezc do schronien w Neracie, Bendenie i Telgarze.

Zulaya dowodzila skrzydlem ratunkowym zlozonym z pozostalych krolowych i zielonych jezdzczyzn. Po powrocie kipiala z gniewu.

-Wiedzialam, ze to chciwy duzen i idiota, ale nie sadzilam, ze rowniez sadysta. Na granicy przy Lesnym Trakcie byly trzy ciezarne kobiety i zgwalcono je, gdyz pozniej, naturalnie, nie beda mogly udowodnic straznikom ojcostwa.

-Czy doszly do siebie? - spytal K'vin, wstrzasniety kolejnym aktem okrucienstwa. - Dotarlismy na Polnocna Przelecz w sam czas, by uchronic trzech chlopcow przed... niepozadanymi wzgledami straznikow. Skad Chalkin wzial takich ludzi?

-Inne Warownie wykluczily ich za niespoleczne zachowania lub przestepstwa kryminalne - odparla Zulaya, niemal zapluwajac sie ze zlosci. - I do tego nadchodzila sniezycyca. Ledwo zdazylysmysy. Gdyby nie my, wiekszosc tych ludzi rano juz by nie zyła. Na nic im nie pozwolono! Nawet na rozpalenie ognia dla rozgrzewki!

-Wiem, wiem - powtarzał, równie rozgoryczony takim sadystycznym zachowaniem, jak ona.
- Powinnismy dać tym strażnikom odczuć nieskonczone zimno. Niechby posmakowali
długiego pobytu w pomiedzy. Ale to byłaby za łatwa śmierć.

-W dalszym ciągu możemy to zrobić - zazgrzytała. Popatrzył na nią ze zdumieniem.
Odpowiedziała wściekłym spojrzeniem, zaciskając pięści. - Ach; wiem, że to niemożliwe, ale
tak bym chciała! Zabrales ze sobą lantiny? Doszłam do wniosku, że robione na miejscu
szkice bardzo by się nam przydały.

-Nie musiałem, sam poprosił, żeby go zabrać. Ma teraz co pokazać Lordowi Paulinowi i Radzie - powiedział K'vin i przelknął ślinę na wspomnienie brutalnych w swej bezpośredniości rysunków, które wypełniły cały szkicownik. Szybki ołówek Lantine'a uchwycił rzeczywistość i nadal jej dodawał głębie dzięki oszczędnej kresce, która przedstawiał sceny jawnego okrucieństwa.

Przywódcy Weyru poszli powitać uciekinierów i rozpoczęli rozmowę z parą staruszków.

-Dziad mojego dziada przybył do Bitry z Panem Warowni, co wtedy nastąpiło - powiedział mężczyzna, nerwowo przenosząc wzrok z K'vina na Zulayę i z powrotem. Bezustannie przebierał zabandażowanymi palcami, choć N'ran zapewnił go, że ból i swędzenie zostały stłumione sokiem feliśowym i balsamem z mrocznika. - Nazywam się Brookie, a moja kobieta to Ferina. Od tamtych czasów zesmy robili w ziemi. Nie skarżyłem się, choć on ciągle chciał więcej dziesięciny a z pola rodzi się tyle, co ma się urodzić i już, żeby nie wiem kto brał się do pluga. Ale takie to pańskie prawo.

-Ale maciory zabrać nie miał prawa, o nie - włączyła się kobieta, z buntowniczą miną. - Trzeba nam było więcej prosiaków, żeby zapłacić daninę, co on ją nazначzył - podobnie jak maz, zaakcentowała zaimek. - A i nasza córka zabrała do roboty w Warowni, jak mu się zachciało ziemi, co jej była należna. Powiedział, że nie za dobrze robimy na tym, co mamy i więcej nijak nie dostaniemy.

-Naprawdę? - Zulaya spytała zwońniczo łagodnym tonem, rzucając K'winowi znaczące spojrzenie. - To bardzo ciekawe, gospodyni Ferino.

K'vin pozazdrościł jej pamięci do nazwisk.

Mogłes mnie zapytać, stwierdził chętny do pomocy Charanth.

Sluchales rozmowy?

Ci ludzie potrzebowali pomocy smoków. Slucham ich. Wszyscy sluchamy.

Smoki okazały współczucie, a to wystarczające usprawiedliwienie dla tego, co się stało, na wypadek, gdyby Rada zajęła sztywne stanowisko, pomyślał K'vin. Koniecznie trzeba o tym powiedzieć Zulayi.

-Ale on mówi, że nam się coś pomyliło, a nigdzie nie ma nauczyciela, żeby się spytać - tłumaczył stary. - Ano właśnie, przecież dzieciom należy się nauczyciel.

-Pewnie. Muszą umieć przeczytać Kartę i poznać wasze prawa - potwierdziła stanowczo Zulaya. - Zaraz dam wam egzemplarz, żebyście sobie wszystko przypomnieli.

Starsi ludzie wymienili spłoszone spojrzenia.

-Wlasciwi - wybrnela gladko Zulaya - lepiej, zeby ktos je wam odczytal... bedzie ci ciezko odwracac kartki zabandazowanymi palcami prawda, Brookie? Ty tez nie najlepiej sie czujesz, Ferino...

Kobiecie udalo sie przywolac na wargi nerwowy usmiech.

-Ano, to by mi sie spodobalo, Wladczyni Weyru. Bardzo, ale to bardzo. Nasze prawa sa gdzie wypisane? W tej calej Karcie?

-Wasze prawa, jako gospodarzy, sa czescia Karty - Zulaya rzucila K'vinowi kolejne zalosne spojrzenie. - Wszystko tam jest, w najdrobniejszych szczegolach. - Wstala gwaltownie. - Posiedzcie tu sobie na sloncu, przyjaciele - wskazala na sciane, gdzie wygrzewali sie w cieple zachodzacego slonca niektorzy starsi mieszkancy Weyru. - Dopilnujemy, zebyscie wszystko slyszeli, a potem mozece pytac, o co zechcecie.

Pomogla im wstac i podprowadzila kawalek przez Niecke, a K'vin zawolal Leopola.

-Biegnij i przynies mi egzemplarz Karty, dobrze, chlopcze?

-Mam ja im potem przeczytac? - spytal chlopak, a w jego oczach zalasnila przekora i cien dumy, ze udalo mu sie odgadnac zamiary doroslego.

-Niezly z ciebie madrala, wiesz? - rozesmial sie K'vin. - Nie, zdaje mi sie, ze powinien to zrobic T'lan - wskazal siwego spizowego jezdzca, ktory podawal uchodzcom klah. - Lec juz po te Karte. Sam poprosze T'lana o przy sluge.

Leopol popedzil, jak zwykle, a K'vin podszedl do starszego pana, ktory doskonale radzil sobie ze zdenerwowanymi, przeraزونymi gospodarzami.

Bridgely przybyl do Weyru Benden z twarza nabiegla krwia, nie wiedzac, czy ma wybuchnac gniewem, czy smiechem.

-Coz za nieprawdopodobna bezczelnosc okazuje ten czlowiek! Nieziemaska, nieprawdopodobna bezczelnosc! - ryknal i rzucil na stol wiadomosc.

Wyladowala blizej Ireny, niz M'shalla, wiec to ona ja podniosla. - Od Chalkina? - wykrzyknela, spogladajac na Bridgely'ego.

-Przeczytaj... i poprosze o wino, M'shallu. Bedziesz tak mily? - Lord Warowni osunal sie na krzeslo. - Wiedzialem, ze ten czlowiek odznacza sie wyatkowa bezwstydnoscia, ale cos takiego... to juz szczyt.

-Css - uciszyla go Irena. W miare czytania, jej oczy stawaly sie coraz okraglejsze. - Ach, to niemozliwe! Posluchaj tylko, M'shallu: "Ta Warownia ma prawo do korzystania z poslancow na smokach. Odpowiednia choragiew w czerwone pasy zostala calkowicie zignorowana,

choc moi straznicy widywali smoki na tyle blisko, ze jezdzy musieli wiedziec o potrzebie wyslania pilnej wiadomosci. Zatem, musze dodac..." - Pochylila sie nad papierem. - Coz za okropny charakter pisma... ach, "zaniedbanie obowiazkow"... naprawde, ze tez on ma smialosc o tym pisac... "zaniedbanie ich podstawowych obowiazkow, do innych skarg, ktore zmuszony jestem przedstawic. Nie tylko ingeruja w zarzadzanie nasza Warownia, lecz sieja bezczelne klamstwa w umyslach mych lojalnych poddanych. Domagam sie natychmiastowego ukrocenia tego procederu. Nie sa dosc odpowiedzialni, by wykonywac obowiazki, ktore przyjeli na siebie w ramach swych wielce ograniczonych srodkow". Ograniczonych srodkow! - Irena az zbladla ze zlosci. - Juz ja mu wyznacze granice!

-Szczegolnie teraz, gdy wiemy co nieco o tym, jak traktuje swych lojalnych poddanych... - powiedzial M'shall z mina bardziej ponura, niz zwykle. - Zaraz, zaraz. Kiedy on to wyslal?

-Piec dni temu - odparl Bridgely, usmiechajac sie zlosliwie. - Musial poruczyc to konnemu. Z tego, co mi mowil kurier, podobne listy poszly rowniez do Neratu i Telgaru. Gdy dojdiesz do konca, Ireno, dowiesz sie, ze zyczy sobie - tu wskazal na odpowiedni fragment pisma - abym powierzyl je odpowiedzialnemu poslancowi i dostarczyl do Lorda Paulina. Zamierza zlozyc oficjalna skarge Przewodniczacemu Rady. Zdaje mi sie - usmiechnal sie sucho - ze dostane nastepny taki list, gdy nasz przyjaciel dowie sie o wczorajszej napowietrznej akcji ratunkowej.

-Ten czlowiek... - Irena przerwala, nie mogac znalezc slow. - Kiedy pomysle, jak potraktowal tych nieszczesnikow...

-A gdy bedzie musial udzielic wyjasnien, pewnie zacznie skamlac, ze straznicy przekroczyli uprawnienia... a on ich wszystkich powyrzucal za kare. - Bridgely cynicznie wzruszyl ramionami.

-Ach... nie wszystkich - odparl M'shall i podrapal sie po glowie. - Wiecie... pytali, dlaczego wozimy holote, a oni nie moga sie przejechac na smoku...

-Nie zrobiles tego chyba, M'shallu? - wykrzyknela Irena, rozwierajac szeroko oczy w radosnym oczekiwaniu. - Nie spusciles ich w dol z wysokosci, prawda?

-Niestety - wzruszyl ramionami z udawanym zalem. - Ale uznal ze madrze bedzie... uprowadzic? Tak, to wlasciwe slowo... uprowadzic niektorych, na wypadek, gdyby musieli stanac przed Rada i dokladnie wyjasnic, jakie to rozkazy im wydano.

-Aha - Bridgely zamyslil sie.

-No coz, mozna powiedziec, ze dzialalem wybiorczo - M'shall w dalszym ciagu mial ponura mine. - Najpierw dowiedzialem sie, kto przylozyl reki do zabojstw i zebralem swiadectwa pokrzywdzonych. Jak wiecie, nawet straznicy dzialajacy z upowaznienia Lorda Warowni, nie moga przeprowadzac egzekucji bez sadu.

-Ach, rzeczywiscie byles niezwykle przewidujacy - Bridgely pokiwal glowa ze zrozumieniem.
- Nie wolno nam z tym wszystkim czekac az do konca Obrotu. Przekaze te informacje Jamsonowi i Azury'emu.

-Sam cie chetnie zawioze i przedstawie stanowisko Weyru - oswiadczył M'shall. -
Wlasciwie - siegnal po pismo Chalkina - mozesz im to przy okazji dostarczyc, Bridgely.

-Jestes niezwykle troskliwy, Przywodco Weyru - odparl Bridgely, sklonil sie z eleganckim zawijasem i przybral niezwykle zadowolona mina.

-Zawsze do uslug, Lordzie Warowni - M'shall odpowiedzial dworskim uklonem.

-Kiedy znajdziesz chwile wolna od obowiazkow, Przywodco?

-Wlasnie teraz moge sie oderwac od nich na godzine lub dwie, gdyz jestem przekonany, ze to odpowiednia pora, by odwiedzic zachodnia czesc kontynentu...

-Och, przestancie plesc te bzdury i jedzcie wreszcie! - w glosie Ireny brzmialo rozbawienie, choc udawala, ze udziela im nagany. Zarty te pozwolily jednak nieco rozladowac napiecie, panujace w Weyrze.

Rozdzial X

Weyry Dalekich Rubiezy,

Boll i Ista; Weyr Dalekich Rubiezy,

Warownie Fort i Telgar.

-Doprawdy, M'shallu, Bridgely - rzekl Jamson, poprawiajac szata, przygnieciona, gdy niespokojnie krecil sie na krzesle. W Dalekich Rubiezach zawsze bylo zimno, a gabinet Jamsona stanowil niestety wyjatku. Lord Bendenu cieszył sie, ze nie zdjal futer do jazdy na smoku i nawet nie probowal rozpinac kurtki, ani zdejmowac rekawicy z lewej reki. Prawa obnazyl, by powitac Jamsona zwyczajowym usciskiem dloni. Zauwazyl, ze M'shall poszedl w jego slady. - Nie wierze, by Lord Warowni mogl w ten sposob potraktowac ludzi, od ktorych przeciez jest uzalezniony. Nie w srodku zimy. -Widzialem to na wlasne oczy, Lordzie Jamsonie - powiedzial M'shall stanowczo. - Uznałem tez, ze dobrze byloby poprosic kilkunastu straznikow o pozostanie w Weyrze, abys sam mogl sie dowiedziec, jakie im wydano rozkazy.

-Ale w tym pismie Chalkin uskarza sie, ze nie zapewniliscie mu grzecznościowych uslug przewozowych - Jamson zmarszczyl brwi.

-Gdybys zobaczyl to, co ja, Lordzie Jamsonie, sam bys sie nie spieszył do swiadczenia przysluz temu czlowiekowi - powiedzial M'shall z nieruchoma twarza.

-Jamson, przestan wreszcie strugac sztywniaka - Bridgely nie musial przesadzac z uprzejmoscia wobec swego rowiesnika. - Nerat i Telgar przyjmuja uchodzcow, podobnie jak Benden. Mozesz porozmawiac z kim zechcesz, a przekonasz sie o nieslychanej perfidii Chalkina...

-Z przyjemnoscia zawioze cie, gdzie tylko zechcesz - zaproponowal M'shall.

-Mam wlasny Weyr - odparl sztywno Jamson - w razie koniecznosc podrozowania. Przy takiej pogodzie nie chcialbym jednak ruszac w droge bez potrzeby.

Mial racje, gdyz Dalekie Rubieze byly otulone sniegiem, a lod trzaskal pod stopami przy kazdym kroku.

-Zgoda - odparl Bridgely. Z trudem powstrzymywal sie od dygotania i zastanawial sie, czy to Jamson tak oszczedza na paliwie, czy tez system ogrzewczy w Warowni takze ulegl awarii technicznej ze starosci. - Bez trudu zrozumiesz wiec, ze tylko ostatecznosc przywiodla mnie tutaj z prosba, bys zmienil decyzje co do podjecia ostatecznych krokow przeciw Chalkinowi. Wczoraj w nocy ludzie pozamarzaliby na granicy z Bitra! - gwaltownym gestem wskazal na wschod.

-Nie ma na ten temat nawet wzmianki - powiedzial Jamson, wpatrujac sie w lezacy na stole list.

-Bez watpiecia rozesle dluzsze pismo w tej kwestii - odparl Bridgely z gleboka ironia. - Jednak to, co widzialem, sklonilo mnie do udzielenia natychmiastowej pomocy.

-Jak ci wiadomo, Lordzie Jamsonie - dodal M'shall - Weyry sa rowniez niezalezne i moga odmowic uslug, jesli istnieje po temu odpowiednie uzasadnienie. Jestem pewien, ze mialem racje, podejmujac taka decyzje. Chodz, Bridgely. Zajmujemy Lordowi Jamsonowi jego cenny czas. Do widzenia panu.

Zanim oniemiały Pan Dalekich Rubiezy zareagowal na te nieslychana bezczelnosc, obaj mezczyzni wyszli z komnaty.

-Na honor! A ja zawsze sadzilem, ze M'shall jest rozsadnym czlowiekiem. Dzieki niebiosom, ze G'don to solidny Przywodca Weyru i zachowuje sie przewidywalnie... Po prostu nie usuwa sie Lorda Warowni z dnia na dzien. W dodatku tuz przed Opadami Nici! - glebiej wsunal dlonie w rekawy podszytej futrem kurtki.

Azury byl tak wstrzasniety, ze nawet nie skomentowal rzekomego "odstapienia od obowiazkow przez M'shalla".

-Naprawde nie zdawalem sobie sprawy, co sie tam dzieje - powiedzial.

W odroznieniu od Dalekich Rubiezy, w Poludniowym Bollu bylo goraco. Bridgely pozalowal,

ze nie zalozył Izejszej koszuli. Choc na ganku ozdobionym jakas roslina o dlugich kisciach pachnacych, rozowych kwiatow, byli dobrze oslonieci przed porannym sloncem musial rozpiac kolnierzyk i podwinac rekawy, zeby sie wreszcie poczuc swobodnie.

Azury zaproponowal im napoj owocowy. Zanim go przyniesiono, Bridgely'emu tak zaschlo w gardle, ze z przyjemnoscia pociagnal lyk chlodnego, aromatycznego plynu.

-Wiem, ze na Chalkinie nie mozna... polegac, lagodnie mowiac - Azury usmiechnal sie ironicznie. - Poza tym, stracilem tyle marek w urzadzanych przez niego grach... losowych, ze zaczalem sie powaznie zastanawiac nad jego uczciwoscia. Ale... - pokrecil glowa. - Lord Warowni po prostu nie ukrywa przed swoimi ludzmi faktow, od ktorych zalezy ich zycie albo smierc, takich, jak Opad Nici. Czy on rzeczywiscie uwaza, ze nie opadna? Ze wszyscy jestesmy bezmyslnymi durniami?

-To on jest bezmyslnym durniem - odparl Bridgely. - Z jakiego innego powodu genetycy sprzed lat stworzyliby smoki? Po co rozwijaliby te wyjatkowa strukture spoleczna, ktora stwarza im warunki do rozwoju i treningu, gdyby nie mysleli o przyszlosci? - spojrzal na M'shalla, ktory odpowiedzial jedynie uniesieniem brwi. - Czyz nie mamy wizualnych dowodow na istnienie Nici, ktore nam wszystkim wyswietlano od dziecka? A moze brak tez calych ton dokumentow na ten temat, co? Nie, to wszystko sami sobie wymyslilismy, wylacznie po to, zeby utrudnic zycie Chalkinowi z Bitry!

-Nawracasz nawroconego, Bridge - zazartowal Azury. - On jest niepospolitym durniem, jesli mysli, ze wygra walke z reszta planety i przeprowadzi swoja wole. Ale - pochyлил sie w przod na wiklinowym krzesle, ktore cicho zaskrzypialo - gospodarze tez potrafiu zmyslac, oj, potrafiu...

-A ja potrafie na odleglosc wyczuc lobuza i lenia, rownie dobrze jak ty, Azury - Bridgely przysiadl na brzegu fotela, ktory tez zareagowal skrzypieniem na przesunieciu sie ciezaru. - Ladny mebel... Mozesz porozmawiac po kolei ze wszystkimi, ktorych zabralismy do siebie... im predzej, tym lepiej, bo przekonasz sie, w jakim byli stanie, zanim ich uratowalismy.

-Chyba rzeczywiscie obejrze to sobie na wlasne oczy - odpowiedzial Azury i zwawo uniosl dlon. - Bynajmniej nie dlatego, ze watpie w twoje slowa, ale usunieciu kolegi z Warowni... zaniepokoi wszystkich.

-To mozliwe, ale mnie o wiele bardziej niepokoi cos innego: Warownia, ktora jest calkowicie nieprzygotowana do Opadu Nici - Bridgely dotknal kciukiem jego piersi.

-Tez racja - przyznal Azury. Spojrzal przez ramie i kiwnal palcem na sluge, nakazujac mu przynieśc stroj do jazdy. - Mowisz, ze Jamson sie nie zgadza? Czy taka decyzje trzeba podjac jednoglosnie?

-Tak - Bridgely zacisnal usta z wroga mina.

Azury podziękował uśmiechem za przyniesienie odzieży.

-To pewnie byście chcieli, zebym swoja osoba wzmochnil druga delegacje, ktora pojedzie do Dalekich Rubiezy, co?

-Jesli uwazasz, ze uda ci sie przekonac Jamsona. Azury tupnal, wdziwajac buty.

-On moze sie upierac przy swoim zdaniu z czystej przekory, ale zobaczymy. Zajeli sie tym Tashvi, Bastom i Franco, a wiem, ze i Paulin sie denerwuje. To kto nam zostaje? Richud z Isty? Dobrze, wystarczy nam wiekszosc. Wstal. - Lecmy juz, bo zaraz bede plywal we wlasnym pocie.

Azury porozmawial ze wszystkimi czternastoma uciekinierami, w dalszym ciagu pozostajacymi w Bendenie. Byli zbyt slabi, by ich przewiozic. Odpytal tez trzech straznikow.

-Nie za bardzo chcieli gadac - mowil potem, a jego blekitne oczy w opalonej twarzy jarzily sie gniewem - ale pewnie niedlugo zacznia sie zastanawiac, co im Chalkin da w zamian za taka lojalnosc. Twierdza uparcie - uśmiechnal sie blyskajac bialymi zebami - ze napadl ich przewazajacy liczebnie tłum podnieconych szalencow i wariatow, wiec musieli uzyc sily, zeby ich pohamowac do czasu, gdy dostana z Warowni odpowiednie rozkazy.

-Troche to sie nie zgadza z wersja podana przez podnieconych szalencow i wariatow, nieprawdaz? - odpowiedzial M'shall.

-Zaiste, nie zgadza sie. - W uśmiechu Azury'ego nie bylo sladu wesolosci. - Ciekawe, ze straznicy wyszli z tej opresji bez jednej blizny, a tłum podnieconych szalencow odniosl przerozne rany i kontuzje. Widac, ze prawde nagina sie tu na wszelkie mozliwe sposoby. Mimo to jasno ja widac, jesli ktos ma oczy do patrzenia i uszy do sluchania.

-Dobrze powiedziane - przytaknal Bridgely.

-To jedzmy zobaczyc sie z Richudem.

Lorda Warowni Ista bylo troche trudniej znalezc, bo wzial wolne popoludnie i wybral sie na ryby, co bylo jego ulubionym zajeciem.

Kapitan portu nie potrafil nawet powiedziec, w jakim kierunku poplynal.

-Jest razem z delfinami... niech smok zacznie zataczac kola, to moze go wypatrzycie. Maly jacht z czerwonym zaglem, otoczony wielkim stadem delfinow. Richud twierdzi, ze one go rozumieja. Moze i ma racje - stary czlowiek podrapal sie w glowe i uśmiechnal z rozbawieniem na sama mysl.

-To prawda, tak mowia kroniki - odpowiedzial Azury. - Moi rybacy zawsze sie za nimi rozgladaja, gdy wplywaja w Prad.

-Ano, niech i tak bedzie - zgodzil sie kapitan i wrocil do nudnego zajecia: liczył saki na kryla, wyciągnięte na brzeg w ciągu poprzedniego tygodnia.

Craigath krążył ze swymi pasażerami wysoko, zataczając spirale, której osrodkiem był Port Ista. To on dostrzegł łodkę i zanurkował ku niej! w powietrzu, wykorzystując siłę potężnych skrzydeł.

Pomimo szerokich pasów bezpieczeństwa, którymi był przypięty do smoczego grzbietu, Azury rozpaczliwie uchwycił się Bridgely'ego, a ten z kolei zaniepokoił się, że smoczy jeździec będzie miał siniaki, tak mocno

go złapał w pasie.

M'shall tylko odwrócił głowę z uśmiechem i poruszał ustami, jakby coś mówił, ale przed lotu porwał jego słowa. Bridgely patrzył na zbliżającą się z zawrotną szybkością powierzchnię morza i aż się przegiał do tyłu. Nie raz latał na smokach i nie przerazały go ich figle, ale nigdy nie opadał z taką szybkością i pod takim ostrym kątem. Złapał się mocniej pasów i tłumaczył sam sobie, że tchorzostwem byłoby zamknąć teraz oczy. W chwili, gdy wszystkim wydało się, że Craigath zaraz nadzieje się na maszt jachtu - który zdaniem Bridgely'ego wcale nie był taki mały - spizowy smok wyrownał lot tak nisko, że przestraszył dwóch marynarzy, którzy obserwowali, jak Richud walczy z wedką, niemal zgięta na pol od ciężaru ryby, która złapała, a teraz starał się wciągnąć na pokład.

-Znajdź dla nas wolną chwilę, Lordzie Richudzie - zawołał M'shall, złożony dłońmi przy ustach.

Richud spojrział przez ramię raz, potem drugi, i stracił kontrolę nad wedką i rybą. Kolowrotek zaczął szalenczo wirować, gdyż puścił żyłkę.

-Przestaniecie się tak skradac! Patrzcie, co narobiliście! Do diaska. Czy ja nie mogę sobie od czasu do czasu zrobić wolnego? Chyba stało się coś bardzo złego, jeśli wybraliście się aż w trójce tak daleko na południe.

Podał wedkę marynarzowi i przeszedł na sterburcie. Od niespodziewanych gości dzielila go wciąż spora odległość.

-Zaprosiłbym was na pokład, ale smok by nas zatopił - powiedział.

-Nie ma problemu - odpowiedział M'shall, a jego wzrok stracił ostrość, gdy rozmawiał ze swym smokiem. - Mogłbyś nas podwieźć trochę bliżej, Craigath?

Oczy smoka polsniewały błękitem i wirowały szybko, gdy wylądował na wodzie, złożony gładko skrzydła wzdłuż kregosłupa. Lewa łapa chwycił reling i przyciągnął się, razem z pasażerami, do samego kadłuba. Pod jego ciężarem jacht zaczął przechylać się na burcie.

Zagle stracily wiatr i bom przelatyl z jednej strony na druga, lecz juz po chwili, rownie niespodziewanie jak przedtem, plotno znów sie wydelo i jacht ruszyl przed siebie z poprzednia szybkościa.

M'shall zasmial sie i poklepal Craigatha po szyi, zachwycony calym manewrem.

-Co to jest? Jak on to robi? Co sie dzieje, u licha? - zdumiony Richud patrzyl to na smoka, to na jacht, a w koncu na M'shalla.

Wiosluje lapami, zeby utrzymac nas na kursie - odpowiedzial Przywodca Weyru.

Swietna zabawa. To lubie, Craigath poinformowal swego jezdzca.

-Mowi, ze mu sie to podoba - dodal M'shall.

-Nie zlampie relingu, prawda? - Richud z pewnym niepokojem spogladal na potezna lape zacisnieta na metalowym slupku.

Smok pokrecil glowa. Jest lamliwy, wiec bede trzymal go lekko.

-Bardzo dobrze. Mowi, ze zdaje sobie sprawe z jego lamliwosci - przekazal M'shall po chwili.

-Niemozliwe - Richud potrzasnal glowa. - Chyba uzyl slowa "lamliwy"?

-Uzyl. Craigath ma bogate slownictwo. Wiesz, jak wyraza sie Irena... No coz, moj przyjaciel musi dorownywac Maruth, prawda?

Smok kiwnal glowa.

-Mniejsza o to. Nigdy nie widzialem, zeby Ronelth albo Jemath tak plywali - mruknal Richud.
- A wiec, jakiej to pilnej sprawie zawdzieczamy wasza wizyte?

-Chalkinowi natychmiast trzeba odebrac wladze. Warownia jest autonomiczna, poki jej Lord nie przekroczy swych praw - zaczal Bridgely, a potem opowiedzial Istanczykowi w szczegolach o okrucienstwach Chaltona.

-Nie mialem pojecia, ze wygnal ludzi. Przecie tam jest zima i grozi im zamarzniecie na smierc.

-Nie tyle grozi, ile juz zagrozilo - wyjasnil M'shall.

-Byli w strasznym stanie, Richudzie - dodal Azury. - Polecialem tam i widzialem wszystko na wlasne oczy. A straznicy... - tylko machnal reka. - Sam wiesz, jakich ludzi zatrudnia Chalkin.

-Wiem. Brutali, leni, lajdakow i podlecow, takich jak ci artysci, co ich posyla na

Zgromadzenia - odpowiedział Richud i zamyslił się. - Czy ktoś kiedyś skorzystał z punktu mowiącego o odebraniu Warowni?

-Nie, to miało być jedynie zabezpieczenie. A w Bitrze prawie wszyscy potrzebują zabezpieczenia... szczególnie teraz, gdy nadchodzi Nici.

Craigath puścił reling i nieco się oddalił od jachtu. Nagle zadrzał od ogona do głowy.

To mile. Zrób tak jeszcze.

Z kim rozmawiasz, Craigath?- spytał M'shall surowo, zły, że musiał złapać smoka za grzbien na szyi i podnieść wysoko nogi, by nie zalała ich nagła fala. Pasażerowie reagowali równie szybko, by uniknąć zmożenia.

Delfiny mnie laskoczą.

Chcą się bawić, co? Niestety, przyjacielu, innym razem. Mamy jeszcze dużo roboty. Przepraszam was za to. Delfiny laskotały Craigatha.

-To smoki miewają laskotki? - spytał zdumiony Bridgely.

-Pewnie, że tak. Na brzuchu.

Delfiny wypłynęły spod smoczego brzucha i wyskakiwały wysoko w powietrze, a potem nurkowały do wody i spieszyły w ślad za jachtem.

-I co teraz? Znow bierzemy się za Jamsona? - spytał M'shall, gładząc serdecznie spizowego smoka po szyi. Z rozbawieniem zauważył, że Richud z powrotem wziął wedkę i właśnie zakładał na nowo przynętę.

-Trzeba będzie go zmusić, żeby poleciał z nami do Bendenu i zobaczył wszystko na własne oczy, tak jak ty, Azury. - Bridgely zadygotał na samą myśl, że trzeba będzie wracać do lodowatych Dalekich Rubieży.

Zabierzcie z sobą rysunki, zaproponował Craigath ku zdumieniu swego jeźdźcy. Smoki rzadko udzielały rad nie prośzone, ale Craigath, zdaniem M'shalla był niezwykle inteligentny.

-Jakie rysunki? - spytał.

-Rysunki? Jakie rysunki? - powtórzył Bridgely jak echo.

Maruth mówi, że są rysunki. W Telgarze.

-W Telgarze?

-Ach, ten młody malarz - wykrzyknęli chórem Bridgely i M'shall.

-Jaki malarz? - chcial wiedziec Azury.

Bridgely wyjasnil, o kogo chodzi.

-Bardzo dobry pomysl, jesli Jamson uzna szkice za autentyczne - odpowiedzial Azury sceptycznie.

Mial zupelna racje.

-A skad wiadomo, ze tak bylo w rzeczywistosci? - zapytal Lord Dalekich Rubiezy, przekartkowawszy realistyczne, dokladne w szczegolach szkice z notatnika lantine'a. - Zdaje mi sie, ze cala sprawe nieprawdopodobnie rozdmuchano - zamknal szkicownik w polowie, nie obejrzawszy do konca rysunku obnazonych wisielcow.

-Watpisz w moje slowa, Jamson? - spytal Azury. - Bylem tam niedawno i rozmawialem z tymi ludzmi... - przewracal kartki az natrafil na jednego ze swoich rozmowcow. - Na przyklad z nim. Jestem przekonany, ze mowil prawde. Przez cztery noce trzymano go na polu, jak zwierze, bez jedzenia i picia. Zwilzal usta sniegiem, ktory zbieral z ziemi. Byla z nim zona i wiekowi rodzice. Wszyscy zmarli z zimna, mimo ze w Bendenie zajeto sie nimi troskliwie.

-Nie pojmuje, Azury - powiedzial Jamson swym najbardziej pompatycznym tonem - dlaczego ty nie zadowalasz sie zarzadzaniem wlasna Warownia. Niech Chalkin zajmuje sie swoja. Ma prawo.

-Nie ma prawa do okrutnego traktowania swoich ludzi - odparl Azury goraco.

Jamson odpowiedzial zimnym spojrzeniem.

-Paru leniwych gospodarzy...

-Paru? - wybuchnal zdesperowany Bridgely, swiadom, ze w ten sposob kompletnie kladzie cala misje. - Raczej powiedz pare setek, Jamsonie. Gdy w gre wchodzi tyle osob, naprawde trzeba cos zrobic!

-Na mnie nie licz, Bridgely. To moje ostatnie slowo - skrzyzowal ramiona na piersi i patrzyl wsciekle na swych rozmowcow.

-Jamsonie - zaczal Azury bardzo spokojnym, chlodnym glosem. Odsunawszy Bridgely'ego na strone pochylil sie nad okutany w futra Lordem. - Ja rowniez bylem sceptyczny, gdy Bridgely do mnie przyjechal. Nie wierzyłem w to, co mowil i do glowy mi nie przychodzilo, ze proponuje slusne rozwiazanie tego problemu. Odebranie wladzy i stanowiska komus z naszego grona to powazna decyzja, wiec nie pojmowalem, dlaczego Bridgely robi tyle halasu o kilku malo waznych gospodarzy. Poza tym Bitra znajduje sie daleko od Poludniowego Bollu i nic, co tam sie dzieje, nie ma wplywu na moja Warownie. Ale

doskonale rozumiem argument, że żadna Nic nie może zakopać się w ziemię na Północnym Kontynencie. Uznałem więc, że moim obowiązkiem jest sprawdzić te pomowienia osobiście.

Teraz dysponuję świadectwem własnych oczu i uszu. Widziałem również rozbieżności między zeznaniami strażników a dowodami, które osobiście oglądałem. Sytuacja w Bitrze jest tragiczna i należy ją natychmiast naprawić. Jako inteligentni, odpowiedzialni przywódcy, nie możemy pozwolić, by coś takiego nabrzmięwało jak wrzód i w końcu rozlało się po całym kontynencie. Ta sytuacja godzi w istotę naszego społeczeństwa, w Kartę, w podstawę wszystkiego, co zbudowaliśmy. Nie możemy jej potraktować obojętnie, jako wewnętrznych problemów niezależnej Warowni. Jako człowiek honoru i Lord Warowni powinien osobiście zbadać tę sprawę, a potem wydać przemyślaną decyzję. Jedź z nami do Bendenu, przynajmniej rozwiejesz swe wątpliwości i dowiesz się o wszystkim z pierwszej ręki, tak jak ja.

-Ja nie mam wątpliwości - odparł na to Jamson. - Karta powiada jasno, że Lord Warowni jest niezależny w granicach swej posiadłości. Wszystko co robi, to jego prywatna sprawa i koniec. Proponuje więc, żebyście przestali w to wtykać ciekawskie nochale, skończyli z wydumanymi oskarżeniami, i to już! - Zadzwońił trzymany w ręce dzwonkiem, a kiedy w odpowiedzi na sygnał jego najstarszy syn otworzył drzwi, powiedział: - Panowie odjeżdżają. Wyprowadź ich.

Bridgely nabrał powietrza, ale nagły kuksaniec Azury'ego w brzuch pozbawił go oddechu. Bez słowa pozwolił mu się wyprowadzić z komnaty.

-On cię i tak nie będzie słuchał, żebyś nie wiem co powiedział - wyjaśnił Azury, przepaszającym gestem wygładzając jego kurtkę.

-Obawiam się, że Lord Azury ma rację - przyłączył się M'shall.

-Przyjechaliscie w sprawie Bitry? - spytał syn Jamsona, opierając się całym ciałem o ciężkie drzwi do komnaty, by je dokładnie zamknąć. - Jestem Gallian, jego najstarszy syn. Sprawuję funkcje majordoma.

-Słyszales wszystko?

-No cóż, drzwi były niedomknięte - odparł Gallian, wcale nie wstydząc się podsłuchiwania. - Poprzednio też tu byłem. Ojciec ma od czasu do czasu zaniki pamięci, więc jeden z nas zawsze stara się być w pobliżu podczas ważniejszych spotkań. Czasami płaczą mu się fakty.

-Czy jest jakas szansa, żebyś wyjaśnił mi powód naszej wizyty i nakłonił go do pomocy?

-Mogłbym zobaczyć te szkice? - wyciągnął rękę.

-Naturalnie - Bridgely włożył w nią notatnik.

-To straszne - stwierdził Gallian. Krecił głową, oglądając przygnębiające sceny. Jednej, czy dwóm przyglądał się przez dłuższą chwilę. - Naprawdę tak było? - spytał Azury'ego.

-Tak, jeśli prawidłowo oceniłem stan ludzi, którzy przebywają jeszcze w Bendenie - brzmiała odpowiedź.

Zadzwieczał dzwonek. Gallian oddał szkicownik.

-Zrobie, co będę mógł. I to nie dlatego, że od dawna uważam Chalkina za złodzieja i oszusta. Muszę już iść. Znajdźcie sami drogę do wyjścia, prawda?

-Naturalnie.

-Czy ten chłopak może cokolwiek zmienić? - dopytywał się M'shall, gdy szybko zbiegali po schodach do frontowych drzwi i dalej, na mroźne powietrze.

-Trudno przewidzieć - odparł Azury. - Ach, do diaska, tu jest zimniej, niż pomiędzy. Zabierzcie mnie z powrotem do mego słońca, i to szybko.

-A zniesiesz jakos krotki przystanek w Warowni Fort? - Bridgely uśmiechnął się słysząc, jak południowiec podzwania zębami.

-Pewnie. Domyslam się, że to taktyczna konieczność w walce z tym całym Chalkinem.

M'shall z aprobatą pokiwał głową, skoczył na grzbiet Charantha i pomógł im wsiąść.

Umiarkowany klimat w Forcie nie był najcieplejszy, ale i tak przyjemniejszy niż w Dalekich Rubieżach. Jeszcze cieplejsze było powitanie Paulina, który namówił ich na kubek grzanego wina, gdy usłyszał całą opowieść.

-Nie wydaje mi się, by Jamson zmienił zdanie, szczególnie teraz, gdy go o to wyraźnie poproszono - stwierdził gospodarz, kiedy już siedzieli przy huczącym ogniu na kominku w jego gabinecie. - Zawsze był przewrotny.

-Wiec sędzisz, że syn na niego nie wpłynie? - spytał Bridgely, zasmucony, że ich wizyta tylko pogłębiła upor Jamsona.

-Gallian to dobry chłopak - łagodził Paulin. - Jamson się po prostu starzeje i dziwaczeje, więc jego syn w dużej mierze przejął zarządzanie Warownia.

-Naprawdę? - Bridgely był zaskoczony, gdyż mimo urazy do Jamsona o nieprzejednana postawie, szanował go i uważał, że jego Warownia jest dobrze zarządzana.

-Mm, tak... Powiem wam w zaufaniu, przyjaciele, że jakiś rok temu Gallian przybył do mnie z matką, gdy zauważyli, że Jamson miewa przedłużające się zaniki pamięci. Nieraz nawet zdarza mu się samemu wypisywać sprzeczne zarządzenia.

-Ale przy czymś takim jak to... odwołanie ze stanowiska, Jamson musi być obecny osobiście, prawda?

Paulin z namysłem potarł podbródek.

-Co gorsza, sprawa jest pilna - dodał Bridgely. - Nie możemy czekać, aż Gallian wyperswaduje ojcu, że tak naprawdę myślał dokładnie coś innego, niż nam powiedział.

-Możemy poczekać kilka tygodni... teraz, gdy uciekinierzy nie pozostają już pod... hmm... troskliwą opieką Chalkina - odparł Paulin z uspokajającym błyskiem błękitnych oczu.

Bridgely otworzył usta i zamknął je bez słowa. Lepiej było zachować pytania i przemyślenia dla siebie, niż krzyżować plany Paulina.

-Pozwólcie mi popatrzeć na te dowody rzeczowe, które wyszły spod pióra naszego przewidującego lantiny - powiedział Lord Fortu. Azury podał mu szkicownik. Paulin powoli przejrzał wszystkie rysunki. - Ten chłopak ma niezwykły talent. Potrafi tak wiele oddać kilkoma kreskami: zimno, odrazający brud, żal i rozpaczliwy upor tych biedaków. Issony powiedział mi, że wśród licznych ograniczeń narzuconych mu przez Chalkina, był zakaz prowadzenia lekcji na temat Karty.

-Nie może być! - wykrzyknął Azury, podnosząc wzrok znad miedzi pachnącego kubka z gorącym, aromatycznym winem.

-To wyjaśnia, dlaczego tak niewielu gospodarzy wiedziało, że coś takiego istnieje - w głosie M'shalla brzmiało napięcie. - Ani też, że i oni mają jakieś prawa.

-Tak przy okazji, nowy program edukacyjny Clissera bardzo sprytnie rozwiązuje te kwestie - zmienił temat Paulin i wstał, by napełnić kubki z parującego kociołka, wiszącego nad paleniskiem. - Dzieci będą się uczyć swoich praw od momentu, kiedy zaczną o nich śpiewać.

-Naprawdę? - Bridgely był zaintrygowany.

-Gdy zbliża się nowe Przejście, trzeba na nowo ustalić różne zasady, włącznie z rodzajem edukacji, którą zapewniamy młodzieży - wyjaśnił Paulin. - Teraz, gdy nie tak łatwo będzie dotrzeć do niezbędnych informacji, ważną rolę przypadnie nauce przez powtarzanie, a w tym wielce pomoże muzyka.

lantine akurat malował Zulaye, gdy K'vin oddał mu szkicownik.

-M'shall wpadł tu, żeby ci to oddać i prosił powtórzyć, że ogromnie im pomogłeś - powiedział Przywódca Weyru, bynajmniej nie wpatrując się w malarza, lecz w Zulaye, pozując do portretu.

Siedziała na brzegu kamiennej polki Meranath, obok smoczycy, spiaczej z głową złożoną na przednich łapach i zwróconą ku jeźdźcy. Ucieszył się, że Zulaya włożyła czerwoną brokatową suknię, w której była na Zgromadzeniu. Faldy udrapowała artystycznie, by ukazać piękny wzór tkaniny. Włosy upięła do góry, w jakiś skomplikowany kok z ozdobnymi grzebieniami, które dostała od niego w zeszłym roku na Koniec Obrotu. Czarne diamenty migotały, gdy poruszała głowę, tak jak teraz. Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć.

-Nie ruszaj się... bardzo proszę - lantine zaakcentował przedostatnie słowo, jakby zmęczony powtarzaniem polecenia. Zaciśnięła wargi i przyjęła poprzednią pozę.

K'vin cofnął się o krok i stanął za malarzem, który delikatnymi muszkietami pędzla pracował nad twarzą Zulayi. Jeździec nie widział żadnej różnicy, ale lantine wyglądał na zadowolonego i zaczął poprawiać rozbłyśnięte światła na włosach modelki.

Młody człowiek doskonale uchwycił charakter Zulayi, nieco władczy, choć uniesione kąciki ust sugerowały poczucie humoru. K'vin wiedział, że bawi ją samo pozowanie do portretu. Bez przerwy przekomarzała się z nim, proponując coraz to nowe szaty, w których malarz miał go, jej zdaniem, uniesmiertelnić. Wiedział również, że lantine chce namalować miniatury wszystkich jeźdźców. Ambitny plan, biorąc pod uwagę, że w Weyrze było ich obecnie prawie sześćset. Z jednej strony był mu wdzięczny za ten pomysł z galerią portretów, z drugiej zaś obawiał się, że wkrótce niektóre będą tylko przypominać tych, którzy padną ofiarą Nici.

-Czy, bez tych obrazków byłoby nam lżej? - spytała go poprzedniej nocy Zulaya, szukając przyczyn jego zmartwienia. - Nie mamy nic, co by nam przypominało o pierwszych mieszkańcach Weyru. Trochę mi tego szkoda. Coś takiego daje poczucie ciągłości i sensu życia. Nie robimy galerii po to, żeby się martwić, kogo zabraknie wśród nas w przyszłym roku - dodała. - Po prostu miło będzie, jeśli coś po nich tu zostanie.

K'vin przyznał jej rację i postanowił pogodniej traktować całą tę sprawę.

-Długo jeszcze, lantine? - spytała prosząco. Palce opartej o udo reki dygotały. - Już nie czuję stop, ani lewej dłoni.

Malarz westchnął przesadnie i odłożył paletę, podrapał się wolną ręką po głowie, a drugą szybkim ruchem włożył pędzel do słoika na stole.

-Przepraszam, Zulayo. Od dawna należy ci się przerwa. Ale światło jest wprost idealne i chciałem jak najdłużej pracować.

-Aj, K'vinie, pomóż mi wstać - wyciągnęła rękę. - Rzadko mi się zdarza tak długo siedzieć na miejscu...

Chętnie jej pomógł. Rzeczywiście zdrewniała tak, że kilka pierwszych kroków postawiła dość niezgrabnie. Potem odzyskała zrecznosc i szybko podeszła do sztalug.

-Ach, do licha, rzeczywiście dziś bardzo dużo zrobiłeś, prawda? Cała suknie i... zaraz, czy ty mi domalowałeś zęza?

Lantine roześmiał się.

-Nie, przejdź w tę stronę. Teraz z powrotem. Widzisz, jak te oczy cię prowadzą?

Zulaya lekko potrząsnęła głową.

-Rzeczywiście. Co to za sztuczka? Nie jestem pewna, czy mi się podoba, że będę się przypatrywać wszystkiemu, co robisz.

-Tobie może nie - zachichotał K'vin - ale twoja ciągła obecność na przykład w dolnej jaskini może zachęcić leniuchów do sprawniejszej pracy.

-Sama nie wiem, co wole, czy spoglądać na siebie z góry, czy gapić się ze ściany na wszystkich - zwróciła się w stronę stołu, całkowicie pokrytego przyborami Lantine'a. - Niedawno poleciłam przynieść tu klan. - Spojrzała na niego z wyrzutem. - Może jeszcze jest gorący. - Odkreśliła pokrywke i rzeczywiście buchnęła para. - Ano, jest. Wam też nałac? - nie czekając na odpowiedź napełniła kubki.

-Mam już iść? - Lantine przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą.

-Nie - padła szybka odpowiedź.

-Chciałem oddać ci te szkice do rąk własnych - wyjaśnił K'vin, sadowiac się na krzesle.

-I co, pomogły rozwiązać problem? - spytała Zulaya, wsypując słodzik do kubków. Podawała jeden z nich swemu partnerowi. - Chodź tu, Lantine, i siadaj. Na pewno jesteś bardziej zmęczony niż ja. W odroznieniu od ciebie, cały czas siedziałam.

Lantine uśmiechnął się, jakby w ogóle nie czuł respektu przed Władczynią Weyru, zauważył K'vin z lekką zazdrością. Mało kto mógł się tym pochwalić. Może tylko Tisha, traktująca każdego jak zblakane dziecko, i Leopold, który do wszystkich podchodził z równą bezceremonialnością.

-Więc jak się udało? - gestem reki zapewniła jeźdźca, że może swobodnie mówić w obecności malarza.

-M'shall jest zły i rozczarowany. W dalszym ciągu nie mogą podjąć jednogłosnej decyzji o usunięciu Chalkina. Jamson się wylamuje.

-Ach, jemu czasami krociczki hasają - powiedziała zwiewle - przynajmniej tak twierdzi Mari z Weyru Dalekich Rubieży. W dodatku jest z nim coraz gorzej. Thea przejmuje na siebie tyle pracy, ile może, z pomocą ich najstarszego chłopca...

-Gallian ma tyle samo lat, co ja - wykrzyknął K'vin. - Czy oni nie mogą tego jakos obejść?

-Nie, chyba że zechcą doprowadzić do abdykacji Jamsona, przynajmniej na ile ja rozumiem postanowienia Karty. A właśnie odświeżyłam sobie jej treść - uśmiechnęła się kwasno. - Dobrze, że słuchałam, kiedy T'lan ją odczytywał. Zapomniałam co najmniej połowę. Też przeczytales ją na nowo?

-Tak - przytaknął, zadowolony, że to zrobił. - Zwroc uwagę, że wcale nie jest tak sztywna, jak uważaliśmy. Daje o wiele więcej autonomii...

-... i pola do nadużyć i naginania interpretacji - skończył za niego lantine. - Pożyczyłem sobie egzemplarz. Krazy po całym Weyrze.

-Choćby Chalkin na wszystkie możliwe sposoby interpretował uprawnienia Lorda Warowni, nie zaprzeczy, że unieważnił wszelkie przywileje, należne gospodarzom... takie, jak na przykład obowiązek powołania sadu gospodarskiego przed usunięciem jednego z nich z farmy. Nie dbał o to przecież, gdy ich wszystkich wygnał... a potem uwięził w nieludzkich warunkach. Z pewnością nie był to spisek, ani zorganizowane powstanie. Nawet nie wreczyli mu petycji z listą żądań.

-Nie wiedzieli, że można - oświadczył lantine z nieprzejeđnana miną. - Trzeba im było najpierw długo wyjaśnić, co to takiego powstanie. Wszyscy stwierdzili, że nic takiego nawet do głowy im nie przyszło.

-I Jamson nie ustąpi? - spytała Zulaya.

K'vin potrząsnął głową.

-I nawet nie przyjedzie porozmawiać z uchodźcami?

-Uważa, że nie ma prawa wtrącać się w sprawy autonomicznej Warowni - odparł K'vin.

-Nie wierzył, że moje rysunki są autentyczne, może się założyć - warknął gniewnie lantine.

-Nawet, kiedy Azury powiedział, że jego zdaniem złagodził najdratyczniejsze okaleczenia - przytaknął K'vin.

-Albo niewidzialne gołym okiem, jak w przypadku tych ciężarnych kobiet - oczy Zulayi błyszczały oburzeniem.

-Jak one się czują? - spytał K'vin.

-Jedna urodziła przed terminem, ale dziecko przeżyło i oboje czują się dobrze. Pozostałe... no cóż, Tisha robi, co może... chce, żeby jak najwięcej mówiły o tej tragedii, zanim zapadnie głęboko w ich psychikę.

-Moga zlozyc oskarzenie przeciw straznikom... - zaczal lantine.

-I zlozily - odparla szorstko Zulaya z nieprzyjemnym usmiechem. Mamy tych straznikow. Gdy tylko kobiety nabiora tyle sil, by moc zeznawac, zwolujemy sad. A M'shall chce przeprowadzic proces przeciw mordercom, ktorych przetrzymuje w Bendenie.

-A zatem beda dwa procesy?

-Tak, jeden o gwalt, drugi o morderstwo. Zwykle zima miewamy inne zajecia, prawda? - stwierdzila gorzko.

-Czy Warownia Telgar dolaczy do nas? - spytal K'vin, wiedzac, ze w przypadku procesu sadowego wymaga sie obecności przedstawicieli Warowni. Nie spodziewal sie, ze Karta jest az tak szczegolowa. Przedtem pamietal jej tresc jak przez mgle. W tamtym konkretnym przypadku, zajmowali sie pracownikami zatrudnionymi przez Lorda w innej Warowni, sadzonymi za przewinienia popelnione na tamtym terenie, nie w Weyrze Telgar, ani nawet na obszarze podlegajacym jurysdykcji Telgaru. - Ci ludzie sa przeciez z Bitry. Czy mamy prawo?

-Naturalnie, ze mamy - odparla twardo Zulaya. - Sprawiedliwosc mozna wymierzac wszedzie, jesli wymagaja tego okolicznosci. Poniewaz ofiary obecnie znajduja sie w tym Weyrze, podobnie jak napastnicy, zgodnie z prawem mozemy przeprowadzic tu proces. Musimy tylko zaprosic przedstawicieli pozostalych Warowni i Weyrow, by nadzorowali wymierzanie sprawiedliwosci.

-A moze zapewnimy sobie obecność Jamsona? - spytal K'vin z przekasem.

Zulaya usmiechnela sie szeroko.

-Moze ten stary duren zmieni wreszcie zdanie na temat autonomii. - A Chalkin? - spytal lantine, z wyrazem napietego oczekiwania w oczach.

-Mozna sie i o to postarac - zasmial sie K'vin. - Jego obecność moglaby rozwiaczac caly problem.

-Albo go skomplikowac - potrzasnela glowa Zulaya. - Jest za mady, zeby pozwolic nam na wplatanie go w sprawki jego ludzi. Nie przyjedzie, kiedy sie dowie, o co chodzi.

-Przeciez nikt mu nie powie, prawda? - stwierdzil K'vin.

-Nie bylbym tego taki pewien, panie - odpowiedzial z zalem lantine. - To zdumiewajace, jak do tego czlowieka docieraja wiadomosci, szczegolnie te, ktore nie sa dla niego przeznaczone.

-W takim razie, tresc naszej rozmowy musi pozostac wylacznie miedzy nami - stwierdzila

Zulaya stanowczo. - Dobrze, lantine?

-Tak jest - potwierdził krótkim ruchem głowy.

Rozdział XI

Procesy w Telgarze i Bendenie

Tak się złożyło, że gdy zawiadamiano wszystkich o zwołaniu sadu, nad prawie całym lancuchem gorskim na wschodzie i nad Bitra rozszalała się śnieżyca. Przez huraganowe wichry nie przedarł się żaden smok. Na szczęście, burza nie dotarła jeszcze do Bendenu, więc na procesie zjawili się przedstawiciele wszystkich Warowni i Weyrow oprócz Jamsona, poważnie chorego na gorączkę płucną. Przybyła jednak Pani Warowni Thea, niezadowolona, że ma znaleźć usprawiedliwienie dla swej nieobecności i przysłał na zastępstwo Galliana. -Może ten jego upor trochę by zelzał, gdyby usłyszał, jak Chalkin kieruje Warownią. Trąbi na lewo i prawo o autonomii, ale jest zdecydowanie przeciwny krzywdzeniu nie narodzonych dzieci - Thea znacząco kiwnęła głową w stronę Zulayi, przypominając rozmówcom, że urodziła Lordowi Jamsonowi czternastoro dzieci; dość, by poważnie poszerzyć granice posiadłości, gdy młodzież dorosła na tyle, by ubiegać się o należne im nadziały ziemi.

Pierwszy z dwóch procesów, który odbył się w przestronnej dolnej jaskini Bendenu, był doskonale zorganizowany i dał ludziom wiele do myślenia. W przeszłości Pern miał profesjonalnych prawników, ale z czasem ta profesja stała się zbędna. Większość sporów rozwiązywano ugodowo albo, jeśli negocjacje zawiodły, w pojedynkach na piści. Tak więc trzeba było znaleźć obronę dla oskarżonych strażników. Jeden z wykładawców z Fortu, specjalizujący się w umowach prawnych i prawie ziemskim zgodził się, choć niechętnie, podjąć tego obowiązku.

Gardner nie był zachwycony faktem, że przez pewien czas będzie musiał zadawać się z gwałcicielami, ale zdawał sobie sprawę z wymogów chwili i starał się jak najlepiej wywiązać z zadania. Drobiazgowo wypytywał ofiary o wygląd domniemych gwałcicieli i starał się podważyć ich świadectwo. Trzy kobiety w niczym już nie przypominały przerażonych, niemal na śmierć zagłodzonych, niecznie wykorzystanych nieszczęśników. Pobyt w Weyrze zdziałał cuda: odzyskały odwagę, poczucie godności i atrakcyjny wygląd. Gardner upierał się nawet, że powtarzały przed kims swoje role, by dobrze ich się nauczyć, choć to nie zmieniało faktu, że odniosły poważne fizyczne i psychiczne obrażenia.

-Pewnie, że powtarzałam role - odpowiedziała śmiało najstarsza z nich. - Powtarzam sobie w myślach, noc w noc, jak rzucili mnie na ziemię i wykorzystali... brudasy, co nie śmiałyby nawet nogi postawić w obejściu porządnej gospodyni. Aż mnie głowa boli od powtarzania - niemal wypluła to słowo - co ze mną zrobili... ciągle na nowo - dla podkreślenia swoich słów uderzyła piścią w otwartą dłoń. Gardner zrezygnował z tego kierunku obrony.

W koncu udalo mu sie uzyskac drobne ustępstwo na rzecz oskarzonych: mieli byc przewiezieni do Bitry po procesie, zamiast wedrowac tam na wlasna reke.

-Wiele na tym nie skorzystaja - mruknela Zulaya pod nosem. - Chalkin nie znosi przegranych, a oni stracili o wiele wiecej, niz prace.

-Ciekaw jestem, w jakim tonie bedzie utrzymany kolejny list protestacyjny Chalkina - odparla Irena i zachichotala zlosliwie.

Paulin otrzymal od Lorda Bitry gruby dokument, w ktorym Chalkin oznajmial o "bezprawnym mieszaniu sie niektórych odszczepiencow Weyru w jego sprawy oraz porwaniu lojalnych gospodarzy z terenu posiadlosci".

-Jesli odwazy sie zaprotestowac... ach, dlaczego musial akurat spasc taki snieg? - zalowal Paulin. - Jaka szkoda, ze nie slyszal, jak jego ludzie oswiadczyli, ze tylko wypelniali rozkaz, by nie puszczac nikogo za granice! M'shall zrobilby z niego mamalyge, a przedtem dobrze by go wymaglowal!

M'shall wzial na siebie role prokuratora twierdzac, ze ma do tego prawo, gdyz to jego ludzie pierwsi dotarli na granice. Byl nieprawdopodobnie drobiazgowy podczas sledztwa i procesu.

-Bez przerwy siedzial z nosem w Karcie i tych wszystkich prawniczych ksiazkach, ktore dostal od Clissera - powiedziala Zulayi Irena z szerokim usmiechem. - Doskonale mu to zrobilo. Nie mial czasu martwic sie... no, wiesz, o wiosne.

Zulaya z aprobata kiwnela glowa.

-Bylby doskonallym prawnikiem... chociaz zdaje sie, kiedys ich nazywali radcami? Nie, adwokatami.

-Tak, adwokaci stawali przed sedzia i brali udzial w procesach - zgodzila sie Irena.

-Gardner tez byl niezly, prawda? Bardzo sie staral - zauwazyla Zulaya. - Chyba mu wybacze, ze chcial laski dla tych lajdakow. W koncu musial sprawiac wrazenie, ze pracuje dla swoich klientow - dodala tole rancyjnie. - Ciesze sie, ze lantine dostal dobre miejsce. Chcialabym obejrzec rysunki z procesu. Szkoda, ze nie potrafi tak szybko pracowac przy moim portrecie.

-Portret a szkice z sali sadowej to dwie zupełnie rozne sprawy. Wiesz, ze on ma przyjechac do Bendenu, kiedy juz z wami skonczy?

Zulaya z zadowoleniem zauwazyla, ze w glosie Ireny brzmi duma z dokonan lantine'a. Byl przeciez Bendencykiem.

-Chyba masz na myśli, kiedy skończy szkicować naszych jeźdźców. Irena usmiechnęła się, na pół z zazdrością, na pół ze smutkiem.

-Będiesz z tego zadowolona. Ciekawe, czy podjąłby się podobnej pracy dla nas, w Bendenie?

-Jestem pewna, że tak, jak tylko znajdzie czas. Nasz młody człowiek zebrał więcej zamówień, niż jest w stanie wykonać.

-Gdyby udało mu się skończyć przed... och, wracają przysięgli. Dwanastu mężczyzn i kobiet, wybranych losowo spośród widzów przez ciągnięcie słomek, wysłuchało wszystkich dowodów. Sędziami byli Tashvi, Bridgely i Franco. W sali zapanowała cisza tak pełna napięcia, że przypadkowe kaszlnięcie zostało natychmiast stłumione.

Trzej gwałciciele zostali uznani winnymi popełnionych czynów, a trzech innych skazano za współudział, gdyż pomagali przytrzymać ofiary. Kara za gwałt na ciężarnej była natychmiastowa kastracja. Pomocnicy dostali po czterdzieści batów, wymierzonych przez potężnie zbudowanych parobków z Telgaru.

-Mają szczęście, że Nici jeszcze spadają - powiedziała Zulaya do Ireny, Pani Thei i K'vina. - Bo przywiązano by ich na dworze podczas Opadu.

Thea zadrzała mimo woli.

-Pewnie dlatego w kronikach naszej Warowni odnotowano tak niewiele przypadków gwałtu.

-Trudno się dziwić - K'vin złożył nogę na nogę. Zulaya zauważyła tę pozycję obronną i kąciki jej ust zadrgały z rozbawienia. Odwrócił się. Ta kobieta nieomal wiwatowała na głos, gdy ogłoszono wyrok.

-Nie możecie mi tego zrobić! - ryknął jeden ze strażników, gdy z opóźnieniem zrozumiał sens wyroku. Był dowódcą ludzi stacjonujących na przejściu przy wschodniej granicy. Pozostali oskarżeni oniemiaли, poruszając ustami w bezsłownym protestie. Morinst tak wrzeszczał, że zagłuszał ich zupełnie, jeśli w ogóle odwagili się mówić. - Zaden z was nie jest moim Lordem! - zaatakował trzech sędziów. - Nie macie prawa!

-A ty nie miałes prawa gwałcić ciężarnej kobiety!

-Ale Chalkina nawet tu nie ma! - mężczyzna wyrwał się z rąk strażników.

-Obecność Chalkina nie wpłynęłaby na bieg procesu, ani na treść wyroku - uciął Tashvi.

-Powinien być tu! - krzyczał Morinst.

-Był zaproszony - odparł Tashvi obojętnie.

-On musi wiedziec. Nie wolno wam nic robic, jak on nie wie. Ja zem sie z nim umawial.

-Na gwalty, tortury i hanbienie ludzi? - spytal Bridgely glosem az nazbyt cichym.

Morinst zacisnal usta. Wrywal sie jeszcze, gdy prowadzono go do wyjscia. Tam czekala go kara. Nie mial szans na ucieczke. Pozostali dwaj mezczyzni byli zbyt oszolomieni, by broniec sie gdy ich prowadzono do szpitala, gdzie przeprowadzono operacje. Reszte winowajcow wyprowadzono na zewnatrz, a publicznosci pociagnela za nimi, by sie przygladac batozeniu.

Gdy i to sie dokonalo, zabrano gwalcicieli do szpitala, by opatrzyc ich rany, a obserwatorzy wrocili do jaskini. Choc nie byla to swiateczna okazja, poza tym, ze zatriumfowala sprawiedliwosc, podano obfity posilek. Wszyscy zaczeli najpierw rozgladac sie za winem.

-Byles wspanialy, M'shallu - powiedziala Irena, gdy podszedl do nich jej towarzysz z nowo otwartym buklakiem bendenskiego wina. - Badz tak mily, nalej mi troche, choc zdaje mi sie, ze ty bardziej potrzebujesz napitku, niz ja. To milo, ze Bridgely nam je dostarczyl - zwrocila sie do Zulayi.

-Chyba wszyscy powinniśmy sie napic - zauwazyla Pani Telgaru, spogladajac na trzy poszkodowane, z wielkim entuzjazmem swietujace rezultat procesu. Nalezy im sie to.

-Co robimy dalej?

-No coz, przed nami drugi proces. Mam nadzieje, ze pojdzie rownie gladko - odpowiedzial M'shall.

-Chodzi mi o te kobiety - wskazala na nie dlonia.

-Ach, o nie. Mowia, ze chca po prostu wrocic do domow. Nie pozwola Chalkinowi ich przejac podczas swojej nieobecności - odparl i skrzywil sie. - Niektore wlasciwie nie maja do czego wracac. Zbiry Chalkina spalily wszystko, co sie dalo, a reszte zrownaly z ziemia. Zdaje mi sie, ze dopiero sniezycyca przeszkodzila w dalszych zniszczeniach. Ale - grymas na jego twarzy przeszedl w usmiech - podziwiam tych ludzi. Ta ziemia nalezy do nich i teraz o tym wiedza. Nastepnym razem beda smielsi, jesli ktos zechce ich zastraszyć; zaczyna im wracac poczucie godności. Poprosili tez o przeszkolenie dla zalog naziemnych.

-No tak, dopiero strata sprawia, ze zaczynamy cenic to, co mamy -stwierdzila Thea. - Jesli chodzi o bardziej przyziemne sprawy, pewnie bedziemy mogli dostarczyc im rozne rzeczy codziennego uzytku. Ktos sie juz tym zajmuje? - rozejrzala sie wokol. - Wiecie, jakie sa potrzeby?

-Wlasciwie tak - Zulaya kiwnela glowa, wskazujac na Irene. - Mamy trzysta czterdziesti dwie osoby, a raczej trzysta czterdziesti trzy, wliczajac tego wczesniaka. Milo z twojej strony, ze zaofiarowalas sie z pomoca, Theo.

Thea glosno wciagnela powietrze.

-Ja tez na nowo przeczytalam Karte i przypomniałam sobie, jakie sa moje obowiazki wobec ziemkow. Nie wiecie przypadkiem, ilu jeszcze tych biedakow zostalo w Bitrze?

-Trudno powiedziec, czy Chalkin sfalszowal wyniki ostatniego spisu ludnosci, ale podobno jest tam 24.657 mieszkancow - pospieszyl z odpowiedzi M'shall.

-Naprawde? - zdziwila sie Zulaya.

-Wez pod uwage, ze Bitra jest bardzo mala i nie ma zadnego przemyslu, poza lesnictwem w niewielkiej skali. Wydobytcie zaspokaja tylko miejscowe potrzeby. Pracuja tam jakies zaklady tkackie, ale nie stanowią konkurencji dla Keroonu ani Bendenu.

-Jest jeszcze hazard - prychnela z niesmakiem Thea.

-Tak, to glowny przemysl Warowni Chalkina.

-No coz, w tej rozgrywce przegral - podsumowala Zulaya.

-Jestes tego pewna? - dopytywal sie jej partner.

Drugi proces byl niemal odprezajacy. Gardner ponownie reprezentowal siedmiu straznikow oskarzonych o "domniemane spowodowanie powaznych obrazow cielesnych i smierci" pieciorga niewinnych mezczyzn i kobiet.

Znow przekonywal, ze ludzie ci tylko wykonywali rozkaz, by "wszelkimi sposobami powstrzymac" kazdego, kto chcialby przekroczyc przejście graniczne Warowni Bitra, domniemanego miejsca zamieszkania. Jednak uznano, ze oskarzeni zastosowali nadmierne surowe srodki, w wyniku ktorych poniosly smierc osoby, ktorym odmowiono prawnie przyslugujacego im prawa do przekroczenia przejścia, oraz zapisanego w Karcie zasadniczego prawa do swobodnego poruszania sie.

Pozniejsze okaleczenie i torturowanie siedmiu osob, twierdzil oskarzyciel, nie zawieralo sie w poleceniu by "powstrzymac je wszelkimi sposobami". Chalkin nie mial prawa odbierac zycia gospodarzom bez koniecznego powodu oraz procesu sadowego.

Po zakonczeniu postepowania przysiegli wyszli i powrocili po pol godzinie, zgodnie uznawszy wine oskarzonych. Winnych skazano na zeslanie na Wyspy Poludniowe, z zywnoscia wystarczajaca jedynie na siedem dni, co bylo zwyczajowa kara dla mordercow.

-Duzo ludzi zyje na tych wyspach? - spytala Thea. - Chodzi mi o to, ze zsymano tam juz innych, przed nimi. Czytalam, ze wiele lat temu byly to nawet cale rodziny.

Zulaya wzruszyla ramionami.

-Nie mam pojecia. Telgar nigdy nie musial nikogo zsylac.

-Benden tez nie, przynajmniej nie za naszych czasow - dodala Irena.

-Moj ojciec zeslal dwoch - przyznal Paulin. - Ista i Nerat tez zsylaly tam zabojcow.

-Podobnie jak Chalkin - zaskoczyl ich Gallian. - Jakies cztery lata temu. Nie pamietam, skad sie o tym dowiedzialem. Mial u siebie w Warowni powazne klopoty. Jezdzy z Isty zabrali tych ludzi, bo zabojcy stamtad wlasnie przybyli.

-Aha, teraz sobie przypominam - potwierdzila Irena. - M'shall cieszył się tylko, że to nie on musiał ich wiezc.

-Moze powinniśmy przewiezc tam rowniez pozostalych ludzi Chalkina, kiedy juz beda mogli podrozowac.

-Nie, lepiej niech wroca do Bitry, wtedy sie dowie, ze nie bedziemy tolerowac jego metod zarzadzania - odparla Irena nieprzejednanym tonem. - Moze nabierze rozsadku.

-Jak rak swisnie! - zasmiala sie Zulaya.

Gdy snieg stopnial na tyle, ze Bitra znowu nawiazala kontakty ze swiatem, Chalkin przyslal Paulinowi kolejna plomienna note protestacyjna, z ktorej jasno wynikalo ze na Zjezdzie na Koniec Obrotu zamierza zazadac zadoscuczynienia za "rytualne okaleczenie ludzi, ktorzy jedynie wykonywali swoje obowiazki". Tym razem wiadomosc odebral starszy wiekiem zielony jezdziec, który dojrzał proporzec kodowy, oznaczający pilną wiadomosc, wywieszony na scianie Warowni. F'tol wysluchal dlugiej przemowy Chalkina o tym, ze koniecznie musi dostarczyc ten list, ze jezdzy smokow to pasozyty kalajace powierzchnie Pernu, ze musza nastapic jakies zmiany, i tak dalej, i tak dalej. Jezdzca to ani nie wzruszylo, ani nie przestraszylo. Ze stoickim spokojem wzial list i dostarczyl go skrupulatnie, jak zwykle.

Nie wiadomo, czy Chalkin wiedzial o powrocie uchodzcow do gospodarstw, nie wiadomo, czy go to obeszlo. F'tol uwazal, ze raczej nie wie, gdyz dodalby to do litanii krzywd, zawierajacej wszelkie niedociagniecia, pomyłki i drobne grzeszki, jakie jezdzy smokow popelnili od zarania dziejow.

Jezdzy z Bendenu i Telgaru codziennie zagladali do uchodzcow, by dodac im pewnosc siebie i uspokoic wszystkich, ktorzy troszczyli sie o ich los. Naturalnie, w Bitrze panowala okropna pogoda, na glownych drogach pietrzyly sie sniezne zaspy na wysokosc smoka, wiec ludzie Chalkina nie ruszali sie z miejsca, nawet nie probujac dotrzec do dalej polozonych gospodarstw.

Ofiara zimy padly takze Weyr i Warownia Benden, gdyz sniezyce ruszyly znad Bitry na wschod, docierajac nawet do pomocnej czesci Neratu, gdzie nie widziano sniegu od czasu

osiedlenia się Bendencyków, w czasie początkowych dziesięcioleci Pierwszego Opadu.

Śród żywych istot, jedynie smokom śnieg nie przeszkadzał, gdyż ich grube skóry nie przepuszczały zimna, nawet w lodowatym pomiedzy. Bestie uwielbiały bitwy na śnieżki, popularna rozrywka wśród mieszkańców Weyrow, a potem wygrzewały się w ciepłe zimowe słońce, z wielokrotnym przez odbicie od białego śniegu.

Mimo iż Weyr Telgar leżał dalej na północy, spadło tam niewiele śniegu, ale korzystano z niego równie radośnie. Młode smoczki były nim zafascynowane, bawiło je też, że rano trzeba przed kąpielą łamać lód na jeziorze. Kapanie smoków było teraz niebezpieczne, więc T'dam pozwolił młodym jeźdźcom szorować smoczeta na brzegu i wpuszczać je do jeziora, by się same oplukaly. Mimo to codzienne ablucje stały się utrapieniem.

-Znow mam odmrozenia - narzekala do lantine'a Debera, pokazując spuchnięte palce, gdy przyszedł popatrzeć, jak zajmuje się swoją smoczyca.

Bardzo chętnie malował małą zieloną Morath, dlatego że, jak sam powiedział Deberze, "ona ma niesamowicie wyrazistą twarz i przybiera najprzedziwniejsze pozy".

Debera była tak oczarowana smoczyca, że przez myśl nie przeszło jej zaprzeczanie tej dość stronniczej opinii. Nie zastanawiała się nad tym, że jej postać również pojawia się na wszystkich szkicach lantine'a. Ale pozostałe zielone jeźdźczynie bez trudu to zauważyły.

-Powinnas wziąć trochę tego kremu od Tishy. Gdy go użyłem, zaraz przestały mnie swędzieć ręce - lantine strzelił palcami.

-Och, mam go trochę u siebie - odpowiedziała.

-Duzo ci nie pomoze, jesli bedzie zamkniety w pudelku, wiesz?

-Tak, rozumiem - odparła cicho przeproszającym tonem i spuściła głowę.

-Hej, ja na ciebie wcale nie krzyczę - powiedział łagodnie i unosił palcem jej podbródek. - Coś źle powiedziałem?

-Nie, nic - odsunęła jego palec i uśmiechnęła się, nieco zbyt radośnie. - Czasami przychodzi mi do głowy różne głupoty. Nie zwracaj na to uwagi.

-Wcale nie zamierzam - odparł tak wesolo, że przyjrzała mu się, zdziwiona. - Bierz się do mydlenia tego twojego stworzenia... - przewrócił stronę i wyjął zza ucha ołówek. - No, już...

-Podobasz się lantine'owi, Debero - powiedziała Grasella, uważnie przyglądając się kolezance.

-lantine'owi? Jemu się podoba rysowanie, a nie ja. Gdyby mu zabrakło modeli, rysowałby

swoj wielki palec od nogi - odpowiedzila Debera.

-Poza tym, niedlugo jedzie do Bendenu...

-Bedziesz za nim tesknic? - dokuczala jej Jule z chytra mina.

-Tesknic? - powtorzyla zaskoczona Debera.

Ja bede za nim tesknic, powiedzila Morath tak zalosnie, ze pozostale smoczki odwrocily do niej glowy, a ich oczy zawirowaly, odzwierciedlajac smutek.

-Co ona takiego powiedzila, ze wszystkie posmutnialy? - spytala Jule.

-Ze bedzie za nim tesknila. Kochanie, on nie jest z Weyru - powiedzila smoczycy Debera, gladzac ja po policzku i po wyrostkach kostnych. - Nie moze tu zostac na zawsze.

-Gdyby ktos sie mnie pytal, to powiedzialabym, ze pewnie by chcial - wtracila Sarra.

-Dobrze, ze nikt cie nie pyta - odparla cierpko Angie.

-Czy on kiedykolwiek zrobil cos... no wiesz, Deb, poza rysowaniem ciebie? - oczy Jule Isnily z ciekawosci.

-Alez skadze. Dlaczego mialby robic cos innego? - zdenerwowala sie Debera. Nie lubila sypiac z tymi dziewczetami. Bywaly ciekawskie, choc nie dokuczaly jej tak, jak macocha i przyrodnie siostry. Debera nie dopytywala sie, co jej kolezanki robia po nocy, kiedy pozno wracaly do koszar.

-Ach, jest beznadziejna - Jule uniosla dlonie ku niebu w gescie rozpaczy. - To najprzystojniejszy z samotnych mezczyzn w Weyrze! Gdzie ona ma oczy?

-Widzi tylko Morath - wyjasnila jej Sarra. - Podobnie zreszta, jak my.

-Wikszosc z nas... - Jule zrobila znaczaca pauze-... wie, ze smoki odegraja znaczaca role w naszym zyciu, ale przeciez nie musza byc dla nas wszystkim. Nawet stary T'dam-albo-nie-dam ma w Weyrze partnerke, wiecie?

-Jeszcze nie dostalysmy wlasnych weyrow - odezwala sie po raz pierwszy Mesla. Zawsze brala wszystko doslownie. - Tu nie mozna miec nikogo, bo byscie sie wszystkie gapily.

Debera czula, ze sie czerwieni; policzki ja palily.

-O ile wiem, ciebie to nie powstrzymalo - dokuczala Sarra Jule.

Jule usmiechnela sie prowokujaco.

-Jako jedyna urodzona w Weyrze osoba w tych koszarach, zapewniam was, że nasze życzenia mogą wpłynąć na wybór naszego smoka.

-Ach, nie wzniosła się do lotu godowego przez najbliższych osiem, może nawet dziesięć miesięcy - odparła Angie, choć widac było, że dobrze zapamiętała sobie słowa Jule.

-Słuchaj, Jule, a jeśli twojej smoczyce spodoba się smok z jeźdźcem, którego ty nie znosisz?

-Chodzi ci o O'neya? - Jule uśmiechnęła się, widząc że udało jej się spieszyć koleżankę.

Ta jednak szybko się opanowała i rzuciła w odpowiedzi:

-Jest straszny, nawet jak na spizowego jeźdźcę. Słyszałaś, jak ciągle się przechwala, że jego skrzydło jest najlepsze w każdym współzawodnictwie? Jakby to było najważniejsze!

-Dla niego prawdopodobnie jest - odparła Grasella. - Wiesz, Jule, myślę, że poważniejszym problemem są blekitni jeźdźcy. Naturalnie, niektórzy z nich są bardzo mili i za nic nie chciałabym im sprawić przykrości, tylko że oni raczej nie przepadają za dziewczętami.

-Och - Jule beztrąsko wzruszyła ramionami - to jeszcze prostsze. - Umawiasz się z innym jeźdźcem, żeby był w pobliżu, kiedy twoja smoczyca staje się pobudliwa, a blekitny jeździec ma swojego partnera, albo kogoś innego, kto akurat jest chętny, a zobaczycie, jak wielu jest chętnych, kiedy smoki mają na to ochotę. Idziesz do łóżka ze swoim wybranym, a blekitny jeździec ze swoim, i wszyscy są zadowoleni!

Niektóre dziewczęta przyjęły te informacje z entuzjazmem, inne z niesmakiem.

-W końcu wszystko zależy od was, wiecie? - opowiadała dalej Jule. - Nie musimy też ograniczać się do tego Weyru. Ach - westchnęła głęboko - jak to będzie dobrze, kiedy pozwoli nam już latać stąd wszędzie, gdzie tylko zechcemy.

-Zdawało mi się, że umawiasz się z T'redem? - spytała skonsternowana Mesla, szeroko otwierając oczy.

-To prawda, ale to nie znaczy, że w innym Weyrze nie znajdzie kogoś, kto mi się bardziej spodoba. Zielone to lubia, wiecie?

-Tak, tylko czy będzie można latać do innych Weyrow? - Sarra pokiwała do niej palcem. - Za cztery, może pięć miesięcy zaczyna opadać Nici, a my będziemy ciężko pracować, dowozić jeźdźcom worki z kamieniem ogniovym - oczy jej zalsniły z niecierpliwości. Otoczyła kolana ramionami. - Och, to będzie takie ciekawe, w odróżnieniu od życia z jednym mężem i gromadką dzieci.

Debera odwróciła głowę, nie chcąc brać udziału w tej pozalobowej dyskusji.

Cos cie niepokoi, powiedziala Morath i powoli polozyla jej glowe na podolku. Kocham cie. Mysle, ze jestes cudowna. Iantine tez tak mysli.

Pewnosc w jej glosie zaskoczyla Debere. Naprawde?

Naprawde! Morath powiedziala to z cala stanowczoscia. Podobaja mu sie twoje zielone oczy, twoje ruchy i zabawny przeglos, kiedy mowisz. Jak ty to robisz?

Debera dotknela dlonia gardla i dopiero teraz poczula sie glupio.

Z nim takze mozesz rozmawiac? Czy tylko slyszysz jego mysli?

On mysli bardzo glosno. Szczegolnie, gdy jest blisko ciebie. Gdy jest daleko, nie slysze go tak dobrze. Duzo o tobie mysli tak glosno.

-DEBERO? - glosne wolanie Sarry przerwalo te niezwykle ciekawa rozmowe.

-O co chodzi? Rozmawialam z Morath. Co mowilas?

-Niewazne - Sarra usmiechnela sie szeroko. - Masz juz gotowe sukienki na Koniec Obrotu?

-Jeszcze jedna przymiarka - odpowiedziala Debera, choc i ten temat byl dla niej krepujacy. Probowala przekonac Tishe, ze ta jedna piekna zielona suknia wystarczy w zupelnosci, ale gospodynini nie zwrocila uwagi na protesty i kazala jej wybrac dwa kolory sukni sposrod przeroznych probek: jedna na wieczor i jedna na dzien. Zdaje sie, ze wszyscy mieszkancy Weyru sprawiali sobie nowa odziez na Koniec Obrotu. A jednak cos w sercu Debety radowalo sie wielce, ze bedzie miala teraz dwie zupelnie nowe sukienki, ktorych nikt przed nia nie nosil. Miala takze cichutka nadzieje, ze dzieki temu Iantine wreszcie ja zauwazy. Teraz zas, po tym, co powiedziala jej Morath, zastanawiala sie, czy malarz w ogole spostrzeze, ze wlozyla cos nowego.

-Mowiac na temat weyrow... - zaczela Mesla.

-Rozmawialysmy o tym pol godziny temu, Meslo - zaprotestowala Angie. - A o co chodzi?

-Nie ma ich tak wiele, a wieksze smoki beda mialy pierwszenstwo wyboru, prawda?

-Nie martw sie o to - odpowiedziala Jule. - Kiedy bedziemy ich potrzebowac, niektore zdaza sie juz oproznic - palnela i zakryla dlonia usta, zorientowawszy sie, co powiedziala, - Nie chcialam tego powiedziec. Naprawde nie chcialam. To znaczy, nie przyszlo mi do glowy, zeby sie wprowadzic...

-Zamknij sie wreszcie, Jule - powiedziala Sarra cicho, lecz stanowczo.

Na dluzsza chwile zapanowala cisza. Dziewczeta pospuszczaly oczy.

-Sluchajcie, ktora z was ma balsam? - spytalacicho Grasella z lozka pod sciana, przerywajac cisze, ktora zaczela im nieznosnie ciazyc. - Znow mnie swedza palce. Nikt mi nie powiedzial, ze opieka nad smokami powoduje odmrozenia.

Angie znalazla sloiczek pomiedzy futrami i podala dziewczetom.

-Bede nastepna - stwierdzila cicho Debera, podsuwajac sloik Graselli. Na tym skonczyła sie beztroska nocna pogawedka.

-Mam malo czasu - powiedzial Jemmy Clisserowi niechetnym tonem, zapytany, jak idzie praca nad ostatnia ballada historyczna. - Musialem zajac sie waszymi prawniczymi szpargalami. Dlaczego narobiliscie tyle halasu wokol tych przekletych straznikow? Trzeba ich bylo od razu zeslac na wyspy. Po co ta farsa z sadem?

-Procesy nie byly farsa, Jemmy - odparl Clisser tak ostro, ze Jemmy, nie wierzac wlasnym uszom, spojrzal na niego ze zdziwieniem. - Procesy byly potrzebne. Musielismy pokazac, ze postepujemy zgodnie z prawem...

-Czyli odwrotnie, niz Chalkin - usmiechnal sie Jemmy. Nierowne zeby w dlugiej twarzy bardziej niz kiedykolwiek nadawaly mu podobienstwo do lisa.

-Wlasnie tak.

-Marnujecie dla niego cenny czas - prychnal Jemmy i wrocil do czytania.

-Czego szukasz?

-Nie wiem. Szukam, bo wiem, ze istnieje juz cos, co mozna by wykorzystac do okreslania pozycji Czerwonej Planety... cos tak prostego, ze az wstyd o tym nie pamietac. Wiem, ze gdzieś to widzialem... - zdenerwowany, odsunal od siebie ksiazke. - Szkoda, ze ludzie, ktorzy to wszystko kopiowali, pisali tak niewyraznie. Tracę duzo czasu, zeby to rozczytac - gwałtownie wyciagnal reke nad zagraconym stołem roboczym, siegnal na parapet okienny i z trzaskiem postawil przed soba dziwaczny przedmiot. - To nowy komputer dla ciebie - usmiechnal sie do Clissera, ktory zdziwiony, przygladal sie kolorowym paciorkom umocowanym na dziesieciu waskich drucikach, podzielonych na dwie nierowne czesci.

-Co to jest? - Clisser wzial przedmiot do reki. Okazalo sie, ze mozna z pewnym trudem przesuwac paciorki po drutach.

-Kiedys nazywano to liczydłami. Starozytna, lecz jakze przyteczna zabawka. - Jemmy wyjal mu z reki przyrzad i pokazal jego dzialanie. - Zastapi kalkulatory, zreszta wiekszosc juz sie popsula. Aha, znalazlem tez rysunki czegos innego - chwile pogrzebal w papierach i wyciagnal linijke z ruchoma nakladka. Na obu czesciach narysowano podzialke logarytmiczna. - Na tym suwaku logarytmicznym mozna wykonywac calkiem skomplikowane dzialania matematyczne, prawie z taka sama szybkościa, z jaka wpisuje sie dane do

urządzeń cyfrowych.

Clisser przenosił wzrok z jednego przyrządu na drugi.

-Ach, więc tak wygląda suwak. Kiedyś czytałem o nim wzmiankę w traktacie o prymitywnych kalkulatorach, ale nigdy nie pomyślałem, że będziemy zmuszeni uciekać się do starożytnych rozwiązań. O liczydłach też tam napisano. Rzeczywiście ciężko pracujesz, szukając alternatywnych metod.

-I te trzecia rzecz też znajdzie, jeśli wreszcie dasz mi święty spokój i przestaniesz zawałać mnie pilnymi sprawami niezwyklej wagi.

-Mam nadzieję - stwierdził Clisser dyplomatycznie - że dostarczysz mi coś przed zimowym przesileniem i Koncem Obrotu, żebym mógł to pokazać na Zgromadzeniu.

Jemmy gwałtownie wyprostował się na krześle, przechylił głowę i wpatrzył się w Clissera tak, że rektor, pełen nadziei, pochylił się w przód, wstrzymując oddech, by nie zburzyć jego koncentracji.

-Ach, do diabła - rozluźnił się wreszcie i huknął pięściami w stół. - To musi mieć coś wspólnego z przesileniem.

-No cóż, jeśli wracasz do liczydeł i suwaków logarytmicznych, to może chodziło ci o zegar słoneczny? - zazartował Clisser.

Jemmy znowu usiadł prosto, jeszcze bardziej napięty. - Nie słoneczny... - powiedział powoli... - ale kosmiczny... zegar kosmiczny... jak... kamienny... kamienny...

-Kamienny krag? Stonehenge?

-A co to takiego?

-Prehistoryczna budowla na Ziemi. Sallisha będzie potrafiła podać ci więcej szczegółów, jeśli zechcesz ją zapytać - powiedział chytrze Clisser. Zgodnie z jego oczekiwaniem, Jemmy tylko machnął grubiansko ręką. - Okazało się, że to zdumiewający kalendarz, dokładnie przewiduje zaciemnienia, a także o swicie wskazuje dni przesilenia.

Clisser przerwał, wpatrując się szeroko rozwartymi oczyma w Jemmy'ego, który otworzył usta, jakby chciał powiedzieć O, ale mu zabrakło głosu. Obaj byli z lekka oszłomieni.

-Tylko że to był kamienny krag... na równinie... - wyjąkał Clisset; szkicując w powietrzu kształt dolmenów i wspartych na nich kamiennych płyt. Mruczac coś pod nosem, podszedł do polki po odpowiedni tekst. - Na pewno to skopiowaliśmy. To musi być przepisane.

-Niekoniecznie, bo interesowały cię tylko hasła historyczne mające związek z Pernem -

odpowiedział Jemmy. - Pamiętam, jak raz otworzyłem ten zbior. Wystarczy tylko zaprojektować konstrukcję odpowiednią do naszych potrzeb, tak, żeby ukazywała się w niej Czerwona Planeta w okresie, kiedy jej tor oznacza Opady - gorączkowo przerzucał papiery na biurku, w poszukiwaniu czystej kartki i ołówka. Znalazł trzy, ale albo za krótkie, albo polamane. - No właśnie, trzeba na nowo wynaleźć jeszcze jedną rzecz... wieczne pióra.

-Wieczne pióra? - powtórzył Clisser. - Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

-Zrobię je jutro. Pozwól mi teraz popracować samemu... - przerwał i uśmiechnął się diabolicznie na widok zmieszanej miny rektora. - Będzie coś miał dla ciebie przed Koncem Obrotu. Może nawet model... pod warunkiem że dasz mi teraz spokój.

Clisser wyszedł, zamknął za sobą cicho drzwi i zatrzymał się na moment.

-Zdaje się, że wyrzucił mnie z mojego własnego gabinetu - powiedział na głos i popatrzył na drzwi. Rzeczywiście, na świeżo wymalowanej plakietce widniało jego własne nazwisko. - Mhm. - Odwrócił wieszaka na drzwiach tabliczkę tak, by na wierzchu znalazł się napis NIE PRZESZKADZAC, i poszedł, nucąc pod nosem refren z Piosenki o Powinnościach.

Wyjdzie Sallishy na spotkanie, zanim ta wiedźma wejdzie po schodach. Będzie jej miło. W każdym razie, powinno jej być miło. Pospiesznie zszedł na dół i spotkał ją w drzwiach.

-Nie spóźniłam się - powiedziała nieprzyjemnym tonem, sciskając konwulsyjnie pod ręką opasły notatnik.

Czekał go koszmar.

-Wcale tego nie powiedziałem. Chodźmy do pokoju profesorskiego, będzie nam wygodniej.

-Wnioski, które wyciągnęłam, nie powinny być dyskutowane publicznie - powiedziała, z miejsca rozpoczynając atak. Może i była jedną z najlepszych nauczycielek - choć powiadano, że dzieci się uczą tylko i wyłącznie po to, by się wyrwać z jej pazurów - ale jej stosunek do niego i proponowanej reformy był nieodmiennie wrogi.

-Nie ma tam nikogo i będzie pusto przez co najmniej dwie godziny. - Clisser uśmiechnął się tak łagodnie, jak tylko potrafił.

Prychnęła pogardliwie, ale gdy uprzejmie przepuścił ją przodem, ruszyła do sali z nieprzejeđnana miną. Jak Morinst do... Clisser zadrzał i pospieszył za nią.

Rzeczywiście, w sali nie było nikogo. Na kominku huczał ogień, na przypiecku grzał się kociołek z klanem, i o dziwo stały tu nawet czyste kubki. Ciekawe, czy to Bethany o wszystko zadbała. Nawet pojemnik ze słodzikiem był pełen. Tak, to na pewno ona. Na swój sposób starała się mu pomóc w tej ciężkiej przeprawie.

Zamykając drzwi, również i tu przekreślił wywieszki z napisem NIE PRZESZKADZAC. Sallisha usadowiła się w najmniej wygodnym fotelu - ta kobieta zdecydowanie lubiła się umartwiać. W dalszym ciągu przyciskała do piersi notes, jak swój jedyny skarb.

-Nie możesz wyrzucić z programu historii Grecji - zaczęła gwałtownie. Wyraźnie wygłaszała długo przygotowywaną przemowę. - Musza wiedzieć, skąd się wzięła obecna forma rządu, inaczej nie docenia tego, co mają. Musisz włączyć...

-Sallisho, można włączyć do programu zarys, ale nie całą kulturę - zaczął.

-Ale to kultura określiła formę rządów... - wpatrywała się w niego, wstrząsnęta takim brakiem zrozumienia.

-Jeśli jakiś uczeń bardzo się tym zainteresuje i będzie chciał dowiedzieć się czegoś więcej, dostarczymy mu odpowiednie materiały. Ale nie ma sensu zmuszać farmerów z pogorza i poganiaczy bydła z równin, żeby uczyli się rzeczy pozbawionych wszelkiego związku z ich codziennym życiem.

-Obrazasz ich, mówiąc takie rzeczy.

-Ależ skąd, oszczędzam im tylko całych godzin nudnej nauki, zastępując je historią Pernu...

-Tyle jest tego, że nie zasługuje nawet na szlachetną nazwę "historii".

-Dzień wczorajszy jest już dzisiaj historią, ale czy chcesz zacząć wszystko od nowa? "Historia" to wydarzenia w rozwoju lub życiu jakiegoś ludu... czyli nas - tu uderzył się kulakiem w pierś - opatrzone analizą i uzasadnieniem. Od założenia... kolonii na Pernie, zaczyna się nasza historia, wspaniała, wzruszająca opowieść o przeżyciu pomimo niewiarygodnie małej szansy zwycięstwa w walce z nieprzejezdnymi przeciwnościami, opowieść o stracenczej odwadze, o ludzkiej przemyślności, śmiałości i o tej planecie, nie o obcym miejscu, którego nazwa jest pustobrzmiącym słowem. To lepsze, niż historia starożytna, jeśli będziemy nauczać tego we właściwy sposób.

-Czy podważasz moje...

-Nigdy w życiu, Sallisho, i dlatego potrzebuje właśnie twojej szczerzej współpracy w tworzeniu nowego, wzbogaconego programu nauczania, odpowiedniego do naszych warunków. Statystycznie, twoi uczniowie dostają lepsze stopnie na egzaminach końcowych, niż podopieczni pozostałych nauczycieli... mówię tu również o farmerach z pogorza i poganiaczach bydła z równin. Ale wiedza, która się z nimi tak szczerze dzielisz, nigdy więcej się im nie przyda. Życie na Pernie i tak jest niełatwe... gdy trzeba walczyć z zewnętrznym zagrożeniem... Niech poczują dumę z dokonania naszych przodków... tych niedawnych. Po co im wiedzieć o zameczkach i bolączkach bezmyślnego świata, który pernenscy kolonisci pozostawili daleko za sobą. Poza tym - bezlitośnie uciszył ją, gdy chciała coś wtrącić - procesy w Telgarze i Bendenie dowiodły, że za mało czasu

poswiecamy na nauke praw czlowieka, zapisanych w Karcie.

-Ale ja poswiecalam...

-Ty z pewnoscia nie zawiodlas, ale koniecznie musimy wbic ludziom do glowy - dla podkreslenia swoich slow uderzyl piescia w otwarta dlon -jakie prawa maja gospodarze podlegli Lordowi Warowni: w jaki sposob ubiegac sie o ziemie, nadawana kazdemu na podstawie Karty, jak zapobiegac sytuacjom podobnym do tej, ktora wydarzyla sie w Bitrze...

-Zaden inny Lord Warowni nie jest az tak podly - skrzywila usta z niesmakiem, wymawiajac ostatnie slowo -jak tamten obrzydliwiec. Tylko nie mysl, ze zmusisz mnie, bym tam poszla i przeejala stanowisko po Issonym! - pogrozila mu wskazujacym palcem i zrobila gniewna mine.

-Alez skadze, Sallisho, jestes dla nas zbyt wartosciowa, zeby posylac cie do Bitry - powiedzial kojaco. Bitrze byl potrzebny bardziej wspolczujacy i elastyczny nauczyciel, niz ona. - Jednakze zdumiewa mnie, jak wiele osob nie ma pojecia o Karcie i o swoich prawach. A to bardzo zle. Nie sadze wprawdzie, ze zastraszeni ludzie w Bitrze mieliby odwage powolywac sie przed Chalkinem na postanowienia Karty... nawet, gdyby je wtedy znali. Ale widzisz, to przerazajace, ze tak niewiele osob obecnych na procesie wiedzialo, ze zwykly gospodarz ma prawo do swobodnego wyboru miejsca zamieszkania, prawo do zgromadzen i do mediacji w przypadku nadmiernych obciazen danina.

-Dlaczego Lordowie Warowni nie zdjeli go ze stanowiska? - denerwowala sie, kierujac skumulowana agresje na nowa ofiare. - Przeciez to wiecej niz oczywiste, ze ten czlowiek nie jest w stanie zarzadzac Warownia, a juz zwlaszcza w czasie Opadow. Nie rozumiem, dlaczego jeszcze sie wahaja.

-Sallisho, odwolanie Lorda Warowni ze stanowiska wymaga jednoglosnej decyzji - powiedzial z lagodnym wyrzutem.

Przez chwile spogladala na niego, nic nie rozumiejac. Nagle zaczerwienila sie.

-Kto sie wylamal?

-Jamson.

Z irytacja zacmokala jezykiem o podniebienie.

-Tam tez nie mozesz mnie poslac. Od tego zimna pogorszylby mi sie artretyzm.

-Zdaje sobie z tego sprawe, Sallisho, i dlatego zastanawialem sie, czy w tym roku nie zdecydowalabys sie na Poludniowy Nerat?

-Jak wiele jeżdżenia? - spytała, nie do końca ulagodziła.

-Szesc duzych gospodarstw i piec mniejszych, ale w rozsadnej odleglosci. Naturalnie, podroze tylko w dni miedzy Opadami. Doskonale zakwaterowanie i bardzo dobry kontrakt. Gardner zadbal, zeby mieszkanie odpowiadalo twoim wymaganiom - siegnal do kieszeni kamizelki i wydobyl dokument. - Pomyslalem sobie, ze chetnie to obejrzysz juz dzisiaj.

-Chcesz mnie zmiekczyc, co? - powiedziala, usmiechajac sie niemal kokieteryjnie i siegnela po dokument.

-Jestes moja najlepsza nauczycielka, Sallisho - powiedzial i powoli wyciagal reke, az kobieta zacisnela palce na umowie.

-Jesli myslisz, ze dzieki temu pogodze sie z tym, ze brutalnie wyciales cala historie sprzed kolonizacji Pemu, to sie mylisz, Clisser.

-Wcale mi o to nie chodzilo. Nie mozemy cie wystawiac na niebezpieczenstwo na rowninach Keroonu...

-Obiecalam im, ze wroce.

-Ach, na pewno to zrozumieja.

-Tam jest naprawde kilka obiecujacych umyslow...

-Znajdziesz je wszedzie, dokad sie skierujesz, Sallisho, masz do tego dar. - Wyciagnal drugi, znacznie grubszy plik papierow: nowy program nauczania. - Bedzie ci o wiele latwiej wykladac wedlug tego.

Popatrzyla na dokument ze wstrettem, jakby to byl waz tunelowy.

Rozdzial XII

Warownia Dalekich Rubiezy i Warownia Fort

-A wiec - powiedzial Paulin do Thei i Galliana w solarium Dalekich Rubiezy, gdzie panowalo mile cieplo - czy w jakikolwiek sposob mozemy go naklonic do zmiany zdania?Thea wzruszyla ramionami.

-Argumenty rozumowe nic tu nie pomoga, to pewne. Byl wstrzasniety, ze na czas tych dwoch procesow anulowano wladza Lorda Warowni nad jego ludzmi. Do samych wyrokow nie mial zastrzezen...

-Byly sluszne i sprawiedliwe, i trzeba bylo tych ludzi zeslac na wyspy, bo jeszcze narobia nowych klopotow - dodal Gallian, nasladujac cienki, astmatyczny glos ojca. - Ach, gdyby upowaznil mnie do zajmowania sie wszystkimi sprawami Warowni... - bezradnie uniosl

dłonie. - Ale jest taki chory...

-Zaraz, zaraz. On naprawdę jest chory - przerwał mu Paulin - a ta pogoda tylko szkodzi mu na płuca, prawda?

Thea szeroko otworzyła oczy, pojmując w lot, do czego zmierza jej gość.

-Gdyby go wysłać na rekonwalescencję do Isty, albo Neratu, no cóż, musiałby upoważnić Galliana do... - zaczęła.

-Masz rację.

-Ale co się stanie, gdy wyzdrowieje i dowie się, co zrobiłem, mimo że znam jego poglądy na kwestie usuwania Lordów Warowni ze stanowiska? Nie omieszkał mi ich dokładnie wyłożyć - zwrócił się Gallian do matki. - Co będzie, jeśli okaże się, że mu się sprzeciwiłem? Najprawdopodobniej straciłbym wtedy szansę na dziedziczenie.

-Niemożliwe, kochanie. Wiesz, jakie on ma zdanie na temat twoich "glupich" młodszych braci - uspokoiła syna Thea, gładząc po ramieniu. - Ty zawsze wiesz, kiedy możesz postawić na swoim. Zawsze potrafisz radzić sobie z ludźmi. A co do siostrzenców... - machnęła ręką z rozpaczą. Twarz jej spochmurniała. - Naprawdę martwia mnie te ciągłe infekcje płucne. - Szczerze mówiąc, boję się, że on już długo nie pociągnie - westchnęła z zalem. - Taki dobry maz...

-Czy wasz lekarz mógłby mu zalecić pobyt w cieplejszym klimacie? - w głosie Paulina dzwiczało współczucie.

-Ciągłe to robi - Thea zacisnęła usta w wąską kreskę. - Muszę do tego doprowadzić. Znajdę jakiś sposób bo inaczej nie mogłabym spać spokojnie. Ze względu na niego i na tych nieszczęśników.

Gallian miał nieswoją minę.

-Nie martw się, chłopcze - pocieszył go Paulin. - Ja ci już wystawiłem najwyższe noty za chęć współpracy. Jak długo jestem Przewodniczącym, masz moje poparcie. Zgromadzenie wcale nie musi zatwierdzić jako spadkobierce kandydata wybranego przez testatora. Ale teraz trzeba działać i to bezzwłocznie. Nawet opóźnienie do Konca Obrotu niesie z sobą niebezpieczeństwo. Uratowaliśmy tych ludzi, ich prawa zostały potwierdzone przez sąd powołany zgodnie z prawem, a Chalkin pewnie dostał szalu z tego powodu - Paulin zaśmiał się niewesoło. - Nie możemy pozwolić, żeby się zaczął na nich mścić, bo wtedy wiele wysiłku i czasu poszłoby na marne. Idzie odwilż i Chalkin zyska swobodę ruchu. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że nie puści tego płazem.

Thea zadrzała, jej krągłe ciało zadygotało pod szatą.

-Nie chce brac tego na swoje sumienie, niezaleznie od tego, co myśli na ten temat moj Lord Jamson. - Wstala. - Mial taka zla noc... musze z nim zaraz porozmawiac, zanim wymysli kolejne zastrzezenia. Jedno jest pewne, on nie chce umierac. Woli Richuda, niz Franca. Zaproponuje mu Iste. Sama chetnie przeczekalabym tam zime. Wlasciwie... - wyprostowala ramiona - Wlazdziwie yba dez mam gadar - powiedziala, pociagajac nosem. - Moze zrobi dla mnie to, czego nie chce zrobic dla swojego dobra. Przepraszam was, panowie.

Obaj mezczyzni wstali, a Gallian podszedl do drzwi, by je przed nia otworzyc. Wyszla z godnoscia, a na jej ustach blakal sie psotny usmiech. Gallian wrocil do Paulina, krecac glowa.

-Nigdy jeszcze nie wystapilem przeciw ojcu - powiedzial z nieszczesliwa mina, wyraznie zdenerwowany.

-Ja tez nie chcialbym cie do tego namawiac, chlopcze. Watpliwosci dobrze o tobie swiadcza, ale zdajesz sobie chyba sprawe, do czego Chalkin jest zdolny?

-Niestety, tak - westchnal Gallian i spojrzal na swego goscia ze zdecydowana mina. - Zdaje sie, ze powinienem sie przyzwyczaić do podejmowania decyzji, nie tylko do pilnowania, zeby je wykonano.

Paulin poklepal go po ramieniu gestem pelnym otuchy.

-Tak to wlasnie jest, Gallianie. Moge cie ponadto zapewnic, ze nie wszystkie podjete przez ciebie decyzje beda slusne. Zajmowanie stanowiska nie chroni przed bladami; po prostu musisz popelniac wlasciwe pomyłki - Paulin usmiechal sie przekornie, obserwujac, jak Gallian probuje rozgryzc jego rade. - Jesli w wiekszosci wypadkow bedziesz postepowal slusnie, jestes wygrany. W tym przypadku masz racje, a twój ojciec nie chce jej dostrzec.

Gallian kiwnal glowa i zapytal nieco weselej:

-Napilbys sie wina, Paulinie?

-Jestes taki sam, jak matka - odparl Paulin i przyjal zaproszenie. - Przekonasz sie, ze to ulatwia zycie... nie twierdze przy tym, ze twojemu ojcu brakuje dobrego wychowania.

-Alez skadze - na twarzy Galliana zagoscil przelotny usmiech. Mlody czlowiek odchrzaknal. - Co stanie sie z Chalkinem po zdjeciu go ze stanowiska? Przeciez nie zeslecie go na Archipelag Poludniowy, prawda?

-A dlaczego nie? - odparl bezbarwnie Paulin. - Jednak nie na te sama wyspe, gdzie zsyla sie mordercow - dodal pospiesznie, widzac konsternacje, malujaca sie na twarzy Galliana. - Tych wysp jest bardzo duzo... przeciez to archipelag.

-Czy one nie sa pochodzenia wulkanicznego?

-Tylko Nowa Wyspa. Reszta to tropikalne atole, całkiem niezłe nadające się do zamieszkania. Jedno jest pewne: żaden hm... deportowany nie zbiegnie stamtąd i nie spowoduje dalszych kłopotów. Chalkin z pewnością chciałby narobić zamieszania, gdyby pozwolono mu zostać na kontynencie. Nie, najbardziej humanitarne i najrozsadniejsze rozwiązanie to wsadzić go tam, gdzie nie wyrządzi więcej szkód, niż to mu się do tej pory udało.

-Kto w takim razie będzie zarządzał Bitrą?

-Jego dzieci są naturalnie za małe, ale jest jeszcze jakiś wuj, prawie w wieku Chalkina. Tylko że słyszałem plotki, jakoby obaj grali w karty o te spuszczalne. Przegrany miał zrezygnować z wszelkich roszczeń.

-Ojciec również mi o tym wspominał, gdy po raz pierwszy poruszono kwestię odebrania Warowni Chalkinowi. Żałował, że nie obstawał przy Vergerinie, mimo oporów starego Lorda Neratu. Zona Chalkina jest siostrą Franca, wiesz?

-Zapomniałem. Zdumiewające, że tak bardzo się różnią, ale jego matka była przecież pierwszą żoną Brentona - odparł Paulin.

Zaglebili się w rozmowie na temat fascynujących zagadek dziedziczności, gdy nagle otworzyły się drzwi i stanęła w nich Thea, nieomal zgięta wpol.

-Mamo, na wszystkie gwiazdy! - Gallian rzucił się jej na pomoc. - Co się z tobą dzieje? Masz takie wypieki...

Zatrzasnęła drzwi, machnięciem ręki odesłała go na miejsce i padła na krzesło, zanosząc się od śmiechu. - Co cię tak bawi?

-Twój ojciec, kochanie... - wytarła z policzków łzy, a razem z nimi także część "wypieków". Popatrzyła na chusteczkę i mocniej potarła skóre, w dalszym ciągu śmiejąc się serdecznie.

-Udało nam się. Jamson jedzie do ciepłych krajów. Gdy wychodziłam, pisał list do Richuda, prosząc go o gościnę. Powiedziałam, że wysła wiadomość przez pierwszego smoczego jeźdźcę, jaki się nadarzy, ale twój przyjaciel na pewno się zgodzi ją zabrać, prawda, Paulinie? Kiedy leci z tobą do Fortu?

-Naturalnie, że się zgodzi... albo lepiej ja sam wezmę ten list do Richuda i poproszę, by trochę z nami spiskował, żeby Jamson, gdy już tam będzie nie zorientował się, co się dzieje na kontynencie - Paulin uśmiechnął się z ulgą.

-Ale dlaczego tak się śmiałaś, mamo? I po co ten makijaż? - dopytywał się Gallian.

-No coż - pomachała chusteczką i uśmiechnęła się do nich radośnie - o swoje zdrowie może nie dba, ale poświęcił się dla cierpiącej żony - powiedziała, udając, że znowu ma katar. -

Najpierw posłam twoją siostrę po Canella, tak, jakbym nagle poczuła się bardzo źle. Namówiłam go, żeby mi pomógł... to właśnie on poradził mi, żebym urosowała policzki. Potem poszłam do ojca, narzekając na różne bóle, które nekają mnie od rana, zupełnie niespodziewanie. I ciągle kichałam... na szczęście, z natury kicham cicho, więc łatwo mi było udawać. Wtedy do akcji wszedł Canell i naprawdę był niezwykle przekonujący. Bardzo go zaniepokoiło moje galopujące tętno i nabiegła krew na twarzy. Ogromnie martwił się o stan moich płuc i nadmierny wysiłek dla serca. W ten sposób osaczyliśmy Jamsona z dwóch stron, więc zgodził się zabrać mnie na południe do Isty, żebym całkiem doszła do siebie. I już! - spoglądała z uśmiechem to na jednego, to na drugiego ze słuchaczy, zachwycona swą przebiegłością.

-Koniec świata! Mamo, jesteś niesamowita.

-Naturalnie - odparła z wyższością i nagle, ku kompletnemu zaskoczeniu obu mężczyzn, kichnęła.

-Och, do licha!

-Aha - skomentował Gallian z udawaną surowością - oto kara za zmyślanie. Na serio złapałaś katar.

-Posłałam także kogoś po ciebie. Tak więc...

Przerwało jej ciche stukanie do drzwi. Gallian natychmiast poszedł otworzyć, ale uchylił je tak, by widac było tylko jego postać.

-Tak, proszę powtórzyć Lordowi Jamsonowi, że zaraz przyjdę - powiedział i zamknął drzwi.

-Dotrzymam towarzystwa Lordowi Paulinowi do czasu, gdy przyniesiesz ten list, Galii - powiedziała jego matka i nalala sobie nieco wina. - Jako osoba przeziębiona muszę się wzmocnić, bo będę miała nawrót - oświadczyła. - Jeszcze szklaneczkę, Paulinie? Żeby uczcić mój aktorski debiut?

-Szkoda, że wcześniej nie pomyślałaś o tej sztuczce.

-Też żaluje - powiedziała z cichym westchnieniem. - Ale wcześniej nie odczuwałam tego jako nieodpartej konieczności. Ach, ci biedni ludzie. Kto zajmie się Warownią, gdy pozbedziecie się Chalkina? I co się z nim właściwie stanie?

-Jeszcze nie zapadły decyzje w tej mierze.

-Rozmawialiśmy o tym, mamo - wtracił Gallian. - Chalkin ma wujka ze strony ojca, imieniem Vergerin.

-Ale Vergerin przegrał prawa do spadku w karty - stwierdziła srogo Thea.

-Tez o tym slyszalas?

-Och, wszyscy znamy ten Rod - powiedziala. - Hazard jest dla nich najwazniejszy. W dodatku zawsze graja o najdziwniejsze rzeczy i lubuja sie w niespotykanych zakladach. Ale zeby zagrac o Warownie? - jej mina zdradzala nieklamany niesmak.

-Moze Vergerin czegos sie jednak nauczyl - oswiadczył Gallian z pewna wyzszoscia, jak zauwazyl Paulin.

-Moze i tak - odparl Lord Fortu. - Jesli jeszcze zyje.

-Och, nie! - dlon wstrzasnietej Thei powedrowala do gardla.

-Jesli Rada przeglosuje usuniecie...

-Nie .jesli", Gallianie, lecz "kiedy" - poprawil go Paulin, unoszac reke.

-Kiedy to przeglosuja jak macie zamiar pozbyc sie Chalkina z Bitry? - spytal Gallian.

-Wszystko trzeba bedzie przemyslec i zaplanowac - odparl Paulin. - A teraz idz do ojca Gallianie. Niech na ciebie nie czeka, bo jeszcze gotow zmienic zdanie.

-Nie teraz, gdy w gre wchodzi zdrowie mamy - zasmial sie Gallian i wyszedl z komnaty.

-Prosze cie, Paulinie, obiecaj mi, ze w wyniku tej sprawy Gallian nie ucierpi jako nastepca Jamsona, dobrze? - Thea spytala wprost, chwytajac go za ramie.

-Obiecujecie, Theo - przyrzekl, poklepujac jej dlon.

Cztery dni pozniej, gdy Lord Jamson i Lady Thea bezpiecznie znalezi sie w Iscie, pozostali Lordowie Warowni z malzonkami, oraz Przywodcy Weyrow zebrali sie na nadzwyczajnym zjezdzie w Telgarze i formalnie zdjeli Lorda Chalkina ze stanowiska za zaniedbywanie obowiazkow w stosunku do Weyru Benden, za niespotykanie okrutne kary wymierzone niewinnym gospodarzom (rysunki lantine'a przedstawiono jako dowod, razem ze sprawozdaniami z niedawnych procesow), za zakaz nauczania postanowien Karty i pozbawienie ludzi wiedzy o swych prawach i obowiazkach (tu zeznawal Issony), jak rowniez za bezpodstawne odebranie tych praw podleglym mu gospodarzom.

Gallian, gdy nadeszla jego kolej, spokojnie glosowal za wnioskiem, okazawszy wpierw pelnomocnictwo ojca do podejmowania wszelkich decyzji dotyczacych Warowni Dalekich Rubiezy.

-Dobrze, i co dalej? - spytal Tashvi, klasnawszy w dlonie z ulga, ze wreszcie podjeto trudna decyzje.

-Naturalnie, nalezy poinformowac o tym Chalkina i zdjac go ze stanowiska - wyjasnil Paulin.

-Nie bedzie procesu? - zdumial sie Gallian.

-Wlasnie byl - odparl Paulin. - Lawa osob rownych mu stanowiskiem.

-Zaangazowanie w taka akcje smoczyc jezdcow do tej pory nie miało precedensu - oswiadczyl S'nan, Przywodca Weyru Fort, glosem wypranym z wszelkiej ekspresji.

Na te zdumiewajace slowa, wszyscy zwrocili sie do niego z wyrazem niniejszego lub wiekszego zaskoczenia, niesmaku, gniewu i niedowierzania na twarzach.

-Pozbawienie Lorda jego Warowni rowniez jest bez precedensu, S'nanie - odezwal sie M'shall - poniewaz po raz pierwszy powolujemy sie na to prawo, sformulowane na pismie ponad dwiescie piecdziesiat lat temu. Nie zgadzam sie jednak, ze jezdcy smokow powinni sie teraz wycofac. Do diaska, S'nan, jeden z wazniejszych powodow, dla ktorych Chalkin stracil stanowisko, to fakt, ze nie pomogl w przygotowaniach Warowni, ktorej my, jako zwiazani slowem honoru, mamy obowiazek chronic. Sam go stamtad wyciagne za leb, jesli bedzie trzeba.

Siedzaca obok Irena gwaltownie pokiwala glowa, popierajac swego partnera i obdarzyla S'nana gniewnym spojrzeniem. Wladczyni Weyni S'nana, Sarai, spojrzala na nia przerazona, z niedowierzaniem.

-Jesli nie dopadniemy go pierwsi, niedlugo sam sie ruszy z tej swojej twierdzy, a wtedy kto wie, co sie stanie - powiedziala Irena. Potem przechylila glowe, zaniepokojona jakas mysla. - Wiecie co, tak malo znam rozplanowanie Bitry wewnatrz, ze nie mialabym pojecia gdzie go szukac, a tym bardziej, jak go zlapac. Przeciez ciagle otacza sie straznikami. Franco?

-Slucham? - odpowiedzial nerwowo Lord Neratu. - Nie potrafie wam nic powiedziec o Bitrze. Bylem tylko w goscinnym salonie, choc Nadona jest moja siostra.

-Bardzo dziwne - skomentowal Bastom.

-Co z nim zrobimy, kiedy go w koncu dostaniemy? - spytal Franco. - Kto bedzie rzadzil? Jego dzieci sa jeszcze za male.

-Ten wuj, Vergerin - zaczal Paulin.

-A moze regencja, poki dzieci nie dorosna? - przerwal mu Azury.

-Albo obiecujacy mlodszy syn z dobrze zarzadzanej Warowni? - Richud z Isty bystro rozejrzal sie dookol.

-Wiemy, ze ten Rod jest skazony zylka do hazardu - wtracil Bridgely.

-Mozna to kontrolowac za pomoca ostrej dyscypliny i wszechstronnego wychowania -

odparła twardo Salda z Telgaru. - Czym skorupka za młodu nasiaknie, tym na starość traci.

-Vergerin... - powtórzył Paulin, przekrzykując krzyżujące się argumenty.

-On? Przegrał swoje prawa w karty - powiedziała Sarai z Weyru Fort niezwykle surowym głosem.

-Chalkin oszukiwał... - odparł M'shall. - Jak zresztą w każdej grze o wysoka stawkę, o której do tej pory slyszalem.

Irena popatrzyła na niego z głębokim namysłem.

-Tylko slyszalem! - powtórzył.

-Vergerina - ryknął Paulin w pełnej zdumienia ciszy - należy wziąć pod uwagę najpierw, bo jest bezpośrednio członkiem Rodu. Tak mówi Karta, której zamierzam przestrzegać w najdrobniejszych szczegółach. Niestety nie odnaleziono go na farmie, gdzie spokojnie mieszkał od czasu, gdy Chalkin przejął władzę.

-Nie odnaleziono?

-To sprawa Chalkina?

-Gdzie? I dlaczego?

-Brat niewątpliwie wyszkolił Vergerina w zarządzaniu Warownia - mówił dalej Paulin - a o ile się nie mylę, z kronik wynika, że Kinver był zdolnym i sprawiedliwym Lordem.

-Też hazardzista - mruknęła półgłosem Irena.

-Ale nie oszukiwał - skarcił ją M'shall.

-Wszyscy zamierzamy przestrzegać postanowień Karty, które przewidują, że najpierw należy brać pod uwagę członków Rodu, nieprawdaz? - tłumaczył Paulin. - Jeśli skontaktujemy się z Vergerinem...

-I jeśli on zechce - dodał M'shall.

-I będzie się nadawał - uzupełnił stanowczym głosem G'don z Weyru Dalekich Rubieży.

-Jeśli on zechce i będzie się nadawał - powtórzył Paulin - wtedy postąpimy zgodnie z postanowieniami Karty...

-Dzisiaj już wprowadziliśmy jeden precedens - wtracił Bastom. - To może niech Bitra sobie trochę odpocznie pod rządami kogoś przeszkolonego i kompetentnego, co? Szczególnie teraz, gdy trzeba włożyć tyle pracy w przygotowanie jej do obrony wiosna.

-Racja. A może powołajmy zespół? Wybierzmy pełną zapalną młodzież, żeby nabrała praktyki w codziennej pracy w Warowni? - zaproponował Tashvi.

-Niech wszyscy, którzy mają młodszych synów i córki, nadających się do takiej pracy, podniosą ręce - zaśmiał się M'shall. Sens jego słów wcale nie był jednak żartobliwy.

-Nie, musicie zastąpić Chalkina kims z jego Rodu - przerwał mu głośno S'nan, waląc pięścią w stół.

-W takim razie to musi być Vergerin.

-Jeśli uda się go znaleźć...

-Spokoj! Spokoj! - ryknął Paulin i zaczął walić w blat młotkiem przewodniczącego, aż wszyscy ucichli. - Nareszcie. Teraz możemy się spokojnie zastanowić. Po pierwsze, trzeba usunąć Chalkina...

-A co to da, jeśli nie mamy kandydata do zarządzania Warownią, która do reszty się zdemoralizuje, gdy zostanie bez przywódcy? - spytał S'nan, tak zaperzony, że wyrzucał z siebie słowa z niezwykłą dla siebie szybkością. Nikt z obecnych nie pamiętał go w takim stanie.

-Możemy powołać nowego Lorda tak szybko, że nikt nie zdąży się zdemoralizować - uspokoił go Tashvi.

-Pewnie tak zrobimy - poparł go Paulin. - Vergerin opuścił swoje gospodarstwo, i to zdaje się dość dawno.

-Chalkin się go pozbył? - S'nan był wstrząśniony.

-Prawdopodobnie umieścił go w chłodni, jak nazywa pewne pomieszczenie na poddaszu - oświadczył ponuro M'shall.

-Niemożliwe! - denerwował się S'nan. Ten ostatni dowód podłości i okrucieństwa Chalkina wreszcie otworzył mu oczy. Sarai pochyliła się do niego i delikatnie pogładziła jego dłoń.

-To tylko podejrzenia, które wcale nie muszą być prawdą - taktownie podsumował Paulin. - Uspokójmy się wreszcie na chwilę. Chalkina trzeba usunąć...

-Co z nim potem chcecie zrobić? - spytał S'nan drżącym głosem.

-Uda się na wygnanie - mówił to Paulin rozejrzawszy się wokół, ale wszyscy zgromadzeni zgadzali się z jego decyzją. - To najbezpieczniejsze wyjście, a zarazem najłagodniejsza możliwa kara. W archipelagu jest tyle wysp, że można mu dać jedną na własność - wszyscy uśmiechnęli się na ten żart.

- Tak, to odpowiednie i właściwie - ponury Przywódca Weyru Fort nieco się rozpozgodził.
- Znajdziemy Vergerina - gdy inni próbowali znowu przerwać Paulinowi, raz jeszcze uderzył młotkiem w stół. - Aby przygotować Warownię na Opad Nici i uspokoić gospodarzy, każdy z was przysłał jednego członka swojej rodziny, mającego doświadczenie w zarządzaniu Warownią. W Bitrze czeka nas dużo ciężkiej pracy. Zbyt wielka to odpowiedzialność dla pojedynczej osoby. Nawet jeśli odnajdziemy Vergerina i on zgodzi się na naszą propozycję, i tak będzie potrzebował pomocników.
- Wiele osób pomrukiwało niechętnie, ale uznali, że to najlepsze rozwiązanie. Nawet S'nan był chyba zadowolony.
- Powraca kwestia usunięcia Chalkina - powiedział M'shall. - Z Bitry jest więcej wyjść, niż z gniazda tunelowych węży. Jeśli Chalkin podejrzewa, co zrobiliśmy, na pewno się nam wymknie.
- Niemożliwe! Został zdjęty ze stanowiska - oświadczył S'nan.
- Jeszcze o tym nie wie, S'nanie - zdenerwował się D'miel z Weyru Ista.
- Weźcie pod uwagę, że on bardzo szybko dowiadywa się wszystkiego, czego nie powinien - ostrzegł B'nurrin z Igenu. - Powinnismy to zrobić natychmiast! Może mnie nie będzie podejrzewał o podstęp - powiedział młody spizowy jeździec, omiatając wzrokiem twarze zgromadzonych przy stole. - Ja go też prawie nie znam. Zgłaszam się na ochotnika.
- Nie sądzę, by w tej chwili Bitra miała widzieć jakichkolwiek jeźdźców smoków - zauważył Bridgely, cynicznie unosząc brew.
- Pewnie masz rację - przyznała Irena - ale w obecnych warunkach tylko smoczy jeździec bez trudu przedostanie się do Bitry. Wszystkie drogi są zasypane śniegiem. Musi to być ktoś z nas. Sama polece.
- Nie polecisz - sprzeciwił się twardo M'shall. - Nawet nie próbuj zbliżyć się do tego rozpustnika.
- Wcale nie muszę, wystarczy, że przewiozę innych i wysadzę ich po cichu w Warownię. Widok królowej go nie zaniepokoi - zaśmiała się brzydko. - Wiecie, jego zdaniem nie stanowimy niebezpieczeństwa - dodała i mrugnęła do Zulayi.
- Jeśli w Bitrze jest tyle śniegu, dokąd mogłoby uciec? - chciała wiedzieć Zulaya.
- Racja. Ale może się także ukryć wewnątrz Warowni i grać na zwłokę, kiedy nasi przedstawiciele zaczną doprowadzać jego do porządku - oświadczył Bastom.
- Iantine spędził tam kilka tygodni - zamysliła się Zulaya. - Może on będzie wiedział coś

wiecej o rozplanowaniu pieter i o wyjściach...

-Issony jezdził tam przez kilka ostatnich lat jako nauczyciel - dodał M'shall, wstając. - Obaj są tu, w Telgarze, prawda? Poproszę ich do nas.

Gdy wyjaśniono Lantine'owi i Issony'emu o co chodzi, obaj wyciągnęli ołówki, ale tylko Lantine miał papier.

-Trochę się tam rozglądałem na własną rękę - powiedział malarz, szkicując na kartce nieregularny wielobok.

-Nie złapał cie? - spytał Issony, wpatrując się w jego palce, które szybkimi, pewnymi pociągnięciami wyczarowywały plan Warowni.

-Miałem doskonale wytłumaczenie - że się zgubiłem. Na początku ułożył mnie na dole, razem ze służbą.

Issony zrobił zdziwioną minę.

-Nikt cie nie ostrzegł, co powinieneś umieścić w umowie?

-Ostrzegali, ale niezbyt stanowczo. Sam się z czasem dowiedziałem.

-Niesamowite! - zawołał nauczyciel z podziwem. - Nigdy w życiu bym tak nie narysował. W dodatku zachowałeś wszystkie proporcje.

-Mistrz Domaize upierał się, że musimy także poznać podstawy rysunków architektonicznych - wyjaśnił młody artysta.

-Jest jeszcze jedno piętro - Issony postukał palcem w prawy róg kartki. - Miałeś szczęście, że go nie widziałeś. - Westchnął ciężko. - Chalkin mówi, że to jego chłodnia - z tymi słowami nauczyciel popatrzył na obecnych. - To kilkanaście cel, w jednych można tylko leżeć, a w innych tylko stać... są o wiele za ciasne dla tych wszystkich nieszczęśników, których tam pozamykano.

-Nie mówisz chyba poważnie? - S'nan był przerażony.

-Nigdy w życiu nie byłem tak poważny - odparł Issony. - Jedna z dziewczek kuchennych upuściła słoik ze słodzikiem i zamurowano ją na tydzień. Umarła z zimna i wilgoci. - Ołówek Lantine zwolnił bieg, więc nauczyciel zaczął wyjaśniać: - Z jego pokoi prowadzi w dół schody, prosto do kuchni. Zawsze narzeka, że ze spiżarni znikają przysmaki, ale sam się przekonałem, że to on je podkrada. - Issony uśmiechnął się. - Kiedyś w nocy chciałem wziąć sobie coś do jedzenia i o mało mnie na tym nie przyłapał.

-Nad tą częścią jest jeszcze jedna kondygnacja - wskazał Lantine. - Ale drzwi są zamknięte

na kłodke.

-Pewnie sufit się osuwa - prychnął Issony. - Ale w korytarzu było mniej kurzu, niż w innych, rzadziej używanych przejściach. Myślę, że to dojdzie na poziom paneli słonecznych.

-Można tam posadzić smoka - stwierdził Paulin. Nie tylko on stanął z tyłu za rysownikiem, obserwując jego pracę. - Co za twierdza. Ciesze się, że trochę poznales Bitre w czasie swojego pobytu, lantine. - Z aprobatą poklepał młodego człowieka po ramieniu. - Powiedzcie mi jeszcze, ile jest tych... ehm, dyskretnych wyjść?

-Wiem o dziewięciu, oprócz drzwi kuchennych i głównego wejścia - Issony wskazał je po kolei.

Paulin zatarł ręce, gestem zaprosił wszystkich do zajęcia miejsc przy stole i przez dłuższy czas wpatrywał się w rysunek.

-Nie tracmy więc czasu i przedyskutujmy naszą... hm... strategię. Ireneo, doceniam, że zgłosiłaś się do roli przynęty, ale lepiej będzie, jeżeli zadziałamy z zaskoczenia. Issony, lantine, o jakiej porze Warownia będzie najbardziej podatna na atak?

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia. Issony wzruszył ramionami.

-Wczesnie rano, o piątej, może nawet o czwartej. Nawet wpher-stroje czasem bywają zmęczone. Większość strażników o tej porze drzemie - popatrzył na lantine'a, który potakująco pokiwał głową.

-Tak więc, będziemy potrzebować jeźdźców...

-Postarajmy się ograniczyć do osób obecnych na tej sali - poradził M'shall.

-Nie wolno osaczyć człowieka w jego własnej Warowni, to niewłaściwe - zaczął S'nan, stając na równe nogi.

Siedzący tuż za nim G'don z Dalekich Rubieży pociągnął go za ramię i usadził z powrotem na krześle. - Daj już spokój, S'nanie - powiedział, znudzony.

-Niniejszym usprawiedliwiam twoją nieobecność podczas desantu - oświadczył Paulin z niesmakiem.

-Ale... ale...

Nawet jego partnerka syknęła, by go uciszyć.

-Mamy więcej ochotników, niż potrzeba - stwierdziła Shanna z I genu, rzucając omdlewające spojrzenie wstrząsnietemu S'nanowi.

-Bardzo dobrze. W takim razie przypilnujemy wszystkich wyjsc...

-W kuchni jest jedno okno, ktorego nikt na noc nie zamyka, zawsze zapominaja - powiedzial lantine. - I za malo karmia wher-stroza. To sama skora i kosci. Jakis smaczny kasek moglby odwrocic jego uwage. Zreszta, to okno jest chyba poza zasiegiem jego lancucha.

-Doskonale, lantine - ucieszyl sie Paulin. - A zatem wchodzimy przez okno, a potem natychmiast przedostajemy sie kuchennymi schodami do prywatnych apartamentow Chalkina.

-Ukryte drzwi sa w boazerii przy kredensie z przyprawami. Zabierzecie mnie ze soba, a odnajde je w jednej chwili - powiedzial Issony, a jego oczy Isnily z niecierpliwosci.

-Jesli masz ochote... - zgodzil sie Paulin.

-Ja tez bym polecial - dodal lantine.

-Tak mi sie od poczatku wydawalo - zgodzil sie gospodarz spotkania, a potem szybko przedstawil szczegolowy plan.

Zaangazowali sie w ten wszyscy Przywodcy Weyrow oprócz S'nana; przekonano do udziału nawet mlodego Galliana.

-Jak spadac, to z wysokiego konia - stwierdzil, fatalistycznie wzruszajac ramionami.

-Ta eskapada ci nie zaszkodzi, Gallianie - uspokoil go Bastom. - Podjelismy jednoglosna decyzje, a nasza obecosc pomoze Chalkinowi sobie to uzmyslowic. Nikt z nas nie stanie po jego stronie - stwierdzil Lord Tilleku, spogladajac z wyrzutem na S'nana, ktory siedzial z tak zalosna mina, ze Bastom odczuwal nieomal wspolczucie dla tego drobiazgowo dokladnego czlowieka.

-Tak wiec, uzgodnilismy wszystko, panie i panowie? - spytal Paulin, gdy juz wszyscy wiedzieli, jaka role maja odegrac w niedalekiej przyszlosci. - W takim razie chodzmy sie odswiezyc i odpoczac do chwili, gdy nadejdzie czas odlotu.

Rozdzial XIII

Warownia Bitra i Weyr Telgar

Poza tym, ze wher-stroz nie polakomil sie na smakowite kaski miesa, specjalnie przywiezione, by odciagnac go od obowiazkow i M'shall musial prosic Craigatha, by skarcil to biedne stworzenie, dostali sie do Warowni bez trudu. Straznik, ktory powinien uslyszec ostrzegawczy skrzek wher-stroza, nie zorientowal sie w niczym. Issony bez klopotu dostal sie do srodka przez niezamkniete okno i otworzil drzwi calemu oddzialowi. W tym czasie wszyscy, ktorzych zadaniem bylo pilnowac pozostalych wyjsc z twierdzy, staneli juz na

posterunkach. Iantine przebiegl przez kuchnie do salonu i umozliwil drugiej grupie wejscie przez frontowe drzwi, a Issony odnalazl ukryte drzwi w kuchni. Choc schody oswietlaly ledwo zywe zary, przy ich blasku Lordowie, ich damy oraz Przywodcy Weyrow, majacy dokonac arestowania, latwo wspieli sie w gore. Paulin otworzyl drzwi u szczytu schodow i pierwszy znalazl sie w prywatnych apartamentach Chalkina. Za nim weszlo osmiu Panow i Pan Warowni oraz M'shall, ktory uparl sie, ze bedzie reprezentowal Weyry. Zdumieli sie, ze pomieszczenie bylo jasno oswietlone: zary lsnily w koszykach na scianach. Wyraznie bylo widac postaci, spiace na solidnym, pokrytym skorami lozu. Trzy postaci. Potezne ksztalty Chalkina wybrzuszaly sie pod miekka futrzana narzuta, choc glowe ukryl w faldzie delikatnego, bialego przescieradla.

Wpierw obudzila sie jedna z dziewczat. Juz otwierala usta do krzyku, gdy spostrzegla gwaltowny gest Paulina, ktory nakazal jej cisze. Zamiast narobic halasu, zesliznela sie z materaca, podciagajac przescieradlo pod brode i wybrala suknie ze stosu bezladnie lezacych na podlodze ubran. Paulin gestem polecil sie jej ubrac. Poruszala sie cicho, ale pociagnela przescieradlo i druga dziewczyna obudzila sie, poczuwszy zimny powiew. Ta krzyknela.

-Wrzeszczala, jak zielona smoczyca w rui - opowiadal pozniej M'shall, smiejac sie z tego wspomnienia. - A i to nie obudzilo Chalkina.

Za to straznicy sie pobudzili i wpadli do pokoju. Oniemieli na widok tylu uzbrojonych osob w osobistym, najlepiej chronionym apartamencie Chalkina.

-Chalkin zostal zdjety ze stanowiska, gdyz odmowil przygotowania tej Warowni do Opadu Nici, naduzyl przywilejow Lorda Warowni i odebral dzierzawcom prawa, nalezne im wedlug Karty - oswiadczył Paulin dzwiecznym glosem, obnazywszy miecz. - Opuscie bron, chyba ze chcecie isc razem z nim na wygnanie.

Rzucili miecze jak jeden maz w chwili, gdy prowadzone przez Iantine'a posilki wpadly z korytarza do komnaty.

To w koncu obudzilo Chalkina z pijackiego snu.

Pozniej Paulin opowiadal, ze czul sie rozczarowany tym zalosnym zakonzeniem bohaterkiej inwazji o swicie.

-S'nan tylko utwierdzi sie w swych watpliwosciach - orzekl K'vin. - Od samego poczatku uwazal, ze chcemy upokorzyc Chalkina.

-Tak sie tez stalo - zasmial sie Tashvi.

Chalkin kazdym wloknem ciala okazywal tchorzostwo, probowal wmusic lapowki wszystkim Lordom Warowni po kolei, proponujac wielki skarb do podzialu, jesli mu pomoga. Gdyby ktokolwiek odczuwal choc cien pokusy, z pewnoscia zmienilby zdanie na widok

nieszczesnych, dygocacych ludzkich lachmanow wychodzacych z "chlodni".

-Wszystkie cele byly zajete - powiedzial Issony, wstrzasniety tym, co zobaczyl w podziemiach. - Wikszosc z nich to straznicy graniczni, ale i oni nie zaslugiwali na taka kare!

Nawet najtwardsi z nich do konca zycia mieli nosic slady uwiezienia.

-Iantine? Czy masz ze soba... ach tak, swietnie. Naszkicuj ich predko, dobrze? - poprosil Issony, wskazujac dwoch mezczyzn bliskich smierci: tych, ktorzych wczesniej skazano na kastracje za gwalt. Mozna bylo zrobic dla nich tylko jedno: skrocic ich cierpienia sokiem fellisowym.

-To dla S'nana. Na wypadek, gdyby jeszcze powatpiewal, czy sprawiedliwie dzis postapilismy.

-Vergerina ani sladu, prawda? - spytal Paulin, gdy oprozniono cele.

-Niestety - odparl ponuro Nfshall. - Ale to nic nie znaczy - wskazal kciukiem noszowych, ktorzy poprzednio pilnowali "chlodni". - Oni twierdza, ze przedwczoraj wrzucono do dolow z wapnem cztery ciala. Byc moze dla Vergerina przybylismy za pozno.

Paulin zaklal pod nosem.

-Pytales, czy ktos nie slyszal tego imienia?

-Tu na dole nie bylo imion - mruknal M'shall. Paulin skrzywil sie.

-No coz, trzeba zawezwac tymczasowych zarzadcow.

-Juz rozeslalem jezdzcow. Zarzadcy powinni tu byc...

Z korytarza slychac bylo jakies zamieszanie, wiwaty i powitalne okrzyki.

-Niemozliwe, zeby zdazyli tu juz dotrzec - zdziwil sie M'shall i obaj ruszyli sprawdzic, co sie stalo.

Z cienkich, brudnych futer wyplatyl sie wlasnie jakis wysoki mezczyzna i usmiechal sie do jezdzcow, ktorzy poklepywali go po ramionach i wszedzie, gdzie sie dalo.

-Zgadnijcie, kto tu do nas przyszedl? - zawolal B'nurrin z I genu na widok Paulina i M'shalla.

-Vergerin? - spytal Paulin.

-Optymista - mruknal M'shall, przyjrzel sie blizej mezczyznie, ktorego twarzy nie skrywal juz wielki futrzany kaptur i zawolal: - To naprawde on!

-Naprawde on? - Paulin pospiesznie przemierzyl szeroki korytarz.

-Typowe brwi dla tego rodu - zasmial sie M'shall. - Gdzie sie chowales, Vergerinie?

-M'shall? - Vergerin zaczal sie rozgladac z pelnym nadziei usmiechem na ogorzalej twarzy. Rzeczywiscie bylby podobny do Chalkina, gdyby twarz tego ostatniego wyszlachetniala i stala sie nieco bardziej pociagla. - Nie masz pojecia, jak uradowal mnie widok tych wszystkich smokow na wysokosciach. Zrozumialem, ze poszliscie wreszcie po rozum do glowy i pozbyliscie sie tego... - wskazal kciukiem na sufit. - Nawet nie wiecie...

-Gdzie sie podziewales? No, gdzie sie podziewales? - pytal Paulin, entuzjastycznie sciskajac jego dlon oboma rekami.

Usmieszek Vergerina nabral przebieglosci.

-Ano, pomyslam, ze najbezpieczniej bedzie mi pod samym nosem Chalkina - wskazal reka w kierunku stajni. - Inwentarz lepiej u niego mieszka, niz ludzie, wiec cuchne tylko czystym zwierzecym nawozem. Zarabialem na utrzymanie jako stajenny...

-Ale twoje gospodarstwo stalo pustka...

-Sam sie o to postaralem, zapewniam was - powiedzial, przeczesal stwardniala od pracy dlonia tluste wlosy i usmiechnal sie przepaszajaco. - Mam silny instykt przycicia, drodzy Panowie Warowni, wiec gdy sie zorientowalem, ze moj kochany bratanek rzeczywiscie nie zamierza nawet palcem kiwnac dla obrony przed Nicmi, doszedlem do wniosku, ze lepiej zniknac, zanim zacznie myslec o zemscie... przeciez jestem jedynym, oczywistym kandydatem na jego miejsce.

Wyplatal sie z kolejnej warstwy szmat i stanal spokojnie, z godnoscia, posrod cieplo ubranych jezdzcow i Lordow. Jego wrodzona godnosc wywarla duze wrazenie na Paulinie. Zreszta, nie tylko on ja zauwazyl.

-Przyznaje, ze zrobilem glupstwo, wyzbywajac sie prawa do dziedziczenia Warowni. Powinienem byl wiedziec, ze tej nocy Chalkin bedzie oszukiwal jeszcze bardziej niz zwykle, zwlaszcza ze w gre wchodzila taka stawka. Stracilem troche czasu, by odgadnac, jak on to robi, bo sam takze znam pare sztuczek skutecznych, jesli przeciwnik nie ma sie na baczności - podkreslil wlasny brak ostroznosci pogardliwym usmieszkiem. - Po prostu zapomnialem, jak bardzo Chalkin pozadal wladzy nad Warownia.

-Ale dotrzymales obietnicy - Paulin z aprobatą pokiwal glowa.

-Przynajmniej tyle moglem zrobic, by nie stracic szacunku do samego siebie - Vergerin lekko sklonil sie Paulinowi i pozostalym. - Czy moze zywic nadzieje, ze zamierzacie utrzymac Bitre we wladaniu naszego Rodu? - uniosl gesta, ciemna brew i objal ich spokojnym, aprobujacym spojrzeniem.

Paulin szybko sprawdził, jaki wyraz twarzy przyjęli obecni przy rozmowie pozostali czterej Lordowie.

-Twoja kandydatura z pewnością zostanie przedłożona podczas Zgromadzenia zwołanego na Koniec Obrotu - odpowiedział. Pozostali mrukliwie przytaknęli.

Scenę przerwały głośne zapewnienia o niewinności, wykrzykiwane przez Chalkina, którego sprowadzali po schodach Bastom i Bridgely. Lżyżony i przerażony krzyki dzieci wzmagały tumult.

Na ostatnim zakrecie schodów Chalkin stanął, wyrwał ramiona z uścisku obu Lordów i rzucił się w dół na Vergerina.

-Ty! Ty! To ty mnie zdradziłeś! Złamałeś słowo! Ty to zrobiłeś! Właśnie ty!

Bastom i Bridgely z podziwu godną szybkością pochwycili Chalkina zanim zdążył zaatakować Vergerina, który nawet nie cofnął się przed bratankiem.

-To ty mi to zrobiłeś! To wszystko twoja wina! - Chalkin wrzeszczał głośniejszym głosem niż jego dzieci, gdy Vergerin, z kamienną twarzą, powoli odwrócił się od niego.

Ujrzała go z kolei Lady Nadona; jej krzyki były pełne nienawiści.

-Zabrałeś mi meza, a teraz stoisz tu i wyciągasz ręce po Warownie, dziedzictwo i spadek moich dzieci... Och, Franco, jak możesz im pozwolić, by coś takiego zrobili twojej siostrze? - wsparła się o piers Lorda Neratu.

Na twarzy Franca bynajmniej nie malowało się poczucie winy. Prędko zdjął sobie z szyi jej pulchne ramiona, a Zulaya i Laura z lęku pośpieszyły mu z pomocą. Nadona w dalszym ciągu była w cienkiej koszuli nocnej, widocznej spod rozchylonego szlafroka. Richud trzymał za ramiona dwóch chłopców, a jego żona zaopiekowała się dwiema zapłakanymi dziewczynkami, które na pewno nie rozumiały, co się dzieje, ale zanosily się łkaniem, przerażone histerią matki. Irenaz niejaką przyjemnością wymierzyła kilka policzków, które skutecznie uciszyły aktorskie jęki Nadony.

Paulin ujął Vergerina za ramię i poprowadził do najbliższych drzwi - jak się okazało, do gabinetu Chalkina. Znalazły się tam jakieś karafki i kieliszki, więc pośpiesznie nalał im obu. Vergerin wychylił alkohol do dna. Po chwili jego wybladła twarz nieco się zarumieniła. Głęboko wciągnął powietrze. Podziwiając opanowanie tego człowieka w tak trudnej sytuacji, Paulin zacisnął palce na jego ramieniu.

-Z góry wiedzieliśmy, że łatwo nie będzie - powiedział. Vergerin mruknął coś pod nosem i wyprostował się.

-Najgorsza z tego wszystkiego - powiedział z ironicznym uśmiechem - była świadomość

mojej własnej, niebotycznej głupoty. Można sobie wybaczyć prawie wszystko, oprócz idiotyzmu.

Pomimo grubych kamiennych ścian, dochodziły tu krzyki i jęki. Wkrótce oddaliły się, gdy Chalkina wyprowadzono z Warowni na dziedziniec.

Lady Nadony nigdzie nie było widac. Mimo hysterii, przedko doszła do wniosku, że nie może oddać ukochanych dzieci na pastwę tych brutalnych mężczyzn i kobiet, więc postanowiła się poświęcić i zostać na kontynencie, zamiast dzielić z Chalkinem wygnanie. Doskonale знаła własne prawa zawarte w Karcie, z dokładnością do najdrobniejszych podpunktów.

Znow krzyki i sprzeczne rozkazy! Paulin westchnął z niesmakiem i podszedł do okna, otworzył okiennice i ujrzał niezwykłą scenę: pięciu mężczyzn z trudem dzwigało Chalkina na grzbiet Craigatha. Smok, którego oczy wirowały gwałtownie na czerwono i pomarańczowo, wyginał do tyłu szyję, obserwując, co się dzieje. Nagle ciało Chalkina zwiotczało i znalazło się na smoczęj szyi. M'shall skoczył na grzbiet bestii i czekał. W dwie Władczynie Weyru przywiązywały Chalkina, a potem całą kolekcję różnych worków i toreb, których zawartość miała stanowić wyposażenie byłego Lorda Bitry na wygnaniu.

Craigath jednym potężnym skokiem znalazł się w powietrzu, zaledwie raz uderzył wielkimi skrzydlami i wszedł w pomiędzy.

-Zesłanie na wyspę? - spytał Vergerin i nalał sobie drugi kieliszek wina.

-Tak, ale wysadzimy go gdzie indziej, niż strażników. Na szczęście jest tam cały archipelag.

-Najbezpieczniejsza byłaby Młoda Wyspa - stwierdził sucho Vergerin, pociągnął łyk, po czym skrzywił się i zajrzał do kieliszka: - Skąd on wziął coś takiego?

Paulin stłumił śmiech.

-Ten człowiek miał skorzane podniebienie, to fakt. A więc spodobał ci się pomysł zesłania twego wuja na wysepkę z aktywnym wulkanem?

-Bystry jest, dalby sobie radę. Nadona zostaje?

-Dzieci są jeszcze małe, ale masz całkowite prawo, by trzymać ją w zamkniętych apartamentach i samemu zająć się ich wychowaniem.

Vergerin zadygotał z obrzydzenia.

-Ach, przecież mimo wszystko może się okazać, że jest w nich coś wartościowego - pocieszył go wielkodusznie Paulin.

-W potomkach Chalkina i Nadony? Niemożliwe. - Vergerin podszedł do szafy, gdzie

przechowywano dokumenty Warowni. Zanim jednak ja otworzył, zwrócił się do Paulina: - Mam zaczynać od zaraz, czy czekać na decyzje Zgromadzenia?

-Ponieważ nie wiedzieliśmy, czy udało ci się uciec z łap Chalkina, postanowiliśmy, by wykwalifikowani młodsi synowie i córki Lordów spróbowali swoich sił przy przywracaniu tu porządku. Ty przecież znasz te Warownie o wiele lepiej od nich, więc może sprawowałbyś ogólny nadzór?

Vergerin odetchnął głęboko i pełen ulgi uśmiech rozjaśnił jego twarz.

-Z tego, co wiem o sytuacji w tej Warowni i demoralizacji wśród dzierżawców, potrzebna mi będzie każda para chętnych do pracy rak - potrząsnął głową. - Nie twierdzę, że mój zmarły brat był najlepszym gospodarzem na Pemie, ale nigdy nie dopuściłby do takich zaniedbań... a weźmy jeszcze do tego żalostne pomysły Chalkina, że Nici nie będą opadać, bo przeszkodziłyby mu w organizowaniu hazardu!

Ktoś cicho zastukał. Gdy Paulin odpowiedział, w uchylonych drzwiach ukazała się głowa Ireny.

-Skloniliśmy obsługę kuchni, by przygotowała coś do jedzenia. Gwarantuję tylko tyle, że kłah jest gorący, a chleb prosto z pieca.

Vergerin spojrzał na siebie.

-Nie mogę usiąść do jedzenia, póki się trochę nie umyję.

-Pomyślałam i o tym - odpowiedziała z uśmiechem. - Czeka na ciebie kąpiel, pokój do przebrania, a nawet czyste ubranie.

-Świeży chleb i gorący kłah doskonale nas nasycą - podziękował Paulin, przepuszczając Vergerina w drzwiach.

-Nie, Lordzie Warowni proszę przodem - sklonił się tamten.

-Ależ, przyszły Lordzie, bardzo proszę...

-Nie myślałem, że aż tak cuchnie - uzalil się Vergerin i ruszył przed siebie. Rozgląda się wokół, pomyślał Paulin, jakby oceniał stan Warowni. Zatrzymał się tak nagle, że Paulin niemal na niego wpadł i wskazał miejsce, gdzie wisiał ostentacyjnie podświetlony portret Chalkina, namalowany przez lantine'a. Vergerin obrócił się na piecie i spoglądał z niedowierzaniem, szeroko otwartymi oczyma.

-Mój bratanek... nigdy w życiu tak... nie wyglądał - powiedział, z trudem hamując wybuchy śmiechu.

Paulin tez zachichotal, gdyz po raz pierwszy mial okazje naprawde sie przyjrzec dziełu.

-O ile sie nie myle, artysta dopiero po pewnym czasie zdolal stworzyc portret, ktory...hmm... zadowolil twojego bratanka.

-Zdzialal tak wiele, majac tak malo... ale nie zniose czegos takiego na scianie - jeknal Vergerin. - To jest... to jest...

-Zalosnie smieszne? - podrzucil Paulin. - Biedny lantine, jakze on musial sprostytuowac swoj talent, by stworzyc cos takiego!

-Chyba zaczne od zdjecia tego portretu ze sciany.

Paulin przysunal sie do Vergerina, starajac sie wstrzymac oddech, gdyz w cieple panujacym w Warowni stajenny zapach, bijacy od jego odziezy, znacznie przybral na sile.

-Zdaje mi sie, ze artysta nie poczulby sie urazony, gdybys usunal jego dzieło z tak wyeksponowanego miejsca.

-Moze zgodzilby sie to przemalowac i bardziej upodobnic do modelu? - zapytal Vergerin. - Wtedy ten obraz przypominalby mi o mlodzienczej glupocie, jak rowniez o tym, jak nie nalezy zarzadzac Warownia.

-lantine jest tutaj. Wlasciwie, nawet pomogl nam sie tu dostac. Sam go zapytaj.

-Ale najpierw jednak sie wykapie - stwierdzil Vergerin i ruszyl ku schodom i ku czystosci.

Ze wszystkich wiekszych Warowni przybyli mlodsi synowie i corki, odziani jak do ciezkiej pracy i przygotowani na trudy. Jesli niektorych rozczarowalo odnalezienie Vergerina, potrafili to ukryc, co dobrze o nich swiadczylo. Przed obfitym sniadaniam Vergerin zdazyl porozmawiac osobno z kazdym z nich i dowiedziec sie, jakie obowiazki chcieliby wziac na siebie.

Irena oddala mu do dyspozycji skrzydło jezdzców z Bendenu, ktorzy mieli skontaktowac sie ze wszystkimi wiekszymi gospodarstwami w Bitrze, by przekazac wiadomosc o pozbawieniu Chalkina wladzy i o zeslaniu go na wygnanie.

Jeszcze przed sniadaniam powrocil M'shall.

-Zrzucilem go razem z bagazem na Trzydziesta Druga Wyspe. To informacja do archiwum. Calkiem przyjemne miejsce. Az zal, ze mu sie takie trafilo.

-Miales z nim jakies klopoty? - spytal Paulin. M'shall z rozbawiona mina zdejmowal uniform do jazdy.

-Po tym ciosie, jaki mu zafundowal Bastom? Zostawilem go tam nieprzytomnego. Przy

strumyczku - skrzywił się. - Szkoda, że go nie wrzuciłem do wody. Choc w części odplaciłbym mu za tych nieszczęsników z chłodni.

Późnym przedpołudniem Vergerin w pełni panował nad sytuacją i członkowie Rady doszli do wniosku, że czas odlatywać z Bitry.

Iantine poprosił K'vina, by zabrał go do Telgaru, razem z portretem Chalkina.

-Kiedy przyjedziesz do Bendenu? - dopytywał się Bridgely, dogoniwszy młodego artystę przy schodach na dziedzińcu.

-Przykro mi, Lordzie Bridgely, ale jeszcze nie jestem wolny - odpowiedział Iantine.

Bridgely wycelował palcem w obraz.

-Nie powiesz mi chyba, że to jest ważniejsze, co?

-Ależ skądże - malarz cofnął się nieco. Uśmiechnął się. - Zresztą, przemalowanie tej twarzy i tak nie potrwa długo. Ale nie będę się z tym spieszył. Muszę skończyć portret K'vina, naszkicować jeszcze kilku jeźdźców z Telgaru i przyjadę. Pewnie zaraz po Koncu Obrotu.

-W takim razie daję ci czas do końca roku, młody człowieku, ale nie zwlekaj już dłużej - odparł, jakby nieco urażony. Uśmiechnął się jednak, widząc, że Iantine jest wyraźnie zaniepokojony. - Nie przejmuj się tak, chłopcze. Po prostu chciałem wiedzieć, kiedy możemy się z zoną spodziewać twojej wizyty - wyjaśnił i poszedł.

K'vin przysłonił usta rękawem skórzanej rękawicy, by ukryć uśmiech.

-Widzisz, sukces bywa czasem kłopotliwy - podsumował, po czym odebrał mu obraz, gestem zaprosił na grzbiet Charantha i oddał płótno, gdy malarz już się wygodnie usadowił. - Ciesz się; się tym zajmiesz.

-Lordowi Vergerinowi bardzo na tym zależało. Szczerze mówiąc, sam chętnie oddam modelowi... sprawiedliwość.

-Sprawiedliwość? - K'vin zasmiewał się, zrezygnując z skacząc na szyję i swego spizowego przyjaciela. - Dla Chalkina to teraz pewnie jedno z bardziej obelżywych słów.

Iantine odchrząknął, a smok gwałtownie wyskoczył w powietrze. Mogł nie tylko poprawić ten zaklamany portret - uważał, że postąpił nieuczciwie wobec siebie i Mistrza Domaize, ulegając zadaniom Chalkina, choć właściwie nie miał innego wyjścia - ale także udało mu się przedłużyć pobyt w Telgarze. A nadchodził Koniec Obrotu. Koniec Obrotu, święto i radosna zabawa. Może wtedy uda mu się dojść do porozumienia z Debera.

Jeźdźcy smoków mogli wybierać partnerów spoza swego grona i często to robili. Łatwiej

byłoby, gdyby jego zawód był pożyteczny dla Weyru Telgar, tak, by lantine mógł tam zamieszkać. Ale wkrótce Morath zacznie latać i będzie zabierać Deberę wszędzie tam, gdzie lantine będzie malował.

Naturalnie, zakładając, że dziewczyna czuje do niego to samo, co on do niej. Nawet w najsmielszych snach nie przypuszczał, że w ogóle kiedyś trafi do Weyru. Odczuwał niemal wdzięczność dla Chalkina, że tak wpłynął na bieg wydarzeń... niemal wdzięczność. Do chwili, gdy przypominał sobie przerażające sceny na granicy i w "chłodniach". Zadygotał.

-Myślałem, że już się przyzwyczaiłeś - K'vin przechylił się do tyłu, by powiedzieć to malarzowi prosto w ucho.

-Nie o to chodzi - lantine potrząsnął głową i uśmiechnął się. Latanie sprawiało mu ogromną przyjemność i po pierwszym doświadczeniu z nieskonczonym zimnem i pustką pomiędzy przestał się obawiać przeskoków w przestrzeni. Mocniej złapał sznurek, którym obwiązano obraz. Charanth wznosił się wysoko nad Bitre, gotów do przejścia pomiędzy. Meranath, na której oprócz Zulayi siedzieli Tashvi z Salda, smignęła w górę obok jego prawego skrzydła, złociste ciało smoczyca Isnilo w czystym porannym świetle słońca, a jeźdźcy wesело machali rekoma.

lantine również ich pozdrowił i zdziwił się w myśli, że wciąż jeszcze jest rano. Inwazja na Bitre zaczęła się tak wcześnie, że niewiele dnia zdążyło upłynąć. Ach, teraz tyle się dzieje na świecie!

Czern! Momentalnie przestał czuć ucisk sznurka na palcach, kolce Charantha pod pośladkiem. Nagle z powrotem byli w słońcu, nad znajomym stożkiem Telgaru.

Daleko w dole, ponad szczytem Warowni Telgar, zalsniła w słońcu złocista iskra, oznajmiając przybycie Meranath. Wielki spizowy smok z wdziękiem zawrócił na czubku skrzydła i zaczął pikować w stronę Weyru.

lantine miał wrażenie, że wszystko dzieje się zbyt szybko... Z wysokości widział o wiele więcej niż z ziemi: smoki spiące w słońcu na skalnych polkach, młodych jeźdźców ćwiczących rzuty workami do ognistego kamienia i podnoszenie tychże, nawet weyrzatka przy porannej kąpieli smoków w jeziorze. Między nimi jest Debera. Próbował rozpoznać ją i Morath, ale odległość zacierała szczegóły. Dwa smoki, obydwa spizowe, zajaśniały zdobyczą w głębi doliny. Jakis jeździec wyskoczył z pomiędzy tuż przy wartowniku, który szerokim gestem pozwolił mu ladować. Charanth także znalazł się nisko, rozpoznano go i powitano serdecznie. lantine czuł, jak w wielkim smoczym brzuchu coś burczy. Czy smoki potrafią do siebie mówić na głos? Musiał mocniej przytrzymać obraz, w przeciwnym razie przed opadaniem wyrwałby go z ręki. K'vin odwrócił głowę i spytał:

-Przy jaskini?

-Bardzo proszę - przytaknął lantine, walcząc z wyrwywającym się dziełem. Prawde mówiąc,

nie zmartwilby sie, gdyby je stracil, ale musialby wtedy zmarnowac kolejna deske.

Przerzucil noge nad smoczym grzbietem i jak najszybciej zsunal sie po lapie smoka.

-Wielkie dzieki, K'vinie -usmiechnal sie spogladajac do gory. Musial dlonia oslonic oczy przed sloncem.

-Nie ma za co. Zasluzyles sobie na wiecej tym, co dzisiaj zrobiles.

Charanth znow zaburczal, a lagodnie wirujace blekitem oczy popatrzyly na lantine'a, który i jemu miło podziękował. W chwili później spizowy smok wzniosł się w gore, dwakroc uderzył skrzydlami i wyladowal na progu kwatery Wladczyni.

-Wrociles, wrociles caly i zdrow - wolal Leopold, biegnac co sil z dolnej jaskini. Skoczyl ku lantine'owi, który oslonil reka obraz, by chlopiec go nie uszkodzil.

-Co tu masz? - spytal Leopold, uwaznie dotykajac plotna.

-Trzeba to przerobic - odparl lantine wiedzac, ze nie zdola uspic ciekawosci tego chlopaka.

-Ach, portret Chalkina? - Leopold siegnal po plotno, a lantine obrocil sie na piecie i zabral obraz z zasiegu malych ciekawskich raczek, zaslaniajac go wlasnym cialem.

-Troche jestes za sprytny, wiesz?

-Mhm - w usmiechu Leopolda nie bylo nawet sladu zawstydzienia. - Jak bylo? Co sie stalo, kiedy go usuneliscie?

lantine stanal jak wryty i popatrzył na chlopca.

-Kogo niby usunelismy?

Leopold wsunal zwiniete w piesci dlone za pasek, przechylil glowe i poczestowal lantine'a dlugim, pelnym niesmaku spojrzeniem, po czym potrzaszal glowa.

-Po pierwsze, odleciales na smoku z Weyru Fort. Po drugie, nie wrociles na noc, wiec cos sie tam musialo zdarzyc. Tym bardziej ze Przywocow Weyru tez nie bylo. Po trzecie, wszyscy wiedzieli, ze Chalkin musi odejsc, a po czwarte, wracasz tu z portretem, ktorego przeciez nie namalowales w Weyrze. - Leopold rozlozyl rece. - To oczywiste. Lordowie Warowni i Przywoccy Weyrow pozbyli sie Chalkina. Zdjeli go ze stanowiska, usuneli i zeslali. Mam racje? - Poslal lantine'owi usmiech w ramach podsumowania i przechylil glowe w druga strone. - Mam racje, czy nie? - powtorzyl.

lantine westchnal.

-Nie moge potwierdzic ani zaprzeczyc - odparl taktownie i ruszyl w strone swej sypialni.

Leopol wyprzedził go tak, że artysta musiał się zatrzymać.

-Ale mam rację z Chalkinem, prawda? Nie chciał się przygotowywać do Opadów, był bardzo surowy dla swoich ludzi, a połowa Lordów Warowni jest mu winna całe worki marek, za przegrane w grach hazardowych.

Lantine zatrzymał się.

-Długi hazardowe? - Miał Leopola, chcąc umknąć w wątpliwe zacisze swojej komnatki, nie zdradzając się ani słowem przed tym okropnym plotkarzem.

-Ach, Lantine - Tisha zauważyła go i ze zrezygnacją zaskakująca dla tak otyłej osoby błyskawicznie precyzyjnie się pomieszczyła między stolami, by go zatrzymać. - Złapali Chalkina? Wszystko w porządku? Bardzo się opierał? Zona poszła za nim na wygnanie? To by mnie zaskoczyło, szczerze mówiąc. Czy Vergerin żyje? Przejmie Warownię od razu, czy będzie musiał czekać do Zgromadzenia na Koniec Obrotu?

Leopol aż się zgwał ze śmiechu na widok miny malarza.

-Tak, nie, nie, tak, nie wiem - wyrecytował w odpowiedzi na ten huraganowy ogień pytań.

-Widzisz? Nie tylko ja wiem swoje - dyszał Leopol, przytrzymując się jedną ręką krzesła dla równowagi, podczas gdy druga ocierał łzy śmiechu, zachwycony sobą i reakcją Lantine'a.

-Chcę usłyszeć wszystko od początku, chłopcze - powiedziała Tisha i postawiła przed nim kubek z klanem i całą tacę świeżo upieczonych ciasteczek. - Zaczynaj. Siadaj. Miałaś ciężki dzień, a jeszcze nawet nie dochodzi południe.

-Zabiorę to i bardzo ostrożnie zaniósę do pokoju - powiedział Leopol. Złapał zapakowany obraz i wyjął go z dłoni malarza, który bezwiednie rozluźnił palce. - Nawet na niego nie spojrzę, póki mi sam nie pozwolisz.

-Nie, Leo, poczekaj - osadziła go Tisha. - Chcę zobaczyć, jak zdaniem Chalkina wygląda "zadowolający" portret.

-Czyja nie mam już prawa do odrobiny prywatności? - wykrzyknął Lantine, wznosząc dłoń w geście bezradności. - Czy ty się nie uchowaś żadnych sekretów?

-Nie ma mowy, to jest porządny Weyr - odparła Tisha. - Jedź. Pij. Leo, weź koszyk, który przygotowałam dla K'vina i zanieś mu go do weyru. Nie widziałam Zulayi ani Meranath, więc pewnie zatrzymały się w Warowni.

Pod Lantine'ami ugięły się nogi, więc opadł na krzesło, które Tisha zapraszająco odsunęła od stołu.

-Może? - spytał proszaco Leopold, z mina aniolka i jedna reka na zasuplanym sznurku.

-Zdaje mi się, że i tak bym cię nie powstrzymał - odparł malarz i chwycił szkicownik, wsunięty za papier. Notes o mało co nie upadł, gdy chłopiec energicznie odpakowywał obraz.

Lantine schował szkice. Nie chciał ich pokazywać publicznie. Dwaj wykastrowani gwałciciele umarli niemal w chwili, gdy skończył rysować. Gorzko żałował zadowolenia, jakie wzbudził w nim wyrok, wydany na tych ludzi. Chyba nie zdawali sobie sprawy, że Chalkin będzie ich dreczył? Przecież sami prosili, by ich odwieziono do Bitry. Nie, na pewno by do niego nie wrocili, gdyby o tym wiedzieli. Spostrzegł, że Tisha bystro wpatruje się w jego twarz. Ciekawe, czy coś z niej wyczytała, mimo że starał się przybrać obojętną minę. Na szczęście, z obrazu spoglądał na nich mocno wyidealizowany Chalkin... Tisha rzuciła na niego okiem i dostała ataku śmiechu, w czym dzielnie sekundował jej Leopold.

Wesołość gospodyni zawsze bywała zaraziwa: nawet cichy śmiech sprawiał, że wszyscy wokół chichotali w odpowiedzi. Lantine'owi, po porannych przeżyciach, odrobina radości była potrzebna jak powietrze i choć wewnętrzne napięcie nie pozwalało mu śmiać się w głos, przynajmniej zmuszono go do przybrania pogodniejszej miny.

Rozbawienie Tishy spowodowało, że pozostali mieszkańcy Weyru zauważyli powrót malarza i przedkto zgromadzili się wokół jego stołu, zasmiewając się z "zadowolającego portretu" Chalkina. Lantine zaspokoił ich ciekawość krótkim sprawozdaniem z porannych wydarzeń. Wszyscy z ulgą powitali wiadomość o usunięciu Chalkina z Bitry, a także o zesłaniu go na wyspę.

-To dla niego za dobre, wiecie? - ktoś powiedział.

-Ano coż, będzie panem całej ziemi w zasięgu swego wzroku, nie? Dobrze mu tak!

-Nikommu nic się nie stało?

-Kto teraz będzie rządził w Warowni? Przecież przed Opadami jest tam tyle do zrobienia!

Lantine odpowiadał, nie wdając się za bardzo w szczegóły. Zdumiewało go, że mieszkańcy Weyru dokładnie odgadli wszystko, co się wydarzyło. Poza tym, bardzo dużo wiedzieli o Warowni, która nie podlegała bezpośrednio Telgarowi. On sam przecież niewiele opowiadał o nieprzyjemnym pobycie w Bitrze, więc musieli czerpać wiedzę z innego źródła. To prawda, podróżowali więcej niż gospodarze. Może dlatego więcej wiedzieli o świecie.

W jaskini zaczęli się zbierać jeźdźcy, w oczekiwaniu południowego posiłku i z ciekawości, co też wydarzyło się w Bitrze. Starsi pamiętali jeszcze zakład, który kosztował Vergerina utratę Warowni. Wiedzieli poza tym zdumiewająco dużo o Rodzie Lordów Bitry. Tak, ludzie w Weyrach byli zdecydowanie dobrze poinformowani.

lantine był wdzieczny Tishy za klan i ciasteczka. Ucieszył się też, gdy Leopold przyniósł mu chleb, ser i pokrajane w plasterki mięso z whera, które podawano w południe. Przez chwilę zaniepokoił się, gdy spostrzegł wśród słuchaczy z tyłu K'vina, który gestem starał się przyciągnąć jego uwagę. Może nie powinien był nic mówić?

Poprosił Leopolda, by zaniósł nieszczęsny portret do komnaty, wsunął szkicownik pod pachę, wiedząc, że w przeciwnym razie nic nie powstrzyma chłopca od obejrzenia szkiców i podszedł do K'vina. Ponieważ wyraźnie powiedział już wszystko, co wiedział, słuchacze go przepuścili, lekko tylko poklepując po ramionach i zartobliwie popychając w tłumie.

-Przepraszam, Przywódco Weyru, może nie powinienem był o tym opowiadać...

K'vin aż oczy wytrzeszczył ze zdziwienia.

-Nie powinienem opowiadać? Ha, wszyscy z pewnością już dawno sami domyślili się, o co chodzi. Ciekawe tylko, czy udało ci się powiedzieć coś, czego nie przewidzieli!

-Ilu ludzi Chalkin trzymał w tych strasznych celach? - wyrzucił z siebie lantine niemal nieswiadomie, zanim zdążył się pohamować.

K'vin współczująco otoczył go ramieniem. - Mnie też pewnie się to nie raz przysni w nocy - powiedział i zadrzał. - Może lepiej idź odpocząć...

-Nie, wolalbym czymś się zająć, jeśli można - poprosił lantine szczerze. Nawet nie musiał wchodzić do komnatki, gdyż tubki z farbą olejną i pędzle zostały w kwaterze Przywódcy Weyru.

Zatroskana twarz K'vina wyjaśniała.

-Mam trochę wolnego czasu, a ty obiecałeś skończyć mój portret... chyba że wolisz przerabiać Chalkina... tylko wiesz, Bridgely nie ukrywał, że chciałby cię widzieć w Bendenie na początku nowego Obrotu, naturalnie jeśli do tego czasu skończysz nasze zamówienia. Stałeś się niezwykle popularny.

lantine mruknął niechętnie, speszony tym, co usłyszał. K'vin zaśmiał się z tego i przyjaźnie poklepał go po ramieniu.

-Co wybierasz? - spytał wesolo.

-Ciebie, oczywiście. Czy... - lantine zawahał się, nie chcąc, by pomyślano, że domaga się komplementów - czy podobał ci się portret Zulayi?

K'vin zaśmiał się cicho i odwrócił twarz.

-Jestem z niej dumny, lantine. Dumny.

-Latwo poszło. Jest piękna - odpowiedział malarz.

-Bardzo, prawda?

Cos w jego głosie sprawiło, że lantine zastanowił się nad tymi słowami. Przecież są Przywódcami Weyru. Zawsze sprawiają wrażenie idealnej, dobranej pary. Tyle że artysta nauczył się ostatnio chwytac podteksty w słowach równie łatwo, jak niegdyś w wyrazie ludzkiej twarzy i postaci. Powstrzymał się jednak od komentarza, mimo że żywił dla K'vina coraz większy podziw jako dla Przywódcy Weyru. Zulaya była nieco zamknięta w sobie... spostrzegł to, spędzając z nią tyle czasu przy malowaniu... może ze względu na różnicę wieku. Właściwie, od K'vina również była starsza.

-Ta suknia wspaniale podkreślała jej urodę - powiedział, by przerwać niezreczne milczenie.

-Tak, kazala ja uszyc przed ostatnim Wylegiem - odpowiedział K'vin i znow spojrzał na niego. Teraz jego uśmiech był pełen łagodności i spokoju.

lantine zaczął się zastanawiać, czy to wszystko, czego był świadkiem rano, nie zmieniło sposobu, w jaki patrzył na świat. Dotarli już do stromych schodów i ruszyli w górę. Na szczycie z radością zauważył, że nie brak mu tchu.

-Jestes w dobrej formie - pochwalil go K'vin, znow przyjaznie klepnal go po ramieniu i popchnal w strone wysokiego wejścia do Weyru.

-Musze, prawda? - odciął się malarz ze śmiechem. Zatrzymał się na chwilę i poszukał oczyma weyrzatek przy jeziorze. Tak, Debera jest z nimi, naciera Morath oliwa. Porozmawia z nią później. Może nawet zjedzą razem kolację. Pokaże jej portret Chalkina przed przemalowaniem. Ciekawe, czy uda mu się przelać w rysy tego człowieka wszystko to, co legło się w tej złośnej duszyczce? Obserwując, jak K'vin przebiera się w paradne szaty, lantine zastanawiał się, czy starczy mu talentu na taki portret.

Posrod goraczkowych przygotowan do Konca Obrotu, Clisser przelamal opory S'nana i jeden z jezdzców zawiozl go do Centrum Inzynieryjnego w Telgarze. Rektor chcial wspolnie z tamtejszymi mistrzami zaprojektowac pernenski odpowiednik kalendarza ze Stonehenge, ale S'nanowi powiedzial tylko, ze musi porozmawiac z Kalvim o czymś niezwykle ważnym. Przywódca Weyru nie zgodziłby się na lot, gdyby wiedział, o co chodzi. Jego zdaniem te wszystkie dzwonki alarmowe, gwizdki i mnóstwo innych sygnałów nie były nic warte; wystarczy, że Weyry w czasie Przerw w Opadach zachowają czujność.

Jemmy starannie naszkicował prehistoryczny krąg kamienny, jego pierwotny wygląd i inne szczegóły, które mogłyby przydać się zespołowi Kalwiego.

Inżynier spojrzał na rysunki przelotnie, z pobłażaniem, ale po chwili zaczął im się przyglądać z większym szacunkiem.

-Skalne oko? Skalny palec? Przesilenie? - szeroko usmiechnal sie do Clissera. - Jestem przekonany, ze to wystarczy. W zupelnosci - nagle zmarszczyl brwi. - Nie mogles mi dac troche wiecej czasu? Przesilenie jest juz za dwa tygodnie!

-Ja... - zaczal Clisser.

-Wybacz, przyjacielu - Kalvi usmiechnal sie do siebie z politowaniem - zapomnialem, ze macie te wszystkie proby i tak dalej. Hm... Zostaw to mnie. Chyba cos wymyslmy... - przekartkowal szkice Jemmy'ego. - Hm... Ten chlopak rzeczywiscie ma talent.

-Nawet nie probuj namawiac go, by dla ciebie odszedl z Uniwersytetu - Clisser przybral sroga mine, zarezerwowana dla niesubordynowanych studentow.

Kalvi przez chwile udawal, ze sie strasznie przelakl, potem usmiechnal sie, przez caly czas nie odrywajac oczu od rysunkow.

-Dobra, damy rade - westchnal przesadnie. - To przeciez nasza specjalnosc.

Clisser wyszedl, pewien, ze tym razem nie zawiedzie Zgromadzenia w tej sprawie.

Rozdzial XIV

Koniec Obrotu w Warowni Fort i Weyrze Telgar

Zgodnie z tradycja, Lordowie Warowni i Przywodcy Weyrow, wraz z zaproszonymi mistrzami roznych specjalnosci, spotkali sie na Zgromadzeniu w wigilie Konca Obrotu, czyli zimowego przesilenia, aby przedyskutowac wszystko to, co nalezalo powiedziec ludziom zebranych na zabawie. Gdy planowano referendum, na Zgromadzeniach omawiano szczegoly, a potem odczytywano protokol wieczorem, w Wielkiej Sali. Glosowania odbywaly sie rano pierwszego dnia obchodow Konca Obrotu, nastepnie liczono wyniki i oglaszano je na drugim zwyczajowym posiedzeniu, w pierwszy dzien Nowego Obrotu. Teraz, w dwiescie piecdziesiatym osmym roku po Ladowaniu, w obliczu zblizajacego sie Opadu Nici do tradycji tej przywiazywano jeszcze wieksza wage. Choc Vergerin zaczal prace zaledwie dwadziescia dni przed Zgromadzeniem, widac bylo, ze rzadzi Bitra stanowczo, twardo i sprawiedliwie. Od swych pomocnikow rowniez wymagal wiele, ale byl wobec nich uczciwy. Zaden z nich nie poskarzyl sie na nic, gdy rodzice probowali ich wybadac w przypadkowej rozmowie. Jego pierwsza decyzja na nowym stanowisku bylo rozeslanie jezdzcow do wszystkich, nawet najmniejszych gospodarstw z wiadomoscia, ze Chalkina usunieto z Warowni i ze wszyscy goscie, ktorzy zechca przybyc do Bitry, by swietowac Koniec Obrotu, beda mile widziani. Z wlasnej kieszeni zaplacil za dodatkowe dostawy zywnosci, bo skarbu Chalkina nikt nie odnalazl. Wiadomo tez bylo, ze Lord nie zabral go ze soba na wygnanie. Nadona oswiadczyła, ze nic o tym nie wie i narzekala, ze zostawil ja bez grosza przy duszy.

Uniwersytet zmienil wczesniejsza decyzje i postanowil jednak dac noworoczny koncert w

Bitrze. Na prośbę Vergerina mieli przywieźć egzemplarze Karty, po jednym dla każdego drobnego gospodarza. Zmniejszyło to zapas przechowywany w bibliotece ledwie do kilkunastu egzemplarzy, ale Clisser uznał, że cel jest szczytny. Ponieważ tym razem w programie noworocznego koncertu miała się znaleźć ambitna "Suita o Ladowaniu" Sheledona, w której były wzmianki o Karcie, z pewnością przeczytanie dokumentu pomogłoby słuchaczom lepiej zrozumieć, o co chodzi w tym utworze i w ogóle w całej Karcie. Dzięki temu mieszkańcy Bitry raz na zawsze skończyliby z nieznaną im zapisanych w niej praw.

W tej sytuacji, pierwszym punktem obrad Zgromadzenia było zatwierdzenie Vergerina jako Lorda Warowni Bitra. Nie został zobowiązany do przekazania dziedzictwa swym kuzynom, synom Chalkina i do wykształcenia ich w zarządzaniu posiadłością, choć sumienie wymagało, by zapewnił im dobrą opiekę, wykształcenie i wprowadził w dorosłe życie. Zwolniono go z przyrzeczenia, że nie może mieć legalnych spadkobierców, więc z wielką ulgą sprowadził do Bitry dziewięcioletniego syna i pięcioletnią córkę. Dał także jasno do zrozumienia, że zamierza pojąć żonę, odpowiednią do roli Pani Warowni.

Następnie poproszono Clissera o sprawozdanie z prac nad niezniszczalną, niepodważalną metodą zawiadamiania o Przejściu. Odparł, że uzgodnili z Kalvim wygląd urządzenia, które ma zostać zainstalowane po wschodniej stronie każdej Warowni. Kalwi przytaknął nonszalancko, z mądrami minami, więc Paulin uznał sprawę za załatwioną. Nie życzył sobie podobnych problemów, jakie mieli z Chalkinem! Nigdy więcej! Nadeszła chwila, by raz na zawsze to uniemożliwić.

Rozpoczęła się ożywiona dyskusja nad kwestią utworzenia nowej Warowni o nazwie Crom.

-Słuchajcie, ci ludzie mają zagwarantowane w Karcie prawo do tych działek, a razem stanowi to pokazny kawał ziemi. - Bastom nieoczekiwanie stanął po stronie wnioskodawców. - Niech go sobie nazwa Warownia, czemu nie...

-Tak, ale oni chcą autonomii, a poza tym są zbyt oddaleni od wszystkich innych gospodarstw tam, na wzgórzach - odparł Azury.

-Niech udowodnią, że są samowystarczalni... - Tashvi niechętnie poszedł na ustępstwa. Zrozumiałe, gdyż Telgar również był Warownią gornicza.

-Muszą przestrzegać prawa, tak jak i wszyscy pozostali - oświadczył Paulin bezstronnie. - I zaspokajając podstawowe potrzeby pracowników kontraktowych...

-Nie będa z tym mieli problemu - odparł sucho Azury. - Osiągną niezłe zyski, gdy zaczną dostarczać pierwszorzędne rudy na samym początku Przejścia...

-Może ustalmy okres próbny - zaproponował Bridgely. Wniosek przeszedł.

-Życzę sobie, by każdy z was przekazał swoim gościom na Zgromadzeniu pełne

sprawozdanie z obu procesow i z usuniecia Chalkina - przypomniał im Paulin. - Niech ludzie dowiedza sie prawdy i przestana wysluchiwac najdziwaczniejszych plotek.

-Jak te o kanibalizmie! - Bridgely byl wielce urazony. - To prawda, Chalkin byl sadysta, ale nie przesadzajmy!

-Skad, u diaska, wzily sie te pogloski? - spytal wstrzasniety Paulin. S'nan byl zszokowany i z niedowierzaniem wpatrywal sie w Lorda Ben-denu.

-Pewnie przez te "chlodnie" - odparl z niesmakiem Bridgely.

-To nie my wymyslilismy taka nazwe - wzruszyl ramionami Azury. - Tak, ale lepiej, by nie byly rozpowszechniane - zdenerwowal sie

M'shall. - Fakty sa wystarczajaco okropne i bez wytworow fantazji.

-Za to chcielibysmy, by wszyscy sie dowiedzieli, ze gwalcicielom i mordercom wymierzono natychmiastowa kare- stwierdzil Richud.

-Tak jest! Ale koniec z domyslami - oswiadczył Paulin, wstal i stuknal laska w podloge. - Na tym zamykam pierwsza sesje Zgromadzenia. Zycze wam dobrej zabawy. Spotykamy sie ponownie za trzy dni.

Zamierzal cieszc sie kazda chwila mijajacego roku. Pozostale twarze wyrazaly to samo... mlody Gallian az sie palil do zabawy. Poza sprawa Chalkina, Jamson nie mogl narzekac na rzady syna w Dalekich Rubiezach. A moze szepnac o tym "kanibalizmie" w obecności starego uparciucha? Pewnie zmienilby zdanie na temat usuniecia Chalkina. Thea w dalszym ciagu "niedomagala" i udalo jej sie przekonac meza, by pozostali w Iscie na swieto Konca Obrotu. Dzieki temu byly coraz wieksze szanse, ze sprawa Chalkina nie dotrze szybko do uszu Jamsona.

Koniec Obrotu swietowali wszyscy poza wykonawcami ambitnej "Suity o Ladowaniu". We wszystkich Weyrach, Warowniach i wielkich gospodarstwach miala sie odbyc jej premiera. Clisser desperacko dzielil czas miedzy proby, organizacje dodatkowych wystepow i przygotowywanie zastepstw dla przeziebionych wykonawcow. Poza tym musial jeszcze przygotowywac precyzyjne dane potrzebne do instalacji urzadzenia, ktore wyznaczaloby bliskie nadejscie Czerwonej Planety. Rozdarty miedzy checiami uczestniczenia w probach i pragnieniem obserwowania, jak technicy zakladaja niezniszczalny system ostrzegania przed Nicmi, wybral to drugie. Naturalnie byl jedynie obserwatorem, gdyz dokladnym ustawieniem iglic na wschodnich krawedziach wulkanow w poblizu Weyrow zajmowaly sie zespoly astronomow i inzynierow, do ktorych dolaczyli Przywodcy Weyrow. Clisser wraz z Kalvim i Jemmy mieli ustawic aparat w Bendenie, pierwszym Weyrze z ktorego bedzie mozna zaobserwowac pojawienie sie planety w odpowiednim miejscu. Nastepnie mieli blyskawicznie przeniesc sie na smoczach grzbietach do kolejnych pieciu Weyrow i tam rowniez dokonac instalacji.

Podczas pracy nad bendenska iglica była wymagana szczególnie drobiazgową dokładność na wypadek, gdyby w jednym z pozostałych Weyrow pojawiły się niescisłości. Clisser wprawdzie bardzo w to wątpił widząc, że Kalvi dobiera wszystkie materiały z niezwykłą starannością, ale należało się przygotować na wszelkie ewentualności. Rektor także bezustannie analizował kolejne kroki, dzięki którym urządzenie miało wskazywać pojawienie się Czerwonej Planety. Najpierw należało ustawić na postumencie okrągłe "oko", a potem dodać wskazówkę, czyli palec. Ale oko musiało dokładnie obejmować planetę! Przez cały miniony tydzień prowadzono obserwacje, sprawdzając przed światłem jej pozycję. Teraz potrzebowali tylko bezchmurnego ranka i wyglądało na to, że pogoda, choć mroźna, stanie na wysokości zadania. Niebo nad całym kontynentem było bezchmurne. Miało to szczególne znaczenie w przypadku Bendenu, gdyż w razie konieczności inne Weyry mogłyby skorzystać z tego pierwszego odczytu i wprowadzić niezbędne poprawki.

Kalvi w dalszym ciągu majstrował coś przy modelu, który nazwał Skalnym Okiem. Czerwona Planeta miała się w nim pojawiać o świcie w dzień zimowego przesilenia. Najtrudniej było jednak ustawić wskazówkę w takiej odległości od Oka, by obserwator widział planetę. Kalvi musiał wziąć pod uwagę różnicę ludzkiego wzrostu. Odnaleziono stare rysunki Stonehenge i innych prehistorycznych kregów kamiennych. Natrafili na nie studenci Bethany, którzy pilnie przeszukiwali stosy dawno nie używanych dokumentów. Na szczęście dla Clissera, Sallisha pojechała do Neratu na święto Konca Obrotu, by przypieczętować nowo zawarty nauczycielski kontrakt, więc rektor nie musiał wysłuchiwać jej cierpkich uwag o tym, jak ważny jest ciągły dostęp do starożytnej wiedzy. Przygotował sobie kilka argumentów na wypadek, gdyby dostał od niej list; przecież w sytuacji kryzysowej ktoś sobie jednak przypominał to, co było potrzebne.

Choć ogromnie zmarzł, był zachwycony, że może wraz z innymi czuwać na brzegu bendenskiego krateru przy teleskopach, wycelowanych we właściwym kierunku. Kalvi z Jemmy pracowali przy składaniu poszczególnych części systemu. Inżynier ustawiał punkt obserwacyjny przy wskazniku w taki sposób, by osoba, która oprze podbródek na czubku kolumny, zobaczyła Czerwoną Planetę w obramowaniu Oka, tuż nad horyzontem. Dla pewności należało sprawdzić, czy urządzenie działa tak samo dla osób o różnym wzroście, ale z technicznego punktu widzenia wszystko powinno być w porządku, przynajmniej zdaniem Clissera. Kalvi był najniższy, Clisser najwyższy, M'shall niższy od niego o pół głowy, a Jemmy wzrostem nieco przewyższał Kalwiego. Jeśli wszyscy zobaczą Czerwoną Planetę w Skalnym Oku, dowioda, że system działa prawidłowo.

Właściwie, jego rzeczywista skuteczność zostanie dowiedziona dopiero za dwadzieścia pięćdziesiąt lat, czy coś koło tego, gdy nadejdzie Trzecie Przejście.

Ale i teraz Clisser był rozemocjonowany. Próbowal się rozgrzać, uderzając rękami po bokach. Stopy mu zmarzły, mimo dodatkowych ocieplaczy; nie czuł palców u nóg. Oddech natychmiast przemieniał się w parę, tak gęstą, że mogła przeszkodzić w obserwacjach.

-Aha, nadchodzi - powiedział Kalvi, choć w mdłym blasku przedświt nic nie było widać.

Inżynier spoglądał w przyrządy pomiarowe, nie na niebo.

W chwili później nad dolną krawędź Oka pojawił się czerwony blask. Wydawało się, że pulsuje. Planeta nie robiła wrażenia aż tak dużej - znajdowała się jeszcze w ogromnej odległości, przypominał sobie Clisser. Pomiary przeprowadzone na "Yokohamie" dostarczyły dokładnych danych. Wielkością dorównywała starszej siostrze Ziemi, zwanej Wenus. I była równie niegościnna.

To dziwne, by rzecz tak obojętna jak ciało niebieskie, potrafiła przybrać niedwuznacznie złośliwy wygląd, pomyślał Clisser, jednocześnie przypominając sobie o oddychaniu. Czy jeden z satelitów Sol nie był przypadkiem nazywany "czerwona planeta"? Tak, to był Mars. I słusznie, gdyż nazwano go imieniem boga wojny.

Bardzo odpowiedni kolor także dla planety, która już wkrótce miała zagrozić Pernowi. W jaki sposób tak zarłoczny organizm mógł się rozwinąć na wędrownym ciele niebieskim, które przez większość swej orbity było za daleko od słońca Rukbatu, by powstała tam jakakolwiek forma życia? Naturalnie, wiedział o bardzo dziwnych formach "życia" odnalezionych przez dawnych badaczy przestrzeni. Przecież w końcu trafili na Lud Nathi, by wspomnieć o podobnie okrutnym gatunku!

Jednak badania grzybobodobnego organizmu nie wskazywały na ślad jakiegokolwiek inteligencji. Nerozumny niszczyciel. Rektor westchnął. No cóż, było to w jakiś sposób pocieszające; te stwory przynajmniej nie chciały pozerac wszystkiego wokół - ludzi, zwierząt, roślin i drzew - po prostu taka była ich natura.

Okrutna natura, pomyślał ponuro, przypominając sobie sceny z nagrywanych na żywo wypadków. Powinien zrobić jeszcze jedno - zgromadzić graficzne dowody, pokazujące całą niszczycielską potęgę Nici. Szkice lantiny z bitranskiej granicy wywarły na rektorze piorunujące wrażenie. Tylko szkoda marnować talent chłopca na zwykłe kopiowanie. Kopiować może każdy, lecz niewielu potrafi tworzyć oryginalne dzieła.

Gdy tak rozmyślał, czerwony blask wznosił się ponad brzeg bendenskiego krateru.

-Mam ja! - zawołał Kalvi i dokrecił żelazny pierscien na postumencie. - Dobra nasza. Teraz cement. Szybko. Wy tam, przy Skalnym Palcu. Przyjrzyjcie się planecie. Wszyscy powinni zobaczyć ją w Oku.

Obserwatorzy ustawili się jeden za drugim i po kolei patrzyli na planetę. Kalvi popędził, by się do nich przyłączyć i biegiem wrócił do Skalnego Oka.

-W porządku. Dobrze zamocowaliście? Znakomicie. Energiczny inżynier zwrócił się do M'shalla.

-Przysięgnij mi na miłość do twego smoka, że dopilnujesz, by nikt nie dotykał tego żelaznego pierscienia. To szybkooschnący cement, ale wystarczy minimalne przesunięcie i

wszystko będzie na nic.

-Po naszym odejściu nikogo tu nie będzie - obiecał M'shall, z pewnym zaniepokojeniem przyglądając się żelaznej konstrukcji. Choć wiedział, że jest z żelaza, wyglądała dość krucho, gdy Czerwona Planeta powoli wznosiła się w górę. - Ale zastąpisz to czymś, prawda? Kamiennym blokiem?

-Zastąpię, i nie martw się, że przy tej okazji zmienimy ustawienie. Nie ma mowy - zastrzegł się z jawną bezczelnością, zatarł ręce i uśmiechnął się od ucha do ucha, zadowolony z siebie. - A teraz lecmy na spotkanie kolejnego switu.

-Dobrze, ale może najpierw zjedzmy śniadanie.

-Ha! Nie ma czasu na dogadanie sobie. Ale bardzo dziękuje za kląh - z tymi słowami Kalwi pozbierał narzędzia, podniósł pięć żelaznych pierścieni i machnął ręką na techników, by się pośpieszyli, - Przed nami jeszcze pięć przystanków. Sami tego chcieliśmy. - Rozejrzył się w półmroku przedswitu. - Gdzie smoki?

-Tam - M'shall wskazał na brunatnych jeźdźców i ich bestie, czekające nieco dalej na krawędzi krateru.

-Doskonale. Dzięki, M'shallu - i podzwaniając pierścieniami, które niosł na ramieniu, Kalwi zebrał torby i ruszył niemal biegiem, a reszta zespołu poszła jego śladem. Clisser westchnął i dołączył do grupy.

No cóż, pomyślał, przynajmniej nie odczuje zimna pomiędzy. Między switem w Bendenie a switem w Igenie mieli półtorej godziny, ale później zaledwie pół godziny między Igenem a Ista i Ista a Telgarem, gdzie będzie można trochę zwolnić i zjeść coś gorącego, gdyż od switu w Forcie będzie ich dzielić blisko godzina. Ostatnie na liście były Dalekie Rubieże, co wielce uraziło dumę S'nana. Ale, ze względu na różnicę długości geograficznej, słońce wschodziło w tym Weyrze, najbardziej wysuniętym na pomoc, o czterdzieści pięć minut później. S'nan musiał bez dyskusji przelknąć fakt, że pierwszej instalacji dokonano w Bendenie, położonym na wschód w stosunku do pozostałych siedzib.

Clisser słyszał, że S'nan w dalszym ciągu przeżywa usunięcie Chalki-na ze stanowiska. Nie był wcale najstarszy z sześciu Przywódców Weyrow; to G'don był najbardziej zaawansowany wiekiem, ale nikt nie kwestionował jego zdolności przywódczych. S'nan zawsze był dogmatyczny, nieugięty, dosłowny i małostkowy, ale niekoniecznie oznaczało to, że nie poradzi sobie z Weyrem w czasie Opadów. Clisser westchnął. To problem Weyru, a nie jego. Na całe szczęście. Dość miał własnych żmartwień.

Odpocznie trochę, kiedy skończą prace w Forcie, żeby z nowymi siłami przystąpić do próby generalnej w Wielkiej Sali. Jeśli Sheledon znowu zmienił partyturę podczas jego nieobecności, trzeba będzie mu natrzec uszu. Po tylu poprawkach w końcu nikt nie będzie wiedział, co ma grać. Najpierw premiera, potem szlifowanie dzieła. Rzeczywiście było to

mistrzowskie dzieło Sheledona, Clisser był o tym przekonany.

-Jedziesz ze mną, nauczycielu - powiedział jakiś głos. - Tylko że zamiast tego zaraz zlecisz do krateru!

Clisser otrząsnął się z zadumy.

-Skądże, skądże znowu! - i uśmiechnął się do brunatnego jeźdźcy, który wyciągnął do niego pomocną rękę. Złapał ją i podziękował także smokowi, który nie tylko odwrócił głowę, lecz także unosił przednią łapę, by ułatwić mu wsiadanie. Po chwili był już na grzbiecie wielkiego smoka. Usadowił się wygodnie i zapiał pasy bezpieczeństwa.

-Jestem gotów.

Mimo wszystko jednak westchnął ze strachu, gdy bestia rzuciła się z wysokiego urwiska, prosto w czern Bednenskiej Niecki. Złapał się pasa, by poczuć się bezpieczniej, a potem o mało co nie złamał sobie szczęki o własny mostek, gdy smocze skrzydła zagarnęły powietrze i bestia wystrzeliła w niebo.

Ruszyli na wschód i wkrótce złośliwa czerwień Planety przycmił blask wschodzącego Rukbatu, sprawiając, że stała się ledwie widoczna, niemal anonimowa na błękitniejącym niebie.

Niesamowicie! pomyślał. Muszę to koniecznie zapisać... Wiedział jednak, że nigdy tego nie zrobi. I w ten sposób pernenskiej literaturze oszczędzono kolejnego pamiętnikarza, pocieszył się w myśli. Widział, że jeździec także wpatruje się we wspaniały spektakl. Postanowił, że będzie rozkoszował się tym lotem. Smok skreślił na pomoc, powoli obracając się wokół czubka lewego skrzydła. Niedługo smoki będą odbywać ważniejsze podróże... Clisser wpatrywał się w majestatyczne szczyty Południowego Lancucha Barierowego, pokryte śnieżnymi czapami, które wschodzące słońce pokryło delikatną pomarańczową mgiełką. Ach, co taki lantinię potrafiłby zrobić z tego pejzażu! Nagle, bez ostrzeżenia otoczyła go czarna pustka pomiędzy.

A co będzie, jak sobie zetrzesz palce do kości? - spytał Leopold lantinię.

Malarz do tej pory nie zwracał uwagi na obecność chłopca, gdyż szkicował małe smoczki tak szybko, że rzeczywiście bolał go łokieć, ale ta uwaga przyprawiła go o atak śmiechu. Mimo to nawet na chwilę nie przestał szkicować.

-Nie mam pojęcia. Ale nigdy o czymś takim nie słyszałem, jeśli ci to choć trochę pocieszy.

-Nie mnie, lecz ciebie - odciął się Leopold, przechylając głowę z charakterystyczną dla siebie bezczelnością.

-Wiesz co, będę za toba tęsknił - lantinię z uśmiechem popatrzył na bystrą minę chłopca.

-Pewnie ze tak, skoro przez tyle czasu sluzylem ci jako dodatkowa para raje, nog, a nawet usta - padla natychmiastowa odpowiedz. - Moglbys mnie zabrac ze soba. Przydam ci sie - chlopiec patrzyl proszaco. Szare oczy zacmila mgielka. - Wiem, jak mieszac twoje farby, jak czyscic pedzle, a nawet jak przygotowac drewno albo plotno do portretu - rozpaczliwa prosba poruszylaby serce kazdego.

lantine odkaszlnal i rozczochral geste, czarne wlosy chlopca.

-A co z twoim ojcem?

-Z nim? On sie przygotowuje do Opadow Nici.

Kilka dyskretnych pytan zadanych Tishy ujawnilo, ze ojcem Leopola byl spizowy jezdziec C'lim, a matka umarla wktotce po porodzie. W Weyrze jednak wszystkie dzieci byly kochane na rowni i na rowni karcone, jesli zaistniala po temu potrzeba.

-Prawie wcale nie zwraca na mnie uwagi.

Nic dziwnego, pomyslal lantine, bo i Leopold o niego niewiele dba, tylko chodzi za mna jak cien. - A Tisha?

-Ona? Bedzie matkowac komus innemu.

-Dobrze, poprosze o to, ale pewnie cie nie puszcza. Jezdzczy uwazaja, ze Naznaczysz spizowego smoka, jak tylko dorosniesz.

Leopold jednym wzruszeniem ramion zbyl te wizje wlasnej przyszlosci. Dzień dzisiejszy byl dla niego stokroc wazniejszy niz to, co mialo sie zdarzyc za trzy, cztery lata.

-Naprawde musisz tam jechac?

-Naprawde musze. Istnieje calkiem powazne zagrozenie, ze naduzyje goscinnosci tego Weyru.

-Alez skad - Leopold znaczo popatrzyl w strone jeziora, gdzie weyrzatka jak zwykle kapaly swoje smoki. - Poza tym, nie narysowales jeszcze wszystkich jezdzczy.

-Trudno, Leo. Musze namalowac portrety lordowskiej pary Bendenu... winien im to jestem od chwili, gdy rozpoczałem nauke u mistrza Domaize.

-A kiedy skonczysz, to zaraz wrocisz do nas? Jeszcze nie przemalowales Chalkina, zeby wygladal tak, jak naprawde, wiesz? A poza tym mamy tu dosc miejsca, nikomu nie przeszkadza taki gosc jak ty - gleboki smutek zupełnie odmienil rysy chlopca. - I wiesz co? Debera bardzo by chciala, zeby zostal.

W spojrzeniu lantine'a malowal sie gniew.

-Leopol! - powiedział ostrzegawczym tonem.

-Oj ej ej - chłopak wiercił dołek w piasku czubkiem buta - przecież wszyscy wiedza, że ci się podoba, a dziewczyny twierdza, że ona też ma do ciebie słabość. Jedynym problemem jest Morath. Ale wcale nie musi tak być. Jak tylko zaczniesz latać, dostanie własny weyr, a wy będziecie mieli trochę intymności...

-Intymności? - lantine wiedział, że Leopol jest nad wiek rozwinięty, ale...

Chłopiec przekrzywił głowę i przezornie ukrył uśmiešek.

-W Weyrach zawsze tak jest. Wszyscy wiedza wszystko o wszystkich.

lantine jednocześnie odczuł irytację, ulgę na wieść o uczuciach Debery i rozbawienie, że starannie ukrywane zainteresowanie dziewczyna okazało się oczywiste dla wszystkich. Nie sądził, że kiedykolwiek pokocha jakąś dziewczynę tak bardzo, by jej nieobecność sprawiała mu fizyczne cierpienie, że w nocy będzie spędzał bezsenne godziny, roztrzaskując nawet najkrótsze rozmowy, że będzie łowił uchem dźwięk znajomego głosu w zatłoczonej jaskini, że będzie musiał wycierać gumką scenki przedstawiające wyimaginowane spotkania, które jego ołówek kreślił bez udziału świadomości. Starał się nie spuszczać z oka szkicownika, gdyż było w nim o wiele za dużo portretów Debery - i Morath, wszechobecnej Morath. Smoczyca też go lubiła. Wiedział o tym, bo sama mu powiedziała.

Właściwie, to była pierwsza zachęta. Wysiłał umysł, by odgadnąć, czy to oznacza, że Debera zwróciła na niego uwagę. Zapytał o smoczą mowę jednego z jeźdźców, którego właśnie szkicował, udając, że tylko grzecznościowo porusza taki temat, zresztą i tak bliski sercu jego modelu. Okazało się, że smoki mogą rozmawiać z kim tylko zechcą i zwykle robią to z sobą tylko znanych powodów, nie zawsze wyjaśniając je jeźdźcom. Czasem zaś działają w porozumieniu z jeźdźcą. Żaden z pozostałych smoczków, nawet zielonych, z którymi lantine niemal się zaprzyjaźnił, nie próbował do niego mówić. Liczyła się tylko Morath. Wyrosła i stała się największą zieloną smoczycą z tego Wylegu... Nie udzieliła jednak żadnych wyjaśnień. Zresztą lantine o nic nie pytał. Po prostu ukrył w sercu niezwykle wyróżnienie, jakim była rozmowa z nią.

Kiedys poprosiła, by pokazał jej szkicownika. Zauważył, że notes odbija się w każdej z fasetek smoczego oka. Były błękitnozielone, czyli w normalnym kolorze i wirowały powoli.

-Czy coś widziałas?

Tak. Kształty. Rysujesz kształty w notesie ta rzecz, która masz w reku?

-Tak. Ciekawe, ile smok może zobaczyć tak zbudowanym okiem? Pewnie to się przydaje, kiedy Nici zaczyna opadać ze wszystkich kierunków. Ponieważ smocze oko nieco wystaje, otrzymuje także obrazy z nad czaszki. Doskonale zaprojektowane. No cóż, smoki rzeczywiście zostały zaprojektowane, choć w obecnych czasach nikt nie potrafi posługiwać

sie inzynieria genetyczna. Inna rzecz hodowac zwierzeta, by uzyskac pozadane cechy, a inna, zaczac od jednej komorki i stworzyc calkowicie nowe zwierze. - Podoba ci sie ten, na ktorym Debera smaruje cie olejkiem?

Wyglada jak Debera. Wyglada jak ja? W kontralcie Morath pojawila sie nuta zalosnego zdziwienia. Wtedy wlasnie lantine zdal sobie sprawe, ze glos smoczycy brzmi bardzo podobnie do Debery. To logiczne, przeciez obie sa praktycznie nierozlaczne, pomyslal.

Nierozlaczne! To wlasnie najbardziej go niepokoiło. Wiedzial, ze jego milosc do glosu Debery jest niezmienna, ale emocjonalne resztki po Morath nigdy nie zrownowaza sily jego uczucia. Czy tak musi byc? Przeciez on rowniez bez reszty zaangazowal sie w prace. Czy moze winic dziewczynę za podobne zauroczenie? Naturalnie, kochac smoka a kochac malowanie - to dwie rozne rzeczy. Ale czy na pewno?

Moze to i dobrze, ze po Koncu Obrotu jade do Bendenu, zdecydowal, wsunal olowek za ucho i zamknal szkicownik. Moze jesli stracez oczu Debere i Morath, usuna sie takze z mych mysli i serca... wtedy ta wiez nieco oslabnie.

-Masz juz gotowy stroj na Koniec Obrotu? Moze trzeba go wyprasowac albo cos poprawic? - spytal Leopold proszaco.

-Wczoraj wszystko przygotowales, a ja przeciez nic nie ruszalem - odparl i znow pogladzil chlopca po gestych wlosach. Otoczył ramieniem jego szczuple plecy i popchnal go do kuchni - Chodzmy cos zjesc.

-Nie ma duzo do jedzenia - powiedzial Leopold, niezadowolony. - Wszyscy sie szykuja na wieczor.

-Szykuja sie juz od tygodnia - zwrocił mu uwage lantine. - Ale na pewno jest chleb i jakies wedliny.

-Phi!

Malarz zauwazyl jednak, ze Leopold bez specjalnego obrzydzenia zrobil sobie kilka kanapek ze wszystkim, co bylo pod reka, przyniosl tez dwa kubki zupy i dwa jablka. Bez obrzydzenia takze zabral sie do jedzenia, choc aromaty dochodzace z piecow - napalono pod wszystkimi - byly bardziej kuszace, niz poludniowy posilek. lantine postanowil dobrze sie zabawic wieczorem.

W tym momencie Leopold, z oczyma rozszerzonymi podnieceniem, wyskoczyl zza stolu:

-Patrz! Patrz! Przyjechali muzykanci!

lantine wyjrzał na zewnatrz i zobaczyl, jak artysci zsiadaja z szesciu smokow. Smiali sie i pokrzykiwali, gdy ostroznie podawano im z gory instrumenty i zrzucano worki podrozne.

Tisha majestatycznie wyszła przed jaskinie wraz z pomocnicami i wkrótce już wszyscy siedzieli przy stolach, zającąc bardziej wyszukane dania, niż kanapki i zupa. Leopold, ten zdrajca, oczywiście siedział już wśród nich i zaczął się potężnym kawałem lukrowanego ciasta. Lantine znalazł dobre miejsce pod ścianą, zaostrzył ołówek nożem i otworzył szkicownik. Te sceny należało utrwalic. Jeśli teraz namaluje ich wszystkich, może wieczorem, podczas koncertu, nie będą go swędziały palce. Pracując przypominał sobie, że Telgar miał doskonałych muzyków, którzy na święto Konca Obrotu wracali do domu, niezależnie od wiążących ich kontraktów. Ach, skończy ten szkic i wystarczy pracy na dzisiaj!

Naturalnie, stało się inaczej. Ale przecież nigdy nie potrafił się powstrzymać przed rysowaniem fascynujących scenek i ważnych chwil. Tym bardziej że nie mógł przecież rozstać się ze szkicownikiem - a nóż ktoś by do niego zajrzał? Poza tym, kiedy rysował, miał zajęte dłonie i nie musiał ich pilnować, by nie wedrowały w okolice ramion Debery, albo nie brały jej za reke. Praca była też wymówką, zawsze mógł przecież przeprosić, że pochłonięty rysowaniem nie zauważył, jak przysuwa się do niej za blisko, albo styka udem lub ramieniem. Przecież był taki zajęty, w ogóle nie zwracał uwagi na to, co się dzieje wokół niego.

Gdyby Debera uznała to za niepokojące czy nieprzyjemne, zawsze mogła odsunąć nogę, albo usiąść nieco dalej na ławie. Wyglądało na to, że nie przeszkadza jej dotyk Lantine'a, który starał się uchwycić taką, czy inną pozę artystów. Naprawdę jednak był cały czas świadomy jej bliskości i kwiatowych perfum, które nie do końca ukrywały zapach nowości, jaki rozciągała jej słodka, bladozielona sukienka. Do twarzy było jej w tym kolorze i doskonale o tym wiedziała: łagodny odcień młodych, wiosennych liści pięknie kontrastował z jej cerą. Angie zdradziła mu, jaki kolor będzie miała świąteczna sukienka Debery, więc kupił sobie ciemnozieloną koszulę, żeby pasowali do siebie. Podobało mu się, że upięła włosy w grubą koronę wokół głowy i wplotła w nie bladozielone wstążki, których konce luźno opadały na plecy. Miała nawet zielone pantofelki. Ciekaw był, czy później będzie grać do tańca, przecież zawsze tak bywa na święcie Obrotu. Chociaż, może tym razem nie będzie to pasowało do "Suity o Ladowaniu". Pochylił się, żeby poprosić o kilka tańców, ale uciszyła go.

-Wysłuchaj się w słowa - szepnęła cichutko, wskazując na szkicownik. - Są równie piękne, jak muzyka.

Znowu spojrzał przed siebie i nagle zdał sobie sprawę, że na scenie są także śpiewacy. Czy tak go pochłonięto towarzyszenie Deberze samej, bez Morath?

Jestem tutaj. Ja też słucham muzyki.

Niemal podskoczył, słysząc niespodzianie w głowie głos smoczycy. Przelknął ślinę. Czy ten smok zawsze będzie czytać w jego myślach?

Zadał to pytanie również w myśli, ale nieco głośniej. Odpowiedzi nie było. Czy dlatego, że

na takie pytania sie nie odpowiada? A moze jest tak oczywista, ze nie trzeba jej udzielac?

Morath wcale nie wygladala na nieszczesliwa, dowiedziawszy sie, jaka radosc sprawia mu bliskosc Debery. Byla zadowolona, ze jest z nimi i slucha. Smoki lubily muzyke.

Spojrzal przez ramie na Niecke i wzdluz wschodniej krawedzi ujrzal wiele par smoczyc oczu. Wygladalo to, jakby ktos porozwieszal na calej scianie, naroznych wysokosciach, okragle, niebieskozielone latarnie. To smocza publicznosć przysluchiwała sie wystepom.

Poslusznie zaczal sluchac slow i po chwili wciagnela go dramatyczna opowiesc, choc znal ja od dzieciinstwa. Muzycy nazwali ja "Suita o Ladowaniu"; teraz spiewali o rozstaniu kolonistow z wielkimi pojazdami kosmicznymi. Glos tenora wzniosl sie w smutnym pozegnaniu statkow, ktore juz na zawsze pozostana na orbicie nad punktem Ladowania, lecz korytarze ich beda puste, nikt nie stanie na mostku, pod kopulami nie odezwie sie echo. Spiewak z nieslychana sprawnoscia kontrolowal oddech i w koncu pozwolil ostatniej nucie ucichnac, jakby zawisla w niezmiarzonej przestrzeni miedzy statkami a planeta.

Nastapila chwila pelnej podziwu ciszy, a potem wybuchly brawa, na ktore solista rzetelnie zasluzył. Iantine pospiesznie go naszkicowal, jak sie klania przed powrotem w szeregi choru.

-Och, Ian, byl cudowny - powiedziala Debera, wyciagajac szyje, zeby zobaczyc rysunek. Nie przerywala klaskania, a oczy jej blyszczaly. - Bedzie zachwycony tym portretem.

Iantine raczej w to watpil, udalo mu sie jednak usmiechnac, ukrywajac uklucie zazdrosci, ze ktos inny poza nim wzбудzil zainteresowanie Debery.

Ona lubi ciebie, Ian, powiedziala Morath, jakby z wielkiej odleglosci, choc siedziala wsrod innych, nielotnych jeszcze smoczatek, na dnie Niecki

Ian? powtorzyl, zaskoczony. Jezdzczy powiedzieli mu, ze choc smoki czasem rozmawiaja nie tylko ze swoimi jezdzcami, bardzo rzadko zapamietaja ludzkie imiona. To Morath zna moje imie?

A dlaczego nie? Ciagle je slysze, odpowiedziala, nieco urazona. Pewnie nigdy sie nie dowie, ile znacza dla mnie te slowa, pomyslal Iantine, i nabral tyle powietrza, ze az piers mu sie wydela. Teraz, kiedy uda mu sie byc z nia sam na sam...

Ona nigdy nie jest sama, jest moja jezdzczy. Zdusil jek, by nie uslyszala go ani smoczycy, ani jezdzczy i postaral sie z calych sil sciesnic mysli na samym dnie glowy. Czy to ma sens, zaczal sie zastanawiac... i przez reszte koncertu staral sie utrzymac dystans miedzy soba a Debera.

Nie poswiecil wiele uwagi drugiej i trzeciej czesci suity, ktore doprowadzaly wydarzenia do chwili obecnej. Cyniczny glosik w jego myslach zauwazyl, ze nie wspomniano o usunieciu

Chalkina, ale przecież to zdarzyło się bardzo niedawno i kompozytor ani autor libretta nie mieli pojęcia o tym, że wydarzenia przyjma taki obrot. Ciekawe, czy ten incydent przejdzie do historii. Chalkin byłby zachwycony. Może właśnie dlatego wszyscy postarają się o tym zapomnieć. To będzie dla niego ostateczna kara: odejdzie w zapomnienie.

Po zakończeniu suity zaproszono wszystkich na kolację. Szybko i sprawnie ustawiono stoly i krzesła, ale w zamieszaniu zgubił gdzieś Debere. Przeraził się i uswiadomil sobie, że nie jest w stanie oderwać od niej mysli, nawet na krotka chwile. Gdy się odnalezi w tłumie, jego dlon powedrowala ku niej rownie szybko, jak jej dlon ku niemu i trzymajac się za rece staneli w kolejce po jedzenie.

Znalezi w koncu wolne miejsca przy jednym z dlugich blatow, opartych na koziolkach. Wszyscy rozmawiali o muzyce, spiewakach i orkiestracji, zadowoleni, że znalezi się w Weyrze, ktoremu zawsze dawano pierwszenstwo. Naturalnie, muzyka na Pernie byla bardzo wazna. Instrumenty i melodie przywiezli Ojcowie Zalozyciele ze starej ojczyzny, a o rozwoj tej sztuki troszczyl się nie tylko Uniwersytet, lecz także wszystkie Weyry i Warownie. Wszystkie dzieci potrafily czytac nuty; zachecano je do nauki gry przynajmniej na jednym instrumencie, a nawet na dwoch albo trzech. Tylko w bardzo biednych gospodarstwach nie znalazlaby się gitara, dudy albo chociaz bebenek, by ozywic dlugie zimowe wieczory i umilic swieta.

Jedzenie bylo bardzo dobre, choc lantine musial się skoncentrowac, by poczuc jego smak. Wszystkimi zmyslami chlonal bliskosc Debery. Dziewczyna byla niezwykle ozywiona i chetnie rozmawiala z sasiadami przy stole, szczegolowo omawiajac poszczegolne partie wokalne i instrumentalne, jak rowniez linie melodyczne, ktore jej się szczegolnie spodobaly. Zarumienila się i oczy jej blyszczaly. Nigdy jeszcze nie widzial jej tak radosnej. Zreszta on sam tez byl w doskonalym nastroju, niemal bez tchu oczekujac chwili, gdy zaczną się tance. Bedzie ja wtedy mogl wziac w ramiona i miec blisko przy sobie, nawet blizej, niz teraz. Nie mogl się tego doczekac.

Ale naturalnie, musial zdobyc się na cierpliwosc, gdyz jak zwykle w Pierwszy Dzień podano lody, specjalny, tradycyjny deser, na ktory wszyscy mieli apetyt. Tym razem byly owocowe, pachnace smietanka, smakowite, aromatyczne, z malenkimi kawaleczkami miazszu. Sam nie wiedzial, czy ma jesc powoli, ryzykujac, że się roztopia, bo w dolnej jaskini bylo bardzo cieplo, czy tez lykac twarde, zimne kesy. Spozrzegl, że Debera je szybko, wiec i on wybral ten sposob.

Po posilku usunieto stoly i poodsuwano krzesła pod sciane, robiac miejsce do tanca. Muzycy utworzyli male zespolo instrumentalne, ktore mogly się zastepowac, tak by muzyka grala bez przerwy, i zabrali się za strojenie instrumentow.

Gdy wszystko bylo gotowe, K'vin zaprosil do tanca Zulaye. Prezentowala się wspaniale w czerwonej brokatowej sukni, w ktorej pozowala do portretu. Rozpoczeli tance zgodnie z tradycja. lantine zlapal się na mysli, że chetnie naszkicowalby te szlachetna pare, ale ukryl

notes w piramidzie stolow. Mogl tylko starac sie zapamietac szczegoly. Nigdy do tej pory nie widzial, by Zulaya byla tak zalotna, a K'vin traktowal ja z niezwykla galanteria. Iantine zauwazyl, ze niektorzy jezdzyca wymieniaja miedzy soba jakies spostrzezenia, obserwujac pare Przywocow, ale nie slyszal, o czym mowa. Moga przypatrywac sie do woli, to nie moja sprawa, skarcil sie w mysli.

Nastepnie dowodcy skrzydel poprowadzili swe partnerki do tanca, a po trzech zwrotkach melodii dolaczyli do nich zastepcy. Potem Tisha wraz z Maranidem, lekarzem Weyru, zaczeli zataczac wdzieczne kregi wsrod tancerzy. Skonczyl sie pierwszy taniec i teraz wszyscy mogli juz sie bawic przy wtorce muzyki. Rozlegla sie skoczna przygrywka.

-Zatanczysz ze mna, Debero? - Iantine sklonil sie oficjalnie. Debera, z blyszczacymi oczyma, wysoko uniesiona glowa i usmiechem tak szerokim, ze niemal dzielil jej glowe na pol, przysiadla w dworskim dygu.

-Mialam nadzieje, ze mnie zaprosisz, Iantine!

-Ja zamawiam nastepny! - zawolal Leopold, pojawiajac sie niespodziewanie obok. Patrzyl na Debera nienormalnie blyszczacymi oczyma.

-Czy moze udalo ci sie wycyganic gdzies troche wina? - spytal podejrzliwie Iantine.

-Nikt nie chcial mi dac - poskarzyl sie chlopiec z uraza w glosie.

-Nie ma takiej rzeczy, ktorej bys nie umial zdobyc na wlasna reke, jesli opiekunowie ci odmowia, Leo - stwierdzila Debera. - Mimo to zatancze z toba. Ale pozniej.

Z tymi slowy weszla w krag tanczacych, a Iantine odprowadzil ja od . chlopca najszybciej, jak potrafil.

-Jest nad wiek rozwiniety, nawet jak na dziecko z Weyru - skomentowala Debera, uniosla ramiona i znalazla sie w objeciach Iantina.

-Nie da sie ukryc - odpowiedzial. Nie chcial jednak rozmawiac o Leopoldu w chwili, gdy prowadzil jej szczupla, silna postac posrod innych par, az na drugi koniec jaskini, daleko od chlopca.

-Dobrze wiesz, ze i tak bedzie chodzil za nami, az z nim zatancze - stwierdzila z usmiechem.

-A, to jeszcze zobaczymy - odparl i mocniej objal jej mocne, drobne ramiona zaborczym gestem.

Czy ja tez bede mogla tanczyc, jak urosne? Uslyszal wyraznie pytanie zielonej smoczycy.

Zaskoczony, spojrzal na Debera i po usmiechu, czajacym sie w jej oczach poznal, ze

Morath przemowila do nich obojga.

-Smoki nie tancza- odpowiedziala dziewczyna czulym glosem. Iantine zauwazyl, ze do Morath zwracala sie zawsze specjalnym, serdecznym tonem.

-Ale za to spiewaja - dodal, zastanawiajac sie, czy kiedykolwiek uda mu sie wylaczyc Morath z rozmowy na tak dlugo, by zdazyl napomknac o nich.

Nie, zawsze bede sluchac tego, co mowisz, odezwal sie w jego myslach glos smoczycy, brzmiacy niemal tak samo, jak Debery.

Iantine skrzywil sie. Jak u licha w tej sytuacji ma zdobyc sie na rozmowe w cztery oczy ze swa ukochana.

No, to nie bede sluchac, powiedziala Morath z zalem.

-Ile czasu bedziesz w Bendenie, Ian? - spytala Debera.

Ciekaw byl, czy Morath znowu mowila do nich dwojga, ale postanowil nie pytac. W ogole nie chcial rozmawiac o wyjeździe, a tym bardziej nie z Debera. Przeciez dziewczyna byla najwazniejszym powodem, dla ktorego wcale nie pragnal ruszac sie z Telgaru.

-Ach - powiedzial beztrosko - chcialbym wykonac dobra robote dla Lorda i Lady Bridgely. Wiesz, zaplacili za moje wykształcenie i duzo im zawdzieczam.

-Dobrze ich znasz?

-Ja? Nie, moi rodzice maja gorskie gospodarstwo.

-Moi tez mieli. - Mieli?

Zasmiala sie, skonsternowana.

-Nie rozmawiajmy o rodzinach.

-To moze zamiast tego porozmawiamy o nas - zaproponowal i natychmiast skarcil sie w myslach za szlampowa odpowiedz.

Twarz dziewczyny spochmurniala.

-Powiedzialem cos zlego? - opiekunczo otoczył ja ramieniem. Miala taka zalosna mine.

Niepokoi sie czymś, co Tisha wczoraj mowila weyrzatkom. Wiem, ze mialam sie nie wtracac, ale czasem trzeba.

-Alez skadze - odpowiedziala jednoczesnie tak, ze nie wiedzial, ktora z nich co mowi. Ich

głosy brzmiały niemal tak samo.

-Ale coś cię niepokoi?

Nie odpowiedziała od razu, tylko mocniej zacisnęła dłoń na jego ramionach.

-No, już, Deb - spróbował pogodniejszego tonu - przecież wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć.

-Właśnie o to chodzi. - Spojrzała na niego dziwnie.

-Ale o co?

-Chcesz ze mną rozmawiać, tańczysz tylko ze mną i...

-Aha - nagle zrozumiał, o co chodzi. - Tisha wygłosiła wam wykład pod tytułem "nie zrobicie w święta Konca Obrótu czegoś, czego później będziecie żałować", prawda? - spytał. Popatrzyła mu w oczy, zaskoczona. Odpowiedział jej uśmiechem. - Sam też parę razy musiałem czegoś takiego wysłuchać.

-Ale z jeźdźcami smoków jest trochę inaczej. Szczególnie z jeźdźcami zielonych, bardzo niedojrzałych smoczyce - powiedziała, po czym spojrzała z przerażeniem, jakby nie zamierzała być aż tak bezpośrednia. - Ojej...

Przytulił ją mocniej, choć się opierała i zaśmiał się cicho. Wszystkie niby to przypadkowe pytania, zadawane różnym jeźdźcom złożyły się na odpowiedź wyjaśniającą to, czego nie powiedziała Debera.

-Zielone smoki są... jakby to powiedzieć łagodnie? Pełne życia, kochające, chętne, nieraz trąca na tym, że są takie przyjazne...

Wpatrywała się w niego, policzki jej czerwieńiały, w oczach pojawił się gniew, a ciało zaczęło się opierać rytmowi tańca. Właśnie mijali wyjście, z którego korytarz wiodł do magazynów Weyru. Poprowadził ją w tamtą stronę, mimo że się opierała i powiedział przekonywająco, ze zrozumieniem:

-Masz młodą, zieloną smoczyce, która jest jeszcze za młoda na jakiegokolwiek przeżycia erotyczne. Ale, moim zdaniem, pocałunek jej nie zaszkodzi, a ja muszę cię pocałować chociaż raz, zanim wyjadę do Bendenu.

W chwili, gdy zetknęły się ich usta, choć Debera się opierała, poczuli, jakby przeskoczyła między nimi iskra elektryczna. Nie mogła się temu nie poddać, nawet ze względu na niewinność Morath.

W końcu oderwali się od siebie, bez tchu, tylko na tyle, by nabrać powietrza w płuca. Tulila

sie do niego bezsilnie, a lantine zdolal utrzymac sie na nogach jedynie dlatego, ze wspieral sie o sciane.

Wiecie co, to bylo bardzo przyjemne.

-Morath! - Debera natychmiast sie wyprostowala, choc dalej mocno obejmowala go za szyje i ramiona. - Och... kochanie, co ja zrobilam?

-Jej to nic, popatrz na mnie - odparl drzacym glosem lantine. - Nie wyglada na zaniepokojona, prawda?

Debera odsunela sie i podniosla na niego wzrok. Nigdy jeszcze nie wygladala tak slicznie, pomyslal.

-Slyszales Morath? - Nnno, tak...

-To znaczy, ze nie po raz pierwszy? - zdziwila sie jeszcze bardziej.

-Mmm. A do tego, ona mowi do mnie po imieniu - powiedzial wprost, wiedzac, ze to moze zaniepokoić Deberę. Musial jednak byc szczery.

Oczy Debety jeszcze sie rozszerzyly, a jej twarz zbladla, nawet w przycmionym swietle zarow w korytarzu. Oparla sie o niego, wyraznie przerazona.

-Och, co ja mam teraz zrobic?

Pogladzil ja po wlosach, szczesliwy, ze nie uciekla. Wtedy wszystkie jego nadzieje leglyby w gruzach.

-Nie sadze, by Morath zaniepokoil sie jednym malym calusem - powiedzial lagodnie.

-To mial byc maly calus? - spojrzala bez wyrazu. - Nigdy w zyciu tak sie nie calowalam.

-Ja tez nie - rozesmial sie lantine. - Mimo ze ty mnie nie pocalowalas w zamian - przytulil ja, wiedzac, ze minal krytyczny moment. - Debero, musze ci cos powiedziec. Kocham cie. Ciagle o tobie mysle. Twoja twarz i... Morath - dodal taktownie i zreszta szczerze - pojawiaja sie na marginesach wszystkich moich rysunkow. Bede za toba tesknil tak, jak... jak ty tesknilabys za Morath.

Wstrzymala na chwile oddech, nie chcac nawet brac pod uwage takiej mozliwosci.

-lantine, co moge na to odpowiedziec? Jestem jezdzcem smoka. Wiesz, ze Morath jest dla mnie zawsze na pierwszym miejscu - powiedziala lagodnie i pogladzila go po policzku.

Kiwnal glowa. - Tak powinno byc - odpowiedzial, choc calym sercem pragnal byc jednym obiektem jej uczucia.

-Ciesza sie, ze o tym wiesz, ale Ian... ja nie wiem, co czuje do ciebie, oprócz tego, ze podobal mi sie ten pocalunek - spogladala czule, ale jednoczesnie odwracala wzrok. - Nawet sie ciesze, ze mnie pocalowales. Wlasciwie, chcialam wiedziec... - powiedziala nieco zawadiacko, ale wciaz niesmialo.

-Wiec moze cie znowu pocalowac? Dotknela dlonia jego piersi.

-Nie tak szybko, Iantine! Nie tak szybko. Ze wzgledu na mnie, nie tylko na Morath. Bo... - przerwala na chwile i wyrzucila z siebie gwaltownie nastepne zdanie - bo ja tez bede za toba tesknila prawie tak... prawie tak, jak za Morath. Ja nie wiedzialam, ze jezdziec moze czuc cos takiego do innego czlowieka. Cos tak podobnego. Wiec - mocniej oparla reke na jego piersi, bo znow chcial ja pocalowac, slyszac takie slowa-wiec nie moze ci szczerze powiedziec, ze to wszystko nie jest spowodowane wplywem Morath, bo ona tez cie bardzo lubi.

Wcale nie jest, stanowczo odparla Morath, nawet z pewna uraza w glosie.

-Ona mowi... - zaczela Debera, ale Iantine przerwal jej: - Slyszalem.

Oboje sie rozesmiali i zmyslowe napiecie miedzy nimi zmalalo. Natychmiast z tego skorzystal i pocalowal ja lekko, by udowodnic, ze naprawde rozumie, co sie dzieje z Morath i ze potrafi sie powstrzymac. Wczesniej czesto wypytywal jezdzcow o ich układy uczuciowe, tak dokladnie, jak na to pozwalala przyzwoitosc. To, czego sie dowiedzial, bylo jednoczesnie niepokojujace i zadowalajace. Związki te byly o wiele bardziej skomplikowane, niz sadzil. Układy miedzy jezdzcami a zwyklymi mieszkancami Weyrow nieraz stawaly sie niezwykle splatane, a najgorzej bywalo w przypadku zielonych smokow, naladowanych emocjami i bardzo pobudliwych.

-Chyba mam szczescie, ze ona do mnie mowi - odezwal sie po chwili Iantine. - Posluchaj, kochanie, powiedzielismy sobie wszystko. Slyszalem takze, co sadzi o tym Morath i mysle, ze mozemy na tym poprzestac. Ja musza jechac do Bendenu, a Morath musi... dorosnac - delikatnie uscisnal dziewczynie. - Jesli ktos bedzie na mnie czekal, tu w Weyrze, to wroce. Bedzie czekal?

-Pewnie, ze bedzie - potwierdzily jednoczesnie Debera i Morath.

-Wiec teraz - pocalowal ja lekko i udalo mu sie odsunac w chwili, kiedy emocje juz mialy zawrocic im w glowie - bedziemy tanczyc, tanczyc i jeszcze raz tanczyc. To nie powinno nam przyczynic klopotow, prawda?

Naturalnie, jeszcze nie skonczyl zdania, a juz wiedzial, ze bedzie musial wykazac sie niezwykla samokontrola, majac te dziewczynie tak blisko przez cala noc.

Usta go piekly, gdy prowadzil Debere z powrotem do jaskini, cieszac sie ufnym usciskiem jej dloni. Objal ja, ale taniec wlasnie sie skonczyl, wiec tylko raz zawirowali dokola.

Ponieważ czuł się o wiele pewniej, pozwolił Leopoldowi na jeden krótki taniec, bo w przeciwnym wypadku chłopiec nie dalby im spokoju. Poza tym jedynym ustępstwem tanczyli z Debera przez całą noc, utrwalając nowo powstałą wież. Tanczyli, aż wreszcie strudzeni muzykanci ogłosili koniec zabawy.

Był nieszczęśliwy, myślał o rychłym rozstaniu, szczególnie teraz, gdy się porozumieli - na swój sposób - ale nic na to nie mogli poradzić. Obowiązek wzywał go do bendenskiej Warowni.

Rozdział XV

Nowy Rok 258 po Ladowaniu;

Uniwersytet, Warownia Benden,

Weyr Telgar.

Pierwszego roboczego dnia nowego roku 258 P.L., czyli Po Ladowaniu, Clisser zaczął rozmyślać nad minionymi czterema dniami świąt. Czasem trzeba było się spieszyć, czasem bywały wyczerpujące, mimo precyzyjnych planów i wcześniejszego doświadczenia... a jednak najważniejsze koncerty - "Suita o Ladowaniu" pierwszego dnia oraz Piosenki i Ballady Instruktazowe drugiego dnia - poszły bardzo dobrze, o wiele lepiej, niż się spodziewał po tak niewielu próbach. Niektórzy muzycy nie mogli poświęcić nauce zbyt wiele czasu, i to się dało zauważyć: na przykład tenor z Fortu nie dopracował swojego wielkiego solo... nie pozwolił do końca wybrzmieć ostatniej nucie. Sheledon, ze swego miejsca wśród drewnianych instrumentów dętych, pieścił się z wściekłości. Sam by to zaśpiewał, ale nie miał głosu. No cóż, Sheledon nie dopatrywał się błędów jedynie w śpiewie Sydry, która i tym razem okazała się wspaniałą, jak zawsze. Fletowe solówki Bethany brzmiały cudownie i doskonale harmonizowały z głosem Sydry. Paulin niemal po każdym solo zrywał się na równe nogi, a po części finalowej demonstracyjnie ocierał łzy z oczu. Chyba nawet staremu S'nanowi występy się podobały. Clisser był zadowolony z reakcji publiczności. Miał nadzieję, że oba koncerty spodobały się również w innych miejscach na kontynencie. Włożono w nie wiele ciężkiej pracy, co było tym cenniejsze, że wykonawcy naprawdę mieli mało czasu.

Piosenki i Ballady Instruktazowe tak zachwyciły publiczność, że następnego dnia wiele osób nucilo pod nosem niektóre melodie. Kompozytorom właśnie o to chodziło. Na szczęście gustom słuchaczy na równi odpowiadała chwytliwa muzyka napisana przez niego samego, Jemmy'ego i Sheledona. Sam się przylapał na nuceniu refrenu z Piosenki o Powinnościach. Ta była chyba najlepsza. Wreszcie nie trzeba będzie marnować czasu na kopiowanie Karty, bo młodzież nauczy się wszystkiego na pamięć. Nauczyciele sami przepisywali słowa piosenki na swoje potrzeby, potem podyktują je uczniom i w konsekwencji pracownicy Uniwersytetu będą mieli o wiele mniej pracy.

Naprawde, zespol Kalwiego musi wreszcie zaczac projektowac prase drukarska. Udalo im sie wymyslic calkiem sporo urzadzonych napędzanych energia sloneczna, wiec moze i to osiagna? Ale do druku potrzebny jest papier, a lasy przez nastepnych piecdziesiat lat beda zagrozone, niezaleznie od wysilkow Weyrow, ktore zajma sie ich ochrona ze szczegolna troska.

Jedno pasmo Nici moze zniszczyc cale akry drzewostanu, zanim zalogi naziemne dotra na skazony teren.

Westchnal. Szkoda, ze juz nie dziala przetwornia odpadow organicznych na tworzywa sztuczne... niestety, jedyny egzemplarz przechowywany w magazynach Fortu zardzewial w czasie tej samej powodzi, ktora zniszczyla tyle innych rzeczy.

-Zycie osadzac, nie nasza to rzecz - zacytowal w myslach. - Powinienem wyryc gdzieś te stara sentencje, zebym zawsze pamietal, ze mamy to, co mamy i musi nam to wystarczyc.

Mimo to czul sie nieco przygnebiony. Ostatnie dni obfitowaly w piekne chwile i trudno bylo teraz powrocic do codziennej rutyny. Nie wszyscy wykladowcy zdazyli przybyc na Uniwersytet, choc powinni sie zameldowac u niego poznym wieczorem. Dowie sie wtedy, jak udaly sie koncerty w innych miejscach. Jak sprawdza sie nowy program nauczania bedzie wiadomo dopiero po dluzszym czasie. Wiosna okaze sie, co jeszcze wymaga dopracowania. W takich sprawach zawsze mozna liczyc na Sallishe. Rowniez wiosna zaczyna opadac Nici i spokoj, jakim wszyscy sie radowali, przejdzie do historii.

Ano wlasnie, jest jeszcze cos do zrobienia. Juz wystarczajaco dlugo to odwlekal... trzeba spisac liste zalog naziemnych, skladajacych sie z nauczycieli i studentow, ktorzy przekroczyli pietnascie lat. Dawno obiecal Lordowi Paulinowi, ze sie tym zajmie i ciagle cos odwracalo jego uwage. Wyciagnal z szafki czysta kartke papieru, zastanowil sie, odlozyl ja na miejsce i wzial kartke ze stosu, przeznaczonego na brudnopisy. Byla z jednej strony niezapisana i to musialo wystarczyc. Trzeba oszczedzac, bo niedlugo przyjdzie bieda.

Lady Jane osobiscie poprowadzila lantine'a do przeznaczonej dla niego komnaty. Zadawala wszystkie pytania typowe dla troskliwej gospodyni. Gdzie spedzil Koniec Obrotu? Dobrze sie bawil? Czy mial okazje posluchac cudownej nowej muzyki, napisanej przez uniwersyteckich kompozytorow? Na jakim gra instrumencie? Czy dawno widzial sie z rodzicami? Odpowiadal najlepiej, jak potrafil, zdumiony roznicza miedzy tym, jak przyjezo go tutaj, a jak w Bitrze. Lady Jane byla nieco roztrzepana, wcale sie tego nie spodziewal po malzonce kogos takiego jak Bridgely. Mimo tych pozorow musi byc niesamowicie gospodarna, pomyslal, porownujac wystroj i wyglad ogolnodostepnych sal oraz panujaca w nich czystosc z tym, co widzial w Bitrze. Roznica byla ogromna.

Bynajmniej nie zakwaterowano go na pietrze dla sluzby, o nie. Lady Jane poprowadzila go wyzej, tam, gdzie mieszkala rodzina Lorda, napominajac dwoch pacholkow, ktorzy niesli plotna i deski z nieboszczotki, by uwazali i nic nie zniszczyli.

Otworzyła drzwi i oddała mu klucz. Oniemiał, gdy znalazł się w przestronnym salonie, przynajmniej dziesięć razy większym niż celka, jaka zajmował w Bitrze. Szerokie, wysokie okno wychodziło na pomocny wschód, na zewnątrz Warowni. Wnętrze było bardzo przyjemnie urządzone; kamienne ściany wybielono, aż przybrały miły, białozielony odcień, wypolerowane drewniane meble lśniły, a tapicerka w łagodny, zielonobezowy geometryczny wzór cieszyła oko.

-Wiem, że Artysci najbardziej lubią północne światło, ale nic lepszego nie znaleźliśmy - tłumaczyła się Pani Bendenu, trzepocąc rekoma. Miała arystokratyczne, małe dłonie, ozdobione tylko szeroką malżeńską obrączką. Kolejny kontrast z bitranskim zamilowaniem do bogatej, krzykliwej bizuterii.

-Nie spodziewałem się aż takich względów, Lady Jane - powiedział szczerze.

-Jestem pewna, że to o wiele lepsze warunki, niż miałeś w Bitrze - prychnęła pogardliwie. - Tak mi przynajmniej mówiono. Możesz być pewien, że w Warowni Benden nikt by nie umieścił Artysty twojej klasy i talentu razem z pacholkami służebnymi. Bitranczyacy mogą sobie twierdzić - jej ton wyrażał wątpliwości - że pochodzą ze szlacheckiego Rodu, ale zawsze brakowało im stylu i gestu! - Zauważyła, że sprawdza wytrzymałość sztalugi. - Jest z magazynu. Należała kiedyś do Lesnoura. Znasz jego prace?

-Lesnoura? Naturalnie - opuścił dłoń, gładząca wypolerowaną woskiem górną krawędź. Lesnour, który dożył ponad stu lat, zaprojektował i wykonał freski w Warowni Benden i był słynny z umiejętności posługiwania się kolorem. Stworzył również słownik dostępnych pigmentów, uzyskiwanych z rodzimych surowców. Lantine dobrze znał te prace i bardzo mu ona pomogła w Bitrze.

Lady Jane otworzyła szeroko drewniane drzwi wiodące do niewielkiej, lecz wystarczająco obszernej sypialni. Stało tam duże łóżko ze słupkami rzezbionymi w niezwykle liście i kwiaty, prawdopodobnie ziemskie. Pokazała mu jeszcze trzecie pomieszczenie apartamentu: łazienkę i toaletę. W dodatku, wszędzie było ciepło. Benden posiadał takie same udogodnienia, jakimi chlubił się Fort.

-Nie potrzebuje aż takiego luksusu, Lady Jane - powiedział zakłopotany Lantine, rzucając worek podróżny na podłogę w salonie.

-Coż za głupstwa opowiadasz. My tu, w Bendenie, lepiej wiemy, co przysługuje osobie z takim talentem. Przestrzeń - ogarnęła pokój wdzięcznym ruchem dłoni - jest niezbędna, by uporządkować myśli i dać odpoczynek umysłowi - wykonała kolejną skomplikowaną arabeskę rekoma i uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział uśmiechem, starając się wyrazić wdzięczność, a nie rozbawienie jej nieco uduchowionym stylem bycia. - Wieczorny posiłek podajemy w Wielkiej Sali o osmej, będziesz siedział przy wysokim stole - powiedziała ze stanowczym uśmiechem, który miał powstrzymać ewentualne protesty. - Czy życzysz sobie kogoś do pomocy przy pracach przygotowawczych?

-Nie, dziękuję uprzejmie, Lady Jane, ale jestem przyzwyczajony sam dawać sobie radę.

Może uda się jednak wypożyczyć Leopola na kilka tygodni? Jest tu dość miejsca dla niego.

Władczyni Warowni wyszła, wysłuchawszy po raz kolejny gorących podziękowań za gościnność.

Rozejrzał się po pokojach, umył ręce i twarz, a przy tym przekonał się, że z kurka leci bardzo gorąca woda. Wanna, wykuta w skale, była tak głęboka, że mógł się w niej cały zanurzyć i wygodnie wyprostować. Nawet w Weyrze nie doświadczył takich wygod.

Rozpakował odzież, żeby nowa, zielona koszula rozprostowała się na wieszaku i zaczął przygotowywać miejsce do pracy. Potem usiadł na jednym z miękkich foteli, położył stopy na podnóżku, oparł się wygodnie i westchnął. Ach, bez trudu przyzwyczailby się do takiego życia! Brakowało mu tylko jednego - Debery.

Przez chwilę zastanawiał się, jak ta rozrzepotana Lady Jane będzie mu pozować. I jak ją ustawić? Trzeba w jakiś sposób oddać jej charakterystyczne gestykulacje, roztrzepanie, ale także wdzięk i urok. Ciekawe, na jakim instrumencie gra tymi małymi rączkami. Szkoda tylko, że Debera jest tak daleko.

lantine'owi pewnie by się nie spodobało, gdyby wiedział, że w tym właśnie momencie jest przedmiotem dyskusji między Przywódcami Weyru w Telgarze.

-Ależ nie - Zulaya potrząsnęła głową - ona jest zbyt rozsądna, by narazić Morath. Sądzę, że lantine też nie zaryzykowałaby utraty swojej pozycji w Weyrze, a Leopold twierdzi, że lantine chce tu wrócić. Tisha nie martwiła się akurat tą parą. Tanczyli, póki grała muzyka, ale cały czas byli na widoku. A poza tym Debera pochodzi z gospodarstwa. Martwiłabym się raczej o Jule, tym bardziej że przedtem mieszkała w jednym weyrze z T'redem.

-Teraz są osobno? - spytał ostro K'vin.

-Naturalnie, że tak - Zulaya machnięciem ręki zbyła jego niepokój, a potem się uśmiechnęła.
- T'red cierpliwie czeka. Wie, że nie ma innego wyjścia.

K'vin westchnął i uznał, że wyczerpująco przedyskutował tę sprawę z Zulayą.

-Policzmy: smoczeta wykluły się dziesiątego miesiąca, więc za cztery miesiące jeszcze nie będzie latać.

-Wiesz, myślę, że Morath poleci. Jeśli będzie rosła w tym tempie, wczesną wiosną skrzydła jej wzmocnią się na tyle, że będzie ich mogła próbować. Wcale nie musimy włączać do wyliczeń ostatniego Wylegu, K'vinie - pochylili się ku niemu i ku listom, które właśnie zestawiał. - Muszą przejść przeszkolenie w rozpoznawaniu znaków terenowych i zacząć długie loty dla wzmocnienia mięśni skrzydeł. Jeśli nie ma konieczności skracania szkoleń,

nie zmuszajmy ich do tego. Jeszcze sie nasluzza przez piecdziesiat lat...

-Na pewno? - K'vin rzucil olowek na stol, przechylil sie do tyłu i westchnal.

Zulaya uspokajajaco poklepala go po ramieniu.

-Przestan sie tak denerwowac - powiedziala. - To nic nie zmieni. Mysle, ze prawdziwych klopotow nastrecza nam nie dzieciaki, lecz dziadkowie. Jezdzczy w podeszlym wieku beda sie upierac, by przydzielono ich do skrzydel bojowych.

K'vin zamknal oczy i potrzasnal glowa, jakby chcial w ten sposob zgubic gdzieś kolejny problem.

-Wiem, wiem - powiedzial, az zanadto swiadom, ze w ktoryms momencie bedzie musial podjac te decyzje. - Ich potrzeba ciaglego udowodniania, ze z wiekiem nie stracili sprawnosci bedzie dla nas wiekszym obciazeniem, niz odpowiedzialnosc za mlodziez.

-No coz, smoki sa sprawne do konca - pocieszyla go i sama westchnela. - Ale nie mozemy tych starcow nianczyc: to byloby nieuczciwe. Jednak smoczy refleks nie ulega z wiekiem spowolnieniu i bestie beda potrafiły chronic swoich jezdzcow...

-Ale kto ochroni reszte skrzydla przed zwolnionymi reakcjami seniorow? Wiesz, ze dzis malo brakowalo, a Z'ran i T'lel spowodowaliby wypadek?

-Popisywali sie - uspokoila go. - Meranath tak nawymyslala obu brunatnym smokom, jakby byly weyrzatkami.

-Nie bedzie na to czasu, gdy przyjdzie Opad...

-K'vin potarl obolala glowe. - Nakazalem kontrole pasow bezpieczenstwa dla calego Weyru.

-Kev - napomniala go lagodnie - przeciez poprzednia byla w zeszlym tygodniu. Zapomniales?

-Nigdy nie dosc zabezpieczen - rzucil sucho, a potem poslal jej przepaszajace spojrzenie.

-Najgorzej znosisz oczekiwanie, prawda? - usmiechnela sie smutno. - Jak my wszyscy.

-To co, mamy sie modlic, zeby Nici zaczely wczesniej opadac? - prychnal.

-Nie, ale moglibysmy sie calkiem spokojnie wybrac na wycieczke na poludnie...

-Ale nie na kolejna ekspedycje w poszukiwaniu SIWSP-a! - Alez, nie! - rozbawila ja ta gwaltownosc. - Mozemy sprawdzic, jak sie maja pedraki Tubbermana i dokad juz dotarly. I tak musimy to niedlugo zrobic, w ramach badan nad ich ekspansywnoscia. Przede wszystkim zas, wycieczka do cieplych krajow wszystkim poprawi nastroj. Po emocjach

Konca Obrotu, pierwszy miesiac zawsze bywa przygnebiajacy. Kto wie? Moze uda nam sie znalezc te czesci zamienne, ktore Kalvi tak goraco oplakuje?

-Jakie czesci? - spytal K'vin.

-Te, ktore zatonely podczas sztormu przy Drugiej Przeprawie.

-No coz, to rzeczywiscie utopijny pomysl...

-Moze i tak, ale w ten sposob bedziemy mogli przeprowadzic cwiczenia w sloncu, cieple, daleko stad i od tego wszystkiego - wskazala na stol, zasmiecony diagramami i sprawozdaniami.

-A dokad mielibysmy sie wybrac? - K'vin wyprostowal sie na krzesle, rozwarzajac nowa mozliwosc.

-Najpierw moglibysmy odwiedzic Caluse, gdzie wyhodowali pierwsze pedraki... - wyjela z szafki odpowiednia mape. K'vin pospiesznie zrobil miejsce na blacie. - Potem mozna by zbadac wybrzeze Kahrainu, gdzie Flota zatrzymala sie na dluzszy postoj remontowy.

-Tyle razy juz tam wszystko sprawdzalismy...

-I prawie nic nie znalezlismy. Poza tym niewazne, czy na cos trafimy, wazniejsze jest samo poszukiwanie - usmiechnela sie z niejaka ironia. - I caly Weyr ma leciec?

-Na pewno skrzydla bojowe. Niech tu zostana najmlodsi jezdzy. Po raz pierwszy beda mieli powazne obowiazki... zobaczymy, jak im sie to spodoba.

-Najlepiej przekazac dowodztwo J'darowi - odparl, szukajac wzrokiem aprobaty Zulayi.

-J'darowi albo O'neyowi - zgodzila sie wzruszajac ramionami.

-Nie, J'darowi.

O dziwo, usmiechnela sie z zadowoleniem. Nie spodziewal sie tego, nie po to chyba wymienila akurat O'neya, jednego z najstarszych spizowych jezdzcow. Staral sie w miare mozliwosci spelniac jej zyczenia, ale tym razem doszedl do wniosku, ze O'ney bywa formalista bez potrzeby.

-Zeszlej zimy sprawdzilismy, ze pedraki dotarly do tego miejsca - wskazala palcem rzeke Rubikon.

-Jak one sie przez nia przedostana? - spytal K'vin. postukujac w poziomice, wyznaczajace urwiste brzegi rzeki, opadajace stopniowo ku Morzu Azowskiemu.

-Agronomowie twierdza, ze albo obejda rzeke, albo przedostana sie przez nia jako larwy w

przewodach pokarmowych wherow i tych zwierząt łownych, które wypuszczono na wolność. Wiesz, że się tam rozmnożyły?

Zulaya dokuczała mu pamiętając doskonale, jak Charanth musiał go kiedyś ratować ze szponów wielkiego, kotopodobnego stworza pokrytego pasiastą, czarno-pomarańczową sierścią. Smok był wielce urazony, bo stworzenie zaatakowało w końcu i jego, spizowego smoka! To wydarzenie sprawiło, że smok i jeździec zaczęli traktować się jak równy z równym.

-Wiem, aż za dobrze. Drugi raz już się nie dam przyłapać.

-Ale to zwierze miało przepiękne futro - drwiła z wyzwaniem z oczach.

-Sama sobie złap to futro, Zu. Zastanówmy się... Spytały, czy jakieś inne Weyry nie poleca z nami na wspólne manewry.

-A po co? - wzruszyła ramionami. - Chodzi tylko o to, żeby nasze skrzydła wybrały się na małą wycieczkę, zanim zaczną opadać Nici i będziemy musieli zachowywać pełną gotowość. Meranath - zwróciła się do królowej, która obserwowała ich, leniwie rozciągnięta na kamiennym podestacie - czy mogłabys uprzejmie powiadomić wszystkich, że Weyr udaje się na ćwiczenia - tu uśmiechnęła się do K'vina - jutro, o brzasku? Pare osób się zdziwi.

-Niewatpliwie - odparł i, pytając wzrokiem Zulayę o przyzwolenie, poprosił Meranath o coś jeszcze: - czy J'dar i Tdam mogli by tu do mnie przyjść?

Na południu słońce mocniej grzeje, odpowiedziała Meranath. - Wszyscy będą zadowoleni, K'vinie.

-Ciesza się, że odpowiada ci ten pomysł - odparł i lekko sklonił się złotej królowej. Czuł się zaszczycony, że smoczyca coraz częściej używa jego imienia. Czyżby oznaczało to, że Zulaya poświęca mu więcej myśli? Ukrył to pytanie głęboko na dnie umysłu, by nawet Charanth go nie usłyszał. Czy Zulaya szczerze akceptowała jego przywództwo? Nigdy nie dała mu tego odczuć, choć publicznie odnosiła się do niego z szacunkiem. Doceniał to, ale nie udało mu się zbliżyć do tej kobiety, choć gorąco tego pragnął. Czy kiedyś znajdzie do niej drogę? A może dlatego podsunęła pomysł takiej wycieczki?

-Kiedy ostatni raz sprawdzaliśmy pederaki? Wzruszyła ramionami.

-Nie o to chodzi. Potrzebna nam odmiana, a to świetny pretekst. Zresztą agronomowie potrzebują danych, więc ktoś musi to zrobić. Poza tym i tak pewnie trzeba będzie polecieć tam kiedyś w czasie Opadu, żeby sprawdzić, czy pederaki spełniają swoje zadanie.

-Chcesz, żebyśmy stracili racje bytu? Zulaya potrząsnęła głową.

-Jak długo Nici spadają z pernenskiego nieba, pracy dla nas zawsze będzie w bród.

Wykształcił się już psychologiczny imperatyw, by trzymać jak najwięcej tego paskudztwa z dala od powierzchni planety. Pedraki to tylko jedno z dodatkowych zabezpieczeń, a nie ostateczne rozwiązanie.

Oboje zapomnieli powiadomić swoje smoki, że na pewien czas mają zachować w tajemnicy cel wyprawy, więc do kolacji wiedział już o tym cały Weyr. K'vin i Zulaya nie mogli się opędzić prośbom mieszkańców Weyru, którzy pragnęli się zabrać ze smokami. Nawet Tisha bez skrepowania dopominała się podwiezienia.

-Niektóre spizowe beda musiały zabrać po dwóch pasażerów - szybko wyliczył K'vin.

-Weyrzatka musza zostać - stwierdziła Zulaya i entuzjazm przycichł na moment. Wzruszyła ramionami. - T'dam poleci tam z nimi, kiedy już beda potrafiły poruszać się w powietrzu, ale na razie pozostaną w Weyrze.

-Nie zaczyna latać przed Opadami Nici - odparł K'vin z pełną powatpiwania miną.

-Przecież będziemy wiedzieli, czy spadną na pomocy, czy na południu, a zwolnienie na jeden dzień z obowiązków pomocniczych to nic wielkiego. Niech leca w deszczowy dzień, wtedy trochę słońca bardzo im poprawi nastrój.

Na tym w końcu stanelo.

Cały Weyr zebrał się rano wraz z pasażerami. Ładowano zapasy i sprzęt na ćwiczenia, które teraz zmieniły się już w trzydniową wyprawę. K'vin zgodził się, że aż tyle czasu potrzeba, by dokładnie oszacować stopień rozprzestrzenienia się pedraków. Zabrał ze sobą mapy i przybory do pisania, by sporządzić dokładne sprawozdanie.

Tego ranka wszyscy ubawili się setnie obserwując, jak Tisha sadowi się z wielkim trudem na brunatnego Branutha. Wzięła sobie do pomocy nie tylko jeźdźca Branutha, T'lela, który tak serdecznie się zasmiewał, że aż dostał czkawki, lecz także czterech innych jeźdźców, najwyższych i najsilniejszych z całej grupy.

Branuth, z niezwykle zakłopotanym wyrazem długiego pyska, tak wyginał szyję, patrząc, co się dzieje, że aż dostał bolesnego skurczu mięśni. T'lel i Z'ran musieli go masować.

-Przeszłam wreszcie, T'lel i wsiadaj - wrzeszczała Tisha, której tłuste nogi sterczały wyprostowane pomiędzy grzebieni na smoczym karku. - Zaraz mnie to przetnie na pół. A wtedy się z tobą policzę. Nie powinnam się była zgodzić na tę wycieczkę. Trzeba było spokojnie siedzieć w domu i nie walesać się z byle jakiego powodu. To jest bardzo, bardzo niewygodne. Przeszłam rechotać, T'lel. Przeszłam natychmiast! Jakbys tak siedział, to byś się nie śmiał! Cicho bądź, wsiadaj i jedziemy! Ładowali ją tak długo, że gdy wreszcie T'lel zasiadł na smoczym karku przed Tishą, wszyscy pozostali już czekali w gotowości.

-Malo tego, że zaraz peknie wzdłuż, to w dodatku te grzebienie przetną mnie w poprzek. Pol

nocy je ostrzyles na te okazje, co, T'lelu? Nic dziwnego, ze jezdzy sa tacy chudzi. Nie maja innego wyjscia. Czy smokom nie wyrastaj a grzebienie odpowiednie dla ludzi wiekszych rozmiarow? Powinnam poprosic K'vina, zeby mnie zabral. Charanth jest duzo wiekszy... Dlaczego kazales mi wsiasc na tego brunatnego, K'vinie? - wolala Tisha przez oddzielajaca ich przestrzen.

K'vin probowal broniec swej przywodczej godnosc i zachowac powage, mimo widoku Tishy na smoczym grzbiecie, ale nie odwazyl sie popatrzec na nia drugi raz. Zamiast tego, odwrocil sie i ogarnal wzrokiem cala grupe, zadowolony, ze wszystkie oczy skierowaly sie na niego: jezdzcow, smokow i pasazerow. Spojrzal w gore, na krawedz wulkanu, gdzie, na tle wyraźnie widocznych Skalnego Oka i Palca, przycupnela reszta gotowych do odlotu bestii. Uniosl ramie.

Charrie, wszyscy maja sie ustawic w szyku w powietrzu.

Wiedza o tym. Charanth byl nieco urazony, gdyz cwiczenie bylo bardzo proste. K'vin serdecznie poklepal go po szyi jedna reka, a druga wykonal gest, jakby pociagal raczke pompy.

Wszystkie smoki wyprostowaly sie jak jeden, wznoszac kurz i zwir z dna Niecki poteznymi zamachami skrzydel, a potem te z krawedzi wulkanu uniosly sie i w powietrzu ustawily w odpowiednim porzadku wedlug skrzydel. Zulaya wraz z pozostalymi krolowymi znalazly sie nad nimi.

Sformowali sie w mgnieniu oka. Lecimy, Charrie.

Charanth poteznie sie odbil i jednym susem znalazl sie w powietrzu. Jeden i drugi ruch skrzydel i juz byl przed krolowymi. Wszystkie glowy zwrocily sie w gore i Charanth poslusznie przechylil sie ku ziemi, by kazdy mogl zobaczyc Przywodce Weyru.

Przekaz Weyrowi, ze naszym dzisiejszym celem jest Morze Azowskie.

Juz przekazalem!

K'vin dal reka sygnal do wejscia w pomiedzy. Caly Weyr jednoczesnie rozplynal sie w powietrzu.

Spokojnie, ostrzegl Charantha, zadowolony ze sprawnego odlotu. Teraz my!

Odliczyl trzy sekundy i juz otoczylo ich cieple powietrze nad Isniacym blekitem - Morzem Azowskim. Odczuli to jak uderzenie nagrzanym recznikiem po twarzy. Charanth az zamruczal z rozkoszy.

K'vina o wiele bardziej interesowalo, czy szeregi smokow, skrzydlo za skrzydlem, pojawia sie w powietrzu w prawidlowym szyku. Usmiechnal sie.

Popros dowodcow skrzydel, by poprowadzili swoich jezdzcow na wyznaczone miejsca.

Jedno po drugim, skrzydla znikaly, z wyjatkiem grupy T'lela, ktora postanowila prowadzic poszukiwania na wybrzezu. Krolowe rowniez zaczely sie znizac slizgowym lotem, gdyz niosly czesc zapasow, potrzebnych Tishy do przygotowania palenisk i ugotowania kolacji.

Poczekajmy, az wszyscy bezpiecznie wyladuja, poprosil K'vin Charantha, choc jakas czesc jego umyslu pragnela popatrzec, jak Tisha bedzie zsiadac z Branutha. Poczul wiec niejake zaskoczenie, a z poczatku nawet niepokoju, widzac, ze brunatny smok wylamal sie z szyku i znizyl lot, by wyladowac na przybrzeżnej plyciznie. Charanth spuscil leb i obserwowal jego ewolucje.

Branuth mowi, ze ona tak kazala. Odplynie z jego grzbietu. W glosie smoka brzmialo rozbawienie. K'vin zasmial sie takze.

Zrobila to z godnoscia.

Branuth mowi, ze jemu tez bylo latwiej, ale w Telgarze chyba nie uda sie ta sztuka.

Nie, woda o tej porze roku jest przeciez lodowata.

Mozemy juz ladowac? Branuth mowi, ze w sloncu jest cieplo.

Myslalem, ze chcesz polowac.

To pozniej. Teraz chce sie dobrze wygrzac.

Smoki niemal bez wyjatku przychylily sie do wyboru Charantha, porozkladaly sie na kamienistej plazy i w pasie nadbrzeżnych zarosli. Roslinnosc, gnieciona poteznymi cielskami wydawala silny, gorzki, lecz dosc przyjemny zapach.

Tisha wyslala kilka osob z Weyru na poszukiwanie podpalki i kamieni na ogniska, innych, by sprawdzili, czy owoce juz dojrzaly, a kolejna grupe - na polow ryb, tam, gdzie wielkie glazy rozbijaly morskie balwany niczym falochron.

-Mam ochote na dluzsza kapiel - zawolala Zulaya, gdy Charanth znizal sie do ladowania. Juz sciagnela jezdziecka kurtke. - Meranath jest tego samego zdania - dodala. Zatrzymala sie tylko po to, by zdjac reszte odziezy i ulozyc ja starannie na glazie, po czym ruszyla do wody.

-A pedraki?

-Poczekaja - odkrzyknela przez ramie, brodzac przez wode na glebine, zeby poplywac.

Nie musimy teraz szukac pedrakow, prawda? spytal proszaco Charanth, a zwroczone najezdzca oczy z niepewnosci wirowaly zolto.

-Alez, skadze - odparl K'vin. - Pedraki byly tylko pretekstem, by opuscic Weyr na kilka dni. - Sciagnal ubranie, po czym smok i jezdziec przylaczyli sie do swych towarzyszy, plawiacych sie w cieplych azowskich wodach.

K'vin pewnie nie bylby zadowolony, gdyby wiedzial, ze niemal wszyscy jezdzy jak najdluzej odkladali obowiazki zwiazane z oficjalnym powodem przylotu na poludnie; pedrakami nie przejmowal sie w zasadzie nikt. Wazniejsze bylo opalanie sie, plywanie w cieplej morskiej wodzie, polowanie na potrzeby smokow i zbieranie jedzenia dla ludzi... rozkoszowano sie wolnym czasem, przestrzenia i absolutna intymnoscia.

P'tero i M'leng poprosili V'lasta, dowodce skrzydla, o pozwolenie na polowanie dla smokow.

-Pamietajcie tylko, co K'vin opowiadal o tutejszych dzikich zwierzetach - ostrzegl ich V'last, podobnie jak innych jezdzcow, wybierajacych sie na lowy.

Obaj poslusznie pokiwali glowami, ale gdy tylko oddalili sie, z polanki, nad Rzeke Malajska, gdzie ich skrzydlo wyladowalo, pekali ze smiechu na mysl, ze jakiegokolwiek stworzenie mogloby zagrozic smokom.

-Ale tu goraco - stwierdzil MMeng, patrzac do tyłu, na rzeke.

-Gdy smoki skoncza polowac, bedzie jeszcze gorecej - odpowiedzial mu P'tero. - Ale wlasciwie po polowaniu nie bedziemy mieli nic do roboty, do samej kolacji.

-No, to wrocmy do obozu dopiero przed samym posilkiem - zasmial sie beztrosko M'leng. - W przeciwnym razie kaza nam cos upolowac, zlowic albo nazbierac.

-Mamy dosc ludzi z Weyru do takiej pracy. W dodatku lubia ja - oswiadczył P'tero z niejaka wyzszoscia. - Zmykajmy stad.

Wzial krotki rozbieg i zrecznie wskoczyl na blekitny grzbiet Ormontha. M'leng rownie szybko znalazl sie na grzbiecie zielonego Sitha.

-Jakiej zwierzyny szukamy? - zapytal.

-Zobaczmy, na co natrafimy - odparl jego przyjaciel i uniosl reke gestem oznaczajacym polecenie odlotu. M'leng wolal, by to P'tero podejmowal decyzje.

Nie musieli leciec daleko, by ujrzec pasace sie stada biegusow, mniejszych niz te, ktore zwykle widywali w gospodarstwach. Ale gdy na niebie zamajaczyly sylwetki innych smokow zniczajacych sie do polowania, P'tero dal M'lengowi sygnal, by polecieli dalej, na poludniowy zachod. Juz po chwili musieli zdjac jezdzieckie kurtki, a potem zimowe koszule. P'tero z podziwem przygladal sie przyjacielowi. Zielony jezdziec byl zgrabny i drobnokoscisty, lecz jednoczesnie silny i zreczny, co niezmiennie zachwycalo P'tera. Obserwowal umiesnione cialo przyjaciel, zima biale jak mleko, rowno do miejsca, gdzie konczyl sie kolnierzyk

koszuli. Zachichotal. Strasznie smiesznie to wygladalo, jakby ktos polaczyl ze soba dwa rozne gatunki skory.

W chwile pozniej zafascynowal go tropikalny krajobraz, nieco odmienny od roslinnosci, spotykanej w cieplych Warowniach na polnocy. W Neracie rosła tropikalna puszcza, ogromne polacie niemal nieprzebytej dzungli wszedzie, procz zachodniego wybrzeza, podczas gdy w Iscie gesta roslinnosc pokrywala strome wzgorza i glebokie doliny. Tu zas bezkresna, zielona rownina, pod pewnymi wzgledami podobna do krajobrazow w Keroonie, rozciagala sie we wszystkich kierunkach. Od czasu do czasu monotonie ubarwiala zolta plama skalistych, pozbawionych roslinnosci wzniesien, grupa drzew o wysokich pniach i pioropuszach lisci na czubku albo rozlozyste drzewo, ktorego szeroka korona upodabniala je do wyspy. Na widok lecacych smokow z kep roslinnosci podrywaly sie whery i inne latajace stworzenia i rozpierzchaly sie w rozpaczliwej ucieczce.

Moge je zjesc? spytal jezdzca Ormonth i przyspieszyl na wypadek, gdyby dostal pozwolenie na poscig.

Co? Takie lykowate chudziny? zazartowal P'tero, ale zlozyl rece przy ustach i zawolal do M'lenga: - Ormonth jest taki glodny, ze chce lapac whery!

-Sith tez. Czas juz je nakarmic - odkrzyknal M'leng. - O, tam! - dodal, wskazujac na skalna formacje, przy ktorej wyrastalo rozlozyste drzewo, ocieniajac ja az po wierzcholek.

P'tero pomyslal, ze skalka wyglada jak rufa statku zakopanego w ziemi az po srodokrecie, statku, ktory na dobitke mial bardzo dziwnie ustawiony maszt.

M'leng z entuzjazmem pokiwal glowa i dal znak do ladowania, jednoczesnie uciskajac noga szyje Sitna, by wzial szeroki zakret i wyladowal na nibyrufie. Z poludnia powial lekki podmuch, chlodzac spocone, nagie ciala.

Zaraz po wyladowaniu, obaj mlodzi mezczyzni pospiesznie pozbyli sie ciezkich jezdzieckich spodni i butow. Musieli jednak z powrotem wlozyc skarpetki, gdyz rozpalona skala parzyla ich w stopy.

Bystrooki M'leng przyslonil oczy reka i popatrzył na zachod, gdzie falowala dluga, ciemna kreska.

-Swietnie, wielkie stado przed nami - powiedzial i obrocil glowe Sitha we wlasciwa strone. - Widzisz? Mozecie je zjesc. O wiele lepsze, niz whery. Juz cie tu nie ma! - I dal mu solidnego klapsa, jako sygnal do odejscia.

-Lec za Sithem, Ormoncie - P'tero nakierowal w prawo leb blekitnego smoka. - Poluj z nim, to nie popadniesz w tarapaty. Bedziemy was stad obserwowac.

Ormonth zakolysal sie na lapach, a w j ego oczach wirowal slad zoltego zaniepokojenia.

-Co sie z toba dzieje? - zdenerwowal sie jezdziec, nie mogac sie doczekac, az smoki odleca i obaj z MMengiem beda wreszcie mieli troche czasu wytlacznie dla siebie. Jesli bestie zajma sie polowaniem i jedzeniem, nie beda zwracac uwagi na to, co robia ich jezdcy.

Jakis zapach!

-M'leng, czy Sith czuje jakis zapach? - P'tero byl zly, ale wiedzial, ze nie ignoruje sie uwag smoka.-Tu wszystko pachnie troche inaczej, i tyle - wzruszyl ramionami M'leng. Na jego twarzy malowala sie niecierpliwosc; podobnie jak P'tero, nie mogli sie doczekac, by smoki juz odlecialy.

-Beda mial oczy otwarte - zapewnil Ormontha i dal mu rozkazujacego klapsa, by wreszcie juz sobie polecial.

Obie bestie wzniosly sie jednoczesnie w gore. P'tero poczul przyplyw dumy na widok eleganckiej sylwetki blekitnego smoka w locie, gdy wznosil sie nabierajac wysokosci, a pozniej pikowal na swoja ofiare.

M'leng wsunal sie w ramiona P'tera.

-Ach, ale masz goraca skore. Trzeba uwazac, bo spieczemy sie na sloncu.

-Nic nam nie bedzie, trzeba tylko sie duzo ruszac.

-Och, z tym nie bedzie problemu, prawda?

Tak sie zajeli soba, ze zaden nie zwrocil uwagi na zmiane wiatru na zachodni. Powiew wciaz chlodzil nagie ciala i osuszal pot. Nie spostrzegli niczego do chwili, gdy dwie rzeczy zdarzily siej ednoczesnie: wsciekly ryk Ormontha odbil sie echem pod czaszka P'tera i cos przygniotlo go tak mocno do M'lenga, ze uderzyl broda w skale. Poczul, ze cos ostrego wbija mu sie w posladki.

-Ormonth! - krzyknal jednoczesnie w myslach i na glos.

Cialo M'lenga lezalo pod nim bezwladnie, gdy wil sie z bolu, starajac sie wyrwac spod atakujacego stworzenia.

Pomocy! jeczal, probujac jeszcze raz odwrocic sie i zobaczyc, co go zaatakowalo.

Nagle pojawil sie nad nim czarny cien i powietrze jakby zgestnialo. Rozlegl sie ohydny ryk, buchnelo smrodem gnijacego miesa. Poczul na plecach goracy oddech. Cos wyrwalo pazury z jego ciala. Znow krzyknal z bolu. Z jego zmasakrowanych nog sciagnieto cos ciezkiego i kosmatego. Katem oka dojrzal zielony, a potem blekitny blysk. Po chwili znikad zjawilo sie cos wielkiego, bezowego. Opiekunczo otulil go blekitny ogon. Nad glowa slyszal

ryk Ormontha, w którym pobrzmiwał ból i gniew... chyba głównie gniew. Psychike P'tera załazy żywe obrazy i pragnienie zemsty, tak bardzo obcej smoczemu umysłowi.

Mimo napływających fal nieznosnego bólu, P'tero zdawał sobie sprawę, że Ormonth i Sith rozdierają na drobne kawalczki to coś, co go napadło, pokrywając go całego krwią i kawalkami gorącego mięsa. Uświadomił sobie, że cały czas leży na M'lengu, którego nagle coś zaczęło ciągnąć. Z przerażeniem ujrzał potężną brązową łapę i wielkie, brudne, żółte pazury, które wysunęły się i wbily w łopatkę jego przyjaciela. Trysnęła krew. Mimo bólu w nogach i plecach rzucił się na ciało M'lenga i zaatakował łapę, próbując wyrwać pazury z ciała kochanka.

Znow hałas, znow głosne smocze ryki i nagle nad nim zrobiło się pusto. Poczł powiew świeżego powietrza i zobaczył inne smoki. Dwa z nich walczyły ze stadem smukłych bezowych stworzeń, wspinających się na wierzchołek skały. Smoki syczały je za ogony i tylne łapy, podczas gdy zwierzęta wyrwały się, parskaly, ryczały i pluly, atakując napastników z niezwykłą śmiałością. Jedno z nich wbilo pazury w przednią łapę brązowego smoka, a potem pazurami rozorało mu pysk.

-M'lengu, M'lengu, odezwij się do mnie - błagał P'tero. Odwrócił do siebie twarz kochanka i klepał go po policzkach. Koło głowy M'lenga pojawiła się para obutych nóg.

-Och, pomóż nam, pomóż nam, błagam! - jęczał, czepiając się ich rozpaczliwie - Ratunku, umieram! - skowytał z bólu.

-Kto ma fellis? Gdzie jest mrocznik?

P'tero czując, że traci świadomość, zastanawiał się tylko, skąd, u diaska, wzięła się tu Zulaya, i czy to właśnie jest śmierć.

Rozdział XVI

Cathay, Weyr Telgar,

Warownia Bitra, Telgar

P'tero nie umarł, choć przez jakiś czas załował, że tak się nie stało. Wstydził się, że nie przewidział ataku, stworzył zagrożenie dla M'lenga, i że z jego powodu dziewięć smoków odniosło rany, co gorsza, w okresie, gdy K'vin wszystkim zalecał szczególną ostrożność. Z trudem znosił to wszystko. Wprawdzie M'leng twierdził, że P'tero uratował mu życie - choć rane na ramieniu trzeba było szyc - ale on sam wiedział, że wydarzenia tylko przypadkiem potoczyły się tak, a nie inaczej. Sith i Ormonth ucierpieli od pazurów atakujących drapieżców, gdyż kotopodobnych bestii nie dało się łatwo powstrzymać. Meranath leczyła rane po ugryzieniu w lewe przedramię i rozcięcie na policzku. P'tero jeszcze nie odwagił się spojrzeć Zulayi prosto w oczy. Collith V'lasta odniósł najgorsze rany na czole, rozciętym do kości pazurami na potężnych tylnych łapach atakującej samicy. Smoki stoczyły dziką, choć

krotka walke z calym stadem, zlozonym z czternastu doroslych lwow. Meranath zareagowala na krzyk Ormontha blyskawicznie; wlasciwie tak szybko, ze pozostawila za soba nawet Zulaye. Wladczyni byla zdumiona, gdyz takie zachowanie nie lezalo w smoczej naturze.

Jednak pozniej, jak opowiadal P'terowi Leopold, szczerze sie usmiala. W krytycznym momencie plywala w morzu i wcale nie bylaby szczesliwa gdyby, ociekajac woda, musiala towarzyszyc swojej smoczycy. Szybko zreszta do niej dolaczyla, razem z V'lastem, K'vinem i innymi, ktorzy odpowiedzieli na wolanie o pomoc.

-Byla mocno zdenerwowana - powtarzal zaslyszane plotki Leopold - bo smoki zmarnowaly tyle ladnego lwiego futra... oprócz tego, co zjadly.

P'tero wstrzymal oddech ze zdziwienia.

-Smoki zjadly te lwy?

-Pewnie, a czemu nie? - odpowiedzial usmiechniety Leopold. - Smoki zaatakowalo cale stado lwow. Ale jezdzczy pozostawili mlode przy zyciu, chociaz niektorzy twierdzili, ze trzeba wybic wszystkie jakie tylko uda sie znalezc. V'last powiedzial, ze Collithowi nawet smakowaly, mimo ze byly lykowane. Glodny nie wybrzydza. Ale Zulaya naprawde chciala miec lwia skore na lozko.

P'tero zadygotal. Nigdy wiecej nie chcial miec do czynienia z lwami.

-Szkoda, ze nie wiesz, jak wygladales, kiedy cie tu przyniesli, P'tero - dodal Leopold, wskazujac na prowizoryczne szalasy, ktore wzniesiono dla pokaleczonych jezdzcow. - Sam Charanth przyniosl cie tu w lapach.

-Naprawde? - przygniebiecie mlodego jezdzca osiagnelo nowa glebie.

-A spizowy Queth O'neya przyniosl M'lenga. Twoje skrzydlo pomoglo wrocic Ormonthowi i Sithowi. Wlasciwie mozna powiedziec, ze przylecieli siedzac na barana na grzbietach Goriantha i Speltha. Wygladali, jak dwa klebki nerwow, masz pojecie?

P'tero odebral echa wrazen tej podrozy z umyslu Ormontha. Smok w swej wielkodusznosci ani jednym slowem nie skrytykowal jezdzca, ktory przez to czul sie jeszcze bardziej zalamany. Blekitny smok odczuwal gleboka wdziecznosc dla swych pobratymcow za pomoc, ktorej mu nie szczedzili, gdy nie chcial ruszac sie z miejsca i spuscic swojego jezdzca z oczu. Leopold nie wspomnial tylko o jednym: reszta smokow w ten sposob starala sie utwierdzic Ormontha i Sitha, ze ich jezdzczy pozostana przy zyciu.

Mieszkanicy Weyru pospiesznie rozbili oboz, gdyz niektorych jezdzcow i smokow, na przyklad P'tera i Collitha, nie mozna bylo zabrac w pomiedzy, poki ich rany sie nie zamkna. K'vin poslal do Fortu po Corey, ktora zeszyła najgrozniejsze rozciecia. Medyk Maranis nie

miał sobie równych w opatrywaniu smoczyc kontuzji, ale potrzebował pomocy przy pielęgnacji obu pokaleczonych jeźdźców. Do Weyru Telgar polecili posłancy, by uspokoić tych, którym smoki przekazały wiadomość o wypadku i przywieźć więcej sprzętu potrzebnego na dłuższy pobyt.

Dwaj młodzi jeźdźcy w swojej naiwności wybrali miejsce na postój tuż nad jaskinią zamieszkaną przez stado lwów. P'tero nigdy w życiu nie słyszał o "lwach". Ich istnienie wyraźnie zawdzięczał Tubbermanowi. Stworzenia te wyrwały się na wolność z Calusy i rozmnożyły w duże stado. Leopold powtórzył mu z wielką satysfakcją, że było to potomstwo łownych zwierząt, na których eksperymentował Tubberman.

Niezbyt to pocieszyło P'tera, który musiał leżeć na brzuchu czekając, aż wygoją się głębokie rany po klach i pazurach.

Zamartwiał się bez końca, że M'leng przestanie go kochać, zobaczywszy poznaczone bliznami, zszpecone ciało. Jednak M'leng tak wzruszał się heroizmem, który jakoby P'tero okazał, zasłaniając go własnym ciałem, że blekitny jeździec postanowił nie wspominać, iż do pewnego stopnia był to zbieg okoliczności. M'leng stracił przytomność na początku walki i oprócz rany na ramieniu miał tylko wielkiego guza i rozciętą skórę z tyłu głowy.

Zulaya pojawiła się w chwili, gdy P'tero próbował wyrwać pazury z ciała przyjaciela, więc właściwie nie za bardzo mógł zaprzeczyć jej wersji wypadków.

Pewnego ranka Tisha, która przyszła zaaplikować P'terowi sok fellisowy, zastała go we łzach. Był przekonany, że przez te wszystkie blizny straci uczucie M'lenga.

-Co za bzdury, chłopcze - pocieszała go, gładząc kojąco po mokrych od potu włosach i jednocześnie podsuwając do ust kubek soku ze słomka. - Bedzie widzial tylko, ile przecierpiales, by go wyratowac. Poza tym, wszystko sie ladnie zagoi, bo Corey doskonale pozszywala te skaleczenia.

Wzmianka o umiejętnościach naczelnej medyczki niemal znowu przyprawiała P'tera o łzy. Narobił tyle zamieszania...

-To prawda, ale dzięki tobie są pełni energii, moj chłopcze, a poza tym nauczyles wszystkich paru waznych rzeczy.

-Ja? - P'tero mimo wszystko żałował, że zdarzyła się po temu okazja.

-Po pierwsze, smoki uważały, że są niezniszczalne... a to nieprawda. Zapewniam cię, że bardzo przyda im się taka lekcja przed nadejściem Opadu. Dzięki temu ochłonie kilka gorących głów, pewnych, że trzeba tylko ziać ogniem w odpowiednim kierunku. Po drugie, dowiedzieliśmy się, że na Południowym Kontynencie pojawiły się pewne specyficzne zagrożenia...

-Czy Weyr zbadal w koncu te pedraki? - spytal P'tero, nagle przypominajac sobie cel ekspedycji.

Tisha wybuchnela smiechem i natychmiast ucichla, choc namiot P'tera stal w pewnej odleglosci od innych.

-Ach, chlopcze, masz nie tylko dzielne serce, ale i glowe nie od parady. Tak, przeprowadzili pomiary i to sprawniej, niz to do tej pory bywalo.

Pozniej P'tero dowiedzial sie, ze pedraki opanowaly pare kolejnych kilometrow na zachod i na poludnie w strone Wielkiego Lancucha Barrierowego, ale w niezbyt rownym tempie. Na piaszczystych preriach na wschod od Ladowiska posunely sie ledwie o kilka metrow, ale agronomowie specjalnie sie tym nie przejeili. Bardziej zalezalo im na ochronie zyznych lak i lasow.

-Tak wiec wyprawa nie okazala sie strata czasu? - spytal P'tero, odprezajac sie pod wplywem soku fellisowego.

Tisha znow poklepala go matczynym gestem, poprawila futra i upewnila sie, ze nic nie urazi bolacych posladkow i nog.

-Alez skadze, kochanie. A teraz sprobuj zasnac...

Jakbym mial na to jakis wplyw, pomyslal P'tero, czujac ze fellis opanowuje jego zmysly i przycmiewa wszelkie swiadome mysli, wraz z bolem.

Dopiero po trzech tygodniach rany P'tera zabliznily sie na tyle, by mogl wrocic do Weyru. W polowym szpitalu znalazlo sie tymczasem wiecej osob, gdyz na kontynencie Poludniowym oprócz duzych, glodnych i pilnie strzegacych granic swego rewiru kotow, istnialy takze inne niebezpieczenstwa: upal, nieopatrzne przegrzanie na sloncu, a takze inne drobne zagrozenia. Na przyklad Leopold wбил sobie w stope kolec, rana zaropiala i musial lezec w szpitalu razem z P'terem, az wszystko sie wygoilo.

Tisha i jeszcze jedna kobieta z Weyru dostaly wysokiej goraczki, wiec Maranis musial znow poslac do Fortu po medyka, ktory lepiej znal sie na takich chorobach. Tamta wyzdrowiala po kilku dniach, ale Tisha ciezko przeszla infekcje; pocila sie, sporo stracila na wadze i tak oslabla, ze Maranis zamartwial sie o nia po nocach. K'vin wyslal poslanca do Isty z prosba o przyslanie statku, ktory zawiozlby gospodynie na Pomoc. Nie dalaby rady wspiac sie na smoczy grzbiet. Jej choroba przygnebila wszystkich.

-Czlowiek nie zdaje sobie sprawy, ile ktos dla niego znaczy - powiedziala zaniepokojona Zulaya, ktora przybyla, by sprawdzic, jak sie maja rekonwalescenci - dopoki nagle tego kogos nie... nie zabraknie!

Ta uwaga do reszty zalamala P'tera. W dodatku nie bylo przy nim Tishy, ktora zartami i

serdecznoscia poprawiala mu samopoczucie. Byl za to M'leng, ktory wlasnie wszedl do szalasu.

-Wstydz sie, ty egoisto! - powiedzial zielony jezdziec glosem pelnym napiecia i powstrzymywanego gniewu.

-He?

-Choroba Tishy to nie twoja wina. Leopold nie zalozyl sandalow, kiedy mu kazano i za jego skaleczenie takze nie nalezy winic ciebie. Nie mowiac o tym, ze wcale nie z twojej winy wybralismy tamta skala sposrod wszystkich okolicznych wzniesien. Mielismy pecha, to prawda, ale to wszystko. Nie zycze sobie, zeby Ormonth dalej psul humor Sithowi.

Rozumiesz?

P'tero wybuchnal placzem. Bylo tak, jak sie domyslal: M'leng przestal go kochac.

Nagle ramiona M'lenga zamknely go w delikatnym uscisku i przytulily do piersi. Poddal sie pieszczotom i pocalunkom.

-Och, nie badz kompletnym idiota, ty kompletny idioto. Jakze moglbym cie nie kochac?

Pozniej P'tero dziwil sie, jak mogl zwatpic w M'lenga.

Gdy ozdrowienci wrocili do Weyru Telgar okazalo sie, ze Tisha znow niepodzielnie panuje w Nizszej Jaskini. Choc suknie w dalszym ciagu luzno zwisaly z jej ramion, pieknie sie opalila w czasie rejsu z ujscia Rubikonu. Wyraznie wrocily jej sily.

Kilku zielonych i blekitnych jezdzcow ze skrzydla P'tera i M'lenga odmalowalo ich Weyry i wymienilo stare obicia, a wysiedziane poduszki zastapili nowymi, puchatymi.

-Tisha ostrzegala, ze teraz bedziesz musial dlugo siadac na miekkim - wyjasnil, smiejac sie w kulak Z'gal. - Lady Salda oddala nam pierze z ptakow zarznietych na Koniec Obrotu.

Potem Tsen, partner Z'gala wyjal zza plecow jakis przedmiot. Zdziwiony P'tero przygladal mu sie przez chwile. Wygladalo to jak plaska deska z dlugimi nogami.

-Ale do czego to sluzzy?

Z'gal dostal ataku smiechu, co zdenerwowalo Tsena. Ten ostatni patrzyl spod zmarszczonych brwi i uparcie podawal podarunek P'terowi.

-Do siedzenia, nie widzisz? Pasuje miedzy grzebienie na szyi smoka. Zrobilismy na miare.

Podziekowania P'tera za tak pozyteczny podarunek byly wylewne, choc nie byl zbyt zadowolony. Jednak potrzebował czegos takiego, nie tyle ze wzgledu na posladki, ile na

miesnie ud, ktore wymagaly wzmocnienia i masazu, by odzyskac dawna sprawnosc. Naturalnie, M'leng z zapalem zajmowal sie masazami, ale P'tero mimo to zaczal sie zamartwiac, ze nie bedzie gotow do walki, gdy zaczyna sie Opady. M'leng odniosl obrazenia w lepszych miejscach. Nie straci nawet jednego bojowego lotu.

Wkrotce siedzieli nad winem, ciasteczkami i tacka serow na zaimprovizowanym, kameralnym przyjeciu w odnowionym weyrze. Ukoronowaniem powrotu do domu byl prezent od M'lenga: plaska, owinieta w papier paczka.

Oczy partnera blyszczaly z niecierpliwosci, gdy P'tero rozwiazywal sznurek, nie majac pojecia, co tez moze znajdowac sie w srodku.

-Wiesz, lantine juz wrocil - powiedzial M'leng, niemal bez tchu wpatrujac sie w kazdy ruch dloni P'tera.

Pozostali jezdzyca byli rownie zemocjonowani i P'tero poczul uklucie irytacji na mysl, ze wszyscy wiedza, co to jest i z niecierpliwoscia czekaja na jego reakcje.

Naturalnie, gdy skonczyl odwijac obraz z papieru, najpierw ujrzal niezamalowana strone. Odwrocil plotno i oniemiał. Na widok namalowanej sceny oczy niemal wyszly mu z orbit.

-Ale... ale lantine'a tam przeciez w ogole nie bylo!

-Jest swietny, prawda? - ucieszyl sie Z'gal. - Doskonale wszystko uchwycil! M'leng bez przerwy opisywal mu wydarzenia...

P'tero byl tak oszolomiony, ze nie wiedzial, co mowic. Oddalby prawa reke, zeby wszystko wydarzylo sie w rzeczywistosci tak, jak przedstawil to artysta. Lew szarpal pazurami jego plecy, M'leng lezal pod nim, a na skale wspinala sie reszta drapieznikow, ktorych poza i otwarte paszcze z klami dluzszymi niz smocze, niedwuznacznie zdradzaly podle zamiary. Z kolei ułożenie P'tera bez cienia watpliwosci sugerowalo, ze bronil swego kochanka, gdyz obrocil glowe i zamierzal sie piescia na atakujacego lwa. Ale nie to okazalo sie najwiekszym odejsciem od prawdy: otoz obaj mezczyzni byli calkowicie ubrani.

-P'tero? - w glosie M'lenga brzmial niepokoje. Blekitny jezdziec przelknel sline.

-Brak mi slow!

A gdzie ja jestem? pytal Ormonth, ktory pewnie przygladal sie calej scenie oczyma jezdzca, jak to sie czasem smokom zdarzalo.

-Tutaj! - P'tero wskazal na smoki wysoko na niebie. Skrzydla mialy uniesione, do ladowania, obnazone pazury, gotowe do pochwylenia napastnikow, a ich oczy mienily sie czerwonomaranczowym szalenstwem.

-Ja byłem nieprzytomny - powiedział M'Meng - ale Ormonth i Sith pewnie tak się właśnie zachowywały. Prawda? - wymierzył P'terowi ostrzegawczą sojkę w bok.

-Tak jest - padła pospieszna odpowiedź. Rzeczywiście pewnie tak było, choć P'tero nie mógł tego potwierdzić, bo wtedy patrzył w przeciwną stronę. - Wszystko zdarzyło się tak szybko... to aż niesamowite, że Iantine zdołał to ująć w jednej scenie! - w jego głosie brzmiało nieudawane zdumienie i szacunek.

-A teraz możesz sobie go powiesić na ścianie. - M'leng wskazał w odpowiednie miejsce. - Nawet gwoździ już wbiliśmy.

-Nie wolałbyś go mieć u siebie? - z nadzieją zaproponował P'tero.

-Mam drugi, taki sam. Iantine zrobił po jednym dla każdego z nas - M'leng z dumą uśmiechał się do partnera.

I tak P'tero musiał powiesić sobie na ścianie okrutne wspomnienie najgorszego dnia, jaki do tej pory przeżył... w dodatku na honorowym miejscu, tak, by oglądał je co rano zaraz po obudzeniu, aż po kres swego żywota.

-Nie masz pojęcia, co to dla mnie znaczy - powiedział, nie mijając się z prawdą i tym razem.

Nikt nie okazał najmniejszego zdziwienia, gdy tej nocy upił się winem niemal do nieprzytomności.

Przybywa Ianath, Charanth powiadomił swojego jeźdźcę.

-Meranath już mi powiedziała- stwierdziła Zulaya, zanim K'vin zdążył otworzyć usta. - Chce wiedzieć wszystko, ale to wszystko, o naszej wyprawie na Południowy.

-Myślałem, że pomyśl ćwiczenia przy okazji pierwszego Opadu na Południu dawno mu już wyleciał z głowy - odpowiedział K'vin, starając się by w jego głosie zabrzmiał niepokój.

Zulaya przyłożyła palec do warg, wskazując na spiacę Meranath. Prosiła w ten sposób K'vina, by nie wysyłał swych myśli do Charantha, wylegującego się na zewnętrznej skalnej polce. K'vin kiwnął głową na znak, że rozumie.

-Nie oszukasz mnie, Kev - pogroziła mu palcem. - Razem z B'nurrinem oddalilibyście wszystko za możliwość walki z pierwszym prawdziwym Opadem, nawet jeśli Nici spadną nad Południowym Kontynentem, gdzie nikomu nic nie zagraża.

-Sama wiesz, że pedraki nie rozprzestrzeniły się jeszcze po całym Południowym.

-To nie ma nic wspólnego z możliwością zobaczenia Nici na własne oczy pierwszy raz po dwustuletniej przerwie.

Odpowiedział na jej ironiczny grymas niesmiałym uśmiechem.

-Nie musimy przecież nawet dawać smokom kamienia, prawda?

-Tak, ale czy na pewno chcesz do końca życia słuchać napomnień S'nana na ten temat? Pod warunkiem, że długo pożyjesz jako Przywódca Weyru, jeśli trzymają się Ciebie takie pomysły.

K'vin zmierzył ją długim spojrzeniem.

-A ty bardzo się cieszysz, że Sarai poprowadzi skrzydło królowych do walki z Opadem przed tobą, prawda?

Zulaya z lekką wyprostowała się w krzesle, ale K'vin wiedział już, że cios nie chybił. Była jednak na tyle uczciwa, że uśmiechnęła się w odpowiedzi.

-Nie wiemy nawet, o co właściwie chodzi B'nurrinowi - przyznała.

B'nurrinowi chodziło jednak właśnie o to i nie zmienił zdania, nawet, gdy Zulaya i K'vin zaczęli wyliczać wszystkie trudności, z jakimi zetknęli się podczas pechowej wyprawy na Południowy Kontynent.

-Po pierwsze - powiedział, powtorzywszy wprawdzie sygnał Zulayi, by osłonić myśli przed smokami - nawet nie będziemy nigdzie lądować. Poza tym, Kev, wcale nie chce zabierać z sobą całych skrzydeł - dodał szybko. - Zdaje mi się jednak, że nie musimy próbować walki z pierwszym prawdziwym Opadem, niezależnie od tego, gdzie to będzie...

-A poza tym chciałbyś odebrać S'nanowi pierwszeństwo, prawda? - uśmiechnęła się złośliwie Zulaya.

-To prawda - odparł B'nurrin z urazą. - Mam go już po dziurki w nosie. Nie rozumiem, dlaczego nie można popatrzeć, jak to wygląda. - Przerwał na chwilę, podjął jakąś decyzję i popatrzył K'winowi prosto w oczy. - Powiem szczerze. Boję się, że z poł tuzina razy będę musiał zmieniać majtki w czasie pierwszego Opadu, na który przyjdzie mi ruszyć z Weyrem.

-Sam się nad tym zastanawiałem - odparł szczerze K'vin. Zdumiał się, spostrzegłszy katem oka przelotny wyraz aprobaty na twarzy Zulayi. Przecież B'ner chyba nie brał czegoś takiego pod uwagę, nawet jako odległej możliwości?

-Sądzę więc, że warto byłoby dobrze się temu przyjrzeć, zanim będę musiał udawać beztróskiego bohatera...

-Jeśli ktoś zachowuje się beztrósko w obliczu Nici, to znaczy, że jest durniem i kropka - wtrąciła Zulaya.

-Oczywiście - kiwnął głową B'nurrin i uśmiechnął się do niej. - To jak, przyłączycie się?

-Myślisz, że jeżeli polecimy razem, to wina rozłoży się na dwóch? - spytał K'vin, obserwując z ukosa twarz Zulayi.

B'nurrin podrapał się w brode.

-Tak, chyba mniej więcej o to chodzi.

-Rozmawiałeś na ten temat z innymi ludźmi? Odpowiedziało było pogardliwe prychniecie.

-Nie sędzisz chyba, że drugi raz bym zaproponował coś takiego S'nanowi, po tym, jak mi dwukrotnie natarł uszu? Pomyslałem, że was przede wszystkim przekonam, niż D'miela, choć wydaje mi się, że M'shall też by polecał. Jeśli w Fortcie i Dalekich Rubieżach będzie brzydka pogoda, może się zdarzyć, że pierwsza prawdziwa walka z Opadem odbędzie się nad Bendenem.

-To prawda, że M'shall może być chętny do współpracy, chociaż z was wszystkich on jeden jest pewien swych umiejętności.

-No cóż, to prawda - przyznał B'nurrin, ale po chwili znowu uległ entuzjazmowi: - Ale spojrz na to z innej strony. Nawet jeśli stary S'nan będzie walczył z pierwszym Opadem tego Przejścia nad Fortem, my i tak będziemy lepsi od niego o jeden, w pewnym sensie. - Przywódcy Igeny aż śmiały się oczy do tego spisku, jak małemu chłopcu. K'vin też musiał się rozesmiać na ten widok.

-Jak długa jest przerwa między pierwszym Opadem na Południu i pierwszym u nas? - spytał. Ze zdziwieniem spostrzegł, że Zulaya już rozkłada na stole mapę Opadów Nici dla Weyru Telgar.

-Mniej więcej dwutygodniowa - odparła.

-To znaczy, że możemy tam jechać, nie zagrażając bezpieczeństwu naszych własnych Weyrow.

-Pierwszy Opad, który dosięgnie Weyru Fort to numer siedmiy. Numer czwarty wypada nad Ladowiskiem. Piąty jest na nic, ale szósty zaczyna się nad morzem, przy ujściu Rajskiej Rzeki, niedaleko od naszego niedawnego miejsca obozowania.

-A pierwsze trzy? - spytał B'nurrin, wyciągając szyję, by się przyjrzeć mapie. - Aha, rzeczywiście nie najlepsze, brak im bezpiecznych punktów orientacyjnych, prawda? - a potem wzrokiem rzucił K'winowi wyzwanie: - To co, polecisz ze mną?

-Bardzo chętnie - odpowiedział tamten, celowo nie patrząc w stronę Zulayi.

-Ja tez bym chciała - powiedziała kobieta, zaskakując ich obu. Wpatrywali się w nią, zdumieni, więc dodała: - No coż, królowe latają wiele niżej, niż reszta Weyru. Wprawdzie dzięki temu będzie mi łatwiej zmienić majtki, niż wam, ale wolalabym nie być do tego zmuszona. Gdy w odpowiedzi uśmiechnęli się do niej z ulgą, dodała: - Shanna też chce lecieć, prawda?

-Tylko, jeżeli i ty się wybierzesz - uśmiechając się jeszcze szerzej odpowiedział B'nurrin.

-Przynajmniej jedna osoba w tym waszym Igenie ma trochę oleju w głowie - odparła Zulaya.
- Odłożmy tę sprawę na parę dni. Zastanówmy się spokojnie.

-A kto się o tym dowie, jeśli sami niczego nie zdradzimy? - spytał B'nurrin, obrócił się na piecie i znacząco popatrzył na spiacą Meranath.

Paulin zabrał Jamsona do Bitry. Starszy pan w dalszym ciągu był wściekły na syna, że w imieniu Dalekich Rubieży oddał głos za zdjęciem Chalkina ze stanowiska. Nie mógł jednak znaleźć żadnych uchybień w zarządzaniu Warownia podczas swej dwumiesięcznej rekonwalescencji. Rzeczywiście, dzięki odpoczynkowi odzyskał pełną sprawność, choć nie stał się bardziej tolerancyjny.

Zmiany w Bitrze zauważyli bez trudu, już w chwili gdy Magrith wylądował na dziedzińcu, a Vergerin pośpiesznie zszedł po schodach, by powitać gości. Uprzedzono go o wizycie.

S'nan uparł się, że sam zawiezie obu Lordów, gdyż usunięcie Chalkina wstrząsnęło nim równie mocno, jak Jamsonem.

-Na honor! - wykrzyknął, rozglądając się w kółko. Magrith również spoglądał z uwagą. Paulin musiał stłumić śmiech, gdyż jeździec patrzył w jedną stronę, a smok w przeciwną.

Na dziedzińcu panował porządek. Z kamiennych płyt zmieciono świeży śnieg i widac było między nimi nowe cementowe spoiny. Z poboczy obu dróg zniknęły splątane krzaki i drzewa - samosiejki. Rządek chat pysznił się nową dachówką, naprawionymi kominami i pomalowanymi metalowymi okiennicami, które wyglądały jak nowe. Niektóre okna na górnym piętrze warowni zamknięto naглуcho, a budynku nie oplatały już bezlistne pnacze dzikiego wina. Na dachu lśniły czyste, odnowione panele baterii słonecznych.

W nowo postawionym magazynie piętrzyły się poręcznie ustawione butle z kwasem azotowym, a obok umieszczono weże i dysze, porządnie rozwieszona na kolkach.

Kalvi powiedział Paulinowi, że w tydzień po objęciu władzy przez Vergerina poproszono go o dostawę sprzętu przeznaczonego dla Bitry. W następnym tygodniu posłał tam swoich najlepszych nauczycieli, by przeszkolili mieszkańców w posługiwaniu się miotaczami i ich konserwacji. Vergerin miał na sobie tunikę z solidnego materiału narzuconą na spodnie. Odzież była dobrej jakości, ale wyraźnie przeznaczona do pracy. Widac było, że przyjazd gości przerwał mu jakieś zajęcie. Serdecznie powitał Paulina i uprzejmie odpowiedział, gdy

ten przedstawił mu Jamsona. Stary Lord chłodno powitał Bitranczyka.

-Bardzo dużo zdążyłeś tu zrobić od czasu, gdy przejąłeś Warownie, Vergerinie - powiedział Paulin, udzielając mu w ten sposób wsparcia, jako osoba publiczna. - Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że to będzie możliwe.

-No cóż - Vergerin uśmiechnął się ujmująco - znalazłem skarbiec Chalkina, więc mogłem sobie pozwolić na zatrudnienie rzemieślników. Ale nawet ci gospodarze, którzy mieszkają najbliżej, nie przyzwyczaili się do mnie jeszcze i są, jakby tu powiedzieć... oniesmieleni?

-Raczej obawiają się ciebie - sprostował sucho Paulin.

-To też, ale zrobiłem, co w mojej mocy, by dostarczyć im materiałów do różnych niezbędnych napraw. Warownia była strasznie zaniedbana.

Jamson odchrząknął niechętnie, lecz i on wytrzeszczył oczy na widok porządku i czystości w pierwszej gościnnej sali. S'nan mruknął coś z aprobatą i nawet przesunął palcem po szerokim stole, który zdobił gustowny bukiet z gałązek zimozielonych krzewów o barwnych owocach. Służący, w nowiutkiej liberii, jeszcze ze śladami po składaniu, spieszył przez korytarz z wyladowaną tacą w rękach.

-Mój gabinet jest już całkiem wygodny - Vergerin gestem zaprosił ich do wnętrza.

Paulin zauważył, że ciężkie drewniane drzwi aż isniły od oliwy, a mosiężne tabliczki wypolerowano do połysku. Wnętrze było całkowicie odmienione: znalazły się tam stoły do pracy, porządne polki i biblioteczki. Do boazerii przyspilono plan Warowni, niżej mapę Kontynentu Północnego i, o dziwo, Doliny Stenga. Czyżby Vergerin chciał na nowo uruchomić tamtejsze kopalnie? Na kominku płonął ogień, obok ustawiono zapraszająco trzy tapicerowane fotele, a niski stół wyraźnie służył do stawiania tacy. Na szerokim parapecie stały wypolerowane metalowe wazy, w których wabiły ładnie ułożone gałązki o pomarańczowych jagodach i zielonych liściach; pod rzadami Vergerina pokój ten przybrał zupełnie inny wygląd.

-Jest kłah, doskonały rosół, naprawdę godny polecenia i wino, grzane albo w temperaturze pokojowej - zaproponował Vergerin, gestem zapraszając gości do usadowienia się w fotelach.

-Masz też nowego kucharza, Vergerinie? - spytał Paulin, wskazując na parującego kociolka. Vergerin uśmiechnął się w odpowiedzi. - W takim razie spróbuj tego rosółu - odpowiedział jego gość.

Jamson też poprosił o rosół, zaś S'nan zadowolił się kłahem.

-Pamiętasz te kuchenne schody, Paulinie? - powiedział Vergerin, nalewając sobie rosółu i przysuwając zwykle krzesło.

-A co, tam schował pieniądze?

-Tak, w jednym ze stopni - zaśmiał się Vergerin. - Chyba zapomniał, że ja też znam te kryjówkę. Pieniądze przysły w sam czas, bo dzięki nim mogłem zwrócić nadliczbowe daniny i zapłacić za zaopatrzenie. Chalkin jedna rzecz robił porządnie: prowadził księgi. Dzięki temu dokładnie wiedziałem, ile wydusił ze swoich ludzi.

Jamson odchrząknął z uraza.

-No coż, taka jest prawda, Lordzie Jamsonie - powiedział Vergerin, niezrażony. - Nie mieli dość zapasów, by przetrwać zimy, nie mówiąc już o żywności na czas Opadu. W dalszym ciągu pozbywam się zgromadzonych przez Chalkina towarów, których nigdy nie zdolalibyśmy wykorzystać - roześmiał się niewesoło. - Z tym, co tu zebraliśmy, bez trudu przetrwałby pięćdziesiąt lat Przejścia, za to nikt z jego ludzi nie przeżyłby pierwszego roku, nie wspominając o przechowaniu i ochronie ziarna siewnego. Bitre założono już po Pierwszym Opadzie, nigdy nie prowadzono tu upraw hydroponicznych, choć w podziemiach są kładzie.

Jamson znów prychnął: - A hazard? Położyłeś mi kres?

-I tu, i gdzie indziej - policzki Vergerina z lekka pociemniały. - Od czasu tamtej gry z Chalkinem nawet nie tknałem kosi i kart.

-Co się stało z zawodowymi graczami? Władca Bitry wykrzywił usta w uśmiechu.

-Dalem im do wyboru: podpisać ze mną nowe kontrakty, bo starych nie honoruje, albo odejść stąd. Prawie wszyscy zostali.

S'nan zaśmiał się sucho, szczekliwie.

-Nic dziwnego, przecież niebezpieczne jest być bez dachu nad głową w czasie Przejścia. Dobrze sobie radzisz, Vergerinie - i kiwnięciem głowy podkreślił swą aprobatę.

-Dano ci drugą szansę, Vergerinie - pogroził mu palcem Jamson. - Staraj się wykorzystać taki uśmiech losu. Skończył pić rosół i wstał.

-Teraz zajrzelibyśmy do kilku gospodarstw, jeśli można.

-Ależ naturalnie - Vergerin podniósł się pośpiesznie i odsunął krzesło na miejsce. - Konno...

-Nie, nie - osadził go Jamson. - Nie ma potrzeby, byś nam towarzyszył. Pojedziemy sami.

-Słuchaj, Jamson - zaczął Paulin, gdyż propozycja była co najmniej obraźliwa.

-Nie ma problemu, jak sobie życycie. - Vergerin gestem zaprosił ich do obejrzenia mapy i wskazywał gospodarstwa.

-Udalo nam sie przeprowadzic wszystkie konieczne naprawy w siedzibach polozonych przy glownych drogach, lub tez w ich poblizu. Gorskie gospodarstwa musza poczekac na dostawy. Nie moze naduzywac uprzejmosci Weyru Benden, choc M'shall okazal sie o wiele bardziej sklonny do pomocy, niz sie spodziewalem.

-To dla niego korzystne - S'nan natychmiast reagowal na najmniejsza krytyczna wzmianke o Przywodcach Weyrow.

Jamson otworzy drzwi do Sali i tak gwałtownie sie zatrzymal, wpatrzony w sciane naprzeciwko, ze Paulin o malo co na niego nie wpadl. Lord Dalekich Rubiezy zamamrotal cos pod nosem i zwrocil sie do Vergerina, wskazujac sciane:

-Dlaczego, u licha, powiesiles tu jego portret? - sadzac z tonu glosu, byl oburzony.

Paulin i S'nan spojrzeli we wskazanym kierunku. Paulin nie wytrzymal i rozesmial sie.

-Kiedy lantine zdazyl to... przerobic? - spytal Vergerina, ktory takze szeroko sie usmiechal.

-Przyslal go wczoraj - Vergerin przeszedl przez sale i stanal pod obrazem. - Moim zdaniem teraz bardzo dobrze oddaje podobienstwo.

Przez chwile w milczeniu ogladali portret, stanowiacy obecnie wierny obraz poprzedniego Lorda Bitry, w szczegolnoscii jego blisko osadzonych oczu, niezdrowej cery, rzadkich wlosow i brodawki na brodzie.

-Dlaczego chcesz miec jego twarz przed oczyma, Vergerinie? - spytal S'nan z glosnym sapnieciem.

-Po pierwsze, zeby pamietac o dobrym gospodarzeniu w Bitrze, a po drugie, poniewaz do tradycji nalezy tu upamietnianie wszystkich kolejnych Lordow Bitry - wskazal na schody, po obu stronach sali. Rzeczywiscie, sciany ozdobiono portretami poprzednich zarzadcow.

Jamson kilkakrotnie odchrzaknal.

-A Chalkin? Co sie z nim dzieje?

Paulin wzruszyl ramionami i popatrzył na S'nana.

-Dostarczono mu wszystko, co potrzebne do zycia - powiedzial Przywodca Weyru. - Nie ma potrzeby poglabiac jego rozgoryczenia dalszymi kontaktami.

-A dzieci? - w oczach Jamsona pojawil sie zimny blysk.

-Zdaje mi sie, ze staly sie bardziej zdyscyplinowane, zdrowsze i powsciagaja nieco swoj temperament - odpowiedzial Vergerin.

-To ostatnie było im wielce potrzebne - zauważył Paulin.

-Bdziesz mile zaskoczony, Lordzie Paulinie - odparł Vergerin z chytrym uśmiechem.

-Jakos to przeżyje.

-Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość traci - z namaszczeniem zaintonował Jamson.

-Proszę tedy - powiedział Vergerin i przyłożył palec do ust, prosząc o ciszę.

Poprowadził ich korytarzem, w kierunku pomieszczenia, które Paulin pamiętał jako szulernię. Usłyszeli stłumiony śpiew. Paulin natychmiast rozpoznał melodię jako jedną z najnowszych piosenek rozpowszechnianych przez Uniwersytet. Gdy podeszli bliżej, okazało się, że to Ballada o Powinnościach. Jamson znowu odchrząknął znacząco i wciągnął ze swistem powietrze.

Vergerin cicho otworzył drzwi do całkowicie odmienionej komnaty. Uczniowie, a było ich o wiele więcej, niżby Paulin się spodziewał, siedzieli plecami do drzwi. Nauczyciel - ku zdziwieniu Paulina był to Issony, który widac wrócił do Bitry - dodatkowym skinieniem głowy przyjął do wiadomości ich obecność i dalej podawał tempo śpiewającym dzieciom.

Dziecięce głosiki, nawet fałszujące zawsze wznoszą, być może ze względu na niewinne brzmienie i toporną dynamikę w interpretowaniu piosenki. Nawet Jamson się uśmiechnął. Nic dziwnego zresztą, bo śpiewano akurat o powinnościach Lorda Warowni.

-Które z nich są z Rodu? - szepnął Paulin do Vergerina.

Ten wskazał ręką i dopiero wtedy Paulin rozpoznał w pierwszych rzędach dziewczęta i chłopców. Dzieci były o wiele lepiej ubrane od rówieśników, ale słuchały nauczyciela z równym zapalem i śpiewały z całym siłą: najstarsza dziewczynka rzeczywiście miała przenikliwy głos. Zupełnie jak matka, pomyślał Paulin.

Vergerin wskazał gestem, że mogą już wyjść.

-Issony miał rację. Dzieciakom jest potrzebne współzawodnictwo. Te z gospodarstw nie potrzebują motywacji: same chcą się uczyć, a Chaldon uparł się, że dzieci zwykłych rolników nie będą lepsze od niego. Naturalnie, w dalszym ciągu zdarzają się płacze, krzyki i awantury, ale dałem Issony'emu wolną rękę. Świetnie sobie radzi. Bardzo skutecznie.

-A Nadona? - spytał Paulin. Vergerin unosił brwi.

-Dostaje taką samą szkołę, jak dzieci, ale uczy się wolniej, jak by powiedział Issony. Ma własne apartamenty - wskazał głową w stronę wyższych pięt. - I w nich pozostaje.

-Rozumiem, że nie wtraca się do twojej ciężkiej pracy? - ironicznie skomentował Paulin.

-Tak jest.

-Hm, no cóż, to by było na tyle, moim zdaniem - stwierdził Paulin a potem demonstracyjnie poprawił jezdziecką kurtkę, co miało oznaczać, że chętnie by już wyruszył na inspekcję w teren. - Jak sądzisz, Jamson? Zapytany odchrząknął, ale Paulin uznał za dobry znak to, że nie miał żadnych pytań.

Przed budynkiem grupa kobiet i mężczyzn zakładała na plecy miotacze płomieni.

-Zarządziłem ćwiczenia, bo jak wiecie, musimy nadrobić znaczne opóźnienia - wyjaśnił Vergerin. Jamson i S'nan spojrzeli na siebie z tak głupimi minami, że Paulin z trudem powstrzymał wybuch śmiechu. Vergerin pochwycił jego spojrzenie i mrugnął, po czym pożegnał się uprzejmie z gośćmi i wrócił do pracy z patrolami naziemnymi.

-No cóż, widac, że nauczył się paru rzeczy - wygłosił Jamson z namaszczeniem, gdy schodzili po schodach do oczekującego spizowego smoka.

-Zdaje się, że tak - przytaknął S'nan i lekko spochmurniał. - Choć nie podoba mi się, że puścił wolno szulerów Chalkina. Narobia nam jeszcze kłopotów na Zgromadzeniach, wspomnicie moje słowa.

-Nie większych, niż do tej pory - odpowiedział Paulin i dyskretnie pomógł Jamsonowi wspiąć się na wysokie przedramię Magritha. - Pewnie nawet mniejszych, bo Chalkin nie będzie ich naciskał, by wyduszali pieniądze od naiwnych gospodarzy.

-W Weyrze pod żadnym pozorem nie wolno pozwolić na hazard - oświadczył S'nan, pompatyczny, jak zwykle.

Paulin milczał, mając nadzieję, że wycieczka upewni jego towarzyszy o wartości Vergerina i o tym, że usunięcie Chalkina było naprawdę niezbędne. Odczuwał zadowolenie z krótkich odwiedzin w Warowni, a szczególnie spodobał mu się poprawiony portret Chalkina. Wysłał list do Iantine'a w Weyrze Telgar - Bridgely mówił, że artysta wrócił tam jak tylko skończył prace w Bendenie - z pytaniem, kiedy będzie mógł wraz z żoną pozować mu do portretu.

Cieszył się także, że zdecydował się towarzyszyć Jamsonowi. Miał nadzieję, że Lady Thea wkrótce go powiadomi, że Gallian odzyskał ojcowskie względy.

-Słuchaj, P'tero, sam nie uratujesz całego Weyru przed Opadami - wściekał się K'vin na blekitnego jeźdźcę. Szalał z gniewu widząc, że młody P'tero całkowicie ignoruje podszepty zdrowego rozsądku. - W ten sposób nie zrobisz wrażenia na M'lengu. Jeśli tak widzisz swoją rolę w walce z Opadami, to chyba na dłuższy czas odkomenderuje cię do łączności.

-Ale... ale...

-Ponadto - Przywódca Weyru gniewnie pogroził mu przed nosem - Maranis powiedział mi, że rany nie wygoiły ci się jeszcze na tyle, byś był zdolny do służby.

-Ale... ale... - P'tero, z oczyma rozszerzonymi ze strachu, zrobił unik przed gniewem Przywódcy Weyru, szczęśliwie chwyciwszy się grzbietowego grzebienia, zanim spadł ze smoka. Siedzisko, które dał mu T'san, wypadło na ziemię. Pewnie rzemienie rozluźniły się podczas ćwiczeń. Materiał był poplamiony krwią.

-Chodź tu - K'vin wskazał tam, gdzie powinien być jego zdaniem P'tero: na ziemię. - I to już.

Młody człowiek starał się jak najszybciej wypełnić rozkaz, ale zeszywniał od kilkugodzinnego siedzenia na smoczym grzbiecie podczas manewrów, gdyż pośladki ledwie mu się wygoiły.

K'vin złapał go za ramię i odwrócił tyłem.

-Nie tylko świeża krew. Do tego jeszcze stare plamy - głos trzasł mu się z gniewu i ironii. - Zwalniam cię z zajęć.

-Ale... ale... Nici zaczyna opadać lada dzień! - zawołał rozpaczliwie P'tero, zdesperowany, niemal ze łzami w oczach na myśl, że nie będzie mógł udowodnić M'lengowi, jaki odważny jest w rzeczywistości i pokazać prawdziwe męstwo w powietrzu, a nie udawane, jak podczas ataku lwów.

-Nici będa opadać przez następnych pięćdziesiąt lat, młody człowieku. Jeszcze razem z Ormonthem zdążycie napełnić im strachu! Natychmiast zamelduj się u Maranisa. Masz zakaz lotów!

-Ale ja muszę walczyć z pierwszym Opadem - zawołał zrozpaczony P'tero.

-W ten sposób tego nie osiągniesz. Ruszaj do Maranisa!

K'vin nawet nie sprawdził, czy P'tero usłuchał polecenia. Popędził przez Nieceke, pewien, że gdyby się nie oddalił od błękitnego jeźdźcy, solidnie by nim potrząsnął, aby nauczyć go rozsądku.

Ormonth próbował go dzisiaj przekonać, żeby nie latał, oświadczył Charanth.

K'vin zatrzymał się nagle i spojrzał wściekle na spizowego smoka, który sadził się na skalnej grzędzie, by skorzystać z ostatnich promieni zachodzącego słońca.

To znaczy, że sam nie jesteś lepszy od tej parki! ryknął w myślach i miał satysfakcję widząc, jak Charanth kładzie uszy po sobie.

Od dziś masz mi raportować - natychmiast! - o każdym przypadku zmniejszonej sprawności

bojowej jakiegokolwiek smoka, albo jezdzca. Rozumiesz?

Oczy smoka wirowaly, a ich blekit nabral zoltawego odcienia, oznaczajacego niepokoj. Odpowiedzial ze skrucha: Juz wiecej cie nie zawiode.

Gdyby rzeczywiscie byli w niebezpieczenstwie, nie pozwolilabym im leciec, wlaczyla sie do rozmowy Meranath.

Nie ciebie pytalem! K'vin byl tak rozdraznilony, ze nie dbal, czy obrazi smoczyce, albo jej jezdzcynie. Nie zyczyl sobie tracic jezdzcow z powodu beztroski albo ambicjonalnych rozgrywek, i koniec. Mieli przed soba piecdziesiat lat walki z Nicmi i w takiej sytuacji nie wolno bylo dopuscic do strat w szeregach, albo ryzykowac, ze towarzysze walki ulegna kontuzji popisujac sie bezsensowna bohaterszczyzna.

Jesli sadzisz, ze ryzykowalabym zyciem jakiegokolwiek jezdzca...

K'vin pobiegl do weyru krolowej skaczac po trzy stopnie na raz. Staral sie opanowac furie zanim stanie przed Zulaya, by wyjasnic jej, czemu nagle zaczal komenderowac jej krolowa.

Musisz mnie informowac o kazdym niesprawnym jezdzczu albo smoku, zawsze i wszedzie, Meranath. Powinnas o tym wiedziec. Na Pierwsze Jajo, od czego jestes przywodczynia krolowych?

-Bo ja jej dosiadam! - na skalna polke wybiegla rozzloszczona Zulaya, z oczyma blyszczacyimi uraza. - Jak smiesz odzywac sie do mojej krolowej!

-Jak ona smie ukrywac przede mna informacje?

Zulaya wpatrywala sie w niego oniemiała, gdyz K'vin nigdy jeszcze nie skarcil ani jej, ani Meranath, choc sama przed soba przyznawala po cichu, ze w paru wypadkach slusnie by im to sie nalezalo.

-Wiedzialas, w jakim stanie jest P'tero? - zapytal gniewnie, a ona cofnela sie przed nim do weyru. Wspaniale wygladal w gniewie: oczy ciskaly blyskawice, twarz skamieniala... uosobienie urazonej dumy.

-Tisha cos mowila, ze Maranis byl niezadowolony z jego powrotu do sluzby. Tkanka na bliznach jest cienka...

-A ty mi nic nie powiedzialas?

-To tylko blekitny jezdziec...

-Dla mnie wazny jest kazdy z moich jezdzcow! - ryknal Przywodca Weyru, przyciskajac zwiniete w kulak piesci do ciala, by nie wybuchnac nagromadzona furia. - Za dwa dni

rozpocznie sie Opad. Caly Weyr musi byc w gotowosci. Musze byc pewny kazdej osoby, ktora poprosze, by stawila czolo Niciom. Nie zycze sobie sekretow, tajemnic, ani tez...

-K'vinie - zaczela Zulaya, wyciagajac do niego reke. - Kev, wszystko jest w porzadku. Weyr czeka w gotowosci. Moze jestesmy zbyt napieci, ale to nam wyjdzie na dobre...

-Wyjdzie nam na dobre? - K'vin odepchnal jej reke. - Kiedy w szeregu staja jezdzy, ktorzy nie sa w stanie podolac wymaganemu wysilkowi?

Zaczal nerwowo chodzic po weyrze. Zulaya obserwowala go z usmiechem ulgi i dumy. Bedzie z niego doskonaly Przywodca, o wiele lepszy od B'nera.

Zatrzymal sie, niemal na nianie wpadajac. Wpatrywal sie w jej twarz oczyma lsniacymi z gniewu i desperacji.

-Co cie znowu tak cieszy, do diabla? - spytal podejrzliwie, bo takiego usmiechu jeszcze u niej nie widzial.

-To, ze w pelni nad wszystkim panujesz - odpowiedziala, nie zmieniajac wyrazu twarzy.

-Ano, nie da sie ukryc, prawda? - a potem, spelniajac jej ciche marzenia, wzial ja w ramiona i zaczal calowac, wladczo, po mesku, w pelni swiadom swej przywodczej roli w Weyrze. Ani sladu nie pozostalo po wahaniach i uleglosci. Od dawna miala nadzieje, ze kiedyś wreszcie go do tego sprowokuje.

Nastepnego dnia rano K'vin w dalszym ciagu doskonale nad wszystkim panowal. Przed switem Meranath powiedziala im, ze B'nurrin i Shanna juz czekaja.

-Na co czekaja? - zdziwil sie K'vin, niechetnie odsunal sie od Zulayi i siegnal po spodnie.

Czas juz wyruszac, dodal Charanth.

-Dokad? - spytal niechetnie jego jezdziec.

-Dokad? - powtorzyla sennie Zulaya.

Na poludnie. Tak mowia, odparli Meranath i Charanth. K'vin natychmiast sobie przypomniat, ze wlasnie tego dnia mieli przyrzec sie Niciom. Pomyslal to bardzo, bardzo cicho, na samym dnie umyslu, zeby Charanth nie uslyszal. Przeciez oba smoki spaly, gdy B'nurrin przyjechal z ta propozycja. I bardzo dobrze, bo w przeciwnym wypadku caly Weyr wpadlby na pomysl obserwowania pierwszego Opadu.

-B'nurrin chce, zebyśmy z nim poleciecieli - powiedzial na glos, rzucajac Zulayi ostrzegawcze spojrzenie.

Na chwile zmarszczyla brwi, a potem twarz jej sie nagle wygladzila i uslyszal: - Aha. Z

konspiracyjnym uśmiechem wyskoczyła z łózka, i ciągnąc za sobą przescieradło poszła po ubranie do jazdy. Gdy się mijali, przyciągnęła jego głowę do swoich ust.

-Mogłabym wziąć miotacz...

-To już lepiej napisz sobie na czole, dokąd lecimy - mruknął w odpowiedzi. - Mamy przecież tylko obserwować.

-Tak, obserwować... - a potem dodała głębiej: - Gdzie spotykamy się z B'nurrinem, Meranath?

-Sami to wiemy, nie pamiętasz? - K'vin ujął ją za ramiona i lekko potrząsnął, a potem szepnął: - Ładowisko.

-Jak mogłam zapomnieć?

Jeśli nawet smok z jeźdźcem, stojący na wargach na krawędzi krateru zastanawiali się, dlaczego Przywódcy wymykają się z Weyru przed świtem, nie pytali o to. Jeździec wesóło pomachał im ręką, gdy przelatywali obok.

Ianath mówi, żeby policzyć do trzech i lecimy, powiedział Charanth do jeźdźcy zdziwiony, że nie wie, o co chodzi.

Wybieramy się na Ładowisko, odpowiedział K'vin, spoglądając w stronę Meranath. Zulaya podniosła dłoń z wyprostowanym kciukiem na znak, trzymała tę samą wiadomość. K'vin wyobraził sobie wyschniętą równinę pokrytą wulkanicznymi popiołami, między górą Garben a zatoką Monako i trzykrotnie pokiwał głową.

Start!

Charanthowi gwałtownie zaburczało w brzuchu, a w myślach zabrzmiało bardzo zdziwione Och! K'vin poczuł, że smok się przechylił. Dzięki temu podświadomie przygotował się trochę na widok, jaki się przed nim otworzył: w powietrzu panował niemal tłok. Tylko dzięki dodatkowemu smoczemu zmysłowi, Charanth i Meranath uniknęli niebezpiecznych zderzeń. K'vin odwrócił się i spostrzegł, że spośród Przywódców Weyrow zabrakło tylko S'nana i Sarai, choć być może kryli się między tymi, którzy tylko na moment wyskakiwali z pomiędzy, bojąc się, że ktoś ich rozpozna. Katem oka pochwycił na południowym niebie błyski błękitu, brązu, a nawet jeden czy dwa zielone cienie, które natychmiast zniknęły. Na spotkaniu nie stawili się bynajmniej tylko Przywódcy ze swymi smokami: oprócz nich kreciło się tu ze trzydziestu brązowych i szarych bestii.

Tego było już za wiele dla K'vina, obdarzonego nie tylko jakimś poczuciem humoru. Dobrze się stało, że zapisał pasy bezpieczeństwa, bo ryknął takim śmiechem, że obijał się o grzebienie na smoczym karku. Czy wszystkich jeźdźców na Pernie ogarnęła nieodparta potrzeba pojawienia się właśnie w tym miejscu dziś rano? Naturalnie, że teren Ładowiska

był ogólnie znany. Ale to, że aż tyle osób na własną rękę postanowiło tu przylecieć... w dodatku wszyscy pewnie żyli przekonanie, że nikt więcej nie zdecyduje się na tak śmiały krok.

Oprócz niego, jeszcze kilka osób zwijało się ze śmiechu. W tym momencie bardziej groziło im zmoczenie się z nadmiernej radości, a nie ze strachu na widok Nici. Ta myśl przywołała go do porządku. I znow, nie tylko jego. Śmiech ucichł, gdy wszystkie smoki i wszyscy jeźdźcy zwrócili się na pomocny wschód, jak pociągnięci niewidzialnym sznurkiem.

A tam, w górnej części nieba, majaczyła już ta, częstokroć opisywana, srebrzystoszara mgielka. Nie drgnęło ani jedno smocze skrzydło, nie poruszył się ani jeden jeździec, gdy pierwsze pasma zaczęły spadać do morza. Nici! Nie sposób było wybrać trafniejszej nazwy.

Nici!

Słowo to odbrzmiwało w smoczych umysłach jak echo. K'vin musiał chwycić się grzebienia na szyi Charantha, gdyż smok rzucił się w kierunku tego, co przez całe życie uważał za swego przeciwnika.

Nie mam ognistego kamienia! Jak mam zionac? Co się dzieje? Dlaczego przyprowadziles mnie do Nici i ja nie mam ognia, żeby je spalić!

Spokojnie, Charanth. Mamy tylko patrzeć. Obejrzyć wszystko.

Ale to Nici! Muszę zionąć kamień i zionac. Dlaczego nie mogę zionac, przecież to NICI!

K'vin rzucał wokół przerażone spojrzenia. Zorientował się, że nie tylko on ma podobne trudności z pełnym zapalem i frustracją smokiem, który gwałtownie wyrывa się w kierunku Nici. Już się przyjrzałem, Charanth. Lecmy do Telgaru.

A Nici? - spytał spizowy smok tonem, w którym naraz brzmiała żalosc, niezrozumienie i zgorzienie.

Lecmy stad. Już!

Lecmy? Ale nie walczyliśmy z Nicmi.

Nie tu, nie dziś, Charanth.

K'vin potrzebował ogromnej siły woli i samozaparć, oraz całego zaufania, jakim darzył go smok, by przelamać jego zarliwy sprzeciw. Nagle Charanth skrecił i zaczął oddalać się od Nici.

Dobrze już, dobrze! - powiedział tonem nadasanego dziecka, które całym sobą buntuje się przeciw poleceniom rodziców.

O co chodzi?

Krolowe mowia, ze mamy leciec do Red Butte.

To lecmy. K'vin nie kwestionowal rozkazu, szczesliwy, ze do smoka wreszcie dotarlo cos, czego zechcial usluhac.

Plaski wierzcholek Red Butte byl terenowym znakiem orientacyjnym w dolnym Keroonie - niezwykle charakterystyczna wulkaniczna kopula, wykorzystywana we wszystkich szkoleniach dla weyrzatek. Jezdcom udalo sie jakos naklonic smoki do ladowania na szerokim grzbiecie. Nawet oczy krolowych wirowaly czerwienia i oranzem; niektore spizowe byly tak podniecone, ze ich slepia pulsowaly zlosliwie, z nieslychana czestotliwoscia, odpowiadajaca gniewnym uczuciom. K'vin z ulga zsunal sie z szyi Charantha i, podobnie jak pozostali wladcy, nie zdejmowal dloni ze smoczej lapy, ramienia czy tez pyska; lepiej bylo zachowac fizyczny kontakt. Szerszy, zewnetrzny krag tworzyli brazowi i spizowi jezdzy, rowniez "uratowani" przez krolowe. Ci nawet nie zsiedli ze smokow, uspokajajac je i pozwalajac swym przywodcom prowadzic rozmowe.

Pierwszy odezwal sie M'shall:

-No coz, jeszcze jeden dobry pomysl, ktory sie nie udal - podsumowal ironicznie. - Ale z nas geniusze, nie ma co.

-Zapomnialo sie tylko o jednym drobiazgu - dodala Irena i sciagnela jezdziecki helm. Twarz jej pobielala ze strachu.

K'vin rzucil okiem na Zulaye, ktora ocierala pot z czola. Zorientowal sie, ze jezdzczyniom z trudem przyszlo przekonac krolowe, by zmusily smoki do odwrotu.

-Smoki wiedza, co maja robic, gdy opada Nic - przytaknal M'shall. A potem wybuchnal smiechem.

K'vin tez sie usmiechnal, a gdy uslyszal basowy rechot G'dona, przestal powstrzymywac wybuch wesolosci. B'nurrin tak sie zanosil, ze musial przytrzymac sie K'vina, zeby nie upasc. Nawet D'miel wygladal na rozbawionego, a chichot Laury byl tak zarazliwy, ze po chwili reszta przylaczyła sie do choru. Jezdzy z zewnetrznego kregu w lot poznali sie na zarcie i takze sie smiali. Odreagowywali w ten sposob niedawne przerazenie.

-Zauwazylicie moze przypadkiem jezdzca z Fortu, zmykajacego stad jak niepyszny? - spytal M'shall, gdy wszyscy sie uspokoili. - Sprawdzal, kto stawil sie na tym nieformalnym spotkaniu.

-Nigdy sie nie przyznaja, ze tu byli - odparla Irena.

-Nie bylbym tego taki pewien, Renee - stwierdzil G'don. - To prawda, ze S'nan pilnuje

dyscypliny w swoim Weyrze, ale załóż się, że wśród tamtejszych dowódców skrzydeł jest kilka niespokojnych duchów.

-Jestem tego pewna - powiedziała Mari, scierając z policzków łzy rozbawienia. - To strasznie śmieszne, że wszyscy - ogarnęła całe towarzystwo okrągłym gestem - wpadliśmy na to, żeby tu zajrzeć na chwilę.

-Ale smoki nie wyrobia w sobie jakis zahamowan, prawda? - Laura aż zbladła na te myśli. - Przez to, że je zawrociliśmy w ten sposób?

Nie tylko D'miel z poplazaniem oddalił od siebie taką myśl: - Niemożliwe! Wiarygodność jeźdźców wzrosła stokrotnie! Smoki wiedzą teraz bez wątpliwości, że wszystko, co powtarzaliśmy im od chwili Wyklucia, jest prawdą!

-No tak, rzeczywiście musi tak być - odetchnęła z ulgą.

-Ja zaś chciałbym serdecznie podziękować jeźdźczyniom królowych, że skorzystały ze swego potężnego wpływu na nasze spizowe - oświadczył G'don i złożył pięciu kobietom oficjalny ukłon, przykładając dłoń do serca.

-Oto korzyść z trzech bardzo doświadczonych królowych i dwóch bardzo upartych młodych kobiet - odpowiedziała Zulaya.

Twarz Laury pokrył rumieniec, a Shanna jeszcze bardziej się wyprostowała.

-No, dobrze - powiedział M'shall, widząc, że oczy większości smoczyc samców wróciły do normalnej barwy i szybkości wirowania. Wstąpił do środka kregu, złożył ręce przy ustach, po czym kontynuował: -Teraz posłuchajcie wszyscy. Tego spotkania nigdy nie było i pod żadnym pozorem nie należy o nim wspominać w Weyrach. Rozumiecie?

Odpowiedź była głośna i wyrazna. Kiwnął głową i cofnął się do swego Craigatha.

-Spotkamy się... - powiedział już tylko do Przywódców - gdy Nici po raz pierwszy "oficjalnie" zaczną opadać na Polnocy.

-Przez cały czas będziemy wysyłać lotne patrole - przypomniał im G'don.

-Jak wszyscy wiemy, S'nan również nie omieszka tego zrobić - wtracił usmiechnięty od ucha do ucha B'nurrin.

-Znamy więc czas i miejsce następnego spotkania.

-Poczekaj chwilę, G'donie -powstrzymał go K'vin. - Czy skrzydła, które pierwsze rozpoczną walkę z Nicia, nie mogłyby się wymienić, niezależnie od tego nad którym terytorium to będzie?

Cichy okrzyk aprobaty, dochodzący z zewnętrznego kregu sprawił, że propozycja została natychmiast zaakceptowana.

-W ten sposób więcej jeźdźców mogłoby zdobyć przynajmniej odrobinę doświadczenia, zanim każdy z Weyrow rozpocznie walkę z zagrożeniem na własną rękę.

G'don zatrzymał się u boku Chakatha i rozejrzył się wokół, sprawdzając reakcje na ten pomysł.

-Zmiany co godzina? - spytał.

-Lepiej co dwie, żeby skrzydła dobrze przyswoiły sobie techniki - poprawił go M'shall.

-Przecież nie jesteśmy całkiem zieloni - protestował B'nurrin.

-Dwie godziny brzmią rozsądnie, w przeciwnym wypadku zmiany następowałyby co chwila... - zastanawiał się D'miel.

-Zgadza się na dwie godziny - potwierdził G'don. - Zaproponujemy to S'nanowi. Choć tyle mu się od nas należy. Ja się podpisuję pod tym pomysłem - uśmiechnął się, wiedząc, że S'nan wysłucha go, jako najstarszego Przywódcy Weyru, podczas gdy kogoś młodszego mogłoby odesłać z niczym. - Powiadomie was, kiedy mamy się spotkać, by wprowadzić uzgodnione właśnie zmiany.

Nad wierzchołkiem Butte uniosła się chmura czerwonego kurzu, gdy wszystkie smoki niemal jednocześnie poderwały się z ziemi.

Rozdział XVII

Opad Nici

W dniu, gdy S'nan wezwał pozostałych pięciu Przywódców Weyrow na spotkanie, by przedyskutować zaproponowaną przez G'dona wymianę oddziałów bojowych podczas Opadu, z lodowych biegunów Pernu wiało chłodem. Stało się jasne, że mroz najprawdopodobniej odbierze Weyrowi Fort zaszczytną rolę pierwszej smoczej siedziby, która podczas tego Opadu stanie do walki z Nicmi. Oczywiście było, że S'nan czuł się wielce urazony tym faktem. Przez całe spotkanie nerwowo spacerował po komnacie, zatrzymując się tylko po to, by przez skosne okna popatrzeć na zasypujący Nieckę gęsty deszcz ze śniegiem. Nawet połowy uwagi nie poświęcał rozmowie. B'nurrin z trudem powstrzymywał śmiech i tylko kopniaki, których K'vin nie szczędził mu pod stołem, powstrzymywały go od wybuchu. Trudno zresztą było winić Przywódcę z Igenu, bo całe spotkanie było absurdalne: obaj wymieniali drobiazgowo przemyślane powody, dla których należałoby wymienić jeźdźców co dwie godziny, a S'nan na wszystko odpowiadał monosylabami i siedział z kamienną twarzą. Zirytowana mina Sarai przynajmniej była szczerą.

-Najchętniej zgarnelaby nas wszystkich pod swoje skrzydła - szepnęła Zulaya do K'vina, gdy Władczyni Fortu zwróciła twarz ku swemu partnerowi, który w dalszym ciągu nerwowym krokiem przemierzał komnatę.

-Chyba jej się nie uda, kochanie - odparł K'vin, któremu teraz z łatwością przychodziło wypowiedzenie czułych słówek. Westchnął. - Wiesz co - wyszeptał jej wprost w ucho - zaczyna mi być zał staruszka.

W odpowiedzi prychnęła cicho.

-A mnie nie - odrzekła i przedko nadała rysom twarzy wyraz najszczerzego zainteresowania, gdyż Sarai, usłyszawszy szepty, zaczęła się im przyglądać karcaco.

Nici opadły jako czarny pył, przemieszany ze śniegiem i mżawka, Jeźdźcy z patrolu przyniesli je w wiadrze S'nanowi, który odprawił ich ze smutną miną. Dalekie Rubieże z jeszcze większym poświęceniem poszukiwały żywych Nici, mogących stanowić niebezpieczeństwo. Niektórzy jeźdźcy z takim zapalem wypatrywali pojawienia się przeciwnika, że nabawili się odmrożeń. W końcu przyniesiono G'donowi drugi kawałek przemarzniętej Nici. Gdy odtajała, zaczęła tak cuchnąć, że natychmiast ją wyrzucono. Gdy nadszedł pierwszy Opad nad Bendenem, czyli dziesiąty w kolejności, pogoda na Wschodnim Wybrzeżu zmieniła się; ciepły front sprawił, że większa część nadchodzącego Opadu miała być "żywa" i niebezpieczna. Zwolano zatem wszystkie pernenskie Weyry.

Dwa pełne skrzydła jeźdźców z Telgaru pod dowództwem K'vina przegrupowały się w górnym prawym kwadracie przestrzeni nad Bendenem. Ani jeden smok nie wysunął się z szyku. Poniżej, w ciemnościach poprzedzających wschód słońca, Isnily światła Weyru, rzucając blask na brzuchy smoków stojących w szeregach. Nie był pewien, czy oddział z Telgaru dotarł na miejsce przed innymi, ale bez wątplenia stawiał się w pełnym składzie o określonej godzinie na wyznaczonych pozycjach. Wszystkim bardziej odpowiadałaby walka w dzień, ale Nici nie potrzebowały światła, by opadać. Według sprawozdan Seana o Opadach porannych i wieczornych, srebrzyste światła błyszczały tak, że na tle nieba stanowiły łatwy cel dla płomieni.

Pierwszy Opad Drugiego Przejścia miał zacząć się nad wysokimi gorami, w dalszym ciągu pokrytymi grubą śniegową czapą, gdzie i tak nie wyrządziłby szkód. Prawdopodobnie większość Nici opadłaby w postaci czarnego pyłu w mroźnym górnym powietrzu, choć z drugiej strony i przy cieplejszej pogodzie normalnie obserwowano by tylko Opad nad szczytami, do momentu gdy nastąpiłoby nieuniknione przesunięcie nad zamieszkane obszary. Ten dzień był jednak wyjątkowy.

Gdy S'nan pod naciskiem M'shalla poddał wniosek pod głosowanie, wszyscy Przywódcy jednogłośnie postanowili walczyć z całym Opadem nad gorami, niezależnie od tego, czy zagroził życiu, czy nie. Trzy wcześniejsze "lewe" Opady tak wszystkich rozdrażniły, że jeźdźcy rwali się do działania. Naturalnie, niektóre szczyty wznosiły się na taką wysokość,

ze tlenu brakowało tam nawet dla smoków, ale można było ocenić kat padania Nici i ogólny charakter Opadu.

Skrzydła miały się zmieniać co dwie godziny, by jak najwięcej osób miało szansę nabrać doświadczenia "z pierwszej reki". K'vinowi przypominało się przez moment, jak bardzo P'tero starał się, by włączono go do telgarskiego oddziału. Może i trzeba było pozwolić na to blednemu jeźdźcowi, nie baczac na jego obolaly tylek, zeby sie nauczyl, ze do walki z Nicmi potrzeba nie tylko odwagi. Niestety, wtedy P'tero zabralby miejsce w oddziale komus zdrowemu i bardziej niezawodnemu. Wybierajac zielonych jeźdźców, K'vin pominal takze M'lenga. Chcial w ten sposob oslabic konflikt miedzy ta para; w przeciwnym wypadku dreczyliby sie, ze jeden z nich ruszyl do walki, a drugi pozostal. W zasadzie byli dobrymi towarzyszami w Weyrze i czuli sie mocno zwiazani ze soba od czasu, gdy mlody P'tero Naznaczyl Ormontha.

Ruch i zmiana cisnienia atmosferycznego zwrocila uwage K'vina. Spojrzal w dol na krater Bendenu.

Craigath ostrzega, przekazal mu Charanth. Trzy, dwa, jeden... START!

Rozkaz padl z wielu umyslów i gardel w ciemnosciach nad Weyrem Bendem. Czern pomiedzy byla bardziej intensywna, ale niewiele mniej mrozna, niz powietrze nad szczytami, gdzie oba skrzydla pojawily sie w rzeczywistej przestrzeni. K'vin cieszil sie, ze pomyslal o zaslonieniu sobie ust i nosa welniana tkanina, mimo ze wdychane przez nia, rozrzedzone powietrze wcale nie wydawalo mu sie cieplejsze. Ponizej osniezone gory swiecily wlasnym, niesamowitym blaskiem. Belior chylil sie ku zachodowi, a gdy jeździec spojrzal na wschod, ujrzal wyraznie widoczny wsrod innych gwiazd, zlowrozbnie rozjarzony glob Czerwonej Planety.

W ciemnosci rozkwitly jezyki ognia, gdy gotowym do walki smokom zaczelo sie odbijac. Za duzo kamienia ogniowego w brzuchach, stwierdzil K'vin z profesjonalnym dystansem, ale nie mogli przeciez winic jeźdźców ani smoków za nadmiar gorliwosci.

Czekali na te chwile przez dwa stulecia: dwa stulecia ciaglego szkolenia, dwa stulecia poswiecen, po to, aby dzis stanac w gotowosci i broniec swej planety.

W pewnym sensie zdarzyl sie to po raz pierwszy. Gdy pernenscy osadnicy zetkneli sie z opadajacymi Nicmi, nie mieli smoków. Planeta niemal ulegla zagladzie, zanim z pomiedzy nad Warownia Fort wychynelo pierwszych osiemnascie smoków, by spopielic w powietrzu pasozytnicze organizmy i natchnac nadzieja oblezonych obrońców. K'vina zawsze poruszala odwaga zrozpaczonego admiralá Paula Bendena... wlasciwie powinien naklonic P'tera, by przeczytal zapiski admiralá, poczynione w przeddzien wielkiego triumfu. Niedawno, gdy po raz kolejny siegnal po dziennik Bendena z tamtego okresu, wzruszenie scisnelo go za gardlo, gdy czytál:

"A wtedy młody zawadiaka miał czelność zsalutować i powiedzieć: - Admirale, mam zaszczyt przedstawić panu Smoczych Jeźdźców z planety Pern".

Kolejne wybuchy ognistego gazu i wszystkie głowy zwróciły się na północ.

Nadchodzi, oświadczył Charanth. W brzuchu mu grzmiało tak donośnie, że K'vin wyczuwał wibracje nogami. Nagle zdał sobie sprawę, że ciepło jest mu tylko od wewnętrznej strony ud, przylegających do smoczej szyi. Nie czuł dotknięcia wełnianej tkaniny na nosie. Może powinni zejść ze trzysta metrów niżej... popatrzył na środek zgrupowania skrzydeł, gdzie czekali M'shall z Craigathem. Dowództwo należało do Bendenu, nie do niego.

I nagle zobaczył Isniaca masę na czarnym niebie, jak sztandar rozwijany z jakiegoś odległego miejsca, sztandar, który falował, zwijał się i rozwijał. Serce zabiło mu gwałtownie. Poczł dziwny dreszcz... ale może to tylko ze względu na przeszywające zimno panujące na tej wysokości.

Charanthowi coraz gwałtowniej burczało w brzuchu. Z pyska buchnął niewielki płomyk.

Spokojnie, mały!

Stoje w miejscu! To one nadchodzą! Tym razem mogę zionąć!

K'vin nie mógł mieć pretensji do Charantha o tę uszczypliwą uwagę. Dziwne, ale nie odczuwał leku na widok zbliżających się Nici. Miał poczucie, że jego obecność w tym miejscu i czasie jest nieunikniona, musi obserwować to zjawisko, musi stać się częścią linii obronnej.

Nici nadchodziły falami, coraz bliżej i bliżej, a tłumnie zebrane oddziały obserwowały je w milczeniu. Widac było, jak front mglistej chmury opada na zbocza górskie. W mroźnym powietrzu nie pojawiło się ani jedno pasemko dymu, towarzyszącego rozpuszczaniu się pasożyta.

Siwe pasma opadały równymi strumieniami i zamarzały na śmierć w śniegu. Nigdzie nie widac było ani klebków, ani pustych miejsc.

Craigath polecił nam przegrupować się przy drugim punkcie zbornym.

Tak jest.

O dziwo, K'vinowi nie podobało się polecenie przegrupowania, choć Nici w żaden sposób nie mogły wyrządzić szkody osnieżonym gorom, więc szkoda byłoby na nie czasu i płomienia. Zdawało mu się jednak, że poddają się bez walki.

Charanth przekazał polecenie pozostałym smokom i skoczył w pomiędzy.

Na nowej, niszszej pozycji powietrze bylo wyraźnie cieplejsze. K'vin potarl nos i policzki, by przywrocic krazenie krwi w skorze. Stracil czucie w czubkach palcow od tego zimna.

Na wschodzie niebo rozjasnil blask przedswitu; Czerwona Planeta nieco zbladla na poszarzonym niebie. Nici nagle przybraly zlowrozbny wyglad. Coraz wiecej smokow zaczelo ziac plomieniami. Polecil Charanthowi, by sie lepiej pilnowaly, bo zabraknie im na pozniej.

Nagle oczekiwanie zaczelo mu doskwierac. Tyle czasu to juz trwa, prawda? Dwiescie lat! Kiedy wreszcie sie zacznie?

Ale Nici opadaly na snieg... byly juz tak blisko, ze widzial dziury, wypalane przez nie w bieli.

TERAZ! Komenda Craigatha dotarla do umyslu K'vina w chwili, gdy Charanth ryknal, zional poteznym plomieniem i machnal skrzydlami, by nabrac pedu do szarzy. K'vin uchwycil sie pasa bezpieczenstwa, rozpaczliwie poszukal dlonia liny, mocujacej przed nim worki z kamieniem ogniowym i z calej sily scisnal kolanami szyje spizowego smoka. Uniosl prawa reke i wskazal przed siebie, jakby ktorykolwiek z jezdzcow mogl przegapic rozkaz Craigatha albo smocze ryki, ktorymi odegrzmialo cale niebo.

Lecieli szeregami, Telgar byl drugi, nieco z tylu za najwyzszymi skrzydlami z Dalekich Rubiezy. Miedzy dwiema grupami smokow na roznych wysokosciach bylo dosc miejsca, by plomienie z gory nie szkodzily tym z dolu, i by pozostalo dosc miejsca na manewry. Wszystkie Weyry cwiczily to ustawienie tak dlugo, az jezdzczy instynktownie zaczeli zachowywac przypisana sobie wysokosc.

Chwila, gdy ognisty oddech Charantha spopieli opadajaca Nic, byla dla obu partnerow transcendentalnym doswiadczeniem. Charanth wspaniale zial, az przepalil cale pasmo. Nagle znalezi sie na zewnatrz, poza Opadem i wykonali zwrot. K'vin zdazyl rzucic okiem na reszte swoich jezdzcow i ujrzal jak zawracaja wraz z nim... oto dlugie, dlugie godziny nuzacych cwiczen przyniosly efekt w postaci idealnego manewru. O malo nie pekl z dumy. Ponizej i powyzej inne skrzydla takze zawracaly. Smoki zialy ogniem, atakujac kolejne pasmo Nici. Potem jeszcze jedno. I nastepne.

Sa tu Meranath i reszta, powiadomil go Charanth opuszczajac leb, by przypatrzec sie czemus w dole.

Naprawde? Obroc sie. K'vin rowniez skierowal wzrok w dol. Ujrzal jedyna w swoim rodzaju zlocista strzale, ktora tworzyly lecace nisko krolowe. Miotacze plomieni w rekach jezdzczyn tu i owdzie blyskaly ogniem, niszczac zblakane Nici, ktore umknely uwadze lecacych wyzej smokow.

Czy Meranath dobrze sobie radzi?

Meranath lata bardzo dobrze, potwierdzil z duma Charanth.

Powiedz oddziałom, że czas na pierwszą zmianę, polecił jego jeździec i wychylił się w bok, by obserwować manewr. Wysoko unosił prawą rękę i zlustrował szeregi jeźdźców z Telgaru. Opuszczył rękę i naliczył dziewięć, a nawet dziesięć smoków wciąż ziejących płomieniami. Po chwili i one się wypaliły. Doliczył do pięciu i nagle za nim przeleciały całe skrzydła. Gestem potwierdził, że zauważył ich przybycie. Na nic więcej nie było czasu, bo sciana Nici już znalazła się w odpowiedniej odległości do walki i Charanth był gotów je palić. Jak do tej pory, nie można było nic zarzucić telgarskim oddziałom.

Wydawało mu się, że już po krótkiej chwili worki z paliwem były puste. Przekazał Charanthowi, by zezwolił na uzupełnienie. Zdziwił się, że już minęła noc i nastął dzień... ale zauważył to tylko dlatego, że promienie słońca oslepily go, gdy znowu skierowali się na wschód. Nie bez powodu jeździeckie gogle miały przyciemnione szkła.

Kamień ogniowy dostarczyli Z'gal z błękitnym Tracathem. Elegancko zniżyli się tuż nad nimi i zarzucili pełne sakwy na szyję Charantha. K'vin rozwiązał supeł mocujący puste worki i zdążył jeszcze zauważyć jak Tracath obroczył się i zanurkował, a Z'gal sprawnie pochwycił je w powietrzu i obaj natychmiast zniknęli pomiędzy.

Pochwalił Tracatha za sprawną akcję, poprosił.

Byli już nad pomocnym skrajem Bendenu, nad pastwiskami, lasami i małymi gospodarstwami rolnymi. Teraz jeszcze ważniejsze stało się dokładne, staranne niszczenie Nici. Skrzydło królowych było dużo wyraźniej widac, gdyż złoto odcinało się od ciemnozielonego lub brązowego tła pol, które jeszcze nie pozieleniały z wiosną.

Znowu trzeba było uzupełnić kamień. Po raz drugi wezwał skrzydła do zmiany i zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony.

Dobrze się czujesz, Charanth?

Dobrze zione. Skrzydła mam mocne. Jest dobrze.

Spokojny, mocny głos spizowego smoka dodał mu siły. Tak, byli razem i robili to, do czego zmierzali całe ich wychowanie i szkolenie.

Meranath mówi, że jesteśmy już nad Bitra. Znowu zawrócili na zachód, gotowi do następnej szarży. K'vin spostrzegł, że z nieba opada mniej Nici, a między kolejnymi pasmami zdarzają się przerwy. Czy Opad już się kończy?

Nie był pewien, czy w głosie smoka brzmi zadowolenie, zaskoczenie, czy rozczarowanie, ale sam odczuł ogromną ulgę. Przetrwiał najtrudniejszy test sprawności dla Przywódcy Weyru.

Jeszcze raz przelecieli na wschód i nad głową zaświeciło im czyste niebo bez Nici. Szczęśliwe okrzyki poniosły się od jeźdźcy do jeźdźcy i wszyscy w zasięgu wzroku K'vina z

radoscia uniesli ramiona w gore.

Powinnismy wyladowac w Bitrze. Moze trzeba bedzie palic zagrzebane Nici, ktore nam sie wymknely, powiadomil Charantha. Powiedz wszystkim, ze swietnie nam poszlo i ze moga wracac do domu, oprócz J'dara. J'dar poleci razem z nami na odprawę. M'shall bedzie miał przyjemnosc rozeslac nas na odpoczynek! Czy mamy rannych?

Bylo to tradycyjne pytanie Przywodcy na zakonczenie Opadu, choc dostawal raporty na biezaco podczas walki, by mogl na czas uzupelnic szeregi.

Tylko drobne oparzenia plomieniem. Nikt nawet nie zawracal sobie glowy raportowaniem.

K'vina wcale nie ucieszylo ukrywanie przed nim kontuzji, ale z drugiej strony doskonale rozumial obawe jezdzcow, ze posle ich na ziemie z powodu nieznacznych oparzen. Dopiero teraz zauwazyl, ze sam ma sporo wypalonych dziur na skorzanych spodniach... ani jedna iskra nie dotarla jednak do ciala. Oby wszystkie Opady byly tak bezproblemowe! Policzy sie z ryzykantami przy okazji nastepnego bojowego lotu. A przedtem udzieli calemu Weyrowi ostrej reprimendy, by uchronic te waleczne koguciki przed smiercia.

Tym razem skrzydlo krolowych mialo przylaczyc sie do dowodcow skrzydel w Bitrze, choc normalnie smoczyce zostawaly w powietrzu, by pomagac patrolom naziemnym.

Zulaya podbiegla do K'vina jak tylko wyladowal, objela go i pocalowala z entuzjazmem.

-Udalo sie. Udalo sie nam!

-Na razie - odpowiedzial i przytulil ja mocno. Byl wdzieczny P'terowi za to, ze wtedy tak go rozdraznil. Od tamtej pory zwiasek K'vina z Zulaya przeszedl cudowna metamorfoze. Patrzyla na niego w taki sposob, bez przerwy pragnela jego bliskosci... no coz, teraz naprawde byli para Przywodcow.

M'shall krecil sie wsrod jezdzcow: kogos poklepal po ramieniu, podziekowal Przywodcom Weyrow za walke z Opadem, bez zadnych powazniejszych ran. Na jego twarzy bezustannie goscil szeroki usmiech.

-Powiedzialbym, ze byl to normalny Opad - wyglosil S'nan z madra mina.

-A skad mozna to wiedziec? - spytal G'don.

-Z kronik, moj panie, z kronik - warknal S'nan w odpowiedzi. - Dokladnie tak samo Sean opisal Opad numer 325, z roku 58 po Ladowaniu. Dokladnie tak samo.

-Ach, Opad numer 325? - spytal B'nurrin z psotnym blyskiem w oku. - Mnie sie raczej zdawalo, ze bardziej przypominal numer 499 z roku 60 P.L.

-B'nurrinie! - uniesione brwi M'shalla sugerowały, że niepokorny Przywódca Igenu powinien natychmiast zaprzestac dokuczania S'nanowi.

-Och, dzis udalo nam sie az za dobrze - potrzasal glowa D'miel z Isty. - Bylismy w szczytowej formie. Spodziewalem sie czegos o wiele gorszego...

-Coz za mile rozczarowanie! - docial mu K'vin, ale w zasadzie zgodzil sie z ta opinia. Wszystko poszlo az za dobrze.

Te uwage powital pomruk aprobaty.

-Podczas Opadu nie wolno sie dekoncentrowac. Nigdy! - S'nan wyglosil kolejny komunal.

-Trzeba bedzie zdwoic ostroznosc podczas drugiego Opadu, nad poludniowym Bendenem i Keroonem - szepnela Zulaya do K'vina.

-No coz, ja bylem zadowolony z moich skrzydel. Malo co przedostalo sie w dol - powtorzyl.
- Dzieki pracy szwadronow w gorze i skrzydla krolowych, tylko cztery Nici zdolaly zagrzebac sie w gruncie, a i z tymi sprawnie sobie poradzono. Dzieki Vergerinowi...

Lord Bitry czestowal tłum na dziedzincu musujacym winem Hegmona.

-Pomyslcie tylko, co mogloby sie zdarzyc, gdyby Chalkin zostal u wladzy! - powiedziala Irena, pozdrawiajac Vergerina uniesionym kieliszkiem.

-Ach, lepiej nie zawracac sobie tym glowy! - przerwala jej Laura z Isty, smiejac sie z nieco afektowana ulga.

-Na pewno nie byloby szampana - stwierdzila Irena. - Jestem o to dziwnie spokojna!

-Jak wycyganiles te babelki od Hegmona, Vergerinie? - dopytywal sie G'don, pieszczotliwie gladzac kieliszek.

-Stara przyjazn nie rdzewieje, i tyle - odparl Vergerin z usmieszkiem.

-Czy byly jakies doniesienia o oparzeniach? - spytal M'shall, powazniejac.

-U mnie tylko drobne oparzenia plomieniem - odpowiedzial K'vin.

Pozostali przywodcy, jeden po drugim skladali podobne meldunki.

-Ano coz, mamy cholerne szczescie, jesli to wszystko. Chociaz dostaje dreszczy na mysl, jacy beztroscy potrafia byc jezdzczy - podsumowal M'shall. - Trzeba ich jakos utrzymac w dyscyplinie.

-I na smoczach grzbietach - dodala jego partnerka.

-Popatrzmy na to w ten sposób - oświadczył B'nurrin, usmiechając się od ucha do ucha: - Zostało nam mniej więcej 6649 Opadow, zanim będziemy mieć je z głowy na następnych dwadzieścia lat.

Nastąpiła chwila oniemiałego milczenia, gdy zebrani próbowali przyswoić sobie te fakty, a potem B'nurrin musiał szybko zmykać przed zirytowanymi kolegami.

-Tak, nadeszło Przejście - powiedział cicho K'vin do dumnie wyprostowanej Zulayi - i znowu stanęliśmy do walki z wrogiem.

-Jak wspaniale jest żyć w takich czasach... - I dosiadać smoka!

Tak właśnie zaczęło się Drugie Przejście Czerwonej Gwiazdy nad Pernem!

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-20

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/